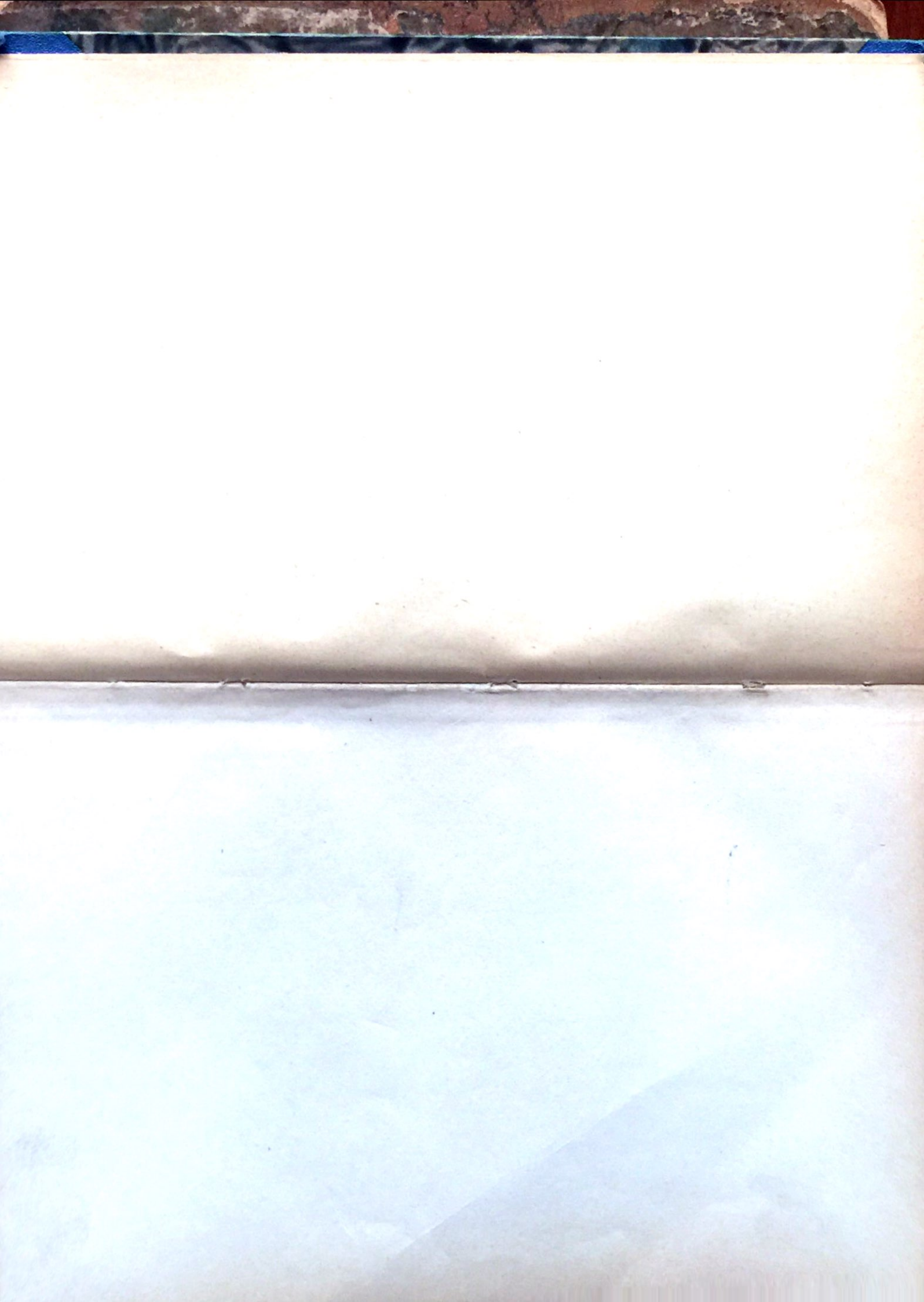


Z B I G N I E W U N I L O W S K I

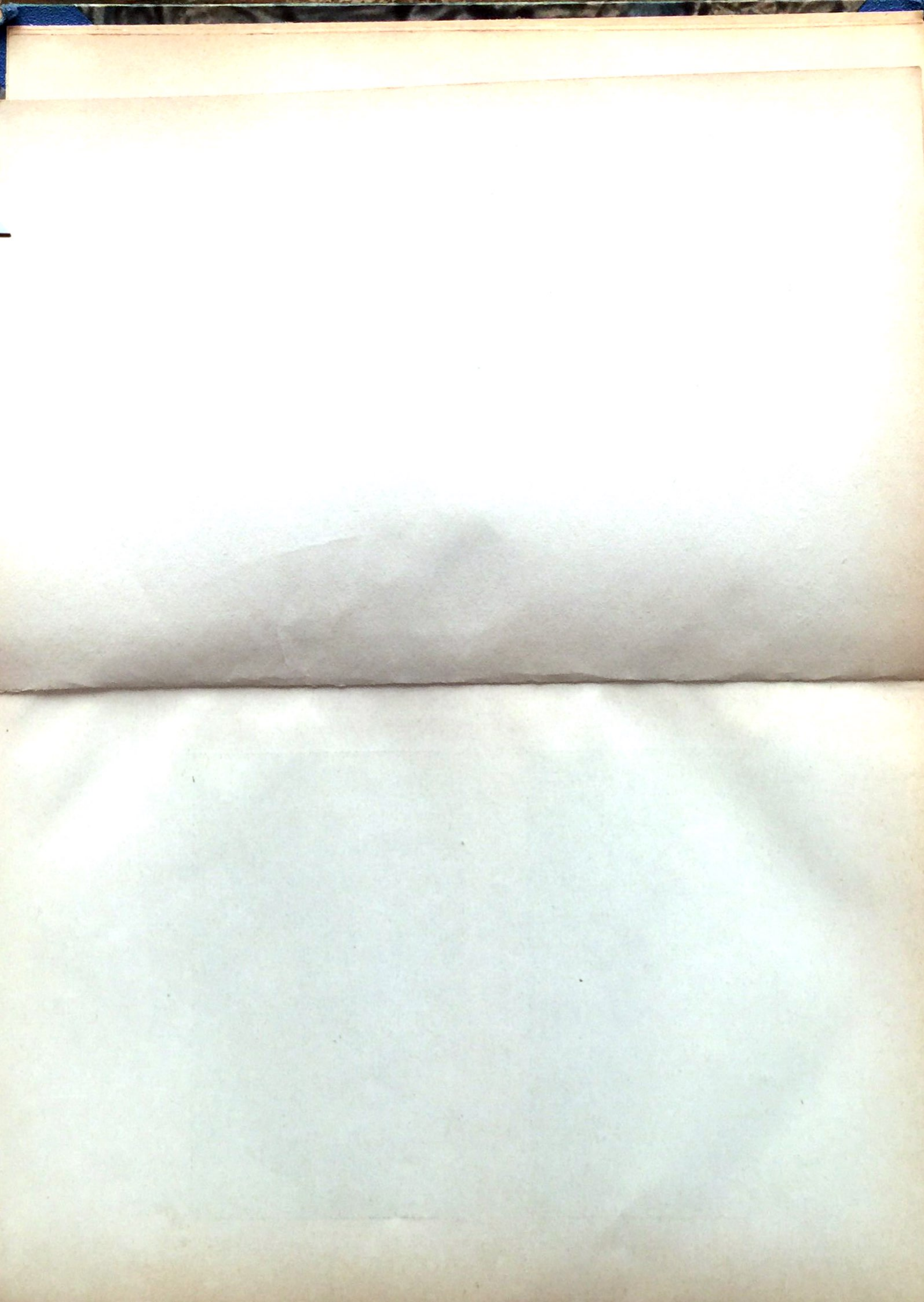


ŻYTO W DŻUNGLI

Polkowski
ŻYTO
ŻYWIŁLI



Z Y T O W D Z U N G L I



ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

ŻYTO W DŻUNGLI

Z 32 ILUSTRACJAMI



AUTOR W TOWARZYSTWIE INDIAN



KABOKLE

WARSZAWA 1936

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

Z Kurytyby — stolicy stanu Parana w Brazylii — zdarzało mi się wiele razy wyjeżdżać w głąb kraju konicznym pociągami z zasapaną — niby tłusty kucyk — lokomotywą, z mami wagonami, rozstrzęsionymi w czasie jazdy. Na peronie trzeba było się zjawić o siódmej rano, z niesmakiem w ustach i czadem w głowie naskutek wczesnego wywleczenia się z łózka. Szarość i chłód stacyjny stwarzał tutaj nastroj mrocznej wilgoci, ale kiedy się powiodło wzrokiem wzdłuż toru, raptem podle samopoczucie opadało ze mnie jak łachman, bo tam dalej działo się coś bardzo ślicznego; wschodziło słońce osłepiającą bryłą jasności; samotna — wiecznie ta sama — palma drżała smukłym srebrem w namiętnej i już upalnej, poczynając się siłą, i myśl, że pociąg ruszy ze mną prosto w tę kipieli kolorów, stwarzała gwałtowną chęć jechania natychmiast! To prawda, że tam dalej nic się nie działo, doznawało się jeszcze jednego zawodu przy zetknięciu z naturą w Brazylii. Słońce stawało się suche i białe, kolory ginęły, palma traciła swą dziwność, pociąg mijał domki ziejące smutkiem i brudem, jakieś fabryczki, ludzi stojących na drogach i głupio wgapiionych w rozdzwonioną, parszkającą lokomotywę. W wagonie zaczynało się przewalać wściekle gorąco, razem z kłębami czernego pyłu i sadzy. Zawsze jednak doznawałem pewnego wrażenia, natomiast dziś wszystko maże się i puldmi w uporczywym deszczyku, zasiała on jeszcze jadowitą, kurytybąską wilgoć, razem z nią przenika odzież i ciało, nawet duszę. Z tą wilgocią, to jest tak jakoś... że wiatry przynoszą parę od mórz, uderzając one o łańcuch gór i... Nie jestem uczony w tej materji!

W Kurytybie, słowem, jest wilgoć.

Zawlokłem worek z rzeczami do wagonu, teraz stoję na peronie i rozmyślam na temat, że właściwie wybieram się w głąb kraju podobno dosyć dżikiego, na dość długą włośćę, gdzieś tam są Indianie, których nie znam, bo poprzednie moje wyjazdy w okolice nie docierały do nich. Poradzono mi także ubrać się odpowiednio, jak na tak daleką wyprawę; mam wysokie buty i na ramionach tutejszą „capę“: długą szarą pelerynę, która ma chronić od deszczów i służyć za przykrycie lub poduszkę. W worku leży siedmiostrzałowy rewolwer marki Smith i dużo wielkich, ołowianych kul. Słowem, akcesoria niebezpiecznych zamierzeń. Nadomiar towarzyszy mi człowiek, którego znam krótko i trochę ze słyszenia. Nazywa się Grzeszczyszyn i akurat dla jakichś tam swoich celów jedzie tym samym szlakiem. Właśnie spotkał znajomego, stoją obok i gawędzą. Grzeszczyszyn jest ubrany jak ekonom do wyjazdu w pole, ale ten drugi ma taką samą „capę“ jak i ja, oraz wielki czarny kapelus z paskiem pod brodę. Twarz sucha, szczerbiata i pomarszczona, wargi wąskie, nos jak dziób i wielkie, groźnie błyszczące oczy. To jest taka postać o jakich dotychczas tylko czytałem. Wogóle przypominam sobie opisy podróżników naszych i obcych, zaraz też przenika mnie marna myśl, że ja przecież jestem taki pisarz od spraw istotniejszych niż głupie podróże i że wogóle mniejski i „psycholog“. Jasne jest, że lekam się trudów i nieznanego. POCO tam jadę? Może zginę gdzieś nędznie od kuli, noża czy pazurów! Bo przecież niedawno czytalem choćby opisy naszego przedzierny brazylijskich dżungli; — i cóż? Roi się wprost od stworów dybiących na życie człowieka! Może nie jechać! Czy mnie aby nie szkoda? Przecież w ciszy kawiaienki mogę obmyślać powieści obyczajowe i także rzetelnie przysłużyć się naszej literaturze. Zaraz jednak między te myśli wkrada się obrzydzenie do siebie, i śmiało podnoszę głowę, bo na peronie orkiestra dęta gra hymn bra-

zylijski. Widzę kilkunastu oficerów w mundurach, w rozpiętych płaszczach wojskowych, w czapkach z czola, to na ucho. Czekają widocznie na tegiego cywila, który właśnie zbliża się do nich. Podchodzę do Grzeszczyszyna, który wyjaśnia mi, że to jest „interwentor“ stanu Parana (to tak jak u nas wojewoda). Wyjeżdża na kilka dni, więc orkiestra zęgna go hymnem, a także schodzi się właśnie reszta oficerów, aby mu — odjeżdżającemu — oddać honory. Robi się tłumno i gwaro. W szeregu różnych drobiazgów widzę tabliczkę, gdzie jest napisane, że Kurytyba leży 896 m nad poziomem morza. To tak mnie więcej jak u nas w Kuźnicach? Już myślę o tych stronach, zaczynam mdlo tęsknić za krajem, przypominają mi się różne rzeczy, z tem wszystkiem wiadam do pociągu, lokomotywa urząda piekielny hałas, popiera go orkiestra, wszędzie mgła, deszcz i czerwone, tłuste blocko parańskie.

*

Naprawdę nie wiem, dokąd jedziemy. Gdzieś w lasy, znane mi z okropności opowiadanych na zimno przez tych którzy je znali. Prócz tępego zdenerwowania i oszofomienia, przerywanym ordynarnym niepokój. Niema we mnie nic z młodzińca, rozgrzanego żądzą przygód. Trudno, muszę się ująć w garść i poznać wnętrze Brazylii, skoro już tutaj jestem. Więć jadę i kombinuję jakby tu, w razie czego... Wagon trzęsie tą moją nieszczęsną, kombinującą głowiną. Za oknem wleczce się pejszaz deszczowy, podobny do widoków z wagonów całego świata o takim czasie. Tylko pinjor, ten posępny arystokrata brazylijskiego drzewostanu, mający wyniośle na widnokręgu, o pniu nagim i wysokim, z kręgiem wygiętych ku niebu gałęzi u samego szczytu. Jak parasol wielkoluda. Czasem mignie wiołka i rozwiana na wietrze palma albo zażywny, jasnozielony krzak banana. Ale dzisiaj to wszystko nie sprawia wrażenia egzotyizmu, a boleśnie zniertuchomiłe krowy podkreślają raczej zwyczajność krajobrazu.

Grzeszczeszyn nagle przedstawił mi swemu znajomemu, który podał mi niemłym zwyczajem tubylców końce palców. Znajomość ta ożywiła mnie trochę, chociaż słowa nie przemówiliśmy do siebie, bo Brazylijanin dalej rozmawiał z Grzeszczeszynem. To co mówił, było bardzo nieciekawe; rozwekle, pozwoli wypowiedziane zdania odpowiadały senniejszej atmosferze w wagonie. Mówił o pogodzie, o jakiejs bójce i o spadku cen na świecie. W monotonię znieszanym rytmie kół, w szmerze deszczu na szybach i przyciszonych rozmów, słowa jego ciekły, mazały się po wagonie. Onulitem się „capã“, chłód parański dokucza mi w ostatnich dniach bardzo; czekam na to słonce brazylijskie, które „pali“. Teraz jest początek września, za dwa tygodnie znacznie się tutaj „primavera“, narazie wieczorami opada przejmująca mgła, wydaje się wtedy, że można ją ugryźć jak kłębek waty. Podobno w grudniu, styczniu i lutym mają tu być wielkie upały; myślę o tem z utęsknieniem.

Jedzie z nami może osiem osób; liczba ta pomniejsza się lub powiększa pasażerami, którzy nie mogą usiedzieć na jednym miejscu, przelazą z wagonu do wagonu. Dwóch pochylonych negrów rozmawia szybko i cicho, z rękami opartymi na kolanach. Nie patrzą na siebie, jakgdyby każdy oddzielnie mówił do pustej, przeciwległej ławki. Dalej siedzi kobieta bardzo tęga ale młoda i o pięknych oczach. Wierni się u jej kolan kędzierzawa dziewczynka o śniadej twarzy; podchodzi co chwila do siedzącego o dwie ławki dalej żołnierza, kopie go i zmyka na stanowisko u kolan matki. Co kilka minut przechodzi wzdłuż wagonu, między ławkami, kierownik pociągu, olbrzymi mulat. Kładzie on dłoń na głowę dziecka, potrzymać trochę, potem dwyrta za podbródek, odwraca się do matki i pyta o coś, co tyczy matki. Powtórzyło się to już z dziesięć razy. Oddchodzi z uśmiechem, dziewczynka znów kopie żołnierza, który skolei częstuje ją pomarańczą, mała odmawia, znów kopie, trwa to już z pół godziny i niedobrze jest tam

patrzeć. Siedzi także rozparty przy oknie młody człowiek, rozgląda się ciągle wokół, czasem wyjdzie, wróci i siądzie; ma pełną twarz z wąsikiem, kapelus z na bakier, włosy czarne i lśniące. Nudzi go pewnie jazda, kupił sobie kilka pierożków z mięsem od przechodzącego sprzedawcy, zjadł je i począł gwizdać sam sobie, smutno, bo nikt uwagi na niego nie zwracał. Wagon był brudny, ławki zbite z listew drewnianych, poumieszczane są różnie, tak jak u nas w tramwajach. Kolejce w Brazylii są w rękach francuskich kompanij, również zdaje się, że i w angielskich.

Wagony są budowane prymitywnie, wnętrza ich są niewygodne, ławeczki z miejscem tylko na dwie osoby, w pierwszej klasie plecione, zólte, w drugiej drewniane, z listw, trzeciej klasy niema zupełnie. My jedziemy drugą klasą, nie przez oszczędność, bo koleje tutaj są bardzo tanie, tylko w drugiej klasie jedzie publiczność, która mnie bardziej interesuje. Zatrzymał się już na kilku stacjach, o zadeszczonych, smutnych budyneczkach. Wydaje mi się, że teraz jedziemy przedzielnym lokomotywa co pewien czas gwizdaje zaśónie rozdzielająco. Do wagonu wszedł człowiek w ubraniu z khaki, usiadł naprzeciw znużonego młodzieńca i podał mu kilka bileków loteryjnych. Wziął, począł obracać na wszystkie strony, coś wypyrywał, poczem oddał, znów wziął, trzyma w ręku i patrzy przez okno, mówi do umykającej przestrzni. Trwało to z dziesięć minut, wreszcie odmówił kupna, zwrócił bilety, wstał i wyszedł, do drugiego wagonu chyba. Kolektor zbliżając się do nas, nieomieszkął dotknąć dłonią główki dziewczynki, uczynił to także kierownik pociągu, który znów przechodził przez wagon. Podszedł do nas, wyciągnął bilety z kieszeni i trzymał je przed nosem Grzeszczeszyna bez słowa. Spojrzałem na jego twarz i bezcelnie, napewniaka, zaprzętałem go, czy nie ma bileków loterii riograndeńskiej, bo właśnie takie mam zamiar kupić. Odpowiedział, że nie ma, tylko parańskie, wygrana dwadzie-

ścia pięć kontów (25.000 milreisów). — „Kup, pan, może pan wygrasz!” — Znajomy Grzeszczyszyna wziął bilety do ręki, potrzymał je, obejrzał, oddał i wrócił do rozmowy. Kolektor odszedł, odwrócił się jeszcze raz i powiedział do mnie: — „Kup pan, może...” i poszedł sobie dalej.

Przysłuchuję się teraz rozmowie moich znajomych. Brazyljanin opowiada o Polakach-kolonistach znad rzeki Ivahi, jak żyją, ile który ma alkrów ziemi, on też mieszka trochę za Teresiną, wymienia nazwiska, wreszcie mówi, że naród to dla niego dziwny.

— Ja naprzykład urodziłem się tutaj, jestem dość pracowity, nie tak jak inni „gente do matto”, mam dwadzieścia alkrów ziemi, z tego rosuję jakieś osiem, mam dwa konie, czterdzieści świń, trzy krowy, karoś, dom, niezłą gospodarke. Ale ja się tutaj urodziłem, mam już czterdzieści lat. A tu przyjeżdża Polak, dziesięć lat temu, może go znasz — Gonczak; z pustemi rękami, kupuje sześć alkrów ziemi, nie ma pieniędzy na konia, jego żona nagotuje fizonu na cały dzień, bez tłuszczu, i jedzą to tak z dzieciakami. I pomyśl tylko, senhor zreszcie... trzeszczy... szuszczu... ależ macie imię trudne dla mnie, teraz ten Polak ma siedemdziesiąt alkrów ziemi, ze sześć koni, ze sto świń, dużo bydła, wszystko przez dziesięć lat, i to na moich oczach, bo przy mnie ma ziemię. Dawniej on chodził do mnie na robotę, teraz ja do niego! to nie jeden, bardzo dużo jest takich. Co to jest? Ja też pracuję, i nie mogę narzekać, powodzi mi się, ale on przez dziesięć lat dorobił się trzy razy więcej niż ja. Tfy, czary jakie, barbaradade!

Ten towarzysz Grzeszczyszyna to typowy „kaboklo”, można już o nim mówić, że jest nie biedny. Ludzi tych nazywa się właściwie „gente do matto” — ludzie z lasu. Kaboklo to nazwa pogardliwa, w oczy się tak nie mówi. Kaboklo przez swoje lenistwo, gniebiony przytem choroby, żyje bardzo nędznie, póki ma trochę pieniędzy, nie wzięmie się do żadnej

pracy. Przeważnie wszyscy są bardzo biedni, ale ludźmi pracującymi pogardzają, Polaków nazywają mułami: „Polaco burro!”¹, są ambitni, z przeczulonem poczuciem godności i honoru, łatwo się obrażają i obrazy nie darują, zabijają. Mają piękne i długie nazwiska, są uprzejmi i gościnni, ceną przyjaźń bardzo wysoko. Bogactwo ziemi pozwala im wegetować, uważają, że ich kraj jest tak piękny a życie tak krótkie, iż jedynie człowiek bez czulej duszy może się zajmować czemś tak zwierzęcem i wstrętnem jak praca. Znajomy Grzeszczyszyna jest już nieco spolszczony, ma majątek, jest inny niż ci z lasu, mieszkający ze swą rodziną samotnie. Ci, co mieszkają w pobliżu cudzoziemskich skupisk, przejmują trochę ich obyczaje. To co piszę jest powierzchowne, aby poznać ich psychologię trzeba lata żyć między nimi, każdy przyjeżdżający tutaj cudzoziemiec uważa, że są łatwi do poznania, i po kilku tygodniach pobytu w interiorze wygłasza stanowcze opinie o tych ludziach. Aby choć trochę scharakteryzować lenistwo i powolność kabokla, przytoczę dwa — podobno autentyczne — zdarzenia.

Kilku kabokli odwiedziło świeżo osiadłego kolonistę polskiego. Pogawędzili sobie, jak zwykle o błahych sprawach; kiedy odchodzili, żona kolonisty dała im bochenek żytniego chleba, oglądali ten bochenek, powiedzieli, że zjedzą później, poczem wyszli, uszli kilkanaście kroków i rozdłubali chleb na mnóstwo kawalków. Po kilku minutach kolonista przechodził obok nich i zaprtał zdziwiony: „Co wy robicie, przecież się to je!” „Tak, ale my szukamy nasienia!” Trudno im sobie wyobrazić, że można coś przetworzyć. U nich wszystko rośnie, prawie wszystko jest gotowe.

Drugie zdarzenie. Drogą w lesie przejeżdżał samochód ciężarowy jakiejś kompanji, szofer widzi włokącego się pieszo ka-

¹ Ma to zresztą tylko znaczenie pogardy kabokla dla pracy. „Tylko osiół pracuje”. Pozatem kaboklo żywi dla polskiego kolonisty podziw i lek.

bokła i proponuje mu, aby usiadł obok niego. Kabokło wsiadł, ale po kilku minutach jazdy powiedział, że chce zejść. „Dlaczego?” — pyta szofer. — „Za prędko!!!”

Pociąg nagle zaczyna wściekle gwizdać i raptem zatrzymuje się. Nie widać nigdzie budynku, więc wyglądam oknem i jestem doprawdy wzruszony, bo przecież o czemś takim słyszało się tylko w anegdotkach z dawnych czasów. Na torze leży krowa, żuje sobie i nawet nie patrzy na pociąg, za nią stoi cielę zapartzone, zniertuchoniąte, przesłiznie głupie. Zohnierz również poszedł zganiać krowę z toru, na pomoc maszyniście. Za chwilę jedziemy, mijamy krowę i cielę; patrzę powłóczyście za pociągiem. Zohnierz przeczornie usiadł na innej ławce, dziewczynka popatrzyła za nim smutno, potem przytuliła się do matki i usnęła. Kiwamy się wszyscy w wagonie, papieros mi nie smakuje, ciągle mam przykre poczucie bezsensu tej podróży. Kolektor wraca, pokazuje znów nam bilety, namawia ruchami głowy, idzie dalej, zatacza się między ławkami jak pijany, siada obok młodzieńca, tamten bierze bilety, coś mówi, patrzy w okno, oddaje bilet, a niech ich szlak trafi, nie mogę na to patrzeć. Odwracam się do okna, żadnej zmiany, równina, trochę zieleni, w zieleni mignie jadowicie czerwony kwiatek, palma, banan, wszystko w deszczu, cała ta „terra de cruzeiro do Sul”.

Na małej stacyjie zatrzymujemy się krótko, wychodzimy do stoliczka z kawą. Jest już osłodzona w czajniku, stara młatka napełniła filiżanki, pije się w tłoku, potrącają mnie ciągle, kawa jest za słodka, przez co traci smak, ale ogrzewa, czyni umysł jaśniejszym. Duża filiżanka kosztuje dwieście reisów (sześć groszy). Grzeszczeszyn ze swoim towarzyszem wypijają przed kawą po dużym klelszku „kaszasy”, wódki cuchnącej denaturatem, pędzonej z trzciny cukrowej. Ta wódka jest niesmaczna i słaba, innej w Brazylii niema, poza zagranicznymi trunkami. Głowę moją otacza zapach tego paskudztwa, wracamy do wagonu,

przez okno patrzę na peron, kręcą się po nim romantyczne postacie w „capach” i wielkich kapeluszach, długie ostrogi, groza! Ocierają się o nich słabowici, brudni kabokle o szlachetnym, godnym wzroku. Kilku murzynów zagłada do okien wagonu jak do klatki ze zwierzętami.

Znów jedziemy, lubelski pejzaz, w wagonie nastroj ospały, czasem ktoś głośniejszemu zdanie, przelotne chwile ożywienia, nowa twarz, przykra podróż, żalosna bzdura. Oto duże miasteczko Ponta Grossa, tutaj przesiadamy się, godzina do drugiego pociągu. Grzeszczeszyn zęgna się ze swoim kabokłem, klepią się po ramionach, taki zwyczaj, cała Brazylija się klepie — znaczy przyjaźń, serdeczność¹. Grzeszczeszyn prowadzi mnie do Polaka, Bukowskiego, właściciela hotelu. Mamy się tam dowiedzieć, gdzie i jak lepiej jechać. Miasto dobre, czyście — Kalisz. Na koniu jedzie jakiś Rinaldo Rinaldini, Grzeszczeszyn mówi do niego: „Jak się masz, Zieliński!”. „A, nic, deszczel”. I pojechał dalej, wyniosły, małomówny. Bukowski wita nas, niedbale, jakbyśmy dziesięć razy dziennie składali mu wizytę. Na głowie ma pończochę, wasy mu sterczą jak u huzara, kaze nam podać obiad, ciągle chodzi jak nakrecony, znikła w pokojach, zjawia się, mówi dalej to czego nie dokończył gdy wychodził, usiadł na chwilę, podsunął półmisek, znów wstał, dręczony własną, chroniczną, hotelową nudą. Odradza nam jazdę do Iraty — to miasteczko, do którego chce jechać Grzeszczeszyn, a także i ja muszę tam chcieć jechać, bo nie nie wiem, muszę tam jechać gdzie Grzeszczeszyn.

— Złapią was deszcze i będącicie gnili w Iraty ze dwa tygodnie. Lepiej przencoujcie u mnie i jutro pojedzicie kaminiorem² do Prudentopolis. Po kiego diabła macie się tam narażać! No, mówię czy nie — nie jedźcie do Iraty, co?

¹ Zwyczaj z dawnych czasów, kiedy wiający się wzajemnie doszukiwali się broni.

² Samochód ciężarowy.

Wsadził ręce w kieszenie spodni, rozkraczył się i raptem mówi do mnie:

— Ma pan jaki interes w interiorze, poco pan jedzie do interioru?

— Mówił mi Wietkowski w Kurytybie, że parę miesięcy temu zostawił u pana kapelusza. Mam go odebrać. Jest u pana ten kapelusza?

— Duży, riograndeński kapelusza? Jest, dałem go do odświeżenia, kosztuje dziesięć milów, wykupuje pan za dziesięć milów?

— Zapłacę. Jadę do interioru tak, rozzejrzeć się. Chcę poznać jakie tam życie.

— No i czego pan odrzuca nie odpowiada, tylko zawraca pan głowę kapeluszem. Kapelusza jest. Czego pan nie je? Gra pan w szachy?

Odpowiadam, że nie gram w szachy. Bukowski powtarza to samo: — he, nie gram w szachy. Poszedł po kapelusza.

Grzeszczyzn powiada, że to co mówi Bukowski nie jest ważne. Jedziemy do Iraty, to stara kolonia polska, warto żebyśmy zobaczyli. Bukowski przytnął mi piękny kapelusza o szerokich skrzydłach, płacę za niego i za obiad, wstajemy od stołu i powiadamy, że idziemy na stację. Jedziemy do Iraty. Dowiedzenia. Bukowski idzie za nami w stronę drzwi i mruczy:—Nic, tak jak woda po psie. Ja mówię żeby nie jechali, zgnijecie tam, nie lepiej to przemocować u mnie?

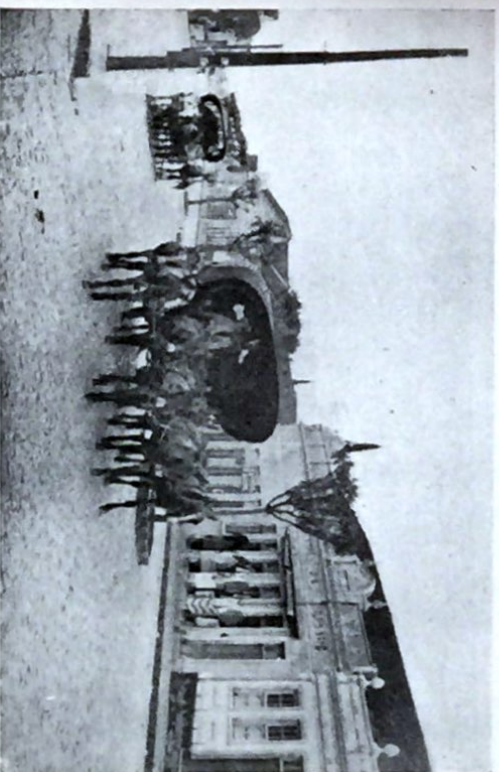
— Dowiedzenia, jedziemy do Iraty — woła z ulicy Grzeszczyzn.

Słyszemy trzask drzwi. Idziemy pod domami, bo deszcz się pie teraz ostro. Na stacji odbieramy rzeczy od bufetowego, stajemy pod murem na peronie i czekamy na pociąg.

Grzeszczyznowi nie chce się ze mną mówić, ani mnie z Grzeszczyzmem. Obok nas spacerują podróżni, różnie poubiarani, przeważnie jednak po europejsku i nawet dość ele-



KABOKLE



RUCH ULICZNY W PONTA-GROSSA

gancko, psują sobie tylko swój szyk niedbalen poruszaniem się, kapeluszem nabakier i wogóle niedopinaniem. Jest to zresztą cecha prawie wszystkich Brazylijan, to niedbalstwo zewnętrzne. Przy okazji, czy też dlatego, że mi to dopiero przyszło do głowy, przyglądam się Grzeszczeszynowi. Poznałem go kilka dni temu w jakiejś kawiarni, rodak, zgadaliśmy się o interiorze, właśnie jedzie na północ, oglądać tereny. Patrzę na niego i dopiero teraz orientuję się jak bardzo w ostatnich dniach byłem roz-targniony, skoro nie spostrzegłem zewnętrznej dziwności Grzeszczeszyna. Ma on krótkie nogi — iksy, szerokie biodra, od nich tułów krzywo, bardziej na prawą stronę, szyja cienka z karczkiem chłystka, na tej cienkiej szyi głowa wielka, odstające uszy. To wszystko jest niechlujnie ubrane, koślawe buty, sztylpy z grubej skóry, zeschę, popękane, potem trochę spodni khaki i marynarczana czarna, wizytowa, z wąskimi rękawami, bardzo poplamiiona. Kapelusze zawadziaki, na lewe ucho, spojrzysz pod ten kapelusze, zobaczysz twarz i wybuchniesz śmiechem, bo ta twarz, to karykatura drapieżności, pełna i cała w dziobach po ospie, oczka—brudne szafiry, nieregularnie rozstawione, niby w pośpiechu powtykane, nos zakrzywiony dodołu i nabok, zachodzący za usta, tak że nawet przykro myśleć o tem, bo Grzeszczeszyn pewnie nigdy nie zaznał rozkoszy pocałunku, bo jakże czuła kobiетка miała się dostać do jego ustek. Przypomniałem sobie, że Grzeszczeszyn w czasie podróży zwrócił się do mnie kilkakrotnie dość ostro, tonem nie znośnym sprzeciwu, i pomyślałem, że pewnie w całej naszej podróży zechce mnie wziąć, jak się to mówi, „za mordę“, więc teraz, patrząc na niego, ocknąłem się niejako, zainteresowała mnie przeszłość, stał tu obok mnie, mały, sięgający mi do ramion, śmiesznie poważny, „męski“. Kiedy podjechał pociąg, kiwnął na mnie zakrzywionym palcem i pobiegł drobnym kroczkiem, krzywy, nóżki w iks. Tak zwana „skuka“ poszła precz. Grzeszczeszyn nagle mnie ożywił.

Siedzimy teraz w wagonie przepełnionym, głośnym od ruchu i rozmów. Przed nami siedzi trzech pijanych kabokli. Są nie ruchomi, mówią powoli, cedzą, nie przerywając sobie. Stoi przed nimi młody człowiek z mocno zafrasowaną miną i tłumaczy jednemu z nich, promiennieokiemu w kapeluszu obszytym skórą na krzyż, że nie może jechać, ma ku temu powody.

— Zapłacę ci podróż, a dom mój jest na twoje usługi, jedź przyjacielu, ja cię polubiłem!

— Nie mogę, bardzo chcę, ale nie mogę, czekam na pracę, obiecano mi.

— U mnie znajdziesz pracę, siadaj, jedź. Blisko mego domu jest tartak, właściciel, to mój „camarado“, u niego pracujesz, jedź ze mną.

— Wybacz, z tobą nie mogę jechać.

— Dlaczego?

— Bo tak już jest!

— To jedź, siadaj!

— Nie, nie mogę...

Namowa jest bardzo powolna i uporczywa. Słucha jej z powagą cały wagon. To kwestja przyjaźni, poznali się tutaj w mieście, gdzieś przy bufecie, dużo wypili, trudno im się rozstać, za chwilę pociąg rusza. Odmawiający jest szczerze zmartwiony, taką przykrość robi przyjacielowi. W tym kraju te rzeczy bardzo się ceni, co wart pieniądź i dobra doczesne! Tu, w środku, jest cała wartość, w duszy.

— Jedź, zobaczysz moją ziemię nad Ivahi, zapoluujemy, jedź!

Ale pociąg rusza, więc klepią się serdecznie, młody człowiek wyskakuje w biegu, macha ręką, drugi siada prosto, twarz jego wyraża powagę smutku. Zaczęła się trzęsionka, Grzeszczeszyn ziewa, odwraca się do mnie i pyta rubasznie, pobłaźliwie:

— No jak tam, znosi się jakoś podróż, hm, co, nieprzyzwyczajonemu. No, głupstwo, będzie gorzej.

Odpowiadam, że wszystko dobrze, „powolunku“, jednocześnie odmawiam pomarańczy, którą nas częstuje jakiś przechodzący kaboklo. Wciąż trzeba czegoś odmawiać — piwa, ciastek, owoców, ciągle ktoś częstuje. Grzeszczeszyn mówi mi dużo o sobie. Jest specem od kolonizacji, nikt nic nie wie. On czyści, segreguje, utracił wielu ludzi na wysokich stanowiskach, nędznych karierowiczów.

— Szary ja jestem, panie, niepokazany, ale ci panowie, tam w kraju wiedzą coś niecoś o Grzeszczeszyne. Oczywiście, to nie ja, to nie ja — poprostu talent, znajomość duszy chlopskiej. Mam tu misję przez siebie samego narzuconą — misję tę wypełnić. Jaka — o tem później! Przyjechałem się na posiadzie skromnego nauczyciela w Antonio Olindo, zarabiam trzydzieści milów miesięcznie, ale tam kuję rzecz wielką, panowie, tam w kraju, nie prędko się podniosą po moich ciosach. No, pan nic nie wie, głupstwo, nieświadam jeszcze! W Brazylii się z głodu nie umiera, przetrzymam, a ja tu panie miałem kiedyś wielkie stanowisko, jeśli chodzi o kolonizację. No głupstwo! Martwisz się pan, że ja nie mam pieniędzy — hehehe! Pal pan, młody człowieku, „ainda senhor vera minha victoria!“¹

Poufale i szeroko wetknął mi papierosa w zęby. Rozgadał się: jestem znośny; chcę coś wiedzieć, to tylko od niego; naogół dobrze mi z oczu patrzy. Powoli przestał mówić, zaczął się przysłuchiwać rozmowie trzech pijanych kabokli, wreszcie przysiadł się do nich, dużo mówili, pili piwo.

Robi się mroczno. Nie wiem dlaczego pociąg tak często przystaje; raz się zatrzymuje przed jakimś sklepem, to znów w szczereńskim polu. Zwracam na to uwagę, i widzę, że przy drodze poukładane jest drzewo, gotowe, porąbane. Zabierają trochę tego drzewa do lokomotywy, fiufiuf! i jedziemy dalej. Także często

¹ „Jeszcze pan zobaczy moje zwycięstwo“.

przystają, aby nabrać wody. Zapalono lampy, żółte światło rozmarzało się po wagonie, w tem świetle twarz Grzeszczeszyna nabrała demonicznego wyrazu. Przez okno widzę uciekające małe donki, coraz więcej zabudowań, w końcu stajemy przed zatoczonym peronem, na budynku stacyjnym wisi tablica z napisem: Iraty. Grzeszczeszyn jest znów przy mnie, ożywiony, pomaga mi ściągnąć rzeczy z półki. Po wyjściu z wagonu zostawiamy je w kancelarii stacji i wleczeni się w błocie, w deszczu i mroku do miasta. Mijamy szare budynki, zięjące straszliwą, prowincjonalną tęsknicą. Z trudem stawiamy kroki w błocie, płaszczono ono niemile, ludzie przechodzący obok nas wykonywają dziwaczne ruchy, starają się stąpać po lepszych miejscach. Doznają głupiego uczucia, smętniej niakości, działa na mnie ta uboga obcość. W drodze Grzeszczeszyn zastanawia się, gdzie przenocujemy: u księdza, czy u wojującego z nim postępowca, jakiegoś nauczyciela Marjankowskiego. Ja chcę do hotelu.

— Nie, jakże! Jest pan przecież wśród Polaków, wstrzydłoby mi niezskać w hotelu, najlepiej będzie u księdza, tylko gdzie on mieszka? Zaraz, zapytamy się tego gościa z parasolem, co gada z tym grubym...

Zresztą wszystko mi jedno, byleby gdzieś się położyć. Może jutro nie będzie mnie to wszystko tak denotowało. Człowiek z parasolem, to Polak, ale o jakiejś wstrętnej, scudoziemszczałej twarzy. Opatulony jest szalikiem, nie ma palta. Żegna się ze swym towarzyszem i namawia nas, aby koniecznie odwiedzić księdza Grzywę.

W tej wilgotnej, rozpakowanej ciemnicy jego słowa lepią się, cuchną podgorączkowaniem, są natrętne.

— Koniecznie panowie, bo Marjankowski to łajdak, bolszewik, tak! Ksiądz Grzywa, to szlachetny duchowny, nie zwraca uwagi na tego marniactwne, echn, panowie, ważne rzeczy tu się dzieją. Uwaga!

Stoimy przed torem, z lewej strony syczy lokomotywa. Obok stoi słup z wąską, pionową tabliczką. Przytwierdzona do niej lampka oświeca słowa „Pare — Olhe — Escure — Passe (Stój — Patrz — Słuchaj — Idź)“. Słowa te mieszczą się jedno pod drugim, zatrzymują nas kilka minut. Myślę o tym szmatławcu, naszym przewodniku, który powiada, że w tej parzywej dziurze dzieją się ważne rzeczy. Pociąg przemknął, pełen łebków w oknach.

— A ten Marjankowski, to myślicie panowie, że nie kradnie. Hoho, mnie wygrał z towarzystwa, byłem tam prezesem, w lewo, panowie. Ja ostatecznie posiadam tutaj fabrykę wody sodowej, nie jestem pierwszym lepszym łakiem, nauzcycielną. I jakież to życie bez księdza? Z kim on walczył! Teraz jest sam prezesem w tem towarzystwie. Tutaj panowie, zakłaskajcie przed oknem, to może ksiądz wyjrzy.

Stanęliśmy przed ładnym czystym domkiem. Grzeszczeszyn klaskał, pomagał mu trochę fabrykant wody sodowej. Zapaliła się elektryczna lampa u drzwi, z okna wyrzala wesoła, pomarszczona staruszka.

— A co tam, panowie, co?

Obaj mówią, że chcą do księdza. Księdza niema, jest u zakonnic. Ona nie wie, kiedy wróci, może się zasiedzi. Gaśnie lampa, skrzypi okno. Fabrykant radzi do hotelu.

— On panów przekabaci, ten marniactwne. Ja was tam nie zaprowadzę, nie przyłożę do tego ręki.

Wreszcie Grzeszczeszyn wyprasza pokazanie domu, chociaż zdaleka. Jestem rad z obrotu sprawy, jasne, że czuję sympatię do tego łajdaka Marjankowskiego. Plus, chlup, potrącamy się, idziemy w inną stronę. Fabrykant przychłup, tylko gwizdże ironicznie. Skręcamy tu, skręcamy tam, w końcu przechodzimy plotek, fabrykant mówi ponuro, wskazuje parasolem: „to to“ i znika w ciemnościach jak szatan, rozgwiżdżany, chichoczący. Przed oknem Grzeszczeszyn znów klaszcze, to zwyczaj całej

Brazylii, dom prywatny, to świętość, żadnego dobijania się. Z okna pyta ktoś energicznie:

— Co za cholera się tu tłucze?

— To ja, Grzeszczeszyń, panie Mariankowski! Przyjechaliśmy!

— Zaraz otwieram, idźcie tam od frontu, trochem niezdrów, wylegnijcie się, zaraz...

Ten ci to Mariankowski, co tu tyle złego narobił, co ma nas „przekabacić“! W drzwiach stoi dwudziestoparoletni chłopak, ładny, wesoły, z czupryną. Taki typ co to żadnej dziwusze nie przepuści. Zaprasza nas do środka, powiada że wrócił niedawno z jakiejś „lapy“.

— Lapa, to sanatorium dla chorych na płuca, pan tu niedawno, to pewnie nie wie. Coś nietego byłem ostatnio z gardłem, teraz lepiej, miesiąc tam siedziałem, dopiero dwa dni temu wróciłem. Wcześniej się kładę, odpoczywam, gawędzimy sobie z żoną, nie pali się świąta, plucha taka. Siadajcie panowie, ja zaraz wrócę, trochę się przyczeszę. Grzeszczeszyń, to was aż tu przyniosło, już wracami!

To pewnie jest sala tego „towarzystwa“, gdzie siedzimy, bo dużo krzesel, pisana, książki na półkach... Moje buty wyglądają jak stępory, tak są oblepione błotem. Grzeszczeszyń informuje mnie, że ten Marianowski, to może i porządny chłopak, tylko młody i nerwus. Grzywa to jest ksiądz! Jutro zaraz pójdziemy do niego. Szkoda, żeśmy go nie zastali, trudno, trzeba będzie przemocować u tego mlókosa, lepiej to niż wydawać na hotel.

— Ale czekaj pan, ja mu tu dam szkołę, ja mu wybiję z głowy te ateusosstwa, niedarmino — panie — tu zdrowie straciłem na robocie społecznej. Ja go się zapytam, kto to go upowaznił do tych walk religijnych? Z narodowym księdzem sztamę trzyma, smarkul. Będziesz pan widział.

Więc to to jest poznanie puszcz, dzikiego życia brazylij-

skiego! — myślę sobie. Po nieciekawej i męczącej podróży spotykam się tutaj z jakąś marniurką polityczką i atmosferę Lubartowa na jesieni. Patrząc na Grzeszczeszyńa jak na okienicę czy inny słupek. Teraz widzę, że jest brudas, ma brudny kombinezyk, czarno za paznokciami, śmierzdząca mina. Są tacy mężczyźni, jak się spojrzy na ich twarz, to się wie, że są brudasy i śmierzdzą, choćby nie wiem jak elegancko byli ubrani. Grzeszczeszyń jest mi już wstrętny, nie wiem jeszcze, może się do niego przekonam, ale w tej chwili twierdzę, że jest pas-kudna posturka.

Mariankowski wraca, chudy, gładki, sylwetkowy, i siada obok nas.

— Ciagle pan bujasz po świecie — zwraca się do Grzeszczeszyńa.

— Robi się co można. Jak tam u was kartofle tego roku?

— W Iraty rodzą się najlepsze kartofle — informuje mnie Grzeszczeszyń.

Mariankowski odpowiada, że są tu ważniejsze kwestje niż kartofle, i odrazu traci w moich oczach razem z temi swojemi ważnemi kwestjami. Zaczynają ze sobą rozmawiać, wymawiają nazwiska, które mi są nieznané, wkońcu już nie słucham nawet tego co mówią. W starym „Światowidzie“ widzę gębę znajomego bęcwała, że niby coś tam napisał czy wystawia. Oglądam inne pisma, dużo fotografii z powodzi w Polsce. Znów „Światowid“, na pierwszej stronie fotografia arystokratycznej grupki na balu, bardzo przystojni ludzie, trochę ładnych hrabianek, wszystko jedno, choć i hrabianki, zdrzemnąłbym się z którąś z nich tu, w tem Iraty. Za ścianą nieznaną mi żona Mariankowskiego coś pitrasi, skwierczy to, łączy się ze słowami Grzeszczeszyńa: ...a przecież ksiądz Myszka nalał im za kark gorącego foju. Podchodzę energicznie do Mariankowskiego i zadaję mu szereg pytań istotnych: ile zarabia, ile dzieci chodzi do szkoły, dlaczego wyklóca się z księdzem Grzywą? Wstaje

i tłumaczy mi wszystko szczegółowo. Księdza Grzywę nazywa „Rzymianinem”, bo jest to ksiądz rzymsko-katolicki.

— Wcale się z nim nie wyklócam, tylko nasz chłop na tu-tejszym gruncie nie jest tak ciemny jak w kraju, i wszelkie księżę bujania i wyłudzenie grosza nie może tu mieć miejsca. Potem mi mówi dużo na ten temat, i rzeczywiście, jeśli to prawda, to ten ksiądz jest niedobry człowiek, niema co gadać. Do pokoju wchodzi kobieta z zadartym nośkiem i prosi nas do stołu. Ładnieszka jest ta żona Marjankowskiego, i nic dziwnego, że sobie z nią gawędzi w ciemnościach, o tak wczesnej porze. Jemny różne smaczne historyjki, i gdy się przytem patrzy na tak młodą, przystojną parę, wszystko nabiera zdrowego sensu życiowego, nawet słowa Grzeszczeszyna, że... „ci panowie z Polski przysyłają tu różnych bałaganarzy, a ja, który wiem cośnecooś, jestem im niewygodny, bo lubię prawdę; ale to się wyklaruje”. Po kolacji znów słowa: spółdzielnia, szkolnictwo. Siedzę z nimi, przyklejają się do mnie te słowa, omal że się nie trzymam stołu, tak mnie ciągnie szerokie łóżko Marjankowskich. Wreszcie, żeby coś powiedzieć, pytam się Grzeszczeszyna kiedy się nabrał ospy, w jakich warunkach. Rucam przytem podłą wagę, że musiał być kiedyś ładnym chłopcem. Grzeszczeszyn bardzo grzecznie mi odpowiada, że zachorował na ospę na Górnym Śląsku, robił właśnie propagandową „robotę”. Marjankowski patrzy na mnie i zaraz proponuje nam jakiś pokój na górze, tylko go trzeba wpietw uprzątnąć. Z radością myślę, że zaśpię ten nudny, oleisty dzionek mojej podróży po Brazylii. Idziemy nagóre, rzeczywiście pokój trzeba uprzątnąć ze śmieci i zakurzonych butelek, tylko potem należy coś w niego wspzrątnąć, bo jest bez łózek.

— Trzeba poznać łóżka — powiada Marjankowski.

Tylko oni pracują, znoszą te deski, składają je, stukają młoteczkami, bo ja otworzyłem okno i zasnąłem na parapecie jak nieopanowany walkon, leniuch.

Rano oczekiwałem czegoś poważnego, przypuszczałem, że mnie ugryzła jakaś „specjalna” mucha kiedy wyrząłem przez okno, albo że kwiaty jakieś mnie odurzyły. Przeciez w takim nieznanym kraju zort wie co może człowieka spotkać. Ale Grzeszczeszyn powiedział mi najpierw: „...młody człowieku, pan jest niewytrwały”, potem: „rozspiał się pan, trudno się pana było dobudzić, ale to tak pierwszy dzień, później się pan włoży do niewygód, nie przejmuj się pan tem”. Wcale nie mam zamiaru się przejmować, gniewa mnie tylko ton Grzeszczeszyna, wodzi oczami po ścianach, jest za wyrozumiały, dobry, pełen pobłażania. Przytem za oknami jest sina popielatość, znów wyglądam przez okno, mówię do Grzeszczeszyna, że może stary Bukowski miał rację, jest błoto, deszcz. Nie będzie można wyjechać stąd Bóg wie ile czasu.

— Gdzie panu tam deszcz? — mówi Grzeszczeszyn. Ziewa zapinając spodnie.

— Jaktó, — mówię, — nie widzi pan, że pada, spójrz pan na szybę!

— Ale, ładnie jest, zdaje się panu — cędzi Grzeszczeszyn. Patrzę na niego i widzę, że ma lisią minkę, z paskudnym, nieczekowatym uśmiechem. Uprzytamniam sobie, że jestem silny, Grzeszczeszyn sięga mi do ramię, i najlepiej będzie, jeśli go odrzuci trzasnę w gębę. Jest taka sytuacja, że niema mowy tu o żartach, poprostu jakaś niesamowitka. Wyrażnie pada, nawet krople spływają po szybie. W tej chwili Grzeszczeszyn mówi:

— Pójdziemy najpierw do księdza Grzywy, potem na miasto, rozpytać się o konie. Nie ma pan czasem agrafki? Bo muszę przypiąć skarpkę.

Wyciągam agrafkę z worka podróżnego, daję ją tej historycznej, rozkapryszonej malpie. Zakrywam łóżko kocem, schodzę nadół z myślą o śniadaniu, on idzie też za mną, mruczy coś w rodzaju: „Kurzu w tej szkole, pozal się Bozel je-je-jej!”

Żonka Mariankowskiego, rozgospodarowana, wesola kobiетка, podaje nam kawę, pyta jakżeśmy spali. Jej furkocząca sukienka rozprasza natot niedobrej rozmowy z Grzeszczyszynem, tam nagórze. Chlipię kawę, staram się nie patrzeć na Grzeszczyszyna, więc siedzę niewygodnie, patrzę w okno, widzę smutne pinjory w zadeszczonej, rozpacznej dali. Przez ścianę, ze szkolnej sali słyhać monotonny głos Mariankowskiego. Mówi coś o Sobieskim, o Turkach. Wstajemy ciężko od stołu, jak dwóch parobków, naciskamy kapelusze, Mariankowska mówi nam o obiedzie, aby się nie spóźnić. Grzeźniemy w błocie, rozglądam się po tem Iraty. Jednopiętrowe donki po obu stronach szerokiej, niebrukowanej drogi, wendy-sklepy ze wszystkim, zięjące mrokien i stęchlemi zapachami. Drzeźniące w ślocie Iraty nasuwa wspomnienia z przypadkowych niepotrzebnych podróży i przejazdów przez Rawę Mazowiecką albo Lubartów. Daleko, w szarzyźnie mającą postacie na koniach. Sylwetki kilku mężczyzn w kapach i szerokich kapeluszach wolno przesuwają się przez drogę, jak widziadła. Wokół cisza, czasem jakieś człapanie. Miasteczko jest przemokłe i zaspane. Grzeszczyszyn wchodzi do wendy, tłumaczy mi, że to wenda bardzo bogatego Polaka, Hessla. Idę za nim, gdzie on tam i ja, trudno, tylko żeby mi tak często nie wyjaśniał różnych rzeczy, przecież nie jestem taki skończony niedojda, o tym Hesslu już mi wczoraj wspominał. I żeby był ścisły, ale w ciągu tej krótkiej podróży przyłapałem go kilkakrotnie na mylnych informacjach, mówi sam z siebie, niepytany — okłamuje mnie. Wita nas tegi właściciel wendy, prowadzi nas do swojej kancelarii. Zapytuje dokąd jedziemy, takim tonem jakgdyby miał nam jakąś wizę wystawić. Ale jest to rubaszny, zażywny jegomość, raczej sympatyczny. Siedzimy przy stole, jest tu maszyna do pisania, liczydło, dużo rachunków na drutach, pachnie natrą i mąką. Obaj znów mówią na temat księży, wypowiada się Grzeszczyszyn, Hessel od czasu do czasu wtrąca: „Ha, trudno.

Jakoś tam będzie, cierpliwości“. Na mnie patrzy dziwnie, powiedziabym — porozumiewawczo. Właśnie przechodził jakiś mlody człowiek, Hessel zatrzymał go, przedstawił nam jako syna, polecił mu coś tam przynieść, coś do wypicia. Nic nie rozumiem o czem oni mówią, ciągle słyszę obce mi nazwiska i nazwy miejscowości, słowa takie, jak zrzeczenie nauczycieli, kółka rolnicze, rosy, hodowla jedwabników. Syn Hessla przynosi wódkę, butki i masło. Widać, że stary jest z gatunku tych ludzi, którym trudno rozmawiać na sucho. Podsuwa nam kieliszki, mówi: „Aby się nam dobrze działo“, a ja nagle doznaję jakiegoś straszliwego wstrząsu, bo to co wypitem było nadwyras niedobre, jakiś cuchnący ogień, znów ta okropna kassasa. Poweseleliśmy. Smaruję bułkę masłem, nie wiem dlaczego wstałem i jedząc tę bułkę, przyrzupełłem nogę w podłogę. Hessel, gwałtownie jak ulewa, zaczyna się natrząsać z Grzeszczyszyna. Że robi zanęć, obiecuje a nie wykonywa; miał przecież przysłać mu nasiona morwy.

Grzeszczyszyn mówi teraz o koniach. Żeby Hessel wstarał się nam o konie albo o karosę. Hessel obiecuje, że jak tylko będzie coś wiedział, zaraz nas zawiadomi. Nagle tematy się wypaliły, już niema o czem mówić, zegnany się, wychodzimy. Jestem otumaniony wódką, zawsze sobie mówiłem, że rano nie należy pić. Znów doznaję wrażenia niesłychanej, lepkiej od bezsensu bzdury. Przecież ta cała rozmowa to było nic. Ale czego ja właściwie chcę? Ma się zaraz dziać coś wielkiego. Może dlatego, że ja raczyłem tu przyjechać. Dlaczego się ciągle przyczepiam do Grzeszczyszyna. Pragnę z niego nasilę zrobić dziwną postać, dominującą potworę w mojej podróży. Moja sprawa, to wszystko pokolei opisać jak należy i nie robić żadnej atmosfery, jakichś tam nastrojków. Zwracam się do Grzeszczyszyna, klepię go po ramieniu i mówię:

— No co, kochany panie, mieliśmy pójść do księdza Grzywy? Idziemy, co?

— Zaraz, zaraz — wolnego! Już niech pan mnie zostawi, dokąd mamy pójść — młody człowieku.

Przystanęliśmy na środku drogi. Grzeszczeszyń uchwycił się ręką za brodę i zastanowił się. Przewalilo się nad naszymi głowami kilka ocieślałych praków i opadły na pobliski dach. Znam już je, wiem, że to są ściertce brazylijskie: corry. Są czarne, wielkości kury, uważają je tutaj za spełniające funkcje asenizacyjne. Nie wolno ich zabijać, są traktowane jak u nas bociany. Siedzi ich teraz kilka na dachu, wstrętne, ponure, niechlujne w ruchach. Mają napół opuszczone skrzydła, poruszają się ociężale. Symbol beznadziejności, nędzy istnienia.

Więc Grzeszczeszyń postanawia pójść do księdza. Zdążamy tam w rozkraczonych podskokach, boleśni. Domek księży jest jak uzewnętrzniiony pokój panieński. Anemiczny, czyściutki. Wczoraj wieczór nie dostrzegano się tego wyraźnie. Obskoczyły nas czarne, zuchwale pieski; podskakujące, znaczące nasze ubrania plackami błota. W drzwiach zamajaczył ksiądz czarny, groźną plamą. Wielki mężczyzna z twarzą jak pajda razowego chleba. Nad wypuklami, brązowemi policzkami tkwiły oczka wypukłe, szkliste, przesłonięte skądś mi znaną mgłą. Zaczęłem nerwowo i szybko myśleć, u jakich ludzi widzi się takie oczy. Ale ksiądz machnął przed nami ręką jak łopatą, chwilę przepatrywał się Grzeszczeszyńowi, następnie powiedział: „Wejdźcie panowie do środka“ i zaraz potem wykrzyknął:

— Ależ to przecież kochany pan Grzeszczeszyń! Proszę, proszę! Gdzieśmy to się ostatni raz widzieli? A, na zjeździe naukowych! O, to bardzo się cieszę — tu, tu! O, do tego pokoju!

Pokój pachniał jak wszystkie księżę mieszkania. Przyjemnie i świeżo. Na ścianie wisiała reprodukcja obrazu przedstawiającego Chrystusa i Łazarza, poniżej to samo na płótnie, tylko jakieś inne, zamazane. Grzeszczeszyń przystanął przed temi obrazami i zapatrywał się okiem znawcy.

— To ja sobie tak kopijuję w wolnych chwilach — wyjaśnił ksiądz.

Grzeszczeszyń piasnął w dłonie i opuścił je na „podolek“.

— Jakże to jest śliczne, proszę księdza. Taki talent.

Ksiądz machnął ręką, pousadawiał nas w fotelach i powiedział, że zaraz przyjdzie, tylko przyniesie piwa. Wyszedł. Grzeszczeszyń jeszcze wpatrywał się w obraz, cofał się parę kroków, to znów stawał tuż przy obrazie.

— Panie, powiedz pan: ksiądz i do tego tak ślicznie maluje. Ile w tem koloru.

Rzeczywiście wzrok Grzeszczeszyńna wyrażał zachwyt i jeszcze coś: ekstazę, zazenowanie, szczęście. To wszystko zauważyłem w nim jak tylko zobaczył księdza. Twarz mu wyszlachetniała. Ksiądz przyniósł cztery butelki piwa, ponapelniał szklanki, wypił swoją jakoś chciwie, smacznie. Wyjął gdzieś tam styłu chusteczkę (przypomniał mi się Reymont, bo „zapachniało jak z trybularza“), wytarł nią usta i czoło, splótł ręce i oparł na nich brodę, poczem powiedział:

— Więc w podróż, w podróż po świecie? O, dawno nie wyjeżdżałem, pracy tyle, zło się tu nas wyległo, trzeba je niszczyć, trzebić. Co to! psy! A szelmy, sai, sai!

Rzucił się do tych pieśków z dziwną pasją, wyganiał je jakby to była grupka szataników. Wreszcie trzasnął drzwiami, usiadł i powiedział:

— Pijcie panowie piwo.

Grzeszczeszyń jest podniecony, mówi piskliwie, z gardła.

— Ach, słyszałem, słyszałem, proszę księdza. Księża narodowi zakorzeniają tu niepokój. Mój Boże, co za czasy, przepłydziali jacyś wycirusy, bez Boga w sercu, tumanią ludzi. Myśmny musieli się zatrzymać u Marjanowskiego, może mi się uda przekonać tego wichryciela. Mam misję i muszę ją wypełnić. Ach, jak cierpię, gdy widzę łotrów podnoszących głos na prawych duchownych.

— E, nie jest tak źle. Damy sobie z nimi radę — odpowiedział ksiądz. — Nie trzeba się znów tak przejmować. A wiecie co, moi drodzy! może zjemy coś i napijemy się czegoś mocniejszego, co? Mam dobrą kaszaskę, starą. Chichutko, zaraz każę ją podać i coś do przegrzyczenia. No bo jakże tak na sucho?

Grzeszczeszyński ukrył twarz w dłoniach i wyszczał czy wyjechał: poczcwiwina — wszelkie łajdactwa rozbijają się o jego dobroć. Zaciągnął się papierosem łapczywie i poprawił się w fotelu. Z rozkoszą byłbym zrobił teraz Grzeszczeszyński jakąś wyrafinowaną krzywde, naprzykład zanurzyłbym mu twarz w łajnie, już nie wiem, coś w tym rodzaju. W tej chwili był ohydnie sztywny, śliski, trudno to wyrazić. Za jakiego dnia musiał mnie uważać, skoro sobie pozwalał wobec mnie na takie komedje. Raptem spojrzął na mnie kwaśno i załośnię i powiedział:

— E, pan tego wszystkiego nie rozumie!

— Rozumiem to, że jest pan skończona małpa — powiedziałem wreszcie.

Twarz mu się skurczyła, nabrała wyrazu. Powiedział słodko:

— Pan się upił, młody człowieku.

Ksiądz wszedł dużemi, energicznemi krokami. Zatarł ręce, powiedział coś na temat pogody i że zaraz nam podadzą przekąskę. Na chwilę zaciekawili go nasze miny i zaraz dodał:

— Mówmy o czemś weselszem, wy jesteście młodzi, ja też nie stary. Co tam słychać w Kuryrybie, mówcieńo ploteczki, moi drodzy.

Więc mówili o rzeczach dla mnie dziwnych, nieznanych mi zupełnie. Grzeszczeszyński zachowywał się teraz wspaniale; mówił powoli, a gdy mówił, patrzył w oczy księdzu, był opanowany, czułem że wie o mojem zdenerwowaniu, że strzeżeniem głupstwo ubliżając nie jemu lecz mnie. Ja czułem się teraz marnie, ubogo i niepotrzebnie. Kiedy pomarszczona, znajoma mi od wczoraj pogodna staruszka z okna przyniosła karafkę z żółtą wódką i coś

do zjedzenia, kiedy ksiądz przyjemnie zmruczył oczy i napełnił kieliszki, nie czekając na słowa księdza, coś w rodzaju: „Abym się dobrze działo”, wychyliłem gwałtownie kieliszek i kiedy go postawiłem, spotkałem się ze wzrokiem Grzeszczeszyńskiego, rażącem upomnieniem, zrozumieniem i może jeszcze ilości!

Piliśmy wódkę, przekąski były na ząb, ksiądz często mówił takie słowa: „Co tam, panowie! No, trzasknijmy jeszcze po jednym! Wypić można, byle w miarę!”. Wszelkie symptomy pijackie, bo teraz już wiedziałem, że ksiądz to alkoholik, przypomniałem sobie wrazenie jakie na mnie zrobił gdy go zobaczyłem, jego wypukłe, szkliste oczy i nalaną twarz. Byłem odurzony, zły, wykrętnie odpowiedziałem księdzu na pytanie, co mnie tu sprowadza. Rozmowa ożywiła się, gasła, wreszcie ksiądz zaproponował, aby pójść obejrzeć kolegium, które się buduje, i przy tej okazji złożyć wizytę siostrze. Wstałszy, poszurgaliśmy trochę nogami, ksiądz wziął kapelusza i parasol i ze słowami przy drzwiach: „Proszę, proszę, pan będzie łaskaw, ja tu gospodarz” — wyszliśmy na rozmokły trakt. Nic się nie porwało na niebie, było brudne jak pomyje, wiatr ciął rzadkim deszczykiem, marszczył kałuże na drodze. Szliśmy w milczeniu, ksiądz lewą ręką podciągał sutannę, podskakiwał, pomagał sobie parasolem w utrzymaniu równowagi. W oddali ostrzyła się wieżyczka kościoła, właśnie zbliżała się do niej spaska, brunatna chmura, brzuchem nadziała się na szpic, pomyślałem sobie nieprzytomnie, że teraz z tego brzucha wypłynie może coś wstrętnego. Ale nic takiego się nie stało, tylko ksiądz wskazał parasolem w stronę wieżyczki i powiedział: „O, tam jest nasz kościół”. Grzeszczeszyński zapytał, gdzie, ale właśnie tam już nic nie było widać, bo chmury zakryły. Kiedy jest niepogoda i kiedy się widzi nieskończoną czerwoną budowlę i obok poukładane cegły, a wokół jakieś strużyny i wogóle nieporządek, to jest to widok nieprzyjemny i nadzwyczaj nudny. Kolegium było, owszem — solidne, postawne, miało być kiedyś skończone. Ob-

chodziliśmy wokół to kolegium, ksiądz nam tłumaczył gdzie co będzie, bronił ręką kapelusza przed wiatrem, wyjaśniał ile brak cegieł, wszystko to było bardzo ludzkie, istotne — ale dla mnie obce i nieciekawe, przyznaję się do tego rzetelnie. W pobliżu stały jakis domki, stamtąd z okien wyglądały — prawdę mówię — upiorne twarzyczki kobiece, obserwujące nas z chłodną, beznamiętną ciekawością.

— No to teraz pójdziemy do sióstr — powiedział raptownie ksiądz.

Lecz nie, społecznik-Grzeszczyszyn polecił sobie obliczyć ile jeszcze potrzeba pieniędzy na ukończenie gmachu, on zrobił składkę, tak, on napewno przyczyni się, aby było jaknajlepiej. Już w Kurtybnie słyszałem cośnecóż, że Grzeszczyszyn jest bardzo ubogi, że właściwie jest to człowiek bez znaczenia.

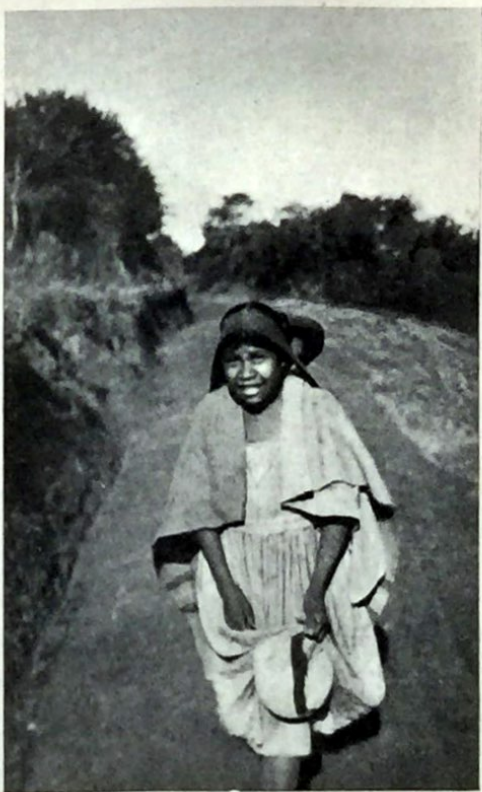
I teraz zatrzymuje nas na deszczu. Więc ksiądz zaraz obliczy, nie ma ołówka, daje mu ten oówek — oblicza.

Grzeszczyszyn ma twarz skupioną, powiedziałbym — cierpiącą.

— Potrzebąby jeszcze ze sto dwadzieścia tysięcy milrej-sów — mówi ksiądz.

— No, tak... to się jakoś zrobi — powiada Grzeszczyszyn. Idziemy do sióstr, widać poruszenie twarzyczek w oknach. Grzeszczyszyn obiecuje przysłać nasiona morwy: trzeba, aby ten placyk nie był taki pusty. W drzwiach witają nas dwie siostry — smutne paki w czepecach. Siadamy w pachnącym czyścią stęchlizną pokoiku — znów się mówi o morwach — przysłał je Grzeszczyszyn, napewno przysłał. Ksiądz siedzi — zachowawczo czworny na twarzy — naprzeciw jednej z sióstr.

Chwytam ich spojrzenia — co mi jest? Jakieś pijane przypuszczenia. Może wydaje mi się, ale te spojrzenia wcale nie są takie znów duchowne, raczej poufne i porozumiewawcze spojrzenia mężczyzny i kobiety. Brr, jestem stanowczo prze-



INDJANKA NAPOTKANA W POWROTNEJ DRODZE
Z FAXINALU



W IRATY

denerwowany, prześląknięty wymagowaniemi nastrojami, atmosferą tajnych dziwności w tej miejscinie. Teraz siedzę w tym chłodnym pokoiczku, słucham bezplciowej rozmówki murmuru, czup-czszup, pszz — i wspominam szeroką, widną przeszłość, twórczą i męską. Wstają, pokazują ochronkę, tu salka taka a taka. Gdzieniegdzie migają śmiertelne twarzycki, upiorki takie blade.

— Dowidzenia, szczęśliwej podróży, tylko niech pan nie zapomni o norwach, panie Grzeszczeszyni!

Książd wyszedł z nami, żegnany się na rozstaju, z uśmiezkami jak szkiełka na twarzy. Oglądam się za ksiądzem: wiatr miota jego sutanną, książd zatacza się zdziebko, czarny jest, parasol nad nim czarny — dziwny sprzęt w rękach człowieka. Biorę Grzeszczeszyna pod rękę i mówię mu coś o przeproszeniu, że się uniosłem, że jestem nerwowy. Powiada:

— Głupstwo, tego nie było, tego się nie pamięta, chodźmy prędko, bo się spóźnimy na obiad.

Częstuje mnie papierosem, jest dobry, wybaczył mi.

Jemy teraz obiad u sympatycznych Marjankowskich. Opowiadam jakie na mnie zrobiły wrażenie dzisiejsze wizyty, opowiadam ja, bo Marjankowski mnie o to pyta. Mówię, że to wszystko jest może interesujące dla tutejszych ludzi, ale dla człowieka, który świeżo przyjeździe z Europy, bardzo szare, małe i ubozuchne. Ze przytem dręczy mnie niepogoda, że tutejsze deszcze są dziwnie posępne, tęskliwe. Mówię o wizycie u sióstr, że książd zachowuje się tam tak swobodnie, że bardzo po męsku...

— Bo przecież żyje z tą mniejszą — mówi Marjankowski poważnie.

Patrzę na Grzeszczeszyna, ale on się za czemś ogląda, wreszcie powiada, że mu potrzebna jest sól, że lubi słono. Marjankowski mówi dalej:

— Wie pan, ja tu niby z nim, jak to się mówi, walczę. I nie

wypadaloby mi o nim źle się wyrażać, zwłaszcza o jego prywatnych historjach. Ale ten jego stosunek z przelożoną jest wszystkim wiadomy. Ludzie tutaj są tacy, że się szybko do największych dziwactw przyzwyczajają i lubią spokój. On przytem wszystkim jest zdecydowany alkoholik, często zdarza mu się mszę odprawiać po pijanemu, raz nawet zatoczył się z monstancją przy ołtarzu. Chodzi sobie często do tych siostr, one mu tam warzą różne nalewki, śpiewają mu — żyją sobie dość dobrze, tak pospół. Widzi pan, ja jestem człowiek młody, muszę się wyżyć, mam dużo energii, czytam Russella, czytam Boya — oni mnie nauczyli co to jest człowiek, świat wali na przód jak wściekły, a tu taki lump w sutannie robi sobie z ludności stado owiec, rzeczywiście pasterz. Teraz to się trochę po moim przyjeździe zmieniło, ale dawniej to przecież on ze swego stołca kapłańskiego zbierał masę pieniędzy, i gdy się w tem zorientowałem, to aż mi się niedobrze zrobiło, tak ludzie byli nim otumanieni. Sprowadziłem księdza narodowego, ten znowuz tuman i niedoługa — ot, ksiądz bez praktyki. No, o tyle jest potrzebny, że chrzty i pogrzeby robi za darmo. Ludzie zaczynają się trochę orientować. Grzywa robi nagwałt kołegium, oczywiście potło, aby umocnić swoje wpływy. Kolonia jest bogata, udało mu się zebrać trochę pieniędzy — ale teraz koniec, zabrakło. Teraz tak trzeba by wykombinować, żebyśmy my ukończyli to kołegium, żeby ostatnie słowo zostało przy nas. No, robi się cośnecóż — zobaczymy co będzie dalej. Po-będzie pan tu w Brazylji nieco dłużej, to się pan zorientuje we wszystkim. Chorobą i pasorzytem naszych kolonij tutaj jest ksiądz-misjonarz. Wyleczy się z tego — będzie zdrowie, będzie rzetelna, twórcza i ludzka robota.

Grzeszczeszn siedzi niemrawo uśmiechnięty, i gdy patrzę na niego, przychodzi mi na myśl, że przecież on nie posiada za grosz wyrazu, że ta twarz nic nie mówi. Ot, dupo-twarz. Widzę, że Mariankowski nie ma właściwie wyraźnego stosun-

ku do niego, traktuje go jakos niepewnie. No, ale dosyć już o tym Grzeszczeszynie, postać ta korci mnie bardzo, i ciągle się nią interesuję. Wstajemy od stołu i w sali towarzysstwa Mariankowski nakręca patefon. Żalose melodie kaboklerskie snują się między nami, wyrwarzają nastroj banalnej lecz przyjemnej tęsknoty, pobudzają umysł do wspomnień o kraju, zdają się łączyć ze szmerem kropel na szybach, niesposób się z tego otrząsnąć, choć się wie, że jest to bardzo naiwne.

Potem gramy w preferansa. Grzeszczeszn znów nam się ukazuje. — On przecież tyle nie licytował... a to mu się nie dorzuciło do koloru. — Czego pan wistuje, jak pan nic nie ma, byłbyśmy go położyli...

Rano pokazało się słońce w Iraty, ale deszcz pada ciągle — nie przeskadzają sobie wzajemnie. Ciagle nie możemy jechać dalej, nie ma na czen, drogi rozmokły. Pali się dużo papierosów, swoim zwyczajem zadaje dużo niedyskretnych pytań żonie Mariankowskiego. A to jak się poznali, a czy go kocha, czy dobrze im tu razem, czy nie tęskni za krajem. Odpowiada na wszystko, dodaje jeszcze parę słów od siebie, święta kołbieta z tej pani Mariankowskiej. Wierci się koło kuchni, coś tam sieka, furkocze jej powiewna sukienka. Mariankowski ma przerwę w lekcjach, więc wychodzimy na plac przed dom i kropimy ze smithów do celu. Odknięte wystrzałami, ciężko odrzuwają się od ziemi corry. Wszyscy trzej dobrze strzelamy, nie sobie nie mamy do zarzucenia. Na obiad przyszła ze swej szkoły, oddalonej o cztery kilometry od Iraty, panna Genia. Budzi we mnie bardzo zdrowe, choć ordynarne pragnienia, natomiast Grzeszczeszn robi się sentymentalny, oczka robią mu się smutne, Piotr Płaksin — psiakrew! Panna Genia pali papierosy, choć jej szkoda, jest marlenowata, co mnie rozbycza i denerwuje. Ponieważ panna Genia jest tam, w tej swojej szkole, nauczycielką, więc Grzeszczeszn obiecuje poprawić jej byt. On już to robi, że panna Genia zostanie „przeniesiona“ do

Kurytyby, poco ma się w tej dziurze marmować. Ona słucha, uśmiecha się poprzez kłęby dymu, przechyla głowę do tyłu, jest troszkę oszolomiona vernouthem — najwytworniejszym trunkiem, jaki tu można dostać, jest nawet dość interesująca.

Już dość nasłuchaliśmy się patefonu, Grzeszczeszyn, roztańczoney, wodzirejowaty, usiadł przyjemnie znużony na krześle, ja nie tańczyłem, bo nie umiem, panna Genia zabiera się do powrotu, musi wrócić do siebie, zanim się zrobi ciemno. Pójdzie sobie górną ścieżką, nie chce abyśmy ją odprowadzali na takie błoto. Zupełnie słusznie. Poszła, zostawiła po sobie trochę kobiecego ciepła w naszych bardzo tego spragnionych sercach. Do kolacji Mariankowski opowiada nam o różnych strasznych zdarzeniach, jak łatwo tu, w lasach, postradać życie. Tak mnie pokrzepia na duchu do dalszej podróży. Po kolacji idziemy do kina, bo jest kino w Iraty. W sali tupią nogami postacie groźne, w wielkich kapeluszach, gryzące orzeszki i obejmujące swoje dziewczęta. Tak, tutaj już jest trochę Ameryki.

Opowiadali mi, że ludzie z lasów mają zwyczaj strzelać do antypatycznych postaci na ekranie, że właściciele kinoteatrów często zmieniają płótna. Bardzo ciekaw jestem czy też przy mnie się to zdarzy. Ale nie. Film nie jest awanturniczy, to przeróbka z operetki Abrahama: Kwiat Hawai. Dziwnie się patrzy tutaj na taki film ze śpiewami. Czy ci ludzie myślą, że to prawda o tym księciu malajskim, czy też traktują to jako bujdy? Cicho jakoś siedzą, bierze ich

Z kina wysypujemy się jak z worka w gęstą czerni ulicy, jaś w niewykończonym wnętrzu. Więc powstaje pomysł za brania do domu wódki; Grzeszczeszyn ma to załatwić. Wdzieliśmy jak wszedł do spelunki zięjącej na miłą morderstwem, jak przy bufecie wsunął coś do kieszeni i jak wyszedł do nas zdrowszy i cały. Ale w domu okazało się, że Grzeszczeszyn nabył rzecz straszną, mianowicie kupił butelkę „pingi”,

wódki, przy której nasz denaturat jest nektarem. Uradziliśmy, że ma to odnieść i kupić za osiem milów butelkę underbergu; jest to ziołowa, gorzka wódka, przypominająca „angielską gorzką”. Poszedł, wrócił z tą wódką i z dwiema butelkami piwa. Wypiliśmy po jednym kieliszku tego trunku, conajmniej z pięć minut trwało milczenie, wreszcie gwałtownie i nieopanowanie Grzeszczeszyn wyrzucił z siebie szereg nazwisk kobiet, które jakoby miał, potem zaśmiał się niesamowicie, wstał, uderzył pięścią w stół, wykrzyknął:

— No, lejcie jeszcze, do jasnej cholery! Dzisiaj się muszę upić!

Siedzieliśmy przy stole przez chwilę oszolomieni wybuchem Grzeszczeszyzna. Ja, własną ręką napelnilem mu drugi kieliszek i zanim zdążyłem nalać nam, Grzeszczeszyn wessał chciwie wódkę, krzyknął jeszcze raz: „Lac, lac dalej!”. Więc nalałem mu — a jakże — znowuż, Grzeszczeszyn i to wypił, poczem wyjął swe wątle piersi i wyrzekł zimno, ze świstem.

— Dzisiaj mógłbym zabić człowieka.

Teraz dopiero rozśmiaaliśmy się we troje bardzo wesoło i serdecznie. Grzeszczeszyn, nie zwracając uwagi na żonę Mariankowskiego, zaczął nam opowiadać niesłychanie drastyczne i intymne przeżycia. Wychylił się bardzo nad stół i wymówił nazwisko pewnej mężatki.

— Oho, ta! Może ją mieć każdy za piętnaście milów. Tak, panowie! A jak była rewolucja, to kto poderznął gardło brzytwą generałowi Caio Machado? Ha, nie wiecie, to teraz się dowiedziecie: ja! Grzeszczeszyn, własną ręką, bo jestem nieublażany gdy chodzi o sprawę.

Mariankowski pił właśnie piwo i parsknął tak śmiechem, że opryskał nam głowy.

— Ależ panie, przecież Caio Machado żyje, siedzi w Sao Paulo!

— To może brat tamtego, czy co u licha — wyszeptał po-

nuro Grzeszczeszyn. — E, zresztą bierz was diabli, upiłem się jak rzemieślnik. Głupstwo, tańczymy, grajmy — kto wie, co człowieka może jutro spotkać!

Przeszliśmy do sali, Grzeszczeszyn szalał, tańczył sam przy dźwiękach „Śmierci Azy”. Wychylił się na chwilę z Mariankowskim przez okno, aby zobaczyć jaka pogoda zapowiada się na jutro, gdy raptem usłyszeliśmy za sobą pisk pani Mariankowskiej; obrócił się i zobaczył się pochyłonego Grzeszczeszyna jak biegł szczypiąc palcami powietrze za tyłkami niewiasty. Usadowiliśmy Grzeszczeszyna na krześle, zanosząc się od śmiechu. Mruczał coś o swem parzywym życiu i konieczności zrobienia czegoś wielkiego. Potem wstał, wyjął z kieszeni pomarańczę, — zdziwiło nas to, że nosił w kieszeni taką wielką pomarańczę — rozdarł ją palcami i zjadł łapczywie po piątku.

Tak nas ciągle absorbował sobą, że ciągle byliśmy tylko nim zajęci. Siedzieliśmy teraz sennie, przeglądając pisma. Grzeszczeszyn wstał powoli z twarzą bladą i zdumioną, szybko podszedł do okna, otworzył je i zwił tam jak szmata, w okropnych, przejmujących torsjach. Wymieśliśmy się do drugiego pokoju, Mariankowska zaczęła ślać łóżko, a myśmy patrzyli sobie w oczy i bardzo serdecznie zanosiliśmy się od śmiechu. Postać Grzeszczeszyna zjawiała się przed nami niby duch. Trzymał rękę na sercu i wyszeptał grobowo:

— Pomarańcza mi zaszkodziła. Patrzył na nas przez chwilę badałwco, jakie też wrażenie sprawiła, na nas diagnoza. Po chwili powiedział jeszcze: Słusznie mówią Brazylijanie; pomarańcza jest rano złotem, w południe srebrzem, a wieczorem zębą. Idę spać.

Poszedł. Rozmawiałem jeszcze z Mariankowskim z godzinę, a kiedy poszedłem na górę, zobaczyłem Grzeszczeszyna rozbranego i w łóżku, kolba smitha sterczała spod poduszki. Spał skulony jak embrijon, ze złą miną.

Rano wstałem z energią; myjąc się, podśpiewywałem sobie jak stary kawaler. Pogody nie było, za oknami ciekło jeszcze z nieba. Zdolu, spod podłogi dochodził mnie energiczny, kobiecy głos. Czasem słyszałem portugalskie słowa. Grzeszczeszyn spał nawznak, a może i nie spał, bo choć oczy miał zamknięte, mina jego była błoga, jakby wsłuchana w coś — marząca. Schodząc nadół, wypadło mi przejść przez salę szkolną, z dziećmiakami w ławkach wpatrzonymi w tablicę. Przy tablicy stała bardzo ładna panna, brunetka w białym, lekarskim płaszczu. Rysowała coś na tablicy i objaśniała w języku portugalskim. Skloniłem się i poszedłem do kuchni, przywitałem się z panią Mariankowską i zapytałem, kto jest ta panna. Wyjaśniła mi, że to nauczycielka, Brazylijanka pochodzenia polskiego. W każdej polskiej szkole musi być wykładowca w języku portugalskim. Pijąc kawę wspominałem o wczorajszym, wesołym wieczorze, pogawędziłszy trochę o pogodzie, powiedziałem kilka słów na temat kłopotu, jaki im sprawiany sobą, otrzymałem zapewnienie, że na tej pustce jest to raczej dla nich tylko przyjemność, poczem wyszedłem przed dom, ale zaraz przejęła mnie wilgotna mgła, więc stanąłem w drzwiach i paląc papierosa, z rękami w kieszeniach przewalą koniłem tak z dziesięć minut. Znów mnie ogarnęła nuda, przeszedłem przez salę, zerknąłem w stronę nauczycielki, powrótyłem sobie jeszcze raz w myślach, że jest ładna, i przemierzwszy trzszczęce schody, wszedłem do pokoju. Grzeszczeszyn jeszcze leżał, palił papierosa, a na mój widok poruszył się w łóżku kokieteryjnie, wstydliwie. Powiedziałem mu dzieńdobry, posterczałem trochę w oknie, bo Grzeszczeszyn zaraz odczewał się do mnie tonem kapryśnej wymówki:

— Zamknij pan okno, bo przecież zimno, Jezusmarja!

Usiadłem na swoim łóżku i zacząłem przewracać kartki geografii portugalskiej, którą wiozłem ze sobą. Nadole brzmia-

ły powolne i mocne słowa dziewczyny. Grzeszczeszyn uniósł się na łóżku i powiedział:

— Panie, niech pan zejdzie nadół i powie tej nauczycielce co tam uczy, żeby tu do mnie przyszła, niech pan powie, że do Grzeszczeszyna, to ona już będzie wiedziała. Niech przetrwie lekcje. A pan niech tu nie wchodzi z pół godziny, niech pan polazi trochę po mieście...

Odłożyłem książkę na bok, wstałem i podszedłem wolno do łóżka Grzeszczeszyna. Z początku uśmiechał się z wysuniętym językiem, ale na widok mojej miny, posunął się do ściany, podciągnął koldrę pod szyję i wyszeptał:

— No co...

Zatrzymałem się nad nim i chwilę patrzyłem jak na robaka. Widziałem, że zbladł i nerwowo wpatrywał się we mnie. Powiedział cicho:

— Ojej, jaki pan dziwny, co panu szkodzi...

Przecież nie będę go bił, bo jakże bic takie paskudstwo. Odwróciłem się w milczeniu i poszedłem ku drzwiom. Dogodniły mnie słowa:

— Powiedz jej pan, powiedział nie bądź pan ten co rycie...

Kiedy przechodziłem obok niej po raz trzeci, spojrzala na mnie dość ostro i zaraz odwróciła się. Mruknąłem po portugalsku coś w rodzaju przeproszenia. Do obiadu włożyłem się w pobliżu domu z obrzydliwym samopoczuciem, w czasie jedzenia wyraziłem zniecierpliwienie w związku z przymusowym postojem tutaj. Mariankowski odpowiedział mi, że w Brazylii używa się ciągle słowa „paciencia“ — „cierpliwości“! Jakoś mnie uspokoił, głądziło się o tem i owem, w pewnej chwili weszła znajoma mi od rana nauczycielka, przywitała się z nami wesoło, do mnie powiedziała: „A, to pan tak ciągle w tę i nazad“... Grzeszczeszyn zaczął się jej przypominać, że byli razem na kursach w Kurytybie. Nie pamięta go, nie może go sobie przypominąć. Odwołała nabok Mariankow-

ską, bo przyszła w interesie. Znowu całe popołudnie graliśmy w preferansa, przy kolacji mówiło się wiele o Sowietach, ale to wszystko było wodniste, bez humoru. Toteż wcześniej poszliśmy spać. Leżeliśmy już w łóżkach, w głowie tłukły mi się idyotyczne myśli, coś tak bez sensu, że aż brzydziłem się samym sobą. Przytem wwiercały mi się do ucha oblesne słowa Grzeszczeszyna:

— ...a raz miałem jedną malarkę w Czestochowie — żyłem z nią — wie pan... Namalowała raz mój portret w smokingu i obtoczyła mnie namalowanymi nagimi kobietami... to ja jej mówię: „Coś ty Nenka zwarzowała, przecież jakże ja to komu pokażę... taką nieprzyzwoitość“... No to ona zmalowała te baby... Tak, mówię, to teraz rozumiem... bo tylko powiedz pan...

Wczesnie rano obudzili nas Mariankowski z wiadomością, że Hessel przysłał karosę, która jedzie do Prudentopolis. Pokój pełen był słońca, jasności, pogody. Nadole czekał na nas rudy Ukrainiec, handlarz owoców, ze swoją karosą. Siedem drzemniących mułów i jeden koń stało w zaprzęgu. Karosa była szeroka, miała płócienny dach — cygańska budła na czterech kółkach. Z ochotą zbierałem swoje drobiazgi, uradowany pogodą i ruszeniem nareszcie z miejsca. Pożegnaliśmy się z Mariankowskim, powiedziało się trochę słów na temat ich gościnności, umówiliśmy się z karośnikiem co do opłaty za przejazd, po dziesięć milreisów od osoby, i muły leniwie ruszyły. Z piętnaście minut jechaliśmy przez miasto. Iraty naskutek rozstania z niem wydało mi się milsze, pogodniejsze, takie sobie cięche, prowincjonalne miasteczko. Droga nieco podeszła, była czerwona i tłusta. Leżałem na deskach, trzęsło mną jak wótem, sielankowo gryzałem sobie jakąś trawkę. Grzeszczeszyn siedział obok Ukrainca, który mu opowiadał, że przywiózł tyśiąc pomarańcz, nie mógł ich sprzedać, wreszcie sprzedał je wendziarzowi za dwadzieścia milów. Stracił, my pokryliśmy

mu tę stratę. Jakieś cztery kilometry za miastem, Grzeszczyszyn poprosił aby chwilę poczekać na niego, sam pobiegł do pełnego wrzasków dziecięcych budynku, przywiał się tam na ganku z wiotką postacią kobiecą, chwilę stali, on coś zapisał, potem ona odprowadziła go do furtki, i teraz zobaczyłem pannę Genię. Kwinęła do mnie ręką, przechyliła głowę z leniwym uśmiechem na twarzy. Kiedyśmy ruszyli, patrzyłem na nią, w jej błękitne oczy pełne uśpionych, dziecięcych tęsknot. Odwróciłem się i spookałem tuż za sobą zmętniałe i kleiste oczka Grzeszczyszyna, wpatrzone we mnie ze śmieszną badawczością.

— Ja ją Kocham, tę pannę Genię — wyszeptał spierzchniętymi wargami.

Wyraz twarzy miał idiotyczny, jego wyznanie obruszyło mnie. Czyż myśli — dureń — że mnie to cokolwiek obchodzi. I mówi mi takie rzeczy w tej karoście, w Brazylii, w słońcu. Potnik — psakrew! Robił na mnie wrażenie starego potnika. Jechało się tak po cygańsku, wesoło. Ukraińiec wykrzykiwał, nie miał nawet bata, bo w Brazylii rzadko się używa bata; muły wealeby od tego prędeji nie biegly; lubią się wlec powoli. Czasem, z górki, ruszały trochę prędeji. Droga była dość szeroka, zarosła po obu stronach drzewkami spletanymi z krzewami i trzciną — takuara. Ciagle jeszcze było mało egzotyizmu, czasem samotna palma. Mijały nas czasem wlokące się ciężko karosy, pozostawiając na mnie atmosferę nużącej, powolnej podróży, zaniku energii. Powożący kabokle byli przeważnie w portkach tylko i koszułi, w wielkich, słomianych kapeluszach na głowie. Słyłu, za pasem tkwił długi czasem na łokieć nóż — fakon. Pozdrawiali nas skinieniem głowy, czasem który powiedział „bon dia”. Po dwóch godzinach jazdy, zatrzymaliśmy się przed przydrożną wendą. Ukraińiec kupił miliji — kukurydzy dla koni, zaprosił nas do środka i wendziarz postawił przed nami półszklanki wódki z błękitnym kolorkiem nafy. Pijcie, powiedział do mnie Ukraińiec. Popatrzyłem z de-

terminacją na szklankę, słyszałem, że to wielka obraza odmówić wypića, przytem przyszło mi na myśl, że widać wendziarz nie ma więcej szklanek, trzeba więc ją opróżnić. Wychyliłem całą dozę straszliwego trunku i chwilę trwalem niemy, ogupiały. Poszyszałem za sobą śmiech wendziarza, podniosłem głowę i spookałem się z groźną miną Ukraińca. Grzeszczyszyn zaczął mu gwałtownie coś wyjaśniać, że jestem tu od niedawna, że wiele rzeczy jeszcze nie wiem. Potem zwrócił się do mnie ze słowami, że zrobiłem głupstwo, bo tutaj wódkę piją wszyscy z jednej szklanki, Ukraińiec nas zaprosił, mam go przeprosić. Zrozumiał, rozesmiał się, kazał podać nową porcję, wypili i wleźli do karosy. Idiotyczny jakiś wypadek. Brri!

Śmieszny truchcik, na jaki się zdobywają muły, to chyba największy ich wysiłek. Naogół jedziemy wolno w zaczynającym się skwarze. Miejscami przejeżdżamy obok spalonych obszarów, t. zw. ros. Tę rabunkową gospodarzkę powoduje ilość i taniść ziemi w Brazylii. Rolnik tutejszy rzadko karczuje i plugiem uprawia ziemię. Nacina foisą — wyrostrozonem żelazem, umocowanym na kijku, — zarosła, pozostawiając tylko co większe drzewa, następnie podpala to wszystko. Zarosła-krzewy, t. zw. capoeira, podcięte i wysuszone, palą się z trzaskiem i panonadą pękającej od ognia takuary¹, w brunatnych kłębach dymu migają czerwone plachy ognia. Bój, piekło. Na czarnej i nasyconej zwęgloną roślinnością ziemi sterczą kalce kikuty opalonych drzew. Na tem pogorzelsku kolonista wykopuje w ziemi dolki i prymitywne, ręką, sadi w nich nasiona kukurydzy, fizonu (fasoli), żyta i jeszcze innych trudnych mi w tej chwili do wyliczenia plodów rolnych. Mijając te żalonne, śmiertelne obszary, widzimy budzące się na nich nowe życie: zielone krzaczki przyszytych plonów. Czasem wśród ciemnej gęstwy dalekich lasów widać jasną plamę żyta czy

¹ Pospolity gatunek trzcinny.

pszenicy. Te czarne placki nagiej ziemi pośród skotlunionej flory brazylijskiej sprawiają wrażenie jakiejś paskudnej choroby, która niszczy bujną czupryną puszczy i zarosli. Po obu stronach drogi teren staje się coraz dzikszy, daleko ciemniejają posępne, obrośnięte lasem wzgórza. Coraz częściej zrywają się spośród gałęzi drzew stadka, to znów po dwie i trzy — papugi; wrzeszczą brzydtko, trzepocąc szybko skrzydłami. Czasem przesunie się przed oczami masywny krzak banana z kiścią zielonych owoców. U końca tej kiści coś do złudzenia przypominające serce, ciemnoczerwone, matowe. Serce ofiarne.

Słońce grzeje duszno, nie widać go wyraźnie na niebie, różowicie bezkształtną, chorowitą plamą na tle wyblakłego i bezchmur oblicza niebios. Dzwonki, poruszone sztykami ciągnących nas bydląt, tą nerwowo powietrze. Trochę leżę, to znów siadam, jest mi gorąco, rozsada mnie coś odwewnątrz, czuję w sobie jakieś jady. Tak podle zresztą nieważę się już od paru miesięcy, powiadają że to aklimatyzacja. Ospowata twarz Grzeszczyszyna także pokryła się kropłami potu, wygląda teraz kostrupato, niechlujnie. Jest zajęty rozmową z Ukraińcem, ciągle coś mówi, wypytuje. Rozmyślał o czasie, cóż to za bujda straszliwa wymyślona przez nas, przecież to nic nie znaczy, raz za krótko, raz za długo, teraz naprzykład dłuży mi się w lepką, nieskończoną nitkę, tu na tym wozie. We łbie mam wodę, myślę bzdury. POCO ja teraz jadę? Co ja tu robie? Co to za zajęcie dla mnie objąć się w tej budzie na kolach. Co! Woina! Ucieczka! Muszę, do jasnej cholery!

Widać muszę, skoro jadę. Lecz żaden ze mnie dzielny podróżnik. Historyczna, warszawska, kawiańska wywołka!

Odwraca do nas swoją czerwoną twarz Ukrainiec i radzi, żeby zostawić broń, jaką mamy, u księdza w Prudentopolis, bo tam dokąd jedziemy, aż do Hervalzinhó, — krąży lotna policja z Benjaminem Branco naczele, odbiera wszystkim broń,

obja pyksi szkotami¹ i wyłapuje zastarzałych bandytów, takich, co to kilka lat temu kogoś ukatrupili, i teraz narazcie policja się do nich wybrała. Grzeszczyszyn odpowiada, że bar-dzoby chciał się z tymi facetami spotkać, toby było dopiero pierwszorzędną poznałomienie, już oni prosiliby Boga, aby on tej broni nie wyjmował: „Młowy niema, nie zostaje się ze swoim smihem-pecwniakiem”. Tak mówi Grzeszczyszyn, człowiek odważny, zaprawiony w tutejszym życiu. Ale we mnie coś się dzieje po słowach Ukrainca, niedobrze się ożywiam, chwyrta mnie wstrętny lęk przed tem, co mnie spotka, bo zgóry wiem, że broni nie oddam, bo w Brazylii nikomu nie oddaje się broni, po takim czemś i tak się odrazu dostaje kulą w łeb, i to z własnego rewolweru. Droga robi się nagle wściekle interesująca, wszystko jakoś wyplastyczniało. Zaczynam dużo i szybko myśleć. Słowo „wracać” staje się dla mnie nagle bardzo istotne, otula mi głowę, nagli. Grzeszczyszyn gwizdzie, przesłania oczy dłonią i mówi: „Hej, jakież to żyto wspaniale widzę”. Udam, że się rozchorowałem i wróć. Takie straszne spotkanie, już widzę: otaczają nas... Nie, nie mogę przecież oddać broni, więc co? Strzelam, pakuję cały magazyn, ich jest więcej, koniec ze mną, ciągną za nogi i w capocitę, tam gniję, rozdziobią mnie corry. Ja się tu męczę, a to bydlę gwizdzie. Jakże mu powiem, że chcę wrócić, domyśli się tchórzostwa. Ale to nie tchórzostwo, to lęk przed sytuacją tego spotkania, przed obrzydliwą, idjocyzną śmiercią. Kładę się, rozklejony zupełnie i wiję się pod świdem obydnego lęku. I to jeszcze tak dostać parę kul w tym upale, w tym żarze, gdzieś na pustej drodze. Nie, ale nie wróć. Komu innemu wyraziłbym chęć powrotu, ale Grzeszczyszynowi nie. Jadę dalej.

Karosa² zatrzymuje się przed domkiem bez szyb, z samnami tylko okiennicami. Tamci schodzą, wołają mnie abym szedł

¹ Bar z żelazem kółkiem u rękojeści.

² Wóz z dachem, zaprzężony w kilka koni lub mulów.

na szimaron. Zwięksam się z wozu, nieomal, że sam siebie biorę na ręce, czuję pełny ciężar swych osiemdziesięciu kilo. Jestem mokry od gorąca, tak zdenerwowanym można być w chłodny, deszczowy dzień, ale teraz jest to okropne. Wchodzimy do izby czystej, przewiewnej, do warsztatu krawca, gdzie dwóch chudratwych ludzi pracuje, jeden siedzi na stole i podszwa podszewką marynarkę, a drugi prasuje spodnie przez mokrą szmatę. Siadamy, zaraz wyjaśnia się, że krawiec-właściciel, to żydek z Łodzi, który przyjechał tu przed trzema laty. Zalogował sobie warsztat krawiecki. Tutaj, w tej dżicy. Nic się nie boi? Jaką ma klientelę? Różni; kabokle, koloniści w przejeździe zamawiają u niego ubrania. Zaczyna mnie chciwie wypytywać, odpowiadam, zwohna opada ze mnie to co przeżyłem tam, w wozie. Gadam jak najęty, zaspokajam cały jego trylenni głód nowin. Przynoszą kuję, bombę i czajniczek z gotowaną wodą. Kują, to okrągłe naczynie drewniane, duże jak garść, bomba, to metalowa rurka, przez którą pije się szimaron, bardzo ważny napój w całej Brazylii. Suszone i tłuczone liście z drzewa herowego sypie się do kui z umieszczoną w niej bombą, zalewa się wrzątkiem i trzymając to wszystko jak fajkę, pije się szimaron. Do tego napoju trzeba się przyzwyczaić: jest to gorąca, piekąca gorycz. Dawniej nie mogłem tego pić, ale teraz coś mi się odmieniło, piję z przyjemnością, czuję, że mnie ochładza i podniera. Kują z szimaronem idzie z rąk do rąk, wkolo. W Brazylii, przeważnie w lasach, przyjmuje się tem gości, pije się w czasie wieczornych pogawędek. Jest to środek lekko podniecający, czyni myśl jaśniejszą. Jakoby nie jest szkodliwy. Przykro jest może pić po kims, ale czasem człowiek się przyzwyczaja, właśnie ja teraz, u tego krawca czułem, że będę pił często szimaron.

Popiliśmy tego szimaronu może z pół godziny, opowiedziałem krawcowi wszystko co wiem z ostatnich lat o Polsce, Ukrainiec przymerzył w czasie poprzedniego przejazdu zamó-

wioną marynarkę, coś tam zapłacił, pożegnaliśmy się i ruszyliśmy dalej. Szimaron służył mi niepokój w związku z Benjaminem Branco, teraz bałem się tylko troszeczkę, lekkoślnie rozmyślałem, że może się uda jakoś z tego wymigać. Jechałszy nieco przedziej niż poprzednio, zrobiło się trochę chłodniej, słońce było okrągłe, białe i niewyraźne jak lampa z matowym kloszem, świecąca się w biały dzień. Jadąc tak, odczuwałem od dłuższego czasu pewną dziwność mieszaniny dźwięku i wspomnienia. Teraz zaczęło mnie to uporczywie przesładować. Wreszcie chwyciłem: to te dzwonki u mułów! Dziwne, bo taki żar, a przecież to takie zimowe. Tak dźwięczą dzwonki, gdy trochę zmęczone konie ciągną sanie z Zakopanego do Kuźnic. Na tej czerwonej, brazylijskiej drodze, w sennej spieczocie, jest to doznanie niedobre i niemiłe. Godziny zdają się wkręcać w sprzychy kół leniwie, niechętnie. Grzeszczyszyn umilkł, ciągle teraz coś notuje. Rzadko się kogoś spotyka, peją zaż jednostrajny; kapucjera, czasem palma, rzadko papugi, rzadziej inny ptak. Zmierzcza następuje bardzo szybko, słońce straciłem z oczu w ciągu dwu może minut, opadło krwistym kręgiem za jakiś wzgórze. Otumaniony zmęczeniem kiwam się w mroku. W pewnej chwili zamajaczyły odległe światła. Ukrainiec zapytał się Grzeszczyszyna dokąd ma zajechać. „Do księdza proboszcza, na plebanję“ — odrzekł mu sennie.

Karosa stanęła przed plebanją. Na oświetlonym ganku pojawiła się szczupła postać w czerni, otoczona kilkoma poszczekująciami psami. Zbliżyliśmy się do siebie, był to ksiądz, chudy, o chorowitej twarzy, z głową jak szczotka, bo czesał się na jeza. Stał pochylony, z lewą ręką w tyle, gdzieś tam za sutanną, i przyglądał się nam. Rozpoznał Grzeszczyszyna i powitał go głosem skrzypiącego na wietrze okna. Do mnie podszedł blisko, twarzą w moją brodę, bo był niższy, tchnął mi w nos niezdrowo, szybko pomyślałem, że jest chory na zółtadek, i wyskrzyptał:

— A to kto znów?

— To literat z Polski, przyjechał aby się zapoznać z życiem w Brazylii — wyjaśnił Grzeszczyszyn, powiedział przytem moje nazwisko.

— A! literat, zapoznać się... no to chodźcie do środka... Pisarz, powieściopisarz... zaraz tu nam co napisze... Patrzcie... przyjechał... zapoznać się... Juści... juści...

Wykrzykiwał tak sobie przez drogę, czulen w tem wykrzykiwaniu charakterystyczne ustosunkowanie się chlebożercy do artysty: mieszanina pogardy, podziwu, pobłażliwości, niezrozumienia i jeszcze tam czegoś. Z żalem pomyślałem, że nie jest to sobie taki ksiądz z brzuchem, wesoły, lubiący wypić i zakaścić, pozartować trochę. Grzeszczyszyn znów zachowywał się dziwnie. Kręcił się koło księżyń bioder, patrzył mu w oczy, pochylony, potakujący. Z miejsca, jak tylko usiedliśmy w zajętych gabinecku, Grzeszczyszyn naponknął o nasionach morwy, pogadali trochę na ten temat, potem obaj tak się pograżyli w rozmowie, w plotkach, że jakie dwie godziny już nie ja ale zwłoki moje siedziały na krześle. Wreszcie ksiądz spojrział na mnie i złożył ręce:

— Więc powieściopisarz... Juści, juści... pisze, drukuje i potem ludzie czytają... Jej! — No to chodźmy co zjeść!

Ksiądz był chory na żołądek, i myślny musieli jeść to jego chore jedzenie. Smarował bułkę miodem, zapijał to mlekiem, i my także. Nie spodziewał się nas, a zresztą nie należy obmawiać ludzi, u których się jest w gościnie, nawet księży, chociaż powinni mieć sute śpizarnie. Oni gadali. W pewnej chwili wstałem od stołu i zacząłem jęczeć na temat zmęczenia i chęci snu. Przywołał starą — niestety — gospodynię i kazał zaprowadzić mnie nagórę. Wszedłem do miłego, przytulnego pokójczku, stały w nim dwa brzuclate, czysciutkie łóżeczka. W takich podróżach człowiek się martwi samcami tylko fizycznymi drobniagami. Ażby miał wygodne spanie, dobre siodło, mógł się ja-



RODZINA JONCZYŃÓW



SZAŁAS KABOKLA

kotako wymyć. Nie myśli się wtedy o pacyfizmie, przyszłości Polski czy Hitlerze. Z drugiej strony jednak kiedy po całym dniu jazdy dostaje się takie wygodne łóżeczko, wcale się w niem tak dobrze nie śpi. Jest za wygodnie. Lepiej wtedy spać na podłodze, na słomie. Każdy człowiek, który przeszedł niewygody, wie o tem dobrze. Wierciłem się w pachnącej pościeli, słuchałem spod podłogi poczciwej rozmowy księdza i Grzeszczyszyna. Obaj chcą postawić gdzieś tam kościół, jest już na dom Boży trzysta tysięcy milreisów, brakuje jeszcze ze dwieście. Ja się tu wyleguję, a oni męczą się w nocy i omawiają takie cudne kwestje. Przyszło mi do głowy, że nie za tych pięćset tysięcy, lecz za te trzysta, które już są, można by postawić jeszcze jedną szkółkę dla dzieci, urządzić boisko sportowe i stworzyć niezłą bibliotekę. Ale taki postawiony kościółek z plebanją zapisuje się zaraz na biskupa, natomiast to, o czym ja tak brudnie rozmawiałam w księżem łóżeczku, byłoby własnością stowarzyszenia kolonistów danej miejscowości. Wstydzilibym się!

Zaczynają mi się jawić różne wesołe obrazki w związku z Benjaminem Branco. Jedziemy, daleko widać grupkę ludzi, już są przy nas, krótka rozmowa, strzelanina i najgorsze, co mnie przesładuje, to zaciąganie mojego trupa w zarośla. Do pokoju wpada nagle wściekłe wietrzyśko, za oknami dzieje się jakaś atmosferyczna awantura. Wyskakuję z łóżka i biegnę do okna, wychyłam się, pakuję głowę w gęstą ciemność. Ryk wiatru tasuje się z błyskawicami, zaczynają walić pioruny, i obfita, brazylijska burza ryczy nad miasteczkiem. Reżysystry prysznic sięcze z nieba, wszystko się kłębi, piekli i halasuje. Trwa to ze trzy minuty, potem pyzata gęba księżycza wyłania się nad moją głową, i wszystko w porządku. Cisza. Kładę się. Zасыpiam.

Kolo szóstej zrana budzę się, siadam i patrzę na przeciwległe łóżko. Spi tam Grzeszczyszyn, wogóle ma cechy sera francuskiego, jakiegoś „camembert“ albo „brie“. Znow zasypiam i budzę się o siódmej. Łóżko Grzeszczyszyna próżne, niema go.

Uwieram się, schodzę nadół. Gospodyni mówi, że ksiądz poszedł do kościoła razem z Grzeszczyszynem. Pogoda jest jakaś wiotka, bez wyrazu. Ciepło, ale bez słońca, wiatr gna postrzępione chmury. Całe Prudentopolis mam przed sobą. Rzadkie domy, łączki między niemi. Na dachach sterczą nieruchomo corwy. Ludzi nie widać zupełnie, trochę kur i kilka czarnych świni. Miasteczko nieładne ale przyjemne. Spokój. Do kościoła jest blisko. Wlazę do wnętrza, staję w kacie i rozglądam się. Ksiądz odprawia mszę, twarz ma jakby narysowaną na murze, czasem złoży ręce, wznieście je. Pracuje dość szybko. Może ze dwadzieścia osób siedzi w ławkach, są to jacyś kabokle, większość kobiet. Przypatrują się badawczo księdzu, śledzą w milczeniu każdy jego ruch. Domyślam się, że jest to rodzina zmarłego, za którego odprawia się mszę, albo też ci ludzie zakupili mszę na deszcz, może w ich okolicy oddawna nie było deszczu. Grzeszczyszyn też siedzi między nimi. Nikt mu nie umarł, nie potrzebuje deszczu, przyszedł z księdzem i czeka pewnie aż skończy. Co do tych mszy deszczowych, opowiadano mi kiedyś, że w pewnej miejscowości kilku kabokli złożyło się i dali na mszę deszczową. Ale deszcz upadł wcześniej, przed mszą, więc poszli odbierać pieniądze i w rezultacie obili księdza, bo im nie chciał oddać. Kłął ich potem z ambony. Nie jest więc tak święty los sługi Bożego w Brazylii.

Wyszedłem na palcach z kościoła, stanąłem sobie na gołym placu w środku miasteczka i rozglądałem się po świecie. Wokół bezbrzeznie smutne pinjory, wysokopienne, z kręgiem wyciągniętych błagalnie ku niebu gałęzi u samego czuba. W wietrznej szarości, na widnokręgu w jednym miejscu, samotny pinjor tworzył wielką i równą literę T. Łażąc po tym placu poczułem się nagle ogromnie sieroco i samotnie. Opadła mnie przytem wściekła tęsknota, porównałem martwość brazylijską z pełnym dziwnego czaru smętkiem naszych pól i lasów nawet w takie niepogodne dni. Obliczyłem, że teraz

jest tutaj ósma, więc w Polsce dwunasta. Co się tam dzieje? Zaczęły mnie gnębić różne przypominienia, więc poszedłem do plebanji, pomówiłem trochę z gospodynią, palcami zatrzepotałem przed dwiema oswojonemi papugami, pies mlczkiem i strachu uszczyptał zębami cholewę mego buta, dość długo w związku z tem mówiłem z gospodynią, potem tamci dwaj przyszlizli z kościoła, wypiliśmy kawę, zaraz poszedłem nagóre i zwałtem się na łóżko, pełen wstrętu do wszystkiego co mnie otaczało. Słyszę jak nadole Grzeszczyszyn walcuje z księdzem sprawę dalszej jazdy. Od czasu do czasu zajadłe społecznikują, i co chwila Grzeszczyszyn swoje: „Bo jeszcze złapie nas tu deszcz i będziemy ciężarem dla księdza“. Z dziesięć razy to powtórzył. W końcu obaj gdzieś wyszli, potem wrócili, znów mówili o półkach doświadczalnych, o spadku cen na herwę...

Zawołali mnie na obiad. Dalej zawiezie nasz kolonista, Polak, niejaki Jonczyn. Do obiadu dostajemy pomarańczowe wino, wypijam odrazu cały kieliszek, robi mi się jaśniej na duszy. Po jadle łązi mnóstwo much, ksiądz łapie je dłonią, robi to z wprawą i mówi: „A, co za paskudny robak!“. Te muchy są zupełnie takie same jak nasze, te domowe nieznośne także. Przyszedł Jonczyn — przygarbione chucherko z jasnymi wąskami, w słomianym kapeluszu. Pocałował dobrodzieja w rękę i powiedział, że chyba nie da rady nas zawieźć, bo ma kobietę i chłopaka ze sobą, a wóz mały. Ksiądz go chwytła za ramiona, prosi i nakazuje nas zabrać, więc Jonczyn godzi się ostatecznie, idzie po wóz i po kilku minutach podjeżdża po nas. Żegnamy się, siedzimy już na wozie, ksiądz grozi mi palcem i mówi:

— Literato... pisarzuli... a nie opiszcież mnie ta gdzieś... Juści... juści radbym nie był.

A, wioł! Jedziemy. Zona Jonczyna ubrana jest obficie, kolorowo. Typowa chłopka z Lubelskiego. Między ojcem i matką siedzi dwunastoletni chłopak i przytrzymuje na głowie obiema rękami nowy kapelus. Próbuję pomówić z nim trochę, ale on

nie ma dzieci do rozmowy. Wóz też rzeczywiście mały, ale dwa konie, co nas ciągną, są silne i wypasione. Grzeszczyszyn jest teraz rubaszny, wypytuje Jonczyna łaskawym tonem:

— A ileż to alkówrów ziemi macie, he? No i co... dobrze, wszystko dobrze idzie, co? A chłopak do szkoły chodzi? Masz tu cukierka, nie bój się, jam w strachu. Cóż matko, dużo jeszcze macie dzieci? Co, dziewczęta.. Hihol Cztery. Ładne pewnie... no no, zajdźcie do was na szimaron, to zobaczą. O moi drodzy, zatrzymajcie się przed tą wendą, to sobie kupiny trochę rozmownej wody, hejże!

Zeszliśmy do wendy. Grzeszczyszyn kupił butelkę kaszasy¹, pogadałszy trochę z wendziarzem, Polakiem. Prosił nas, abysmy pozdrowili jego matkę, bo będziemy pewnie przejeżdżali przez Baradarei, ona ma tam też wendę, więc i tak będziemy musieli zająć. Mimo że w karosie można było leżeć i wogóle było przestroniej, wolę jednak ten wesoły, turkotliwy wózek. Jakoś lepiej odczuwa się świat niż w tamtej dusznej budzie. Wita nas teraz weselszy pejzaż, żywsza zielen. Zwolna wjeżdżamy w kraj górzysty. Wdali czernieje martwa puszczka, nierówna, wyniesiona wzgórzami i opadła dolinami, rozfalowana gestwa. Powietrze robi się chłodne i wilgotne, przenikliwe. Grzeszczyszyn z Jonczynem pociągają z butelki, gryzą kielbasy i tak są zagadani, że kobieta co chwila szarpie lejce w rękach męża. Siedzę zgarbiony, leniwie zagaduję chłopaka, ale on rzadko odpowiada, czasem się usmiecha głupawo. Przejeżdżamy przez miasteczko Serra de Esperança, kilku kabokli gapi się na nas bezmyślnie, zaraz za miasteczkiem wyłania się łańcuch gór Serra de Esperança — mroczne i dalekie. Teraz, po obu stronach drogi spotykamy co paręset metrów zagrody kolonistów-Polaków. Jonczyn wskazuje do kogoś jaka gospodarzka należy, jak się nazywa kolonista. Obszar, przez który prze-

¹ Alkohol z trziny cukrowej.

jeżdżamy, nazywa się Linha Parana. Spotykamy na drodze pojedynczych ludzi, mówimy im dzieńdobry, odpowiadają nam po polsku, bez żadnego zdziwienia. Za drzewianami ogrodzenia mi t. zw. porttery, patrzą za nami ociężałe rogate lby krów, konie i muły wyciągają do nas ciekawie szyje. Jest w tem wstyśkiem przyjemna atmosfera spokojnego dostatku, czegoś bardzo czystego i bez blagi.

Późną nocą wjechaliśmy do zagrody Jonczynów. Z budynku zięjącego ruchomemi poblaskami wyskoczyły do nas dzieci Jonczynów, ale zaraz cofnęły się przestraszone naszym widokiem, tylko dwóch chłopów zostało wyprzegać konie. Budynek ze światłem, to była kuchnia. Zaprowadzono nas tam. Na glinianem podwyższeniu paliło się duże ognisko pośrodku izby. Dym i tłuste kłęby kopcju walły pod osmaloną, czarną i błyszczącą powałą, uchodziły przez kwadratowy otwór na dwór. Pod ścianami stały długie ławy, siedzieli na nich z rękami na podłokach cztery dziewczyny, staruszka i mały, rozspany chłopczyk. Podaliśmy wszystkim pokolei ręce, potem usiedliśmy w kącie i długą chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Jonczyn przyniósł węzelek, dzieci zgrupowały się wokół niego, i wśród głuchych, hamowanych pokrząków wyciągano różne prezenty. Tylko staruszka siedziała cicho wpatrzona w ogień. Cała izba zdawała się drgać od blasków z ognia. Na uklepaną podłogę z gliny wysunął się paskudny, rudy kot z obciętyrn ogonem i jął bojaźliwie węszyć. Z dworu, przez próg, zaglądało kilka bardzo chudych psów z podtulonemi ogonami. Po jakim kwadransie może przypomniało sobie o nas, Jonczyn podał mi kuję z szimaronem, wszyscy, oprócz Jonczynowej, porozsiadali się po ławkach, ona tylko krzątała się koło kolacji. Milczenie przerwał Grzeszczyszyn, zagadnął najniższą dziewczynkę o jej imię. Odpowiedziała mu, że się nazywa Franciszka. „Aha, Szikinja“¹? No to masz tu tro-

¹ Po portugalsku zdrobniale od Franciszka.

chę cukierków. Tylko podzieli się ze wszystkimi". Dziewczynka poczęła dzielić cukierki, rodzeństwo poszturchiwało ją i kpiło. Wszyscy czuliśmy się sztucznie, przyppywy dymu gryzły w oczy, nie było o czen mówić, byliśmy pomęczeni. Staruszka coś tam sobie osobno uwarzyła przy ogniu, z półeczki w kącie wzięła byzkę i jadła samotnie, powoli. Trzy duże, dorosłe dziewczyny w przyciasnnych sukienkach sały cukierki, czasem coś szeptały sobie, chichocąc. Jonczyn coraz śmielej zaczął nas wypytywać dokąd i poco jedziemy. Żywo rozprawił z nim Grzeszczyszyn, zaczęział dziewczęta, był niepożyty. Staruszka umyła swoje naczynia i powiedziała:

— A tam w Polsce to ponoć zliwa była okropna... Boże, Boże... siła narodu się namarnowało? Ponoć cmentarze zmyło, groby splukano, że aż umarłe prądy niosły, i truchły i wszelki sprzęt mogiły... O, i kara spadła na tamtych nieszczęśników... Boże mój, Boże!

Skuliła się żalosiście i pijąc szimaron, tkwiła posepnie i nieruchomo w czerwieni buzującego ognia. Grzeszczyszyn coś-niecoś jeszcze jej dopowiedział, podniósł grozę nieszczęścia. Jonczyn powiedział, że jeździli po kolonjach i składki zbierali na powodzian. Mówili jeszcze długo o tem, aż Jonczynowa zawołała nas do drugiej chalupy, na kolację. W czystej, obszernej izbie, pełnej obrzązków świętych na ścianach, z wysoko postanemi, brzechatemi łózkami, podała nam smażoną kielbasę, gotowany fizon, chleb razowy i butelkę z wódką. Jedliśmy we trzech z Jonczynem. Później zaprowadzono nas do osobnego pokoju, gdzie na podłodze przygotowano nam postanie ze słomy nakrytej prześcieradłami. Wyciągnąłem się jaknajdalej od Grzeszczyszyna. Czuć go było grzybem jakimś czy koprnem.

Koło szóstej rano wstałem i wyszedłem na dwór. Mgły się powłóczyły tu i ówdzie, powietrze było parne, piaty kogury, ranaek był cichy i smutny jak w Polsce na wsi w niepogodne

dni. W kuchni u Jonczyńców palił się już ogień, po kątach włożyły się rozespiane dziewczęta, staruszka siedziała na swem miejscu i sała szimaron. Usiadłem pod ścianą, przez drzwi wdziałem Jonczyńa, jak z zadartą głową haził po podwórzu, wy-patrywał pogody. Przystąpił do niego Grzeszczyszyn, coś tam mówili, obaj mali, pokracczni, pokazywali sobie coś na niebie, choć tam nic nie było, sama zanglona siność. Zacząłem rozmawiać ze staruszką. Zapytałem ją, jak dawno jest w Brazylii. Mówiła wolno, jęklawie:

— Oj, dawno, panie, dawno. Ze czterdziści chyba roków nazad. Z Galicjiśmy przyjechali. A i kiepsko tu było z początku, oj jak marnie. Ni wody dobrej, gadów przeróżnych kupa, sama gorączka ogromna i choróbska. Sześcioro nas było: zięć z córką, ja ze swym mężem nieboszczykiem i jeszcze dwie córki. Tośmy zaczęli się parac z borem, jej, tożto marnie życie było. Postawili chłopy barak, trzebiły las, ogniem go plenili. Jadło było bylejakie, miljeśny¹ w stępach tłukły, fizonu trochę się nagotowało i tak się to ćpalo bez okrazy zadnej, bo i zwierza jakiego ubić nie było czem, a jak i się co uchyliło, to człowiek nie jadł, bo się bał że jaka struka. A było nas może ze sześć familij, tośmy ta między sobą się wspomagali, bo z kaboklami ni jak się dogadać nie było można. A jakieśny posiali pierwsze żyto to i nawet pięknie wyrosło, tylko ptaszki ogromnie piły ziarno i mało co się zebrało. A potem jakos lepiej poszło, wy-trokowaliśmy² się z kaboklami na świnie, krowinę się jakąś sprawiło. Dziewczyńy poszły zamaz, pobudowali się dalej, mój chłop umarł, a zięć zaczął się dorabiać i ma teraz niezgorszą gospodarke. Ja sobie ta dokańczam dni swoich, a źle było z początku, oj źle panie...

Weszli Grzeszczyszyn z Jonczynem, Grzeszczyszyn przymó-

¹ Kukurydza.

² Zamieniliśmy.

wił się o szmaron. Kto wypił, podawał kuje następemu, długi czas siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie Jonczynowa podała nam czarną kawę, racuchy i jajecznicę. Jedząc, Jonczyn co chwila wypatrywał na niebo i postękiwał: „Oj, ciężka będzie droga, na deszcz się zbiera, chyba nie dam rady“. Ale w godzinę może mgły pierzchy, pojaśniało na świecie, i Jonczyn zaczął zaprzęgać konie. Powynosiłiśmy na dwór co było do siedzenia, usadowiliśmy całą rodzinę Jonczynów i porobiłiśmy zdjęcia fotograficzne. Obiecaliśmy te zdjęcia im przysłać, Grzeszczeszyn oddał resztę cukierków dzieciom, usadowiliśmy się na wozie, wszyscy wylegli nas zęgnąć, długo machali do nas rękami dopiero na jakimś zakręcie straciłiśmy tę poczciwą grupę z oczu.

Ciągle mijaliśmy pojedyncze gospodarzki polskich kolonistów. Droga smużyła się czerwonym pasmem, kręto, zgóry naddół. Po raz pierwszy w ciągu całej tej podróży Grzeszczeszyn zagadnął mnie dość ciepło, jak mi się to wszystko podoba, czy te polskie gospodarstwa nie budzą we mnie pewnego wzruszenia, kiedy się weźmie pod uwagę, ile same tylko ręce miały tu do pokonania, ile na to trzeba było cierpliwości i uporu aby stworzyć to wszystko. Odpowiedziałem mu, że budzi to we mnie wzruszenie i podziw. Byłem zdziwiony jego rozumieniem i ludzkim ujęciem tej sprawy. Zaczął mi opowiadać historię poszczególnych rodzin, był zajmujący. Otrząsały nas te same za-rosła co i poprzednio, na ten temat nic się nie zmieniło. Dzień był jasny, ale bez słońca, w oddali ciągle czerniło się pasmo wzgórz. Po dwóch godzinach jazdy zatrzymaliśmy się przed jakąś chałupą, wyszła do nas młoda, rozesniata kolonistka, i Jonczyn zapytał się jej o księdza Urszulika. Wskazała nam małecki kościółek oddalony o jakie dwieście metrów. „Jest chyba w kaplicy“ — powiedziała. Posłiśmy tam i pod rusztowaniem z małym dzwonem zastaliśmy księdza. Siedział na belce, gryzł trawkę i rozmawiał z dwoma chłopakami.

Na nasz widok wstał. Był niski, trochę garbaty, w wypto-

wiałej sutannie i wielkim, czarnym kapeluszu. Miał ładną, trochę chłopięcą, smagłą i rozesniętą twarz.

— No, nie nudźcie mnie teraz, smyki — zawołał do chłopców. — Mamy gości.

Podszedł do nas i szerokim ruchem podał nam rękę. Grzeszczeszyna, który mu coś zakomunikował od księdza z Prudentopolis, znał już dawno. Skoro się tylko dowiedział, że świeżo przyjechałem z Polski, zaraz zaczął mnie wypryttywać o sprawy muzyczne. Muzyka, to właściwie jego zawód, zanim został księdzem. Powiedziałem mu wszystko co wiedziałem na ten temat. Bardzo był ciekaw co w ostatnich czasach napisał Szymanowski, a co się dzieje z takim młodym muzykiem Perkowskiem? Nad czem pracuje Maklakiewicz?

— Żeby tylko tang nie pisał, bo to taki zdolny kompozytor, a tanga — panie — tanga to zabójstwo! to śmierć!

Z zadartą głową patrzył mi w twarz, ciągle uśmiechnięty, bardzo zainteresowany tem co mówię. Skolei zaczął mi mówić o chórze jaki utworzył w Kurytybie. Szedł koło mnie bardzo wzruszony, pokazywał mi lepszą drogę, bo szliśmy przez zarosła: „O tedy, panie, tedy lepiej“. Składał ręce, wykrzykiwał co chwila trytury utworów. Posmutniał, kiedy się dowiedział, że już musimy jechać dalej. Uściskał mi dłoń obiema rękami:

— Panie, jak to pięknie, że mi pan tyle powiedział o polskiej muzyce. Ten Szymanowski, to najczystszy geniusz! Panie kochany, a Strawinski, co? W Paryżu, co? No naturalnie, przecież nie w Rosji! Tu niema z kim mówić o muzyce, niema! A gdyby pan wracał tedy, koniecznie niech się pan zatrzyma u mnie!

Stał na szeroko rozstawionych nogach i machał w naszą stronę kapeluszem. W pewnej chwili upadł mu ten kapelusz, podniósł go, włosy opadły mu na czoło, wymachiwał dalej kapeluszem zapamiętale. Poczulem, że jest dla mnie pełnem urroku i nastroju zjawiskiem, ten ksiądz-muzyk w brazylijskiej gloszy.

Z drzew przy drodze zrywają się coraz częściej stada papug, lecą nieładnie, jakby ostatkami sił. Napotyka się miejsca bar-dziej egzotyczne z krzakami „abacaxi”¹ i bananów. Jak delikatne są tutaj różnice klimatu, świadczą te niewielkie dwu-stunetrowe przestronie, gdzie rosną właśnie ananasy, kawa czy banany, natomiast nieco dalej klimat jest inny, i nic takie-go się nie spotyka. Niebo nad nami jest teraz bure, nawisłe, ale wokół, na widnokręgu, błękitny pas zdaje się je oddzielać od ziemi jak nieodkniętą pokrywę. Jonczyn proponuje zejść na szmaron do swoich kuzynów, którzy nazywają się Zabawa. Zatrzymujemy się przed ładnym i dużym domem, dalej widać inne budowle, wszystko wygląda dostatnio. Bardzo tęga, we-sola kobieta prowadzi nas do kuchni, jest gościnna, mówi du-żo dobrym polskim językiem. Dowleka się do kuchni jej mąż, stary, schorowany na reumatyzm człowiek. Potem jej córka z dzieckiem i zięć, sympatyczny, trzydziestoparoletni mężczyz-na w koszuli i portkach z lnanego płótna. Jest zgrzany, bo wraca prosto od roboty w polu, ma rumianą twarz i pogodny uśmiech. Rozmawiany odrazu hałasliwie, jakbyśmy dawno się znali. Czestują nas szmaronem, potem wódką własnego wyro-bu i słodkiem ciastem.

Tęga kobieta pije za pomysłność Polski, entuzjastycznie się, jest wielką patriotką, ma krewnych gdzieś w Lubelskiem, od nich wie doskonale wszystko co się w kraju dzieje. Siada koło mnie, wypytuje, namawia do picia i jedzenia, tak że czuję się jak na jakimś weselu. Wyczuwa się tu atmosferę pewnej indy-widualności tych ludzi, bez unizności i zahukania, tak wła-sciwych chłopom polskim w kraju. I oni także mieli trudne po-czątki, opowiadają to jedno przez drugie. Przyjechali bez gro-sza, pierwsze miesiące myśleli, że nie wytrzymają biedy i tęsko-ty za krajem. Teraz mają najwięcej ziemi i najlepsze zabudo-wania z całej kolonii Linha Parana. Zabawiliśmy u nich może

¹ Odmiana ananasa.

z kwadrans. Mimo całego mego sceptycyzmu, była to może moja najmilsza wizyta w ciągu ostatnich kilku lat. Na drogę dali nam koszyk pomarańcz, zegnali jak najbliższych, matka i córka popłakały się, te nasze przypadkowe odwiedziny urosły do jakiegoś wielkiego przeżycia. Kiedyśmy odjechali spory ka-wał drogi, Grzeszczyszyn szepnął mi poufnie:

— Panie, to wszystko sztuczne, najbardziej bezbożna rodzi-na z całej kolonii — ja panu to mówię.

Czort go bierz tego Grzeszczyszyna, znów mi się zmienił na złe, bo przecież zorientował się, że to są dobrzy i niegłupi ludzie. Grzeszczyszyn był cały przesycony stosunkiem do chło-pa jakiegoś ekonomia z czasów pańszczyźnianych. Czulem, że drażni go wszelki objaw samodzielnego myślenia u kolonisty. Z przykrością pojąłem, że to co mówił poprzednio o tych „sa-myx tylko rękach”, to była obłuda. Wobec kolonistów zachowywał się dość arbitralnie, niby taki, co to zna duszę i psycho-logię „ludu”. A, nie chce mi się już o nim pisać.

Ujechalśmy może kilometr, kiedy Jonczyn znów chce od-wiedzić jakiegoś krewniaka. Zastajemy go w ogrodzie, pochy-lonego nad krzakiem kawowym. Odrzywał zwędlę listki i szu-kał liszek. Ma tych krzaków kawowych ze dwadzieścia, poka-zuje je nam chętnie i ma się czem chwalić, bo w tej okolicy ho-dowla kawy, to rzadkość. Pierwszy raz widziałem kawę w natu-rze. Taki krzak, sięgający mi do ramion, porusza w człowieku pewne myśli. Kawa stworzyła tutaj miasta i magnatów, kawa jest przyczyną upadków i wznieścień. Krzak ten wygląda delika-tnie, ma drobne listeczki i czerwone owoce. Rozłupuję jeden taki owoc, prawda, jest kawa — dwie połowki. Kolonista nazy-wa się Kapuściński. Zaprowadził nas do domu, tam poznali-smy się z jego żoną, dała nam się napić tej własnej kawy. Napój niedobry, przesłodzony i słaby. Złe przyrządzona kawa. Grze-szczyszyn entuzjastycznie wziął z sobą parę gałą-zek, obiecał pomoc w tej sprawie, interwencję w konsulacie.

Jest już dobrze popołudniu, Jonczyn pogania konie i zapewnia, że już nigdzie przed noclegiem nie będziemy się zatrzymywali. Jedziemy wertepami, droga się znacznie pogorszyła. Grzeszczeszn już od godziny może zajęty jest swą kawą. Rozhupuje ziarenka, rozciera je w dłoniach, wężcha, mruczy coś, Wreszcie mówi do mnie, że ta kawa to wielka rzecz, że założy się tutaj plantację, będzie bogactwo, to szczęście że on to odkrył, bo kto inny toby to zbagatelizował. Na to odwraca się Jonczyn i powiada, że z tą kawą to bujda, nigdy ona nie dojrzewa. Kapuściński ją sztucznie suszy i nic nie jest warta, pilśniwy przeciez. Grzeszczeszn powiedział tylko te parę słów:

— Już ja będę w tem, że będzie dojrzewała.

Po raz pierwszy w ciągu wspólnego obcowania Jonczyn przyrzekł mu się uważnie, potem pytał co spojrzał na mnie, podciął znów konie, splunął i odwrócił się tyłem. Jechaliśmy ciągle bardzo złą drogą. Wóz trząśł, i Grzeszczeszn nie mógł robić swoich notatek. Dotoczyły one zapewne kawy. Czas mi się dłużył ogromnie, czułem się przytem zawiedziony, bo podróżnicy opisywali swe niesłychane przygody z ludźmi i zwierzętami, a tu stale jedzie się nudną i najzwyczajszą drogą, przez którą nawet mysz nie przebiegnie. Zeskoczyłem z wozu i ze dwa kilometry szedłem pieszo. Przyszedł mi do głowy Benjamin Branco, pomyślałem sobie trochę na jego temat, ale już bez nerwów, tylko na zimno i z uporem powtarzałem sobie ciągle, że broń nie oddam. Tak mi trochę czasu zeszło, potem znów wskoczyłem na wóz. Na świecie znów się robiło brzydtko, szarawo. Jonczyn zakasał, więc Grzeszczeszn zaczął go wypytwać o zdrowie. Stary wyraził obojętne przypuszczenie, że być może ma suchoty, ale to go nie obchodzi, bo i tak już jest chory na starość. Grzeszczeszn bardzo się tem zainteresował.

— Panie, lecz się pan na miłość boską, bo przeciez dzieci jeszcze pan pozarażasz! Kiedy byłem nauczycielem w Cruz Machado, przyszedł raz do mnie pewien bardzo chory na suchoty

człowiek. Ledwo przyszedł. Błady, wychudły — Łazarz! Znalem sposób, owszem. Powiedziałem mu, że jak chce być wyleczony, niech przyjdzie jutro ze zdrowym koniem. Przyszedł, zwołałem chłopów, konia zabili, rozcięli na dwie połowy, chorożego rozegraliśmy do naga i wsadziliśmy między te dwie połowy. Tak poleżał dwa dni i wyzdrowiał. Na kolanach mi dziękowali!

Nieśmny z Jonczynem nie mieli do powiedzenia wobec tego cudownego sposobu. Mijało nas dwóch chłopaków, jeden niósł strzelbę na ramieniu, drugi trzymał za ogon zabitego pancernika.

— Dzieńdobry! — wola do nich Grzeszczeszn. Odpowiadają po ukraińsku. — Cóż wy, nie rozumiecie po polsku — pyta Grzeszczeszn.

— My nie z tych Mazurów co rozumieją. — odpowiada jeden po polsku. Zasmiełi się obaj i poszli dalej. Zgniewali tem bardzo Jonczyna.

— A to juchy, ścierwy dopiero! Widzą, że jadą miejskie ludzie, to żadnego poszanowania nie mają, tylko jakie toto harde! Czekaście, spotkałem ja was kiedy, to wam sprawię za takie gadanie!

Zaczęła się rozmowa na temat Ukraińców. Są tu w znacznej mniejszości, ale hardo się stawiają. Kolonisci wobec nich zachowują się wyniośle, czasem zdarzają się bójkі w wendach po pijanemu. Przejeżdżaliśmy właśnie przez okolicę, gdzie Polacy stanowili mniejszość. Droga znów zrobiła się bardzo ciężka, duże pochyłości, jechaliśmy nad przepaścią, po prawej stronie mieliśmy prostopadłą ścianę górską. Ściemniało się już, kiedy w dolinie zobaczyliśmy wyłaniające się z mgły zabudowania. Stanęliśmy przed wendą Marii Radomińskiej. Przez ladę przywitaliśmy się z tęgą, niestara jeszcze kobietą. W sklepie czuć było charakterystyczną gamę zapachów, na ladzie leżała związana kura, przyniesiona przez dwóch chłopców. Radomińska

zwążyła tę kurę w rękę, dała za nią chłopcom parę skarpetek, kawałek funy¹ i dwa cukierki. Pożegnali się po ukraińsku i wyszli. Grzeszczeszyn z Jonczynem odpręgli konie, ja rozglądałem się po półkach, mięsili się tam najrozmaitsze rzeczy aż do materiałów na ubrania włącznie. W kącie espingarda² z odwiezionym kurkiem. W zastępstwie Grzeszczeszyna powrótyłem Radomińskiej podrowienie od jej syna. Podziękowała grzeszczeszynie i zaprzęta czy sprzedał już świnię do Pontagrossy i po czemu. Nic o tem nie wiedziałem. Zostawiła mnie samego w wendzie, powiedziała, że idzie przygotować nam kolację. Siedząc na ławce patrzyłem przez szerokie wejście na okolicę. Była to posępna, zamglona dolina, otoczona wysokimi wzgórzami, miejsce nieprzyjemne, ponure. Za ladą zjawił się rosty chłopak, blondyn w zawadziackim kapeluszu, z zawiniętymi po łokcie rękawami koszuli. Pozdrowił mnie, usiadł na ładzie i zniemuchomiał. Zapytałem go jak mu się żyje w takim pustkowiu. Odpowiedział po polsku, ale źle, ochryplym mutującym się głosem.

— Tu jest, panie, dużo roboty koło handlu, ciągle ktoś przejeżdża, jesteś tylko z matką, no i mała siostra, ale to się nie liczy. Dobrze tu się żyje, lepiej niż u was, w kraju. Byłem tam pięć lat temu, mieszkałem półtora roku w Lublinie. Bardzo marnie było, panie. Ludzie tylko myślą jakby zarobić na jedzenie, złe powietrze, zimno, mury. Kobiety są równe mężczyznom, rozpusta, panie. Wszyscy się pysznią a są zgniłki. A pan dawno tu jest?

Powiedziałem mu jak długo jestem w Brazylii. Wypowiedział mi swoje mętne poglądy na świat, mówił to ze sztuczną powagą, dał mi odczuć, że uważa się za rozumnego, trzęsząc myślące młodzieńca. Miał dwadzieścia dwa lata. Wszedło

kilku kabokli, podał im szklankę z wódką i patrzył z pobłażaniem i wyższością jak piją.

Nie wiem co ze sobą zrobić. Najchętniej wyciągnąłbym się na czemś miękkim i koptił papierosy. Wstaję z ławki, łazę po wendzie, natknąłem się na worek z owocami bawełny, staran się tem zainteresować, ale nic! Takie sobie baze, niewieksze od fasoli, w środku — rzeczywiście — bawełna, wata. Kabokle kolejno całują swoją szklankę z kaszasa, przyglądają mi się. Wszyscy, jak jest ich czterech, sięgają mi wzrostem do ramion. Są chuderlawi, wynędzniali o żółtawej cerze — mikrusy. Syfiliś, ankiłostoma¹ szmaron i różne biszki² pokurczyły ich, zniszczyły przężność i mięśnie, nie pomaga dumnie wzniesiona głowa, godnie i powoli wymawiane zdania, płomieniste oczy. Można ich zgarnąć jednym ruchem ręki jak butelki ze stołu. Wyszedłem przed wendę i rozglądałem się w tym kotle. Cicho tu jest, trochę smętnie i dziko, drzewiny jakies pokraccane, gdziegdzie trochę trawy, parę chatup, mała drewniana cerkiew na wzgórzu, w pyłe kapiączka polska, gdziegdzie pokazują się światełka, czerń nocy przyprusza to wszystko, opada i na duszę, nudzi, ach! jak nudzi.

Spotykam się w ciemnościach z Grzeszczeszynem i Jonczynem. Wchodzimy do wendy, na ładzie świeci lampa natfowa, przybyło trochę ludzi, wszystko to w kłębach dymu, załamujące się cienie na sprzętach. We trzech schodzimy po schodkach do kuchni, na podłużnym stole blaszane talerze i kolacja: kura na szmalcu i jajka, w rodzaju sadzonych, też na szmalcu. Wypijamy po kieliszku ciepłutkiej kaszasy, inaczej tych potraw nie można by przelknąć. Po kolacji ci dwaj czują się znakomicie, ale ja siedzę osowiały, czuję ten szmalce w żołądku, wiem, że mi pomoże trochę szmaron, więc proszę o kuje, piję, i odrzazu

¹ Tytoń w kawalku sprzedawany na wagę.
² Fuzja.

¹ Robactwo przedostające się do żołądka.
² Popularne określenie na wszelkie robactwo i zwierzęta.

wszystko się staje jakieś prostsze i lepsze, staje się lekki, rozmowny. Wspaniałe świnństwo.

Powoli i ostrożnie, omijając się delikatnie słowami, Grzeszczyn i Jonczyn krążą powiewnie niby duszki taktu wokół pieniężnego tematu. Jeden drugiego nie chce urazić. Wreszcie na śmiałe pytanie Grzeszczyszyna, co się za tę całą podróż i no-cleg należy, pada skromniutka odpowiedź:

— A to już ile pan uważa!

— Powiedźcie sami, panie Jonczyn. Ja tam tego nie mogę wiedzieć, ile — mówi Grzeszczyszyn.

— Nie wiem, panie. Ja z tego nie żyję, to i nie wiem. Wykalkulujcie sami i powiedźcie.

Jonczyn zachowuje się jakby go ta kwestja mało obchodziła. Parę razy zmienił temat, zagadnął wendziarkę o jej handel, coś tam zaczął mówić, kiedy Grzeszczyszyn nagle zdecydował się i palnął:

— Dam panu dwa mile i pronto ¹. Co, już?

Poderało mnie to z ławki. Jonczyn na chwilkę się skrzywił, ruszył wąsami i zaraz spokojnie i z godnością odpowiedział:

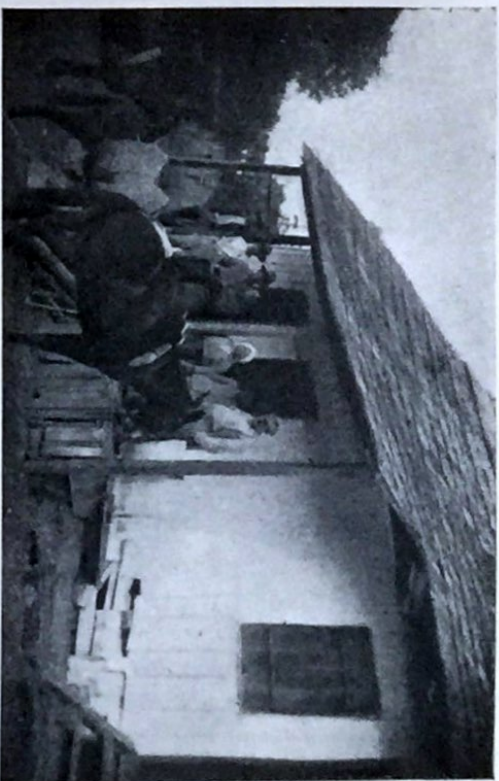
— Co 'am panie o pieniądzach będziemy mówili — Nic mnie nie ubędzie, jesteście z Polski, to co tam od was będę brał!

Patrzyłem ze zdumieniem na tego bezczelnego faceta — Grzeszczyszyna. Dwa mile! Przecież to ostatnie draństwo coś takiego zaproponować za półtora dnia jazdy i nocleg. Szęśćdziesiąt groszy. I na dobitkę, po ostatnich słowach Jonczynna, powiada:

— No, jak tak, to napijmy się piwa. Pieniędzy to jeszcze nie wszystko na świecie!

Ale Jonczyn powiada, że pora mu już wracać, bo późno i ma trochę roboty w domu. Muszę ratować sytuację. Mówię, że nie możemy traktować tej podróży za darmo, bo chociażby samo

¹ Gotowe, zalatwione.



WENDA SENIUKA



PODRÓŻ KONNO DO THEREZINY

żywienie koni kosztuje parę milów, przytem czas Jonczyrna też jest coś wart. Dziesięć milów musi pan przyjąć koniecznie.

Kolonista wymawiał się, Grzeszczyszyn przyjął mi się uważnie i powiedział:

— Tak, rzeczywiście. Dziesięć milów musi pan przyjąć, już płacę, proszę!

Wręczył pieniądze Jonczynowi. Miałem z Grzeszczyszynem rachunki, i umówiliśmy się, że on będzie płacił, a później się rozliczymy. Napiiliśmy się jeszcze piwa, Jonczyn pożegnał się z nami i poszedł zaprzęgać konie. Grzeszczyszynowi widać nie chciało się ze mną rozmawiać, więc zaraz za nim wymknął się do wendy. Tkwiłem na ławce w kuchni dość długo, odurzony sennością, kiedy wreszcie wdowa Radomińska wskazała mi pokój przy wendzie, gdzie stały dwa łóżka, zapraszające załamanym rogiem koldry jak ręka — na siebie. Rozebrałem się, zgasilem świecę i leżąc, słuchałem monotonnych rozmów z wendy, przez niedomknięte drzwi sączył się stamtąd dym i smuga światła. Mówiono po portugalsku. O kryzysie, żartowano z prezydenta Brazylii, i z tych kilku beczereimonialnych powiedzeń wywnioskowałem jak niezależny od rządu i jego polityki jest interior. Gdzieś tam, w Rio de Janeiro czy miastach stanowych, mieszkają ci utrzymankowic hojnej i z gestem, niewyczerpanej Brazylii. Pobierają wysokie pensje, i cała ta kieszeniowa polityka oparta jest jakby na pasorzytniczej administracji niesłychanie bogatego majątku. Ten lepszy miljon żyje ze sprzedazy. Mniejwięcej co dwa lata kilkunastu generałom i politykom zaczyna brakować gotówki, i wtedy robi się rewolucje. Postrzelają sobie parę tygodni, którzyś z partji zmęczy upał i niewygody, kapituluje albo idzie na kompromis, i zwycięzcy znów zakupują serje wytwornych samochodów nowego typu, powiększa się zastęp kochanek. Pewien generał w czasie rewolucji utrzymywał pozycje wzdluz toru kolejowego. Nadeszła depeza od prezydenta z Rio de Janeiro, że rewolu-

cia skończona, należy cofnąć pulki do garnizonów. Odpowiedź brzmiała: „Potrzeba mi trzystu kontów¹, jeśli nie otrzymam, zniszczę tor kolejowy“. Pieniądze natychmiast przysłano. Porządceczek musi być.

Dla kabokla siedzącego przed swą ranszą i pijącego szimaron wszystko to jest tylko przedmiotem do żartów. „Nasza nieznierzona Brazylja jest tak cudowna, kiść bananów dojrzewa na słońcu, które znów grzeje cały rok. Cóż mnie to wszystko obchodzi. Bóg przecież mieszka w Brazylji!“

Przez uchylone drzwi wbiegła po pasie świeżym mała czar-na świnka, postukała kopytkami pod mojem łóżkiem i wróciła tą samą drogą. Usnąłem w powodzi informacji Grzeszczeszyna. Coś im tam tłumaczył, wykladał.

*

Rano spojrzalem na posłanie mego towarzysza podtrzy — było opuszczone, lecz i zmięte, znaczy, że wstał wcześniej. Orot mi żywności: ostatni dzień żegna i pierwszy go wita. Należało przemyślnego chłopca odszukać i pomócić na temat wyjazdu z tej kotliny. Ubrałem się w poziewaniach, nieskory do roz-poczęcia dnia. Zajrzałem przez szparę w drzwiach do wendy; odbywał się tam zwykły handel, kilku kabokli z batami w rękach stało u wejścia. Podawali sobie szklaneczkę z wiadomym płynem, za ladą wdowa zaglądała babie w węzelek. Już prawie ubrany, tylko jeszcze nieumyty i bez marynarki wyłazłem na ganek od podwórka, rozzerzałem się po świecie. Przed sobą miałem błotny, ogrodzony wądoł pelen tucznych świń w naj-rozmaitszych pozach, pod parkanem od wewnętrzonej strony stał Grzeszczeszyn i patykiem pieścił rozwaloną macioreę po brzu-chu. Twarz jego wyrażała słodycz i czulość. Dalej widać było

¹ Tysięcy.

krzewy, nad krzewami niebo z rzadkiemi chmurami. Dzionek był bezstoneczny, ale jasny jakiś, biały. Przez kilka minut w milczeniu przyglądałem się czynnościom Grzeszczeszyna. Właśnie zajął się inną pupilką, chciał nawet zapuścić się dalej, lecz wpadł nogą aż po kolana w zielonkawą maź i trwał teraz w dziwacznej koślawiznie, zabrnął widać jakoś, bo zaczął popiskiwać, nie mogąc się jednak zdobyć na okrzyk o pomoc. Schodziłem właśnie po schodach z rękami w kieszeniach, pogwizdując sobie pewną smutną, polską melodję, kiedy mnie zobaczył i całą rzecz swoją począł traktować na wesoło:

— A tom się dostał, powiedz-no pan tylko... Ugrzązłem. Ale ładne sztuki, co?

— Pś, tak sobie. Nie wie pan, jakby tu wody do mycia dostać? — odpowiedziałem. Wiedziałem, że znajdował się w rozpacziwnem położeniu, bo mała kładeczka usunęła mu się spod lewej nogi i brnął dalej. Tylko ambicja wstrzymywała go od krzyku. Wreszcie wyjąkał:

— A możebyś mi pan jako pomógł, bo tu pisa...

I w tym momencie zatrzepotał rękami i legł obok swej ulubienicy. Świnie widać nie lubią, gdy ludzie chcą się wylegiwać w błocie razem z niemi, bo za ogrodzeniem wszczęło się istne piekło, przed oczami migać mi zaczęły szare cielska, podniósł się kwik wściekły, bryzgi błota ułatywały wgórę jak z jakiego wulkanu, zrobiła się taka kotłowania, że wprost rozecznać nie mogłem, gdzie ten człowiek się znajduje. Z kuchni wybiegły dwie tęgie dziewczuchy i jak spłoszone kury zaczęły biegać wokółko, nie wiedząc co począć. Ale zaraz rwetes uciął, trzoda zbita się w kacie chlewu, i fukając gniewnie, patrzyła na punkt, gdzie coś się poruszało. Wbiegł ze sklepu syn wdowy a za nim sama wdowa. Zaczęli szukać widel albo drąga. Akurat poginęły takie rzeczy w obejściu i wkońcu kabokle wynaleźli gałąź i zaczęli koniec jej podawać nieszczęsnemu. Ta gałąź okazała się za krótka. Patrząc na to, rozmyślałem, jak z blahaego

wprost powodu, ot ze zwykłej sympatii dla zwierząt może powstać tak niesłychana awantura. Grzeszczeszy nowi udało się jakoś usiąść, obratł sobie trochę twarz i tak czekał na ratunek w milczeniu. Zapaliłem papierosa i patrzyłem na towarzysza, nie mogąc mu w istocie pomóc. Nikt nie chciał wyjść za ogrodzenie, żeby bydlaki znów się nie rozpierzyły. Ludzie krzatali się pocichu, nic nie mówiąc. W końcu sam się wygrzebał. Pomyślałem, że mógł to wcześniej uczynić, ale widać stracił — jak to mówią — głowę. Poczłapał myć się gdzieś do komórk, pogrubiony od tego błota. Ludziska się rozeszli. Co tu gadać, ten wypadek rozproszył mój zły humor ranny. Dziewucha poleła mi wody na podwórze, umyłem się jak ulan na biwaku i ubrany poszedłem do wendy, gdzie omawiano wypadek Grzeszczeszy. Przybiegła córka wdowy, żeby wskazać jego rzeczy, bo chce się przebrać. Wyjąłem jakieś portki i koszulę, poczem sam mu to zanosłem. Stał w komórce w chustce na gołem ciele, coś postękiwał, że cholera... bydlę... żadnego zabezpieczenia... przecież tam za dużo błota jak dla świń... Ze nie umię ją hodować...

Przynieśli mu do kuchni dużą szklankę wódki na rozgrzewkę i w rezultacie Grzeszczeszy urznął się trochę, poszedł potem pić piwo z kaboklami, nie zwracając uwagi na moje słowa, że przecież trzeba jechać dalej. Zjadłem śniadanie w kuchni, potem znów poszedłem do wendy, zabawa tam wrzała w biały dzień, postawili jakieś zachryple gramofonisko, właśnie płyta była mówiona, jakiś komiczny monolog brazylijski.

Dobiegalo południe, zwróciłem się do wdowiego syna, aby coś z tą jazdą wykombinować. „Dobrze, dobrze, tylko trzeba posłać na portrę po konie“. Cała ta sprawa włokała się do drugiej popołudniu, wreszcie załadowaliśmy pijanego Grzeszczeszy na wóz i ruszyliśmy w drogę. Usnął natychmiast. Para tustych koni ciągnęła nas po drodze pełnej rozpadlin, rozmokłej jeszcze i stromej. Otaczały nas gestwą obrośłe pagóry

tak, że miejscami niebo znikalo nam z oczu i ciepły zaduch zielenizny bił z tej puszczy. Znów zaczęło się dłużyć, cmokania na konie nastrojało sennie, a skolei trzęsienie wozu nie dopuszczało do najsłabszej drzemki. Od dziecka nienawidziłem szczerze jazd na wszelkich brykach czy wozach, teraz jednak chwilami popadałem w pasję, kiedy zza zakrętu ukazywało się nowe „pod górę“. Strytu leżał Grzeszczeszy. Trzeba się obejrzeć i obudzić go nawet, choćby dla rozrywki, bo młodzieńiec przy lejcach nie nadawał się do pogawarki. Włiec przerażeniem nogi na tamtą stronę. Wyglądało „toto“ jak żywy trup, bo oddychał i przez sen gwizdał cichutko i jakoś przejmująco nosem. Włosy mu się rozsypały po czole i przykłapnięty kapeluszu wyglądał jak piróg na płaskorzeźbie. Budziłem go długo i różnemi sposobami, wreszcie poderwał się, usiadł i — „Co, co! gdzie są!“ — wymamrotał. Nie tłumaczyłem nawet, dlaczego go obudziłem, tylko z miejsca nawigowałem rozmowę o misji inteligenta w Brazylii, i na co człowiek się naraza w długich i niewygodnych podróżach, choćby naprzykład ranny wypadek w zagrodzie świń. Słuchając mnie, wyjął ze spodni portzaskane lustereczko, ziewnął w nie kilkakrotnie, zgarnął włoski z czoła, zwilżył je trochę śliną, krzepko nasunął kapeluszu na ucho, skrzył dółca długiego na ćwierć łokcia, zakurzył i powiedział:

— Co pan możesz o tem wszystkim wiedzieć.

Spezżyło mnie to męskie zdanie. Rozejrzałem się bezradnie, znikąd ratunku, tylko gdzieś między gałęziami skrawek nieba i nieruchomy ptak na niedopalonym szkielecie imbui¹. Grzeszczeszy przekrecał głowę, palił i chmurnie czasem popatrywał na mnie, wreszcie zaczął od słowa „bo“:

— Bo... uważa pan... ja jestem społecznik, ja... mnie gryzie troska o dobro tego wychodźstwa tutaj, żeby ci ludzie nie zmar-

¹ Garunek drzewa.

nieli, żeby im od czasu do czasu coś powiedzieć, poradzić, a i też przejechać się po nich, jak złe zryją. Pan sobie czasem patrzy na mnie i myśli: o, ten Grzeszczyszyn to prostaki! Nic dziwnego, młody pan, wychowany w mieście i w dobrobycie pewnie, dopiero pan w piórką obrastaśz, a ja stary wyga kolonizacyjny, ja mam — nie chwając się panie, ale mam, no mam od Boga ten talent rozumienia mas chłopskich, ja umiem do nich pogadać, chwycić ich za serce. Bo już temu się poświęciłem, bo jestem tym cichym, nieznanym bohaterem społecznym, tym pionierem oświecenia tego wychodźstwa naszego, co błędzi, idzie na manowce, od misjonarza stroni; a kimże jest misjonarz jak nie tym łącznikiem ludzi z Bogiem, tym klejem co ich trzyma, aby nie zmarlieli. Taki — panie — kolonista jeden z drugim za parobka był w kraju, a tu wielki pan, chce się usamodzielnić, a nie widzi, że jest tą ciemnotą, co musi słuchać rozumniejszego, coby ich za pyśk trzymał. I dlatego ja jeżdżę po tych licznych skupiskach naszego chłopstwa i radzę, do porządku nawołuję, krew i pot z siebie wypuszczam, żeby służy bożego słuchali, bo religja jest od wieków i będzie, bo ciemnota musi się czegoś trzymać. Oto moja misja, panie, którą sam sobie narzuciłem i nie spoczne, dopóki jej nie spełnię.

Musialem tego wysłuchać, bo przecież wyskoczył z wozu i zwać do lasu, to mi nie odpowiadało. Co to miało oznaczać: „nie spoczne dopóki nie spełnię misji”? Chciał zostać tutaj królem chłopów, czy co, do diabła? Chciałem mu powiedzieć, że to usamodzielnienie się chłopu w Brazylii jest właśnie piękne i normalne, bo gdzie się ma usamodzielnic? Zawdzięcza przecież wszystko własnej pracy, a Grzeszczyszyn chciał, aby rezultatami dzielił się z misjonarzami. I wogóle co znaczy ten termin „misionarz”? Czy nasi chlopi to jacyś murzyni, aby potrzebowali misjonarzy. Już w Kurytybie zauważyłem, że w Brazylii roi się od tego rodzaju „społeczników”. Chłop polski, który właśnie tutaj stał się kimś, nie chce znów tak bardzo,

aby się nim opiekowano. Chce szkoły i polskiej gazety, na misjonarzu poznał się nalezyćcie, przeszedł szybko proces asymilacji i wcale się nie wynarodowił, jest Polakiem w granicach wystarcających, bo przecież tej nowej ojczyźnie też z siebie coś dać musi. I podczas kiedy banda tych „społeczników” zircie się o „prezysury” różnych towarzystw, kolonista spełnia swe rzetelne obowiązki, żyje spokojnie i z pogardą patrzy na pasorzytów, którzy chcą go za łeb uchwyć i znów otumanic. Liczne zjazdy delegatów do tej Abdery-Kurytyby wykazały, do czego może dojść bzdura ludzka. Przecież ci ludzie nie wiedzą kim ten chłop jest w istocie, jak piękny jest jego czyn na tej ziemi obcej. Nie znają go.

Przyglądał mi się i czekał na odpowiedź, ale nuciłem wesołego marsza z miną, jakgdyby bieg jego w myśli był mi za głęboki i nieprzystępny. Wóz akurat wlokł się pod górę, więc Grzeszczyszyn wyskoczył na ziemię ze słowami: „Tak, mój młodzińcze”, poczem zdjął marynarkę i szybko wyprzedził furę, a po chwili znikł w zaroślach, u szczytu.

Odwróciłem się do powożącego syna wdowy Radomińskiej i zapytałem, co to za rewolwer, co ma u pasa.

— Smith, dostałem go od Benjamin Branco — wyjaśnił obojętnie, następnie wyjął kule z bębena i podał mi rewolwer. Znow to straszne nazwisko poraziło mi serce. Trzymałem broń w ręku, zniemuchomiły, pełen rozhukanych, przerażliwych myśli. Obejrzałem rewolwer bez entuzjazmu i zwróciłem go. W zamięszeniu jechałem z dziesięć minut, wreszcie zapytałem ponuro: — A cóż to za jeden, ten... gdzie on mieszka?

— Mieszka niby w Prudentopolis, ale tak to stale jest w objazdach. To komisarz lotnej policji, wyłapuje bandytów, odbiera broń, ma z pięciu ludzi. On — ile to?... Z tydzień temu był u nas, ale zaraz pojechał do Prudentopolis, tylko jego ludzie zostali. Pili całą noc, strzelali w naszej wendzie, a rano pojechali dalej, też za nim.

— Za nim, powiada pan? To... tutaj ich niema?

— Nie, zrobili swoje, poturbowali trochę ludzi, zrobili co komu należało i pojechali dalej. To właśnie jeden z tych skonfiskowanych smithów, zaraz postrzelany.

Wykał kule. Wyrarłem twarz chusteczką i śmiało patrzyłem wokół. Nad uchem huknęło mi dwukrotnie, konie poszły przedziej, zapachniało „przyjemnie“ prochem. Syn Radomińskiej wysympatyczniał mi nagle, wogóle poweselałem. Na drodze leżał przyczajony Grzeszczyszyn, ze skupioną twarzą, z obnażonym rewolwerem w dłoni. Konie stanęły. Chwilę trwało pytające milczenie z obydwu stron, wreszcie Grzeszczyszyn podniósł się ostrożnie i chyłkiem, pod krzakami szedł ku nam. Radomiński także wyjął swój rewolwer. Wtedy Grzeszczyszyn przystanął i zapytał głosem jakby z kiszek:

— Co jest z wami?

— Schowaj pan broń wpietw, co jest z panem? — powiedział Radomiński.

Teraz dopiero Grzeszczyszyn zorientował się; wyglądał dziwnie w ubraniu z khaki, w sztylpach i z tym rewolwerem. Jak jeden z tych, co to „pieszo“ podróżują naokoło świata. Schował rewolwer ze słowami:

— Wy tu sobie żarty stroicie z wiwatami, a człowiek już jest gotów do roboty.

Radomiński też schował broń, splunął, zaciął konie, Grzeszczyszyn wskoczył w biegu na wóz, i, wkładając marynarkę, rzekł do mnie:

— Bo, uważa pan, tu u nas to niema żartów!

Umieszcał się wygodnie w słomie czy grochowiwinie stylu wozu jak skunks albo inne zwierzątko; coś tam szemrał i pomrukiwał. Mielisimy przed sobą przestrzeń rozfalowaną, górzystą i ziejącą ogromem i dalą. Mijalisimy przepaście, następowaly prostopadłe ściany gór, powietrze było świeże, jakgdyby trochę kwaskowate. Gdziegdzie w dolinie szarzała pośród

zieleni zagroda kolonisty; było to małeńkie, z niteczkami ścieżek, wydeptane przez człowieka miejsce. Zresztą były to przeważnie polskie osiedla. Zaczęły się też coraz częściej pokazywać chatupy, wkońcu już cała wieś jakby, z rzadkimi domostwami po obu stronach drogi.

Chłop, mijając nas, rzucił z fury pozdrowienie po polsku, widać poznał w nas rodaków. Grzeszczyszyn znów ocknął się i wreszcie polecił zatrzymać się przed jakąś szopą, z szybanami posklejanymi papierem, słowem wietrzem jakimś i posępnem domostwem. Pół do ściany, pół do furtki przybity był napis po portugalsku, że jest to szkoła publiczna. Na turkot wozu wylaź z chatupy jakiś człowiek „jęsny“, bosy i ze zmierzwioną wiechą kudłów, w polatanych portkach na pasku i bardzo brudnej koszuli. Uklonił się nisko i jakby z abnegacją. Grzeszczyszyn zaczął z nim rozmawiać, bijąc się patykami po cholewie. Zlazłem i ja z wozu i we trzech weszliśmy do środka. W izbie stało kilka ławek z pulpitanami i tablica z wyrysowaną kredą gębą i napisem: tratata. Nędznie odziany człowiek przedstawił się nam jako nauczyciel i kierownik szkoły. Usiedliśmy w przyścianych trochę ławkach. Grzeszczyszyn wyjął notatnik, pisał nim energicznie o pulpit i począł wypytywać stojącego przed nami nauczyciela:

— Ile jest dzieci w szkole, dlaczego nie zamieciono i kiedy się odbywają lekcje?

Nauczyciel zaczął coś mówić, ale ja mu przerwałem; poprosiłem, żeby usiadł i możliwie grzecznie zapytałem, jak się nazywa i jak dawno tu jest? Usiadł w ławce stylu tak, że się trzeba było do niego wykryć i odpowiedział, że się nazywa Kędziński, że jest tu dwa lata, ale żyje trochę z tego co uprawia, bo dzieci jest tylko osiemnaście, z tego nie wszystkie przychodzą, także i nie wszyscy rodzice płacą tego mila od dziecka, że wogóle szkoła jest jakby trochę zamknięta; dawniej to było lepiej, ale od czasu jak chłopci podzielili się na partje, a misjo-

narz Kietla zaczął ich buntować, to się mało uczy i rzadko którzy dzieciak przyjdzie. Z Kurytby żadnej zapomogi mu nie dają, chłopie gadają, że źle uczy, co prawda to i sam wiele nie umie, trochę tylko czytać i pisać. Chciałby pojechać na kursy nauczycielskie do Kurytby trochę się poduczyć, ale faktycznie to i nawet butów nie posiada. Był taki jakiś zapiekły w swej nędzy, że nawet nie znać było skargi w tem, co mówi. Tak więc dzieci tutejsze uczyć to się nie uczą, bo rodzice ogromnie się zrą między sobą, w zeszłym tygodniu na zebraniu towarzystwa, to się nawet postrzelali, a wszystko przez tego misjonarza Kietę, misjonarza, co jeździ na koniu i buntuje. Ano, chce, aby mu się ludzie oplacali za pogrzeby, śluby i chrzciny, a oni się wzbraniają.

— A i wy pewnie też z misjonarzem wojujecie! — wkrzyknął Grzeszczeszyn gniewnie.

— Wojować, to ja z nim nie wojuję, tylko wydaje mi się, że bardziej on na wendziarza się nadaje, niż na księdza. Ogromnie lubi pieniądze. Baby za nimby w piekło poszły, bo przemawia do nich na gołem powietrzu, a ładny jest, blondynek, to i baby w bek, i dalej go węzeł rozsypywać i ofiary to na to, a to na tanto. Do szkoły to tu nawet nie zaszedł, choć przejechał nieraz. A wtedy chodziło dzieci ze czterdziści. Ano chce jakąś tam inną szkołę po swojej myśli, przy kościele. Jak tam sobie kombinuje, to jego sprawa, tylko, że jako misjonarz, nie powinien mieć w sobie takiej niekatolickiej złości i zająć chociaż, odwieźć tę szkołę, jakaby ona nie była.

— Ano, dlategoż tak się wam i dzieje marnie, że z diabłem trzymacie! — rzucił Grzeszczeszyn na odchodnym.

Ponieważ mroczyło już na święcie, podszedłem do Radomińskiego i zapytałem, gdzie będziemy nocować? Odpowiedział, że o jakie dwa kilometry stąd, u wendziarza. Nauczyciel dorzucił, że zna tego wendziarza, Seniuk się nazywa. Odpowiedziałem mu, żeby przyszedł tam później, to jeszcze trochę pogadamy.

Przyszedł, że przyjdzie. Uśmiechnął się jakos boleśnie, jakesmy odjeżdżali. Zaraz po kilkunastu metrach Grzeszczeszyn mnie ofuknął, że gadam z ludźmi i tylko ich psuję. Dosyć łagodnie powiedziałem mu, żeby pilnował swoich spraw. Zresztą przyszło mi jednocześnie na myśl, że może gdzieś w dalszej drodze jak trafi na zły humor, to i objęję tego Grzeszczeszyna. Wdalem się w pogawędkę z Radomińskim, wyjaśnił mi, że ta miejscowość nazywa się Herval. Ale o sprawach „społecznych“ niebardzo mu się chciało mówić, a może niewiele wiedział. Zresztą wylaniały się budynki zza drzew, psy zaczęły ujadać, i po chwili tuż przy drodze zobaczyliśmy wielki, podłużny dom z gankiem przez całą długość, bez ludzi, choć szeroko otwarte drzwi od wendy świadczyły, że ktoś jest w domu.

Poschodziliśmy z wozu, w oknie coś zamajaczyło tajemniczo i ukazał się w drzwiach właściciel tego całego interesu, chłop olbrzymi i tegi, o wyglądzie jakiegoś króla cygańskiego. Miał czarny zarost, rumiane policzki i oczy chytre, niespokojne. Niebardzo też nas uprzejmie powitał, a kiedy weszliśmy do wendy, to jakby taksował nas i obmacywał wzrokiem, chociaż odrzucał powiedzieliśmy „kto zacz i w czym rzecz“. Nie pomógł także syn wdowy, mimo że się znali przecież, zresztą ten chłopak nie był przyjemny; mruklawy i nabzdyczony. Gadaliwość, kręcenie dalców, plaskanie w palce Grzeszczeszyna, cała jego swoboda towarzyska nie rozproszyły chłodu Seniuka. Dopiero, kiedy weszła jego żona, wesoła i czerstwa kobiecina z kopytkowatym nosem, kiedy tak po sierocemu zacząłem opowiadać jej, jak się czuję w podróży i co się dzieje w Polsce, wówczas Seniuk rzucił jedno i drugie pytanie, wreszcie zaczął podać wódki i słodkiego piernika, tak że w pół godziny już nas zaprosili do mieszkania, a gospodyni zakręciła się koło kolacji, wtrącając się z kuchni co chwila do rozmowy.

Otóż byli pod silnym strachem, bo jakiś tydzień temu najechała ich banda Benjamina Branco i niby pod pozorem szuka-

nia broni spłądowali cały dom, nakradli ile wzieć, a syna wyprowadzili na drogę, tam kazali mu uklęknąć i tak kłęczącgo sprali batami aż do krwi. To prawda, że ów syn, dwudziestopięcioletni mężczyzna, zabił pół roku temu kabołka w sprzeczce. Jakoby był napadnięty zresztą, co udowodniono w śledztwie. Ale „policja“ Benjaminina Branco wymierzyla po swojemu sprawiedliwość, poczem odjechała, strzelając dla postachu z winchesterów. Szefa przy tem nie było, pojechał na przód, w odwiedziny do bogatego fazendera, Niemca.

Wszystko to opowiedział Seniuk dość barwnie i ciekawie, w tonie zadrasniętej dumy, bo sam musiał być zabijaka nielada. Ale kiedy tuż przed kolacją przyszedł nauczyciel Kędzierski i okazało się, że ta sama banda obita go w straszny sposób i dwuletnie dziecko porwali matce z rąk i z wysokości konia cisnęli w krzaki, wtedy ta cała sprawa już naprawdę nabrała grozy. Kędzierski dodał, że to wszystko za namową owego Niemca, przyjaciela Benjaminina Branco, co nienawidził polskich kolonistów. Jechali tak od Hervalzinho, i gdzie jakiego Polaka napadli, to go bili, zabierali broń i co się dało, wszystko zresztą po pijanemu. Całe rodziny pouciekały do lasu, przetrzenie było takie, jak za czasów rewolucji. Pomysłałem przy tem samolubnie, że gdyby te deszcze nie zatrzymały nas w Iraty, to byśmy mieli miłe spotkanie.

Seniukowie i Kędzierski byli także tem zgnębieni, że znikąd żadnej pomocy, telegrafowali z Gurapavy do konsula polskiego, a ten odpowiedział, że będzie zatwarzał tę sprawę z interwentorem; ale oni są pewni, że nic z tego nie będzie. Uspokoiłem ich, że przecież konsul nie ma swego wojska, żeby przystać dla ukarania winnych, tylko musi to zatwarzić urzędowo i winni zostaną ukarani. Nic na to nie odpowiedzieli, tylko je kliwie dalej opowiadali szczegóły.

Przez cały ten czas Grzeszczyszyn siedział szeroko rozparty za stołem, bez marynarki, tylko w koszuli z khaki z kieszeniami

na piersiach (pieszko naokolo...), brode wtulił w rozwarłe palce lewej dłoni, cały wsluchany, z miną surową i neutralną, prawą ręką notował co chwila w swym pokątnym notesie. Kiedy już cała treść się wyczerpała, a zaczęły się komentarze, wówczas kląpnął notesem, wstał i w drodze ku oknu powiedział dobitnie:

— To się zatwarwi doraznie jutro i z pewnością u delegata policji, a pan ze mną pojedzie!

To ja miałem z nim pojechać, bo w moją stronę był skierowany jego palec. Ha, trudno.

— A co pan tam możesz zatwarwić, jeszcze pan co oberwie od delegata, boć to przecie przyjaciel tamtych — powiedział Seniuk tonem człowieka znajdującego stosunki tutejsze.

Grzeszczyszyn odwrócił głowę w jego stronę, „szarpnął się“ głęboko papierosem i pokiwiał tą odwróconą głową. Seniuk wstał, poprawił kopczącą lampę i zaczął pomagać żonie w nakrywaniu stołu. Zasiadliśmy do tłustej i obfitej kolacji, przy butli z nalewką kaszasy na jakichś mocnych ziołach, humory się trochę poprawiły, rozmowa zeszła na drobne opowiadania z tutejszego życia.

Seniuk stał pod ścianą, nieco oddalony od stołu, z rękami do tyłu, zapatrzony w swoje buty. Rosły, brodaty, rzucił ponurym cieniem na posmuzoną żółtawymi refleksami podłogę. Zona stała w drzwiach kuchni i uważała czy nie trzeba dopełnić półmisek. Kędzierski jako gość częsty, jadł delikatnie i niewiele, odsunięty o jakie pół metra od stołu. Właśnie do niego Seniuk zaczął mówić, jakby porozumiewawczo a jednocześnie informacyjnie dla nas.

— Właśnie niedawno, bo zeszłej niedzieli zebrało się trochę ludzi przed szkołą i gadając o byle czym, przeszli na to, który kraj ma jaką chorągiew. Aż tu Ukrainiec Palakic jak nie wykrzyknie: — „A Polaki to nie mają teraz nijakiej bandery“! Poruszyło to chłopów okropnie, i dopiero jeden, Kotus, powiada:

— „Zamknij lepiej gębę! Konsula mamy to i bandera jest: bia-
łe z czerwonym, głupi Hryciu!” — A Palakic na to: — „O mi
konsuli szkotami oprali wam pyski benzaminny, a tak wasz kon-
sul banderowy siedzi cicho w Kurytybie i kutak sie!” — Do-
pietroż jak go na to syn Kotusa nie praśnie przez gębę, to Pala-
kić przychodzi, gębę utarł, pogroził i poszedł, bo naszym było
więcej. Ale ze oto człowiek musi wysłuchiwać co taka swolocz
wygaduje, to już doprawdy wstydy.

Cale to opowiadanie osnuło nas ocimną posępną nudą. Jesz-
cze raz napomknął o fazenderze Niemcu. Czulo się w słowach
Seniuka wstydy w związku z hańbą jego syna i własną bezradno-
ścią. Różnie jeszcze pogadywali Seniuk i Kędziński, czasem
Grzeszczyszyn wtrącił coś w swoim stylu, ale było nudno a tak-
że wódka i suty posiłek odurzyły nas i rozprazyły. Siedzieliśmy
objedzeni i porozwalani przy stole, kopciliśmy tytoni.

Zrobiło się późno, nasłuchałem się rozmaitości, jakoś to mnie
otumanilo, przytem widziałem przez uchylone drzwi posłane
łóżko w pokoju obok, więc wstałem, serdecznie się pozeznałem
z zaszczytnym przez los Kędzińskim i z zwierzęcą uciechą, omal
nie skowycząc z zadowolenia, wpełzłem do łóżka. Pościel pa-
chniała miodem i wilgocią. Usypiałem w niejasnym poczuciu,
ze ta podróż zaczyna nabierać istotnego znaczenia, że na tle tej
sennej gęstwy brazylijskiej zarysowuje się człowiek i jego
sprawy.

Grzeszczyszyn jest jakiś nieswój tego ranka. Jego nijakie oczy
produkują powłóczysty smutek, lekliwą powagę. Wzulem już
buty, tupię tupię, zwawo się krzątam, nucę coś i pokasuję
energicznie, a on ciągle leży nawznak — kobiety — z ręką pod
głową i białem ramieniem kugurze. „Dajby pan co zapalić” —
mówi obolalo. Daję mu papierosa, podsuwam zapalke jemu i so-
bie, zaciagam się i mówię:

— Zwlecz się pan, pogoda dzisiaj, słońce — trzeba je-
chać dalej!

— A on tylko „A”, i nic więcej, ta tylko zalosna pierwsza
z abecadla.

— Co pan taki mętny dzisiaj? — pytam pusto.

— A... cholera!

— Co, chory?

— A, człowiek to tak się czasem wygłupi, że już nie wiem...

— Gadał pan z sensem! — ryknąłem.

— A... I westchnął rozdzierająco, poczem opuścił nogi na
podłogę i siedział na łóżku kilka minut, w długich kalessonach
z tasienkami i flanelowej koszuli w błękitno-żółtą kratę. Wyglą-
dał jak żebrak indyjski. Włosy sterczały mu jak wiecheć siana,
tylko oblać natęą i podpalić. Stanął wreszcie, przeciągnął się,
zaraz też zrobiło się ciasno i duszno, więc wyszedłem myć się
przed dom.

Tutaj w słońcu, na samym środku zajezdnego placyku stały
na cienkich nóżkach dwa zamartwione konie ze zwieszonymi
łbanii, krzątał się koło nich gibki mężczyzna, przelazł pod ich
brzuchami, ściągnął popręg jednemu, stęknął głęboko, drugie-
mu coś tam poprawił i wesoło zaprytał mnie, za czem się rozglą-
dam? Odpowiedziałem, że za studnią. Kazał mi chwilę zace-
kać i obiecał przynieść wody. Chód jego był tak elastyczny, że
nawet cień zdawał się kurczyć i rozciągać. Lekko przeskokczył
drewniany płot i pochylony, znikł w zaroślach. Zdawał się być
uosobieniem sprytu i przenyślności, a wyraz jego twarzy po-
siadał przyjemną zagadkowość.

Tymczasem na placyku robiło się coraz skwarniej, a jego
pustka, senne koniska i dookolne kłęby zarosli podkresłały cha-
rakter tej samotni. Stałem nieruchomo z rękami w kieszeniach
spodni i poprzez beznysłną moją zadunę przedzieralo się zacie-
kawienie dalszą podróżą. Dziś naprzykład po raz pierwszy od
chwili wyjazdu z Kurytyby mieliśmy w dalszą drogę wyruszyć
na koniach. Rumaki te zdawały się oczekiwać na małą tylko za-
chęte, aby legnąć na ziemi w błogiej drzemce. Jakieś muszki

bzykały mi koło uszu. Zapragnąłem się od nich oddalić i zobaczyłem siedzącego na krawędzi ganku Grzeszczeszyna z bezradnie opuszczonemi, bosemi nogami, zdającemi się wyrażać wznusającą bezsilę i — śmieszne — oddanie. W tem słońcu i całym nieporządku garderoby, mój Grzeszczeszyn ciągle jeszcze wyglądał jak żebrak indyjski. Głowa jego była okolona wiankiem muszek. Obok stał Seniuk i z zaciętością palił, a szerokie skrzydła słomianego kapelusza ocieniały jego posępną, cygańską twarz. Przez kilka minut patrzyliśmy na siebie we trzech, jakby nas tutaj kto ustawił i polecił milczeć. To idjotyczne znierruchomie nie i ciszę przerwał gibki mężczyzna, który okazał się być synem Seniuka, owym zawadziaką i „valentonem“, tak sromotnie pohańbionym przez ludzi Benjaminą Branco. Wiadac cały wstyd przejął na siebie tata, bo młodzian był usposobiony do świata jaknajbardziej beztrosko i przyjaźnie. Właśnie przyniósł mi wiadro z wodą i miednicę. Podziękowałem mu za to miłym słowem i uśmiechem, poczem zabrałem się do mycia.

— Będzie się pan mył?

Te słowa przyleciały od Grzeszczeszyna na skrzydełkach bezsensu, i nie doczekały się odpowiedzi. Wytarłem twarz i szyję, chlusnąłem brudną wodę koniom pod nogi i przechodząc koło Grzeszczeszyna, powiedziałem mu, że w wiadrze jest jeszcze woda.

— Coś pan taki zgaszony? — dodałem jeszcze.

Zeskoczył z ganku na ziemię, zadart do mnie głowę i zaski-
czął:

— A, panie! niepotrzebnie się wczoraj piło; mnie to szkodzi.

— O jakim piću pan mówi? przecież wczoraj robił pan to wcześniej i minimalnie, powinien pan już o tem nie myśleć.

— A, to się nazbierało; wredy, w Iraty i wogóle, wczoraj po tych świniaach... ja się ostatnio bardzo wewnętrznie rozprężyłem i teraz muszę się zebrać w kupę, bo inaczej nigdy nie osiągnę co zamierzam.



ИВАHY



PRZED APTEKĄ W THEREZIE

— Przeszań pan bredzić, trzeba się zbierać do drogi.

Powłókt się do miednicy, mdły i rozkapryszony. Widać przechodzi jakieś swoje stany specjalne. Jakże inny jest od wczorajszego Grzeszczyszyna z okresu wieczornego, kiedy notował, junaczył, obiecał bronić pokrzywdzonych. Skomplikowany człowiek. Wszedłem do pokoju razem ze starym Seniukiem. Usiadłszy przy stole, Seniukowa szykowała śniadanie, słychać było skwierczenie z kuchni. Przez otwarte drzwi napływały fale upalnej duchoty, mieszały się z zapachem smażonego tłuszczu i sprawały przykrość. Ponury Seniuk stał pod ścianą i ciężko sapał, wpatrzony we mnie wyczekująco.

— Co, Radomiński pojechał? — zagadnąłem.

— A pojechał, zaraz jak pan poszedł spać.

Wszedł Grzeszczyszyn uczesany na mokro, z uszami obklejonemi pejsami swych przydługich włosów. Usiadł obok mnie, ziewnął rozdzierająco i wymamrotał:

— Rany Boskie, jakim-że ja nie swój!

Ten temat się jednak nie przyjął, milczeliśmy dalej i kiedy Seniukowa przyniosła talerz pełen smażonej kiełbasy oraz chleb i kawę w kubkach — zabrałszy się do jedzenia. Wszedł syn Seniuka i stanął obok ojca. Zaczął mówić o tem, że konie będzie trudno sprowadzić z Terezyny, i że musi z nami chyba pojechać, żeby konie spowrotem przyprowadzić. Porozumiał się z ojcem, którego konia jeszcze osiodłać i wreszcie wyszedł ze słowami: — „Razniej będzie we trzech jechać i drogi też panowie nie znacie“.

Rad byłem temu; mój kontakt z Grzeszczyszynem ciągle jeszcze nie był wyjaśniony i wolałem uniknąć sam na sam. Obfite śniadanie, upał i zapachy z kuchni, wszystko to sprawiło, że czułem się jak opuchnięty i z przyjemnością pomyślałem że na koniu się nieco przetrząsnę. Seniuk, mimo moich nagabywań, nie chciał przyjąć pieniędzy za pobyt w jego domu, ani też za wynajem koni. Kiedy już bardzo nastawiałem przerwał mi stanow-

czo: — „Niech pan da spokój, to jest po mojemu, i niema co mówić! Znajdą się tacy, co od pana wezmą i to będzie znów po ich myśli”.

Nie należy walczyć z zasadami. Dał mi do potrzymmania kilogramową rękę, uściśnięciem także niezdarną kończynę Seniukowej, powiedziałem jeszcze szereg niepotrzebnych zdań w związku z ich gościnnością i — „wsiadłem na koń”. Senne zwierze lekko się zachwiało, następnie ugięło podę mną. Matronkowie stali na ganku i zegnali nas w milczeniu. Wiało od nich obojętną serdecznością.

Trzej jeźdźcy wyjechali na szeroki... Więć jechaliśmy w słońcu, lekkim truchtem, rozmaicie siedząc na swych koniach. Syn Seniuka trzymał się niedbale, nogi zwisały mu obok wolno opuszczonych strzemion. Próbowalem anglezować, co było niewygodne w szerokiem, brazylijskiem siodle. Trząśłem się ciągle coś mnie ugniatano. Natomiast Grzeszczyszyn zmuszał mnie do obserwowania go co chwila. Nawet siedzieć w siodle nie umiał przywoicie. Hojdał się na prawem udzie, pogrążony w bolesnej zadumie. Co kilka minut ciężar ciała przesunął na lewo lub prawo. Zwisiał tak rozchdybotany, żaloszny. Nie smutne to było i nie wesołe, raczej wyrafinowane i uporczywie drażniące.—Co jest w tym człowieku? — W rozmaitych rozważaniach na temat mojej podróży niejednokrotnie zadawałem sobie to — zdawałoby się — nieistotne pytanie. Cokolwiek powiedział, zrobił gest jakiś; — wszystko to niezawsze było śmieszne, ale inne niż u zwykłych ludzi. Oto czem zmuszał mnie do uporczywego obserwowania go. Niechujstwo jego umysłu kojarzyło się z jego sposobem poruszania się, miniką. Zdawałoby się, przygodny towarzysz podróży, człowiek na tyle obojętny, aby skonstatować jego dziwność i zająć się innemi sprawami. Lecz ja na punkcie Grzeszczyszyna dostalem pewnej obsesji. Niepokoit mnie sobą uporczywie, zmuszając do poszukiwania w nim materiału dla mego zmysłu obserwacyjnego. Niewątpliwie właśnie

ten zmysł obserwacyjny i moja literackość natrafily tutaj na iszną kopalnię dziwności. Nie był przeciętny, oto moja udręka. Niezawsze jednak irytował. Był tak śmiesznej postury, minikę miał zabawną, jego zadumy lub kaprysy, znużenia i miny pełne wyrozumiałości malujące się na tej — w gruncie rzeczy — plugawej twarzy, wszystko to poprosu interesowało. Właśnie odwrócił się do mnie, — był w takiej pozycji, że powinien wędług moich obliczeń, zsunąć się z siodła — i wystękał:

— Wie pan, jest mi trochę lepiej, to i dobrze... Te Seniuki panie, to zboje, och zboje! wiem ja coś o nich. Pański jest trochę większy, ale mój to „marszador”¹ i niesie jak w kołysce... Za jakie dwie godziny będziemy w Terezynie, cholera — gorąco... tam sobie odpoczniemy u Suchodolskiego... jedźmy prędzej, hu-ha! „Filho da puta!”

Po tym wściekłym okrzyku, ponknął dalej zwisający, diaboliczny Grzeszczyszyn.

Zboczyliśmy z drogi, jadąc teraz wąską ścieżką leśną. Ogarnął nas parny zaduch zielenizny i strząła, leśna cisza. Seniuk jechał naprzędzie, ja za Grzeszczyszynem. Raptem z gesty wysunął się wąsaty mężczyzna z kolorowo ubraną i w kapelusiku na czubku głowy, dziewczynką. Oboje byli na koniach i wyjechali z bocznej, niewidocznej ścieżki. Seniuk pozdrowił dłonią mężczyznę i powiedział: „bom dia”. Odpowiedział na ukłon; dziewczynka też coś tam zakwiliła. Przyglądali nam się z chłodną ciekawością. Seniuk odwrócił się do Grzeszczyszyna i powiadomił go, że to jest delegat policji i że wczoraj słyszał przez ścianę, jakesmy o nim mówili. To wyjaśnienie podane było z uśmiechem przypomniaenia. Zaraz też wdał się w rozmowę z delegatem. Jechaliśmy teraz razem, gęsiego. Grzeszczyszyn świsiał przez zęby i badałczo spoglądał w gęstwę. Delegat mówił Seniukowi, że jedzie z córką do Suchodolskiego, po za-

¹ Koń o specjalnym kroku, łagodnie niosący jeźdźca.

strzyk, bo dziewczyna, zdaje się, cierpi na malarię. Jechała o metr przede mną i trochę z boku. Podobna była do obrazka z dawnych czasów. Śniada, drobna, mogła mieć dwanaście lat. Wyglądała przyjemnie w swym słomianym kapelusiku z czerną aksamiką na czubku głowy. Siedziała na koniu po kobiecnemu.

— Możeby pan porozmawiał z delegatem o Benjaminie Branco, przedwczoraj mówił pan o tem? — zagadnąłem Grzeszczyszyna.

— Rozmyśliłem się, zainteresuję listownie u konsula z Tereziny. A jak wrócę do Kurytyby, to osobiście pogadam z Ribasem.

— Przecież pan go nie zna, co mi pan tutaj opowiadał!

— Ja nie znam Ribasa? Niech pan się nauczy najpierw myśleć a potem mówić, nie odwrotnie. Hu-ha, przedziej, bo wleczemy się jak za pogrzebem!

Kłanstwobym mu darował, ale ton, w jakim mi zaprzeczył znów mnie porzytował. Czulem na policzkach wypieki ze złości. Z łękiem pomyślałem, że ja tego człowieka kiedyś zbije na kwaśne jabłko. Niepodobna się z nim kłócić, trzeba będzie sprać i patrzeć co z tego wyniknie.

Jechałszy prędko i w dudnieniu kopyt końskich usłyszałem słowa Senuka:

— Panie Grzeszczyszyn, mówiłem delegatowi, że chce pan z nim porozmawiać o Benjamin Branco, chce z panem gadać? Zwołaliśmy, delegat czekał aż Grzeszczyszyn zbliży się do niego, i zapytał:

— Czy pan jest jakimś urzędnikiem, że pana to obchodzi?

— Ja nie, ale ten pan jest dziennikarzem z Polski i będzie o tem pisał, co tu nawyprawiali ludzie Benjaminia Branco.

Skolei delegat zaczął aż ja się do niego zbliżę.

— Pan jest dziennikarzem? — Niech pana to wszystko lepiej nie interesuje, bo Benjamin Branco spełniał polecenia z Kuryty-

by. Seniuk powinien być zadowolony, że go nie zabrali do więzienia. Zabił Brazylijanina. Nie trzeba się w to wtrącać, radzę panu. Wszystko się odbyło jak potrzebaj!

Nieoczekiwanie musiałem coś odpowiedzieć.

— Tak, ale podobno bili dzieci i kobiety i rabowali.

— Czy pan to widział?

— Oповідаł mi o tem.

— Proszę pana, my tutaj jedziemy sobie prywatnie i tak też się rozstaniemy. Ja nie chcę od pana żądać wyjaśnień urzędowo. Jest pan cudzoziemcem i nie należy się wtrącać w sprawy, o których się nie ma pojęcia!

Delegat pognął konia i wszyscy pędziliśmy w nieprzyjemnym milczeniu. Tak się skończyła ta idjotyczna rozmowa, w której mimowoli musiałem wziąć udział. Dziewczynka wymięła nas i po chwili razem z ojcem znikła nam z oczu. W pewnej chwili zrównałem się z Grzeszczyszynem. Zagadnął mnie troskliwie:

— Pewnie się pan odparzył, bo jak kto nieprzyzwyczajony do konia i to w takie gorąco, to może sobie bólu narobić. W Terezynie zrobię panu okładny z herwy i jutro będzie pan zdrowy. Patrz pan jaki ładny widok, Brazylija to kraj, psiakrewn, tylko ludzie dranie. Ta rzeczka nazywa się Rio de Cavalhos, rzeka końska, mała rzeczka, ale ładna.

— Gdzież panu znów ta rzeczka tak się nazywał — wykrzyknął Seniuk. — To jest Riozinho i nie wzięcej, wiem chyba lepiej od pana, bom się tu urodziłem!

Grzeszczyszyn uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo. Nie pojąłem tego. Kiedy sobie uświadomiłem, że cała poprzednia rozmowa z delegatem, i to co sobie powiedzieli na ostatku ci dwaj odbyło się w dżungli, z którą się zetknąłem po raz pierwszy, że głupstwo przechodziło z ust do ust ludzi jadących w podrygach, otoczonych rozbestwionym kolorytem słońca i zieleni, — pomyślałem sobie, że spotkać się można z brednią w najbardziej nieprzewidywanych warunkach; słowem byłem

w takim nastroju, że gdyby na ścieżce ukazał się jakiś znajomy Rozenbaum z Warszawy i zagadnął mnie czy nie widziałem Fogelnesta, wcalebym się nie zdziwił i odpowiedziałwszy przeżęcając, pojechałbym dalej.

Kołysząc się w siodle, popadłem w leniwe rozmyślanie. Niepokój i zmienne nastroje towarzyszące mi od Kurytyby ustąpiły teraz miejsca spokojnej reakcji na wszystko co ma nastąpić, z tem, że nie spodziewałem się nadzwyczajności. Tak to sobie umyśliłem. Doszedłem do pesymistycznego przeświadczenia, że wszystko to jest diabło nieciekawe, oprócz nieznaney mi dotychczas bliżej postaci polskiego chłopca - kolonisty, w której na podstawie luźnych obserwacji dopatrywałem się sensu i rzetelnej prostoty. Czekalem też okazji trwałszego zetknięcia się z tymi ludźmi, aby poświęcić im maksimum uwagi. Jasno sobie uświadomiłem, że nie jestem urodzonym podróżnikiem i, że ta wędrówka od chatupy do chatupy razi mnie nudną pospolitością. Uroda natury brazylijskiej raziła mnie swym przesadzonym bogactwem i rozwydrzeniem barw, jak razić może niegustownie ubrana żona właściciela dwudziestu jatek mięsnych w jakimś mieście. Brakowało tu pejzażu, któryby wzruszył połączeniem drzew, łąki i rzeki, ową delikatnością i umiarem barw, nastrojów, jaka cechuje sielskie widoki europejskie. Roślinność tutajsza, upojona chamskim dobrobytem, kłębiła się w tłoczonym rozpasaniu, drzewo wrastało w drzewo, mchy, trzciny i paprocie do spółki z lianami nachalnie tłoczyły się wokół drzew, tworząc jeden wielki, skołuniony matcznik. Słyszałem zachwyty o zachodach słońca. Dotychczas jeszcze ani razu nie widziałem solidnego widoku na ten temat. Zielska napęczniałe od nadmiaru soków, prażone złośliwą gorączką z nieba, wydzielały odurzające wapory, dalekie od tego, co nazywamy balsamicznem powietrzem. Nadomiar, widok ten, któryby pierwszego dnia mógł się nawet spodobać, powtarzał się bezcelnie i dowodził złego smaku. Tutaj doświadczyłem, że natura może nudzić.

został mi więc człowiek. Muszę sobie powiedzieć, że dotychczas w wycierpującem znaczeniu tego określenia, nie zetknąłem się z nim jeszcze. Wszystkie te figury wydały mi się poprzetręcane psychicznie. Nie mam tu na myśli Jonczyków lub innych w ich rodzaju. Niedwuznacznie podejrzewałem klimat o te spaczenia. Należało czekać potwierdzenia tych wniosków. Narazie byłem nowicjuszem i posuwałem się wgląb kraju bez planu właściwie i celu. Grzeszczeszyn też jeszcze nie wiedział. Na pytanie moje odpowiedział mi któregoś dnia: „Wszystko będzie wiadome w Candido do Abreu“. — Wiedziałem, że to miasteczko, to krańce polskich kolonii. Gdzieś w pobliżu były tolda indyjskie. Narazie trzeba było cierpliwie posuwać się naprzód. Teraz jechałszy we trzech na kiepskich szkapach; — karykatury podróżników. Popręg obsunął się dotyku ze wzdętego brzucha mego konia, siodło starało się wypelznąć spode mnie, zeskoczyłem w porę, odpiąłem popręg, tamci dwaj pojechali, zostałem sam. Zdjąłem siodło, koń łakomie ukrył łeb w gestwie takuarny, usiadłem na ziemi, poczułem się dobrze, położyłem się, ogarnęła mnie błogość nieomal. Przy zbliżeniu ucha do ziemi dało się słyszeć utajone życie posród roślin, ciche trzaski, szmery. Koń rytmicznie mełł zuchwami, pobrzękiwał wędzidłem, szło od niego potem. Byłem w nastroju szybkiego nawiązywania kontaktu z przyrodą brazylijską, być może nawet trwałego i pozytywnego pod wpływem błogostanu, kiedy nagle na ścieżce wyłonił się Grzeszczeszyn na koniu, wykrzykując na mój widok: — Przytrafiło się panu co? Dlaczegoś pan został w tyle, jestem zaniepokojony!... Rany Boskie! Rany Boskie! co pan robiś, wstań pan w tej chwili! Leżysz pan w Brazylii, w selwie¹, jak na otomanie w hotelu! Wstań pan natychmiast!... Jataraca, jataraca może pana!...

Podniosłem się przerażony, szukając wzrokiem tego jadowi-

¹ Dżungla.

tego gada, ale na wygniecionem miejscu i w pobliżu nie zauważyłem nic niepokojącego.

— Gdzie jararaca, gdzie pan ją widzisz, u pioruna!?

— Jeszcze niema, ale przecież w Brazylii roi się od tych zmij! jak pan możesz być tak lekkomyślny, ukąsiłaby pana i pewna śmierć!

Zsiadł z konia i począł badawczo patrzeć w trawę. Siodłając konia, powiedziałem:

— Napędził mi pan tylko niepotrzebnie strachu, myślałem, że już ją mam gdzieś za pazuchą.

— Ale mogła być, niech pan się nigdy nie kładzie na gołej ziemi, nigdy!

Szybko opuściliśmy to miejsce, gdzie po raz pierwszy — wnikając ze słów Grzeszczyszyna — zetknąłem się z utajoną grozą dżungli. Więc już nigdy, jak długo tutaj będę, nie będzie mi danem marzyć, leżąc? Na drzewo też nie będę wlaził, by nie spotkać się z pumą. Ktoś mi opowiadał dość sugestywnie, że często z gałęzi drzew zwisają zmije, czekając na ofiarę. Wyobraziłem sobie te zmije zwisające w kędziornach i jeśli ja, jadąc konno, trafię głową w takie kędziory, to już po mnie. Nie mogę więc leżeć, jeździć konno, i przesiadywać na drzewach. Zycie stało się nagle wściekle trudne. Grzeszczyszyn zdawał się myśleć ze mną jednakowo, bo nagle odezwał się:

— Tak panie, to nie duchi, tutaj trzeba uważać, a jeszcze choroby, a jeszcze pijany kaboklo! Wracaj pan lepiej do Warszawy, na pół czarnej!

Zasnął się rubasznie i zaraz po tym jego śmiechu ukazała się wdole rzeka, a nad rzeką mlody Seniuk poił konia. Na przeciwnym brzegu tkwiły w słonecznej ospałości drewniane budynki. Cała miejscina wyglądała nędznie i odpychająco.

— Dlaczego pan został? — zapytał mnie Seniuk, kiedyśmy przejeżdżali wbród rzekę.

Powiedziałem o popręgu, z niechęcią myśląc jednocześnie

o tej groteskowej solidarności, jakbyśmy przejeżdżali przez najszerszą puszcze, pełną dzikich ludzi i zwierząt. Naprzeciw nam posuwała się trzoda świń, z dwoma chłopakami w podkaszanych portkach. — „Cie, gdzie leżesz kurwo jedna!“ — krzyczał jeden rodzimym językiem. — „A gdzie, ryju cholerny, a gdzie!“ — wrzeszczał drugi. — Na rzece — słowem — panowało ożywienie, między palmami, pod obcym słońcem, słychać było tęgą polszczyznę. Wylądowaliśmy na zakurzone wybrzeże i jechalśmy pod górę, w miasto. Między chałupami przebiegł pies z podtulonym ogonem i wywieszonym językiem, kudłata dziewczyna rozwieszała białinę na sznurze, zza węgła wybiegło drobny kroczyk dwóch ludzi, z dragiem na ramionach, z przymocowanym do drąga nuby zabity jelen, mężczyzną w portkach i koszu, bosym i bez kapelusza, ze zwisającą głową i wielką, napiętą grdyką. Mingli nas i znikli na zakręcie, kiedy raptem odskoczyłem się i zawołałem do Grzeszczyszyna:

— Panie, panie, co to, co to takiego?

— A bo ja wiem, nieżywy, czy co do cholery! Trzeba będzie zapytać się Suchodolskiego!

W głowie mi huczało od tego widoku i od gorąca. Podjechalśmy do obszernego, parterowego domu z szyldem: Suchodolski & Stokon. Przez dwa narozne wejścia widać było mroczne wnętrze wendy, na progach stało kilku mężczyzn, bosych, palących pajowce¹. Przywiązane do słupów, stały cztery konie i dwa muły z kalgierami. Kabokle patrzyli na nas obojętnym, leniwym wzrokiem i przepuścili, nie przerywając gawędy, kiedyśmy wchodzili z Grzeszczyszynem do wendy. Seniuk został, aby przywiązać konie. Weszliśmy do chłodnego i wielkiego sklepu z ową charakterystyczną mieszanią zapachów, gdzie pod ścianami stały worki i blaszanki, na dragu biegnącym ponad ladą zwisały nowe, barwne siodła, farbowane pelegi futra-

¹ Papierosy skręcane w liściach z kukuurydzy.

ne, wszelki sprzęt konny, za ladą uwijało się kilku subiektów, na tle pólek z różnokolorowemi perkalikami, materjami na ubrania, obuwiem. Wenda zawalona była wszelką prowincjonalną tandetą, tutaj ściągali ludzie z okolicy, aby zaopatrzyć się w niezbędne sprzęty, tutaj załatwiano się najrozmaitsze handlowe interesy, intrygi, ścierały się ambicje, szef firmy był jak każdy większy wendziarz w swej okolicy, kacykiem, sędzią, niemal dyktatorem, nazwanym przez kabokli „manda chuwa“, czyli czarodziejem mogącym spowodzić deszcz. O Suchodolskim słyszałem wiele w Kurytybie. Był on tutaj agentem banku, kierownikiem poczty, aptekarzem i korespondentem pism. Burzuazyjny radykał, zwolennik kościoła narodowego, bogaty i przedsiębiorczy wendziarz, Suchodolski miał opinię solidnego kupca z dużemi ambicjami. Wyemigrował z Polski do Brazylii kilkadziesiąt lat temu, tutaj się dorobił, rozpoczynając w swoim fachu. Był aptekarzem. Grzeszczeszyń przedstawił mnie jemu, kiedy stał pochylony nad ladą i coś obliczał. Był rosy, o wielkiej głowie ze śladami ospy na twarzy, miał jakieś czterdzieści parę lat. Moje nazwisko, granatowa koszula z plecionej wełny, bryczesy; wspaniałe, żółte buty, wszystko to nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Nigdy o mnie nie słyszał, specjalność moja ogłoszona przez Grzeszczeszyńa obudziła w nim nieufne spojrzenie. Zaprowadził nas schodkami wódł, poprzez aptekę, do pokoju umeblowanego przyzwyczaję, ale bez gustu. Tutaj zaczął się jeden ze znanych już popisów społecznych Grzeszczeszyńa. Suchodolski słuchał go siedząc wygodnie w fotelu i co pewien czas mówił: „Tak, to wiem“ — „Znam go“ — „A, o tem już słyszałem!“

Chłopak przyniósł imbryk z gorącą wodą i kuje z herwa. Suchodolski popił szimaronu, dolał wody i podał mi ze słowami: „Nie wiem, jak pan tam — pija to nasze picie?“ — Wziąłem kuje z ochotą, rad, że się czemś zajmę. Dziwnie nie lubiłem tych społecznych rozmów, były one nieważne, a cała sprawa o któ-

rą walczyli ci operetkowi politycy, była nędzna, powodowana niską ambicją wzbogaconego wendziarza i spekulanta. Zrezygnat atmosfera tych rozmów była niepoważna, ubożuchna w sens, a zwłaszcza tego dnia, w połączeniu ze skwarem, z nieprzyjemną drewnianą oschłością tego miasta, sprawiała wrażenie kółatej przymusowej bzdury. Przez wzorki franki zwisającej u okna, widziało się gołębia, czarną świnię i psa, jak zgodnie wylegiwali się w gorącym pyłe. Bez gołębi byłoby przykro na to patrzeć. Już zgóry domyślałem się zarzutów ogorzałych pionierów kolonizacyjnych, strzelających tygrysy jak kaczki, kochających trud i ciężką życiową: „Pana wszystko nuży i nudzi, nie widzi pan rzeczy pozytywnych“.

Nie, ja tylko stwierdzam rzeczywistość brazylijską, która jest parzywa i wściekle nudna jak dotąd. Dla mnie, dla człowieka, który stwierdza jak jest. Taki Suchodolski, być może, jest typem dodatnim, ale jego wyniosły sposób bycia jest mi wstrętny. Przecież wegetuje w paskudnej dziurze i stwierdza tem swój nieciekawý stosunek do życia. Niewątpliwie jest to kraj dla ludzi fatwých, bez wymagań.

W tej chwili czułem się na tej wizycie jak człowiek, który nie wie czego chce. Suchodolski zdawał się wyczekiwać z naszej strony jakiejś prośby, żądań. Zachowywał też pewien dystans, aby móc odmówić. Toteż czułem się dość fałszywie, bo przecież mogłem go nigdy w życiu nie widzieć. Miał na sobie białą marynarkę, szare spodnie i solidne półbutki na grubych podszewkach. Czyściutki, pachnący złą wodą kolonjską, na przegubie dłoni zwisała mu złota branzoletka z dwoma wisiorami: matpką z kości słoniowej i słoniem ze złota. Na palcu miał sygnet z herbem i obrączką. Zachowywał się, jakby nam dawał posłuchanie, audjencję. Z apteki pachniały lekarstwa. Wbiegł kudłaty pies, obwąchał nas i usiadł u nóg pana. Grzeszczeszyń właśnie kończył swoje wywody na temat nowego konsula w Kurytybie. — „Jest zdaje się chłop z charakterem,

tylko nie zna jeszcze stosunków, i niewiadomo jaką drogą pojedzie". — Suchodolski nie na to nie odpowiedział, tylko pochwili zwrócił się do mnie z mętmem pytaniem, jak mi się podoba Brazylja? — Odpowiedziałem, że dotychczas mi się bardzo niepodoba, ale może w dalszej podróży trochę się poprawi. Na to on: „Tak, to nie jest kraj dla artystów — publiczność niewdzięczna, nieuczona". — Nic na to już nie odpowiedziałem. Jaka publiczność? Przecież nie jestem śpiewakiem estradowym!

Napełnił kufę, psa poczochnał butem.

— No, a teraz dokąd panowie zmierzają?

— Pobędziemy tu kilka dni i dalej, do Candido do Abreu — odpowiedział Grzeszczeszyn. — Wybieramy się drogą przez lasy, na północ, do Londryny.

— A, to ciekawa podróż. Ale, skoro panowie tu trochę zostaną, to proszę zająć do mnie na szmaron. Radzę wam zamieszkać u Smyków, tam dość czysto i niedrogo. W hotelu drogo, i te dziewczyny — Gomora; wprost fantastyczne, co się tam wyprawia!

Podniosłem się z krzesła, pies warknął.

— Proszę pana, tu na drągu ponieśli jakiegoś człowieka, co to takiego? — zwróciłem się do Suchodolskiego.

— Aa, to pewnie ten kaboklo... widział to pan? Mówiłem — psiakość; żeby w nocy!... Umarł, nędzacz — na malcicę¹, tylko niech pan nie przypuszcza, że tutaj tak wszystkie podrzeby się odbywają! To wyjątkowa sprawa, za późno mi dali znać o śmierci, ciało się zaczęło psuć, ale też... że nie chciało się dzikusom ponieść go na jakiej desce. Sami sobie winni, nie przychodzą do mnie po zastrzyki.

Był poruszony trochę tą nowiną, pożegnał mnie niespodziewanie uprzejmie, prosił, żeby koniecznie zająć.

¹ Pospolita nazwa malarii.

W wendzie oczekiwał nas Seniuk, jedząc bułkę. Poprosiliśmy go aby zaczął, przymocowaliśmy nasze worki do jednego konia, rozpytaliśmy się o drogę do Smyków, i ruszyliśmy, Grzeszczeszyn prowadził konia za uzdę. Szliśmy naprzelaj, zaśmieconym płacykiem pełnym kóz. Uprytomniłem sobie, że napewno wyglądamy jak na komicznym obrazku, lub ilustracji do nienapisanej książki. Tu, i jeszcze tam, kiedy odjeżdżaliśmy z wendy starego Seniuka. Nad głowami ukazało się słońce z otokiem, niby sadzone jajo. Chatupy były przeważnie drewniane, kryte ceglaną dachówką, często bez szyb, z drewnianymi okiennicami; — przewiewne. Kiedy dotarliśmy do zagrody Smyków, podniosło się z proggu kuchni dwoje starszków, przydreptali do nas żywo, — posłuchali, — że to z polecenia Suchodolskiego, i zaprowadzili przez kuchnię, do izby. Zdjęliśmy worki z konia; Grzeszczeszyn poszedł odprowadzić go młodemu Seniukowi. Wyjąłem z worka toaletowe drobiazgi i umieściłem je we wskazanym przez Smykową pokoiku. Powiadomiła mnie zachęcająco, że w tym pokoju zatrzymuje się stale ksiądz Kieta, ilekroć jest w przejeździe. Umylem się, poleżałem trochę na łóżku i zaproszony przez Smyka, poszedłem do kuchni na szmaron. Pachniało tu spalenizną, koło otworu w suficie lśniły się czernią splekane belki. Podano mi małeńką kufę pogniłą na brzegach, z blaszaną rurką. Pod ścianą, pochylona nad ławą, zawaloną kawałami świńskiego mięsa, stała Smykowa i polcie słoniny zaprawiała solą. Nad ogniem wisiał duży gar, gotowały się w nim świńskie nogi. Niezle siedziało się z tymi starymi ludźmi. Kilka minut trwało milczenie, wkońcu zagadnąłem:

— Jakie tu życie? Spokojne pewnie?

— A, nam starym... to co tam narzekać — odpowiedziała Smykowa. — Obcy świat, ale my przywykli.

O czem tu z nimi gadać? Znowżeśmy sobie pomilczeli. Młyny mają żywciliwe, widać malomówni. Na proggu turlają się

dwa szczenięta; pies i kot. Piesek ma zażawione i zdziwione oczka, gładki, brązowy — gryzie puszysty lepek kotka i warczy z uporem. Przynęła duża kotka, przydłnęła, piesek potoczył mi się pod nogi, skomlać. Kotek wpętl pod matkę, począł ją ssać łakonie. Próbuję nawiązać rozmowę ze Smykiem, ale pyśnięcia moje brzmią sztucznie: — Czy mają jakich krewnych w Polsce?

— A, są — odpowiada Smykowa. — Są, ale co napiszą, to o pomoc proszą — myślą: amerykany, bogate... a tu taka i Ameryka, nieprawdziwa. Mil nie dolar, idzie go ponoć trzy na złotego.

— A nie chce im się do was przyjechać?

— Jakże panie, toć przecie koszt, tyli świata... a kolej, a statek... Niech lepiciej siedzą na tem gruncie jaki tam mają.

— Tak, panie — wtrąca Smyk — pracowali my całe życie, teraz na stare lata mamy chałupę i co do gęby włożyć, ale żeby tak pomagać, to nie możemy. Co mamy, to dla nas wystarcza, a więcej nie chcemy... Nie chłopska rzecz się bogacić, a i to na obczyźnie, jak jakie zesłańce żyjemy. Wiadomo, kraj niebogaty w ziemię, ludzi musi się pozbywać, pretensji nie mamy, a to przyjemnie nam słuchać, że rząd teraz w Polsce jest mocny, własne wojsko i obce wyrzucone.

Znów się urwało.

Wszedł Grzeszczyszyn, pokracznie przestąpił koty na progu, zdjął kapelusz, przysiadł, łapczywie pochwycił kuję z rąk Smyka. Otulając dłońmi kuję, ssał, sapiąc. Mruczał:

— Znów się natknąłem na bagno w Terezynie; Janicki zire się ze Stachurskim, a Suchodolski chce obu za mordę trymać! Będę musiał zaprowadzić tu porządek... co za ludzie! Suchodolski nie chce ze mną gadać, widać boi się silnej ręki!...

Człowiek czynu był roześlony, nie podał kui dalej, tylko sam sobie nalał wody i pił w gniewie. Smykowa przysmażyła mięsa na patelni, podała do stołu razem z kapustą i kartofla-

mi. Jadłem w spokoju, daleki od złych myśli. Piłem kawę z blaszanego kubka, paliłem i przyglądałem się Grzeszczyszynowi. Był spocorny, kostropaty na twarzy, fakonem czyścił sobie paznokcie.

Popołudniu przeszła nad Tereziną burza, kozy beczwały, zrobiło się ospale z przymusowego lenistwa. Leżałem na łóżku, ubrany, w butach. W krzakach za oknem opadały kropkle z liścia na liść, zmoknięte kury poruszały się niemrawo. Przez uchylone drzwi widziałem pogrążonego w notatkach, Grzeszczyszyna. Co robić u licha — nuda, spić się chyba?! — Ale z kim? Grzeszczyszynowi alkohol nie służy. Leżę bezmyślnie wpatrzony w sufit. Wcale nie jest znów tam tak nieciekawie; jakieś ornamentacje, gęby, okręt, zwierzaki — a wszystko z niczego: wapno na deskach, trochę włosów z pendzla. Oro życie moje szalone, wymarzone podróże po zamorskich krajach! Przygodą! Chwytam się na wewnętrzny dialog: — POCO masz się spijać, nie myśl o głupstwach, nie len się, pocos tu przyjechał? Obserwuj, patrz, poznaj myśli tych ludzi, może warto. — Jakich ludzi, jakie myśli? Wiem już co powieść: „A, żyje się jakoś panie“. Albo: „ksiądz ten wyzykuje, ogłupia naród“. — A nie możesz to rozzejrzeć się w naturze? egoz-tyzm przecież, obce, ciekawe!

Zrywam się z łóżka i wychodzę przed dom. Już po deszczu, pojaśniało. Senny mól czochna mordę o pniak. Nad przysadzistemi domostwami snują się dymy, pachnie spalone drzewo, ściezka biegnie kręto poprzez wyleniałą trawę, błyszczą kałuże, czerwonawo, lśniące liście palmy wychylają się zza chałupy, cicho i pusto jakoś. Idę ścieżką, bez celu. W oddali, na prawo — cztery litery T — cztery piniory; na lewo — olbrzymi, lesny pagór. Na to wszystko splywa barwiczka z nieba. Brudny szkarlat. Pogrążony w nieciekawych rozmysłaniach, mętny spacerowicz po mokrych wertepach, podszedłem mimowoli pod wendę Suchodolski & Srokon. Zatrzymałem się przy słupku,

namyślając się czy wejść do środka, kiedy podszedł do mnie niezmiernie otrzyły chłopiec lat może dwunastu, z procą w ręku.
— Ten supel od sznurka ciągle mi się zsusza z gumy, co tu poradzić?

— Nie wiem, może ci kto inny poradzi.

— Ale niech pan wpierw obejrzy... przeciera się... licha!

Obejrzałem procę i oddałem mu ze słowami:

— Tu trzeba... nową gumę, ta jest jakas marna.

Zasepił się:

— Ba, a skąd wziąć nowej?

Wzruszyłem ramionami. Stał na swych grubych nogach w ics, gole kolana miał podtrpane i zabłocone, beret sterczał mu na czubku głowy a całość wazyła ze sześćdziesiąt kilo.

— Jak ty się nazywasz? Czegoś taki gruby?

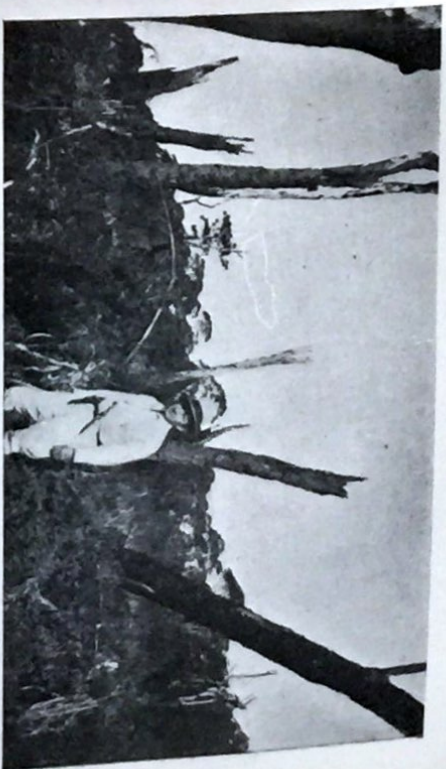
— Nazywam się Stokoń. Gruby? Taki już jestem... No, z tej procy od bidy można jeszcze postrzelać. O, w tego gołębia! Napuszony gołąb spacerował po dachu i nie zwracał uwagi na przelatujące kamienie. Podniosłem kamień i cisnąłem gołą ręką w stronę ptaka. Gołąb spadł, chłopak przysiadł ze zdumienia a ja stęzałem. Też trafi, przeczyście! Mógłbym konać z głodu w puszczy i coś podobnego by mi się nie zdarzyło. Z wendy wyjrzalo dwóch kabokli i patrzyli na mnie z otwartymi gębami. Młody Stokoń ochlonął i przyniósł gołębia za skrzydło. Wszliśny obaj do wendy, kabokle rozstąpili się z szacunkiem. Zza lady wyszedł tegi mężczyzna o nalanej, niernuchomej twarzy i pytająco patrzył na nas. Chłopak wyczuł coś niedobrego, bo rzucił gołębia i zaskrzeczał:

— To nie ja, ...to ten pan!

Mężczyzna powiedział z trudem i powoli:

— Co to pan wyprawia, to rasowy gołąb, poco to było?

Poczutem się idjotycznie, kilku ludzi spoglądało na mnie, za ladą sterczał Suchodolski i też się patrzył.



MOI TOWARZYSZ



WYDOBYWANIE „BICHOS DE PÉ”

— Wicie pan, to przypadek... Mogę zapłacić, cisnąłem kamicą na chybi trafi!

Zapanowało milczenie. Podszedł Suchodolski, poruszył nogą gołębia i powiedział:

— Trzeba go zabrać do kuchni. Nudzi się pan czy co? Trudno... A ty z tą procą wytnij mi się, jeszcze komu oko wybijesz!

— Ile taki gołąb wart, ja chcę zapłacić — zagadnąłem niepewnie.

— Niech pan już zostawi, szkoda mówić — odpowiedział Suchodolski.

Wybąkałem coś, przepraszając i, nie zatrzymywany, wymknąłem się z wendy. Szedłem w fatalnym nastroju, jakiś speczony tem bzdurnym zdarzeniem, ośmieszony. Zrobiło się ciemno, wokół nikogo, droga do chatupy Smyków stała się dla mnie tajemnicą. Do wendy nie wrócić, spaliłbym się ze wstydu. Co im na tym gołębiu znów tak zależało? Dziwnie! Tużkłem się w ciemnościach po oślizgłym gruncie, otoczony poruszającymi się brykami. Coś tu jest niepokojącego. Przekłęty los, same idjocyjne przypadki. Nagle musiałem przystanąć przed czemś, co mówiło:

— A ty szelmo... zimno ci tu, paś się paś... a ty kosmatku... tytyty!...

— Kto tu jest! — wrzasnąłem.

Spod nóg równocześnie: coś się wyrwało, beknęło i dało susa w czerń. Jednocześnie wydłużyła się ludzka sylwetka.

— A to pan, panie... co pan tu robi?

No tak, to był Grzeszczeszyn, stał przy mnie, mówił:

— Wyszedłem pana szukać, bo tam z kolacją czekają, a po drodze spotkałem kozę, a ja lubię — panie — zwierzęta domowe i nie mogę wprost przejść, żeby się trochę nie podroczyć. Chodź pan do chatupy, za mną, bo mi pan jeszcze wpadnie w jaką dziurę.

Poszliśmy. W głowie tłukły mi się jakieś nieopanowane wnioski; — dziwactwa, swoją drogą! Powiedziałem Grzeszczyszynowi o tym gołębciu.

— A, toś pan celny... no nie, oni tak — wie pan, aby coś pogadać, ja to załatwię. To Srokoń z panem mówił. On jest trochę sparalizowany na móżdgu, opieszaty taki... Dopiero kilkanaście sekund minie, zanim uswiadomi sobie co pan do niego mówi, jakoś to się nazywa w medycynie... A było to tak: miał on wende w Palmitalu i tam w nocy przyszli do niego kabole żeby wziąć na kredyt, nie chciał im dać, na to oni obili go w straszny sposób, potem powiesili za nogi — uważaj pan, bo tu jakaś woda... o, cholera!... Wzięć całą noc wisiał, dopiero go nad ranem zdjęli, i teraz taki kaleka, ale to porządny chłop... tylko syna; — ten chłopak, to był jego syn — ma trochę chorego... to chyba ze złej przemiany materji, — o, już, to światło, to u Smyków... Chłopak waży ze cztery pudy... My z tym gołębciem jutro załatwimy, może się pośmiać z pana chcieli, tutaj często trafiają się hyzjowiaci ludzie... Chodźmy, bo tam się już nazbierało kupa chłopca, zobaczysz mnie pan przy robocie!

W pokoju, gdzieśmy w południe jedli obiad, siedziało w żółtej pościacie naftowej lampy z szczęciu mężczyzn; paru na ławie, dwóch przy stole, jeden stał z czapką w ręku. Siedzieli w dywanie, po chłopsku, niewygodnie i ciężko. Wcisnęliśmy się między nich pomacawszy zgrubiałe i szorstkie łapy, Smykowa podstawiła nam talerze z jadem, jedliśmy tylko we dwóch w tej — nieomal — ciźbie, w dusznym pogwarze chłopskich rozmów. Opowiadali sobie najrozmaitsze przypadki, czasem zarechotali śmiechem. Najwięcej mówił chudy, szczeniły na twarzy czło-wieczek o blyszczących oczach, zapadłych piersiach, pokaszują-cy w swem bronzowem, miejskiem ubranku; w ważniejszych momentach wstawał z krzesła z palcami w kieszonkach kamizelki, i wtedy spod wkleśłych piersi wydarniał się malenki, za-

hawny jak u tak chudego człowieka — brzuszek. Mówił po wicowemu, „dokumentnie perswadując“. Grzeszczyszyn z gębą pełną kapusty, wpluł mi do ucha razem z jadem informację, że to jest kierownik okręgu „Junaka“ — Janicki. Spod ściany spoglądał na mnie opasy, czerwony na gębie syn Smyków, rzezniak, jak mi wyjaśnił łakomy Grzeszczyszyn. Całe to zebranie nosiło charakter wymiany myśli z nami, lekko konspiracyjne-go spotkania. Odsunęliśmy puste talerze, zapaliliśmy popijając kawę, wsłuchani w gawędy. Z wesołych rozmów począł się wy-laniać poważny temat tyrczący księdza Kietły. Janicki mówił:

— A co to mi za świętobliwy duchowny, który niczem zandarm jaki jeździ na koniu od kościoła do kościoła, od kaplicy do kaplicy, i odprawia te msze na patatajkę, po dziesięć na niedzielę, rewolwer nosi pod kiecką, gdzie może podburzy, lu-dzi traktuje jak stado baranów, też diabeł wie skąd takiego władę nam nanieś! I to oplacaj mu się jak jakiemu dziedzicowi, bo inaczej piekłem grozi jak za jakich średniowiecznych czasów. Kiedyś tu się spotkali z Kubistym w stowarzyszeniu. Kietła patrzy na ścianę gdzie wisi portret Prezydenta i, dalej-go — powiada — zdjęć ten portret, tu te rządy nas nie do-chodzą, tu Brazylja a nie Polska! Tak Kubisty już się do bicia zabierał, tylko Kietłę baby kieckami zasłoniły, boby go tam, tego całego duchownego, Kubisty obil jak się patrzy. Żeby to siedział na plebanji, co tam babom potrzeba z kazalnicy w niedzielę powiedział, nabożeństwa odprawiał, a nie wtrącał się w sprawy społeczne, nie jątrzył ludzi! Junacy — powiada — to sami masoni, w Boga nie wierzą i pod przykrywką sportu komunizm odprawiają. A przecież sami wiecie, co ten Junak znaczy dla naszej młodzieży! Młodzież naszego wychodźstwa organizuje się, uczy się obok tężny fizycznej myślic po polsku, nie zatracca kontaktu z matczyną. I oto tego się te klechy tutaj dociepią, że chłop polski przyjdzie po rozum do głowy i wygna tych darmożjadów na zbity łeb...

Janicki przysiadł ze zmęczenia, zakasłał się i obtarł czoło chustką.

Siedziałem zahukany tym potokiem słów i chociaż czułem, że ten człowiek mówi jakąś prawdę, w gruncie rzeczy nic mnie to wszystko nie obchodziło. Nieważne sprawy nieważnych ludzi. Grzeszczyszyn przycupnął w kącie z neutralnym uśmiechem na swej charakterystycznej twarzy. — I oto wybrałem się w podróż, w przygodę... Po chwili milczenia charknął syn Smyków, objechał łapą po obfitej gębie i zaczął:

— Tutaj oni chcą ten chłopstwem za łeb wodzić bo w kraju już u tego chłopstwa żadnego posłuchu nie mają. Tak się tu i zjechali. A poczynają sobie z nami jak z jakim bydłem, jakbyśmy oczy w portkach mieli. Już z niczem się nie liczą! Taki Weiss, werbista, ze szwabów, psia jego mać!... Kawalerzysta — łapie konia i pędzi galopa trzydzieści kilometrów, koń mu pada przed kościołem, a on do chłopów powiada: „o, widzieliś bydlę padło a ja na czas zdążył służyć bożą odprawiać“. I śmieje się, i włazi do kościoła jak do jakiego biura. A tu wiadomo, koń czy inne bydlę to dla chłopca jakby członek rodziny, to żywiciel, i jak z tem niewinnem bydlęciem taki miłosierny duchowny postępuje. Ale to jeszcze nic! Po mszy każe sobie przynieść puszki z datkami i pieniądze na oczach wszystkich, na ołtarzu liczy; — jak jaki kabokło w wendzie. Tak, jakby tego nikt nie widział! A to przecież i wstydy człowiekowi, że go za takiego ciemnego uważał!

Znów przycichli. Argumentacja, rzeczywistość — sugestywna. Właśnie Grzeszczyszyn rzucił niepewnie: — „Książdz też jeść musi“,... kiedy do pokoju wszedł boczkien młody chłopak, blondyn z loczkien na czole i ludzie zaraz umilkli. Młodzieniec szarmancko mi się uklonił, mocno uściśnął rękę, rozsiadł się swobodnie i powiedział wesoło:

— Te ateusze, to pewnie panu tutaj życie zatruwają swemi bajdami! Oni myślą, że tutejszy książdz, to to samo co w Polsce,

gdzie jest porządek i jakaś wiara. Tutaj książdz jest jak zolnierz na posterunku, musi być twardy, surowy i bezwzględny. W takiej spiekocie objechać konno kolonję, kilka mszy odprawić, a często ledwo wróci do domu, znów go do chorego wolażą na jakie czterdzieści kilometrów. To jest twarda służba misjonarska, pełna poświęcenia, nie jakiejś tam kariery. Co oni tu wygadują na Kietę? Że chce założyć kooperatywę w Hervalzinhoh! Przecież on sobie tego nie zakłada, tylko żeby usunąć wyzysk wendziarzy. Dalibyscie lepiej spokoju, drodzy ludzie!

Grzeszczyszyn wygodniej usadowił się i powiedział:

— To święta prawda, co pan nauczyciel Stachurski mówi. Książdz jest potrzebny prostym umysłom, boby sobie rady już choćby w moralności nie dali!

Janicki podniósł się czertyony na twarzy:

— Co wy tu gadacie, myślny nie to ciemne chłopstwo z Polski, my sobie własną moralność ustanowimy! Jak tu w początkach chłop gnił z nędzy i robactwa, jak karczował te lasy wiekowe, to wtedy tu księży nie było, przyszli dopiero na gotowe!

— Oj, to prawda! — powiedział z kąta stary Smyk.

Rzecznik znów się poprawił w sobie, charknął i rzekł:

— Pan Stachurski, to szpieg Suchodolskiego; oni się kochają i obaj chcą nam dać rady!

To zdanie zamąciło bieg moich myśli do tego stopnia, że wtrąciłem:

— Jaktó, pan Stachurski twierdzi, że Kietla poto założył kooperatywę, żeby uchronić ludzi od wyzysku wendziarzy, a pan mówi, że to szpieg Suchodolskiego? Nie rozumiem! Przecież pan Suchodolski ma wende!

— A no właśnie, — wyszeptał Grzeszczyszyn, — właśnie. To jest właśnie taka kombinacja, że tam Kietla już do spółki z Suchodolskim coś politykują!

— A ja panu powiadam! — wrzasnął Stachurski w moją stronę — że pan tutaj dostał się w grono ludzi, którzy nie mają nic do stracenia, umięją tylko mącić wodę i chcą aby pan stąd wyjechał z informacjami, które im będą na rękę!

Oderchnąłem, ale nie z ulgą. Oni mnie tu biorą za kogoś oficjalnego. Pomyślałem, jakby im to wyjaśnić, ale zaraz ogarnęła mnie mdła nuda i poczucie idiotyzmu sytuacji, że zwieśnię głowę i dopiero wtedy ją uniosłem, kiedy Janicki ze Smykiem zabierali się wyrzucać wzburzonego nauczyciela. Ten jednak sam się wymknął z pokoju, zlorzcząc z przejęciem, godnem dramatu, a nie tej chamskiej kłótni.

Rozdzieleni chłopci skrecali pajowce, z okna wiał podmuch parnej nocy, w krzakach zaskrzeczał kogut jakby dławiony. Janicki przysiadł i powiedział do mnie:

— Widział pan te nasze sprawy?

Kiwnąłem głową obojętnie. Jeszcze trochę pogadali i poczuli się rozchodząc opieszale, z niewyraźnymi minami. Janicki podał mi rękę i powiedział na odchodnym:

— A niechno pan do mnie zajdzie jutro, wyjaśnię panu jeszcze wiele rzeczy.

Coś mu tam bąknąłem, wstałem i poszedłem do swego pokoju. Zapaliłem świecę, wzięłem z okna grubą książkę do na-bożeństwa, prawdopodobnie lekturę bohatera dzisiejszego wie-czoru, księdza Kiełty i poczytałem przeglądając co tam napisano. To pewne, że układał te wiersze zły poeta. W litanii do Matki Boskiej nazywają tę niewiastę „wieżą z kości słoniowej“. Bar-dzo zła i materialistyczna metafora. Gdzieindziej były zdania: „Wino kosztowne, czystość panięską ochraniając“. — Co to jest?! Albo: „Manno niebieska zakryta! Podróżne zasilenie w Panu umierających!... Jezu przez Twe w niewinnym wieku obżeczenie, Racz w sercu mojem zglądzić światowe kochanie!“ I jeszcze: „Naczynie poważne, Naczynie dziwnego nabożeń-stwa!“ Co też tu powypisywali! I to jeszcze w tem wszystkim

tyłe złota, kości słoniowej, bogactw wszelkich! Ta zachłanność! Chyba ci chłopci mają rację. Oto los, trudno się zdecydować. Wierzyć nie wierzyć — w co wierzyć? Położyłem książkę na dawnym miejscu, nie moja rzecz ją recenzować.

Wyszedłem przed dom, który podlewał Grzeszczeszyn wzdychając jak utrapieniec. Otaczała nas gęsta czerń. Pies skomlał w przybudówce, Grzeszczeszyn wyszeptał, sapiąc:

— Chyba burza spadnie tej nocy i drogę nam zmoczy, ale to nic, bo pewnie dalej konno pojedziemy, tylko skąd tu wziąć konie?

— Kupić trzeba będzie, nie można ciągle pożyczać!

— Ano zobaczmy, może Suchodolski nam sprzeda... Wi-dział pan, jacy tu zbuntowani ludzie? Ile tu chwastu ludzkiego narosło? Ale nic, jedziem dalej... masz pan ognia?

— Mam — odpowiedziałem cicho.

— Przydałaby się jaka dziewczuszka — szepnął mi prawie na ucho.

— Ach, co pan opowiada, tu w tej dziurze?

— Właśnie; tutaj w hotelu są, ale jedna z nich to kochanka Benjaminą Branco, lepiej nie zaczynać. — Pozostają kozy.

— Cóż, pan zdaje się dzisiaj uciął sobie romansik z jedną...

— Właśnie, a pan myśli, że nie ma takich co lubią kozy? Pfiu, panie!

Zorientowałem się, że wystawanie w nocy przed chatką — i to w takiej ciemni, — oraz prowadzenie podobnych rozmów świadczy o mojem rozprężeniu duchowem.

— Chodźmy spać, gadamy głupstwa — szepnąłem.

— Ano chodźmy panie, burza będzie jak cholera, o, tyska się nad Suchodolskim.

Rozstraliśmy się.

Powoli rozbiierałem się w dusznym pokoju, brudny blask świecy pelgał po ścianach, książka do nabożeństwa kuszyła ta-nią teologią z parapetu okna, za drzwiami usłyszałem cichutkie

postękiwania, wyrzaczem: Grzeszczeszyn stał przy oknie w kosiach i długich kalessonach z tasemkami, drapał się po pierśiach, z twarzą zmiętą, jakby nasłuchującą. Zgasłem świecę i popadłem w senne odrętwienie, ocknąłem się w porytku wichury, byskawicach i stukocie kropel; jakgdyby ktoś grochem sypał w szyby okna. Gdzieś tam pies skuczał przeraźliwie; coś zakwaczało. Spokoju, psiakrew, spokoju!

A rano był spokój i słońce. Siedzieliśmy przy śniadaniu, kiedy wszedł Stachurski i narzekał, że burza zniszczyła mu krzaki truskawek, a kozy tak dobiły się do drzewi, że gdy zeszedł nadół i tworzył, to wpadły z takim impetem na korytarz, że omal go nie obaliły. I że w każdą burzę ma z temi kozami kłopot. Koniecznie upatrzyły sobie szkołę; biją w drzwi kopytami, bodą, dopóki im nie otworzy. Stachurski próbował nawiązać do wczorajszego zebrania, ale przerwałem mu energicznie, że te sprawy są mi obce i dalekie, i raczej denerwują mnie niż ciekawia. Zaczął fiukać i powiedział: — „To trudno!” — Dziwiłem się sobie, jak wobec wielu ludzi napotkanych w mej podróży, zachowywałem się oschle lub niegrzecznie. (A taki to miły chłopiec był w Warszawie!). Prawie ciągle czułem się naładowany złem, czułem w sobie jakby jady, w głowie czad; słowem niechęć do wszystkiego. Ale poza tem złem samopoczuciem — klimat, czy co u licha! — działały się przeciw te sprawy rzecczywiście; — nie zmyśliłem ich. A więc — chyba — począwszy od Grzeszczeszyna, a skończywszy choćby na Stachurskim, nie były to postaci, którebym chciał specjalnie oczerniać! Jakaś głupota w tem wszystkim tkwiła, niewątpliwie! Powiedzmy sobie otwarcie, że nie poto jedzie się dwanaście tysięcy kilometrów morzem, aby spotykać się z podobnymi ludźmi i kwestjami. Pragnąłem narzeczcie coś zobaczyć, czems się zachwycić.

Stachurski widząc, że nie nakłoni mnie do rozmowy, — w jego pojęciu istotnej, — zaczął mówić o swoim życiu tutaj,

że się marnuje, chciałby się ożenić, ale to wszystko takie chamsstwo zbozaccane...

Uboństwo jego myśli, jego dążeń było zastanawiające. Uszedł w końcu, zapewniając, że się zjawi popołudniu. Wrócił jeszcze i powiedział, żebyśmy zaszli do niego na lekcję, zobaczyć jak się dzieci uczą. Obiecałem, że tam przyjdę.

— Pójdziemy chyba rozjeździć się trochę w okolicy? — zwróciłem się do Grzeszczeszyna.

Zgodził się, był w pogodnym nastroju.

Mogła być jakaś dziewiąta rano, słońce już wysuszyło ślady nocnej ulewy, robiło się gorąco, ale nie odczuwało się dużej wilgoci w powietrzu. Po wytyśnięciu, nierównym gruncie plaćcyku, włóczyły się kozy, zjadając jakieś badyły, nędzną trawkę; zamiast pójść kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie było znacznie ciekawsze menu. Na krańcach plaćcyku, naprzeciw siebie stały: szkoła, piętrowy, drewniany budynek i obszerny dom Suchodolskiego. Przed wendą stało już kilka koni; kabokle swoim zwyżaniem wystawali przy wejściu, pałac i gawędząc. Mniejsmy wendę, potem aptekę z gankiem obróśniętym winem i zapuściliśmy się wdół, poprzez gęstwę, ku rzece. Grzeszczeszyn uciął sobie wic, smagał nią po zaroślach, gwizdał, podskakiwał. Las był mroczny, pachniała wilgoć. Mchy i paproć gęsto porastały zbutwiałe pniaki i korzenie. Liany owijały się wokół olbrzymich pni; pnie te porastały kępy pasorzytów, gdzie indziej w seledynowej smudze słońca lśnił czterwienią kwiat. Zrzadka odzywały się głosy ptaków. Zatrzymaliśmy się nad pochylnością, i wdole, poprzez gęstwę ukazała nam się dość wąska rzeka. Narzeczcie coś przyjemnego! Od tego widoku było dziką samotnią, tęsknym urokiem, znanego mi z opowiadań dorzecca Iwahy. Slizgając się na obcasach, zeszliliśmy na stromy brzeg, miejscami nawisły zawilcami, utrudniający dostęp do wody.

A woda płynęła wolno, z powagą wieków, unosząc zeschle liście, pogniłe trzciny, kawałki kory drzewnej i patyki. Było cichutko, kojąco.

— Tu gdzieś powinna być łódka — zamruczał Grzeszczeszyn.

Wgapiliśmy się w zarośla, szukając łódki. W krzakach coś zatrzeszczało i wychylną swinia; wesząc ryjem zerknęła chytrze w naszą stronę i szusnęła w gąszcz. Odechnąłem z ulgą, bośmy w domu zostawili rewolwery. Narzeczcie uwagę moją zwrócił wystający spod skarpny kawał drzewa z żelaznym kółkiem.

— O, jest łódka! — zawołał Grzeszczeszyn.

Ale łódka przymocowana była łańcuchem do drzewa.

— Idź pan do Suchodolskiego, to panu da klucze! — zawołał Grzeszczeszyn.

— Wybacz pan, ale jako inicjator wyprawy powinien pan wiedzieć coś o tej łodzi... Przechodziliśmy przecież koło Suchodolskiego.

— Aa, pan to zawsze...

— Ehei! Czekają panowie na tramwaj?

Z przeciwległego brzegu krzyczał wysoki mężczyzna w wielkim kapeluszu, wążąc właśnie do łódki. Grzeszczeszyn się uradował:

— O, widzi pan, że dobrze jest! Panie Wójcik, jedziemy do pana, z wizytą! Zabierz nas pan.

Pan Wójcik stojąc, drżeniem odpychał łódź w naszą stronę. Był rudawy, rzęsy miał białe, w ustach trzymał fajkę. Oczywiście się śmiały spod karczastych brwi. Jadąc mówili:

— Gdzie też pana nie nosił! Aż tu, nad Iwahy pana zapędził! A kogo to pan ma przy sobie!?

— To pan Łoniowski, pański kolega po fachu!

Wójcik wyskoczył na brzeg i przywitał się z nami. Przyemie mnie zauważyłem, że moje nazwisko nie było mu obce; znał je z gazety kurytybskiej.

— Będzie pan pisał o Iwahy? Blagam pana o to! To najbrzydsza miejscowość na kuli ziemskiej! Rzeczywiście jesteśmy

trochę kolegami, ja pisuję do „America Echo!“... No co! Władzimy spowrotem, pojedziemy do chatupy, lubię takie wizyty! — Intelligence Service Brazylii, znakomity Szerlok Holmes, o czem wszyscy wiedzą — Grzeszczeszyn i literat z Warszawy. Ładnie ja będę wyglądał, czy aby żona zdąży pochować zrabowane skarby... Jestem — uważa pan — piratem Iwahy! Panie Grzeszczeszyn, nie zdejmuj pan w łódce buta, bo nas zamroczy i wpadniemy w paszcze krokodyli!

Rzeczywiście mojemu towarzyszowi znów się coś przydarzyło w nogę. Oddychając kolejno bardzo brudne palce wyglądał w tej łódce kaleko i niemilo. Tymczasem płynęliśmy do brzegu. Wójcik nie przestawał czarować mnie swym humorem, mrugając porozumiewawczo. Wogóle zachowywał się jakby nas coś łączyło, pewna wspólnota, wobec której Grzeszczeszyn jest samem tylko nieświadomem ograniczeniem. Och, gdybym mógł odbiec i rozchyliwszy zarośla przyglądać się tym trzem panom w łodzi! Uprzejme miny tych dwóch, trzeci chciwie wpatrzony w umorusane palce nogi, łódka-pychówka, to dekoracyjne: chłodny egzotyizm, wiszary nad czarną rzeką... Dokąd zdążają!?

— No, a teraz pójdziemy na piechtę do mojej chatupy — wykrzyknął Wójcik, cumując łódkę do drzewa.

Wyskakiwałem pokolei, jak krótki ze skrzyni. Grzeszczeszyn wciągnął but i stanął na lądzie z miną człowieka, który szukał lecz nie znalazł. Zaczęliśmy piąć się niewyraźną ścieżką pod górę. Wójcik nawiązał z Grzeszczeszynem rozmowę na temat swego osiedlenia się tutaj.

— Włęc tak, mój panie! Graty na wóz, babę i dzieciarnię na sam czubek, dudki w kieszeń i takem puścić się przed siebie. Zajechałem do Terezyny; — jest góra do nabycia... i kawałek rzeki. To lubię — pomyślałem, niechże i ja mam na własność trochę wody. Roboty było dużo, ale jakoś zem się usadowił. I wszystko byłoby dobrze, tylko przetrzął się uczuciem pokrewieństwa i sprowadziłem z Polski mego szwagra, Ja-

nickiego... tak, tego samego! Ano, djabli go wiedzieli, że to taki działacz ludowy! Póki ja się zajmowałem temi sprawami, to jakoś tam szło, przynajmniej klechy nie mieli tyle powodów wyklinania nas z ambon. A ten mi wszystkich ludzi przechylił na swoją stronę, zaczął tu wiece uprawiać, w końcu już wszyscy dają mu się za łeb wodzić, a ja tu zostałem z pustemi rękami, bo mi przecież ambicja nie pozwala przyłączyć się do nich, a i z księżmi się nie zbratam. I teraz ni pies ni wydra! Ten tam harcuje społecznie.

— A gdzieżś załaza, ścierwo rogatel! — krzyczał Wójcik na krowę ukrytą w gąszczu.

Bydłę niechętnie ruszyło z miejsca, dopiero Wójcik jął ją okładać po koscistym zadzie, tak że w końcu ruszyła niezgrabnym galopem pod górę. Wójcik zaczął dalej mówić o Janickim, ale w jego pobłażliwym tonie i wogóle: „bawcie się dzieci, bawcie” — czuło się jąd gniewu i zgorzkniałość. Wreszcie przerał.

Zza kilkunastu krzaków bananowych wypetziła pokraczna chałupka, przykucnięta niby pies, bo odprzodu opierał się na dwóch słupach. Wokół tych słupów petzało na czworakach dwoje płowowłosych dzieci, zniertuchomiarych na nasz widok. Niedaleko siedziało żółte cięle, przywiązane do skartowatego drzewka. Podpartą słupami część domu łączyły z ziemią delikatne schodki, na schodkach tych siedziała szczupła kobiетка i coś ceterowała na szklance. Tchnęło od tego osiedla niepotrzebnym prymitywem, czemś między niedbalstwem a nędzą, a przede wszystkim zielonem pojęciem o budownictwie. POCO to było budować ten szałas na pochyłości, podpierać go jakimiś słupami, skoro obok świnie rły równiutki placyk, wymarzony do budowy. Czulo się tutaj rękę człowicka, który gardzi mieszczamskim salonikiem z kolorowemi kulami szklannemi na komo-dzie, a który lubi życie romantyczne, prymitywne, pełne owych codziennych, rozkosznych zajęć kolo inwentarza, zabawnych

niewygod. Choć stać go na lepsze, hoho! Na liściach bananów wisiaty świeżo uprane kolory, zresztą liście te poplamiłone były wapnem. Wszędzie było mnóstwo śmiecia, prasiego i bydlęcego łajna, słowem jakby paskudna choroba usadowiła się w potężnym, dziewiczym lesie.

Wójcik zbliżał się do swojej zagrody lekkiem krokiem trampa, szerokim ruchem dłoni powitał zdaleka kobietę, dwoje jasnowłosych szatanek usadowił sobie na rękach, stanął naprzeciw nas, głową pokiwiał wkoło i rzekł z radosnym uśmiechem, poprzez fajkę:

— Oto mi panowie — życie, naznaczciez mi cenę, abym je zmienili!

Obrócił się do kobiety:

— Stasienko, oto pan z ojczyzny — rodak! przyjmijże go godnie w naszej posiadłości. Grzeszczyszyna znasz, bo któżby go nie znał! Niestrudzony badacz obycajów tej ziemi.

Uściskałem drobną dłoń niewiasty, o pokłótych igłą palcach. — No, panowie, wejdźmyz do wnętrza! Robak! piuf, piuf! gdzie jest Robak! chodźże tu, łamago.

Spod łózka wypetziło bronzowe zwierzątko, komiczna niezgrabna; — mała wydra o ruchach niewspółmiernie słamazarnych w stosunku do żywotności z jaką się poruszała. Obsząpiliśmy ją we trzech swemi buciurami; przewalała się po nich konwulsyjnie. Dzieci z ramion swego ojca mrużyły oczy ze znużenia. Zawsze się źle czułem w ograniczonej przestrzeni, ale pokoił w którym zasiedliśmy, był tak maleńki, że odrazu poczerwieniałem na twarzy. Przez szpary w podłodze widziałem różne śmieci. Pani Wójcikowa przyrzędziała nam kawy i pijąc ją, odprawałiśmy wizytę. Na prośbę Wójcika musiałem mówić o sobie. Opowiadałem o swoich wrazeniach w Brazylii, Wójcik patrzył mi w oczy i ciągle powtarzał: — „Acha, ach, no tak, rozumiem... a jakże!” — Grzeszczyszyn postękiwał i poruszał prawą nogą. Przerwałem swoje głądzenie i zagadnąłem go:

— Cóż panu jest, co pan się wierzci?

— Ach, panie, palec mnie piecze, zapalałem pewnie biszpi! Wójcik wstał ze słowami: „Zaraz my go tu zoperujemy...” Przyniósł wodę w szafelku i wyszłszy przed dom. Tutaj Grzeszczyn zdjął but, Wójcik polecił mu unyć porządnie nogę, poczem oparł sobie nogę Grzeszczszyna na kolanie i wskazał mi plankę przy paznokciu dużego palca. Szpicem małego noża przeciął powierzchwnie skórę i wyjął brunatny pęcherzyk z jakimś robaczkiem.

— Ach ty dranico, mruknął Grzeszczszyn, naciągając but.

— Moje dzieciaki ciągle mają tego pęcho — powiedział Wójcik. — Pan to już miał kiedy? — zwrócił się do mnie.

Odpowiedziałem, że jeszcze nie.

— To są takie pchły, nazwane tutaj „bicho do pe”; napapie się pan jeszcze ich dość. Usadawiają się zwykle koło paznokcia. Spoczątku nic się nie czuje, dopiero kiedy pęcherzyk z jajkami zaczyna rosnąć, zaczyna to świństwo dokuczać. — A teraz chodźmy, bo kawa ostygnie. — No i co dalej, mówize pan! Ale mnie się nie chciało już więcej mówić o byle czym. Grzeszczszyn, który się ożywił po operacji, delikatnie poruszył temat koni.

— Może pan się z nami wybierzcie, panie Wójcik... Ładna pogoda, przejdziemy się na faszynal, później pan sobie z końmi wróci, co?

— No, nie wiem... wybrałbym się ale z żoną, i to wozem, bo żona Psycha jest chorea, trzeba się wywiedzieć... Stasienko, wybrałabyś się z nami do Apucarany?

— Tak, wybierałismy się przeciez do Psychowej! Ona tam bez żadnej opieki, możemy jechać — odpowiedziała pani Wójcikowa.

— No to pronto, jutro rano, o ile nie będzie deszczu, pojedziemy po was furą; mieszkacie u Smyków?... Zrobione, możemy jechać!

Tak więc, musiałem ocenić organizacyjne zdolności Grzeszczszyna i celowość naszej wizyty. Chłopak jest miłczący i skryty, o zmiennem usposobieniu, ale dobro naszej podróży ma na względzie i jest dbały. Ostatnio jakby nieco wymial.

Sluchaliśmy teraz opowiadań Wójcika o legionach. Wspominał — owsem — z rozrzewnieniem; — ale z tego co się teraz dzieje nie jest zadowolony...

— W okopach inaczej żeśmy się umawiali — moi panowie! Denerwował go porządek i system. „Tak, wtedy to były czasy! Pierwszorzędna żołnierka. Napijmy się panowie!”

Wyciągnął butkę z winem pomarańczowem. Napiliśmy się, pogawędziliśmy jeszcze o nieważnych kwestiach, zbliżało się południe, zabierałismy się do odejścia. Pożegnałem smutną blondynę — panią Wójcikową i wyszłismy na ścieżkę. Uwieszona cięle doprowadziło nas pustym wzrokiem, strzygąc uszami. W kapucjrze zatrzeszczało; pisnęło i wyłoniły się dzieciaki. — Naprzekór pogłoskom o zmijach i tygrysach.

— Wynoście się do chałupy! — krzyknął Wójcik. — Albo nie, chodźcie z tatkiem odprowadzić panów.

Wracałem rozmarzony wycieczką i winem. Zupelnie jakbyrn odwiedził kogoś na wsi pod Warszawą, tylko tutaj bardziej prymywnie. Taki ten świat, wszędzie jednaki. Wójcik przewiózł nas na drugi brzeg; na czworakach wdrapałismy się po pochyłości, — Wójcik odjeżdżał, dzieciaki wychyliły się z łódki, ręce zanurzyły w wodzie... Wójcik odpychał się drągiem, fajka mu sterczała spod wielkiego kapelusza, cichutko się oddalali, pomachałismy kapeluszanami, przestaliśmy się widzieć.

— No, zdobyłismy lokomocję, byle dalej, byle naprzód — mówił Grzeszczszyn, kiedyśmy pięli się pod górę.

— A tak, to pan dobrze urządził — odpartem sapiąc. — Przy Grzeszczszynie pan nie zginiessz! Wyrwale przeprowadzę pana przez ten kraj wszere i wzduzi!

Miał rację, będę się go trzymał, o ile mi nie będzie wycyzniał

różnych szpryngli psychologicznych. Narazie aura między nami. Wyszliśmy na ścieżkę i po chwili miniliśmy pierwsze budynki. Tam, w lesie było dość chłodno i przytulnie, ale teraz weszliśmy znów w teren zamieszkały, a więc śmierzdzący, zakurzony, prażący się pod słońcem szarzyzną chatup. Wszystko było wydeptane i zięjące sennem odrętwieniem, niby te kury zagrzebane w piasku. Miniliśmy rozkraczoną dziewczynę, nie-mrawe czupiradło, fuszające kukurydżę na przyzbie. Grzeszczyszyn mało nie wpadł w krzak banana, tak się zapatrzył w ledwie mającą tajemnie jej kroczka. Kiedy go chwyciłem za ramię, spojzał na mnie ślepkami w słup i na policzkach miał rumieńce.

— Ale też, flondra panie — żeby tak siedzieć w biały dzień... No to, no to... zajdźmy chyba do Suchodolskiego?!

Weszliśmy do chłodnego wnętrza wendy, za ladą stał nie-ruchomo Srokoń i ruchami „au ralenti“ mierzył jakiś pstry perkal. Pokazał palcem, że Suchodolski jest w salonie, przy-czem uśmiechnął się do mnie zagadkowo.

— Jak się ma pański chłopiec? — zagadnąłem go przechodząc obok odchylonej deski w ladzie.

Chwilę uświadał sobie moje słowa i odpowiedział tym samym uśmiechem:

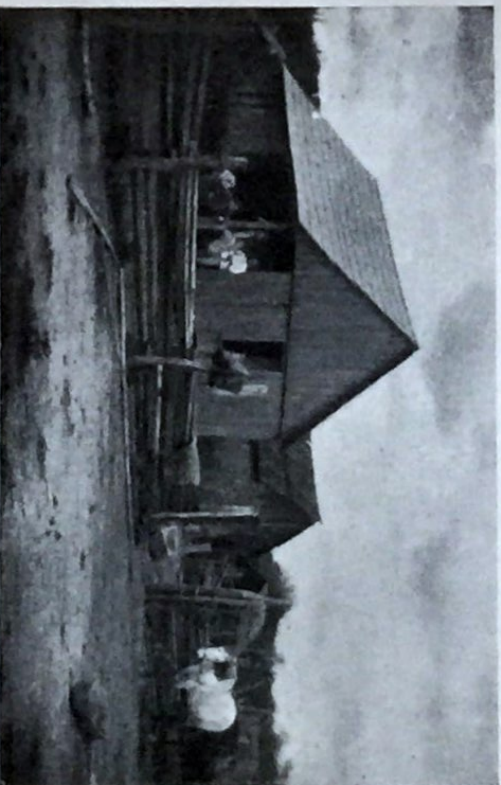
— A, on pana bardzo lubi po tym gołębiu... niech pan do nas zajdzie wieczorem, to zagramy w sześćdziesiąt sześć.

Obiecałem przyjść i przeszedłszy pracownię apteczną wszedłem do saloniku, gdzie Suchodolski siedział w leżaku z wyciągniętymi nogami i czytał „Illustration“.

— A, to panowie — wyszeptał bez entuzjazmu. — Siadajcie, szimaronu, co? Widziałem żeście szli w stronę rzeki, pewnie z wizytą do Wójcika? O, to fantasta, to fantasta, takich ludzi jest mało. — Sziko, przynoś no wody na szimaroni! Zatem siadajcie! Słyszalem, że tam panów wczoraj odwiedziła delegacja? To huncwoty i pijaki! Tak się ci ludzie marnują tu-



NA INDIJSKIM CMENTARZU...



DOM „KAPITONA“

taj... Pan rzeczywiście ma facha w ręku! Trafić tak kamieniem w ptaka... rzeczywiście — zdumiało nas to !

Siedziałem zasluchany i z niewyraźnym uśmiechem na ustach. Małomówny stałem się w tej Brazylii. Zastanawiając się tak nad samym sobą, skonstatowałem, że starałem się podczas tych wszystkich wizyt mówić jaknajmniej. Może trochę przesadałem, mając tych wszystkich ludzi za tak nieciekawych, że nie warto do nich mówić! Suchodolski zdawał się to zauważyć, bo powiedział:

— Niech pan coś opowie, my tutaj nie tacy dzicy; widzi pan, czytam po francusku, prenumeruję tu trochę pism z Polski... o, „Tygodnik Ilustrowany“, „Ilustrowany Kurjer Codzienny“...

— Czuję się nieco otumaniony tą podróżą i raczej nastawiony jestem słuchać a nie mówić — odpowiedziałem mu szczerze.

Pogładził dłońią włosy i na przegubie zaszmerły wisiorzki przy branzolecce.

— Tak, trochę pana rozumiem; teraz pan to wszystko przejmuję w siebie. Może pan sobie poogląda albumy z fotografiami, a ja tymczasem przejdę z panem Grzeszczyszynem do apteki, bo mnie prosił o zastrzyk malaryczny. Panu radzę brać chininę, pan Grzeszczyszyn już dawno nabył malarii. — Wyszli.

Gdy przeglądałem album, uderzyła mnie przeważająca ilość fotografii nagich chłopaków, w grupach i pojedynczo, bez spodenek. Zwraszcza jedno zdjęcie przedstawiało Suchodolskiego w otoczeniu kilku chłopców, stojących po kolana w wodzie. No cóż! Upały tu musiały doskwierać nieraz silnie, rzeka pod bokiem — dziwne to znów takie nie jest. Przejrzałem, odłożyłem album na stolik. W otwartem oknie lekko porusza się firanka, zdrzemnąłoby się, czy co... Wróćli, usiedli, Grzeszczyszyn trzymał się za lewą rękę, Suchodolski mówił, wygodnie rozwalony; — agent jakiejś faktorii:

— Nie jestem bardzo rad, że pan tu przybył, bo może pan tę miejscowość ukazać w niepochlebnej formie swoim czytelnikom, a jednak w tej pozornej ospałości coś się dzieje; słyszał pan wczoraj, że walczą, a walka jest twórcza... chodzi nam o podniesienie poziomu życia tutejszego kolonisty, należy go wychować, uzyskalem pewne wpływy, posiadam plan... Gdyby też postarał się pan to zrozumieć!

— Obawiam się, że przypisuje mi pan zbytne zainteresowanie się temi sprawami, a w gruncie rzeczy są mi one dalekie — odpowiedziałem. — Jeśli będę opisywał, to tylko swoje wrażenia i rzeczą czytelnika jest wierzyć mi lub nie. Wolę nawet, aby mi pan nie wyjawiał swego planu, bo ja przejadę tędy, wróćę do kraju i napewno zapomnę o szczegółach.

— A przecież musi pan zebrać pewien materiał literacki?
— Z ogólnych wrażeń wyciągnę wnioski i będzie to w mojem pojęciu najrzetelniej przedstawiony obraz, nie mogę się nicem sugerować.

Bawił się sygnetem na palcu. Nasza rozmowa miała charakter sztucznej powagi. POCO?

Wstałem aby się pożegnać. Suchodolski zdawał się być zadowolony. Chciał pewnie, pod pretekstem wyuszczenia pewnych spraw, przedstawić swoją działalność i władzę. Żegnaliśmy się i wychodząc razem z posylnikiem Grzeszczyszynem. Szpila jaką mu zaaplikował Suchodolski dawała mu się ciągle we znaki. W wendzie kupił dwie garści cukierków, pakował je do kieszeni ze zboloną miną. Srokoń jeszcze raz zaprosił nas na wieczór.

— To porządny chłop, ten Suchodolski, szepnął Grzeszczyszyn, kiedyśmy wlekli się niby dwaj maruderzy przez upalną pustkę placu.

Bezwolnie pozwoliłem się zaprowadzić do szkoły. Weszliśmy do sali. Stachurski rysował figury geometryczne na tablicy, dzieci wstały i grzecznym chórem odpowiadały nam: — dzień-

dobry! Usiedliśmy przy stole nauczycielskim. Przed sobą mieliśmy rzędy główek dziecięcych koloru słony; a tylko tu i ówdzie czerniły się łepki mieszanćców lub też poprostu brunetów; przeważało jednak „blond”. W lewych rzędach ławek jarzyły się wesole śleпка wpatrzonych w nas dziewcząt; w prawych — dzwiny — siedzieli ponure i nieufne chłopaki. Z lewej patrzano na nas ironicznie, z prawej krytycznie. Zapanowało milczenie. Byłem bardzo zażenowany. Wleźć jak intruz podczas lekcji wiadomo z jakiego tytułu i nadzieć się na czterdzieści par wyczekujących spojrzeń... nie jest to przyjemne. Spojrzałem na Grzeszczyszyna i trochę się uspokoiłem, bo zauważyłem, że to on jest centralnym punktem tych spojrzeń. Właśnie wstał z krzesła. Jasna czupryna nieomal zakrywała mu uszy i strzępiła się na kohnierzu koszuli khaki.

— No, dzieciaki! pogadamy sobie trochę. Podobam wam się czy nie?

— Podobal podobal! — zapiszczało kilka głosów.

— Oj nie! — zaskrzeczał głosik w tylnych ławkach dziewczynek.

— A to dlaczego nie? Chodź tu do mnie, ty, co ci się nie podobam!

Z ławki wygramoliła się tłusta dziewczynka na cienkich nóżkach i śmiało przydreptała do stołu.

— No, więc, dlaczego ci się nie podobam?

— Pan jest koślawy — odpowiedziała beztrosko dziewczynka i ukazała szczerbate ząbki.

— Gdzież ja jestem koślawy? Popatrz tylko!

Grzeszczyszyn wyszedł zza stołu i przesseł się przed ławkami.

Buchnął bezlistosny, z całego serca — śmiech. Podziwiałem Grzeszczyszyna. Stał na spoczynku, z rękami w kieszeniach spodni i śmiał się także. Istotnie, była to komiczna pokraka!

Stachurski stukał linją w stół, śmiejąc się także. Dziewczyn-

ka w podskokach wróciła na swoje miejsce. Grzeszczeszyn poszedł za nią i dał jej cukierka. Przyjęła. Poglaskał ją po głowie, stanął między ławkami i zapytał:

— Powiedźcie mi teraz, co to jest Wisła?
— Woda! — ponuro odpowiedział śniady chłopiec z pierwszej ławki.

— Ale jaka?

— Polska!

— A tak!... no... no dobrze, ale gdzie ona płynie?

— W Polsce!

— No, a duża ta Wisła jest?

— Duża!

— A długa?

— Oj, chyba długa!

— Ryby tam są?

— Chyba niema!

— Skąd wiesz?

— Albo są!...

— Co było nad Wisłą?

— Nie wiemy!!! — odpowiedziały dzieci chórem.

— Nad Wisłą był cud!

— Jaki... jaki?!

— Tam zęśmy Polskę uratowali od zalewu bolszewickiego!

— A jaki to... bolszewicki zalew?

Grzeszczeszyn podszedł do Stachurskiego i pochylił się nad nim:

— Wie pan, te dzieci niewiele umieją, trudno się z nimi dogadać.

— Tak, ale przecież mają po dziesięć, jedenaście lat; wszystko to tutaj urodzone, jeszcze czas mają na to.

Grzeszczeszyn usiadł obok mnie i zrobił: hmcho!...

— Trzeba będzie już pójść, — powiedziałem bezbarwnie.

Grzeszczeszyn wstał, powiedział: „Zaraz“, i poszedł między

ławki. Tam, niby jakiś dziwny wysłannik aprowizacyjny, począł posępnie dzielić cukierki. Dzieciśka nieufnie przyjmowały te dary. Stachurski wycierał tablicę.

— Dowidzenia, dowidzenia!

— Dowidzenia! — odkrzyknął nam chór okrutników.

Wychodziłem ze szkoły pełen wątpliwości co do talentu pedagogicznego mego towarzysza. O jakie sto metrów od szkoły mieszkał Janicki i w drodze do jego domu, Grzeszczeszyn zdążył mi wyrazić swą niechęć do systemu nauczania Stachurskiego.

— Panie, te dzieciaki nic nie wiedzą, są rozpuszczone, trzeba będzie to na zjeździe nauczycielskim poruszyć!

Zbliżaliśmy się do schodków, gdzie stał Janicki w bamboszach, z palcami przy szelkach, z wypiętym brzuskiem.

— A, rad jestem widzieć panów u siebie! Proszę do środka! Usiedliśmy w małym pokoiku, pełnym książek i pism. Tutaj Janicki podał nam szklanki z czerwonym winem, rozsiadł się wygodnie i w ten sposób przemówił, patrząc mi szybko w oczy:

— Panie kolego literacie! Przejeżdżacie przez te nasze placówki polskość, spotykacie różnych ludzi, którzy wam rozmaicie mówią o tem naszym życiu!... Ale każdy ma w tem swój interes, żeby wam to po swojemu oświecić. Siedzi przed wami człowiek już niemłody; poeta ludowy! Człowiek, któremu dobro ludu przedewszystkiem leży na sercu! Nazwisko moje nie powinno być wam obce!... Wasze zdrowie!... O tem, że my tu walczymy o porządek, słyszeliście już wczoraj! A teraz ja wam powiem o sobie, jaką sobie misję obralam!...

Znów myśla! O losie, czy nie masz nade mną litości!

— ...Ja tu jestem ten ambasador szerokich mas chłopstwa w Polsce, który ma je informować na ten temat, czy do Bratylji mają przyjeżdżać, czy nie! Ode mnie ta emigracja zależy! A więc będę się streszczał... w wasze ręce... Powiedźcie komu

trzeba i z kim tam będziecie w kontakcie, żeby mi władze dały odpowiednie plenipotencje, a ja tu postawię kolonizację na takim stopniu, na jakim ona być powinna. Tyle wam tylko powiem... Napijcie się jeszcze!... Pokażę wam swoje utwory...

Począł grzebać w papierach i wyciągnął kilka starych gazet kurybskich. Podał mi je ze słowami:

— My z panem Grzeszczczyńnem wyjdziemy pogadać trochę, a wy to przeczytajcie i jak wrócimy, to powiecie, co o tych poezjach myślicie.

Kiwnął energicznie na Grzeszczczyńna, ten chwycił szklankę z winem i patrząc na mnie z dziwnym lekciem, wyszedł za Janickim. W tej chwili zrobiło mi się serdecznie siebie żal. Rozpiąłem jeszcze jeden guzik u koshuli i w ten sposób powiększyłem dekolt, myśląc jednocześnie o tem, co czynię. Byłem tak oszołomiony i bezradny. Drugi działacz z misją! W gazecie byłoby poprawne wiersze o tęsknotach za Bożem Narodzeniem, za gruszą... Owszem, poczciwe wierszydła. Odłożyłem gazety i popadłem w gluche otępienie. Nie, trzeba przetrwać to oczekiwanie! Wybiegłem przed dom i zacząłem ohydnie kłamać. Słuchał z reklamami po napoleońsku. Wszystko powiem co trzeba!

— Te wiersze umacniają ludzi w ich ojczystych obyczajach! Są świeże i zdają się pachnieć razowym chlebem. Tak! Wszystko dobrze. A teraz muszę już pójść, bo mi trochę niedobrze od tego wina. Przyjdę jeszcze! Pogadamy! Bądźcie zdrowi!

Nieomal że bieglem; ale wzruszony „działacz z misją“ biegnął również i podtrzymywał mnie wpół ramieniem.

— Jesteście porządny chłop — mówił w biegu — znacie się na rzeczy! — O, ja was po oczach poznałem. No, dajcie się uściśnić po bratersku!

Przycisnął mnie do swego brzuszka. Ocknąłem się w swoim pokoju, zadyszany, na łożku. W progę stanął Grzeszczczyń i powiedział jadowicie:

— On taki społecznik, jak ja łyzwiarz!

Zaczęłem się nerwowo śmiać:

— Co pan mówi? Dlaczego łyzwiarz? — panie Grzeszczczyń!

— Ano tak się mówi! Niech pan słucha byle szariatatów, to pan daleko zajdzie. Że on wiersze pisze, to już mu pan podkadził! Zobaczysz pan jeszcze moją robotę, w drodze! Nauczysz pan się odróżniać człowieka z sercem od byle kombinatora!

Słuchałem pełen niepokoju. Przecież to wyraźnie scena za zdrósł! Stara się mnie pozyskać, zależy mu na mnie! Temu Grzeszczczyńnowi z Iraty, który mnie strofował i wydawał polecenia. O, jakże zmienny jest los! Zaczęłem go uspokajać... Że bardzo go cenię, że taki porządny i opiekuje się mną w podróży! Latami będę wspominał jego uczynność, odwagę, talent obcowania z prostymi ludźmi, jego ofiarne serce, a zwłaszcza umięjętność obcowania z dziećmi, że je tak umie rozbawić, rozruszać! Podszedłem i uściśnięłem mu rękę. Spowazniał i powiedział:

— No, widzi pan! Już ja pana poprowadzę takimi miejscami, że ten kraj będzie dla pana chustką do nosa, tak go pan będzie znał. I tak go pan opiszesz jak nikt jeszcze!

Poszedłem do jadalnego pokoju z myślą o obiedzie. Tyle wrażeń na dziś. Grzeszczczyń ciągle mówił o naszym zbliżeniu. Więć trochę się zmienił! Lecz okoliczności zmuszają mnie do blagi. Trudno, przekonałem się, że obojętnością i milczeniem nic nie wskóram, że mnie przymocą wciągają w swoje sprawy. O, banalny dramacie! Jaką mam tu rolę! Bzdura i nonsens! Staruszka podała tłusty obiad i zaczęłem dużo jeść. Zrobiło mi się nagle wesoło. Zaczęłem mówić o jutrzejszej podróży, o tem, że radbym jechać konno, za furą.

— Nie znoszę fury, czas się dłużyć!

Obiecał mi pomyśleć o koniu.
— Tylko co z siodłem? — Kupić — drogie, a potem co? Wyrzucić — albo odsprzedać ze stratą?

Długo mówił o tem siodole, temat ten ustroił jeszcze kilkoma anegdolkami; ton jego był poufny, starał się podkreślić nasz kontakt. Opart się wygodnie o stół, palił i gawędził. Robił kulki z resztek kartofli i okuchów chleba, stwarzając tem nastroj pewnej swobody. Słuchałem popijając kawę, a w jaźni mojej przykre zniechęcenie do samego siebie walczyło o lepsze z odurzeniem, które spowodowało beznamiętne — i sądzę, że nerwowe — objedzenie się wieprzowem mięsem z kartoflami... Ha, cóż! robi się ze mnie kłanczuch i obzartuch; leniuchem dawniej byłem, — wkrótce przejmę pijaństwo, i będę gotowym materiałem aby osiedlić się w Brazylii. Ziewnąłem i wstałem od stołu. Niegrzecznie, — bo poprzez ziewanie, — pozdrowiłem Grzeszczyszyna. I ziewając, proszę państwa! — szeroko ziewając, usnąłem na swem łóżku wędrownika, w to upalne, wieprzowe popołudnie brazylijskie...

... Usiądź tu księżo, zagram ci nowe melodie... Książd w czarnej sukni siada w mrocznej i chłodnej sali, niecypodał lśniącego czernią pianina. Przy pianinie tym siedzi wiołka niewiasta w białej sukni sphywającej delikatnymi fałdami na posadzce. Niewiasta ma czarne, gładko uczesane włosy z przedziałem i granatowe, wielkie oczy. Poczyna grać. Książd słucha, na czarny kohnierz sutanny opadają rozfalowane, jasne włosy, rzęsy ma białe, kędzierzawę, brwi golone, przeciągnięte niebieskimi krechami. Uroczy ten obraz, subtelne tony, zdolne uśmierzyć bitwę najzgorzalszą, przerywa biały wieprz, który z chrząknięciem wpada na salę, ślizga się kopytkami po posadzce, a za nim gna człowiek o dziwnie znajomej twarzy. Dama przerywa grę i dumnie powstaje od pianina. Twarz obcego staje się znajomą i... Grzeszczyszyn przypada do nóg księdza. Ten go gładzi po głowie i płacze. Wieprz opart przednie kopytka o kolana niewiasty, ona spogląda na zwierzę w zadumie. Rozlega się silne pukanie w drzwi. Wszyscy patrzą w tę stronę pytająco...

— O, macie tu, wyszukałem dla was tomik moich młodzień-

czych wierszy. Co, przerwałem wam sen?... Nie śpijcie po obiedzie; będziecie tyć i gnusnąć. Chodźcie ze mną na spacer.

Nad moim łóżkiem stoi Janicki z niewielką książeczką w ręku. Powoli spływa na mnie poczucie rzeczywistości, razem z nią uderza fala wściekłości do głowy, — zrywam się z łóżka, chwytam Janickiego za łokieć, obracam go ku drzwiom i serdecznym kopniakiem wyrzucam go za drzwi. Ciche domostwo napełniło się łoskotem, tupaniem i przekleństwami.

— Wynoście się, psiakręwi! — krzyczę. Jeszcze mnie tu będziecie nachodzić!

— Czyście zwarjowali!? — krzyczy Janicki.

Podskakuję do niego i daję mu jeszcze jednego kopniaka. Widzę zdziwioną twarz Grzeszczyszyna i przerażoną parę staruszków. Z ogrodu Janicki krzyczy:

— Wy się zapomniacie! ja was nauczył to tak się postępuje z człowiekiem, który przyszedł was odwiedzić! Gdybym ja tu miał broń przy sobie!

— Wynoś się bydlaku, bo ci gnaty poprzetręcam! — krzyczę w podnieceniu.

Zdaleka jeszcze słyszę zlorzeczenia Janickiego. W domu zrobił się dziwny nastrój. Stary Smyk pijąc szmaron zaśmiewał się, Smykowa płakała, piasek szczekał, a Grzeszczyszyn mówił z kąta:

— No, ale z panem to nieprzelewki!... no ale z panem to nieprzelewki!

Odebrałem kuję Smykowi, nalałem sobie wrzątku i pijąc szmaron powoli przychodziłem do siebie.

Wreszcie pędo! Struna mojej cierpliwości przeciągnęła się!... Dostałem się między stwory, niema co! — Dziwnym porządkiem tutejszych moich stanów psychologicznych, nagle fakt ten wydał mi się daleki i bez znaczenia. Wyciągnąłem z toby talję kart i zaproponowałem Grzeszczyszynowi partję szesćdziesiąt

sześć. Podczas gry próbował jeszcze komentować to zdarzenie, ale ostro mu przerwałem, że niema o czym gadać.

— On jeszcze się na pana zaczął ze smithem!

— Niech się czai, pies mu mordę lizał — wychodził pan, do pików!

Ta idyotyczna gra przeciągnęła się do kolacji. Tym razem, unikając podejrzanych snów, nie tknąłem mięsa wieprzowego, zadawałnając się kawalkiem chleba i porcją tłuczonych kartofli. Popitem to kawą i już było po wieczery. Oczekiwał nas długi, duszny wieczór, na sen nie miałem ochoty. Lokali rozrękowych, poza hotelem, jak wiadomo nie było, a w hotelu pokutowało groźne nazwisko Benjamin Branco. Mielśmy miny ludzi, którzy czekają aż ustanie zamieć, lub też wiatr wydmie zagle okrętu. Ponieważ rozmowa ze Smykami miała bieg ograniczony, postanowilem pójść do Srokonia. Grzeszczeszynowi było wszystko jedno, zgodził się mi towarzyszyć.

Cała miejscowość plawiła się w chłodnym skartacie. Idiotycznie rozbawione kozy skakały, bodły się. Na niewielkim skrawku wysiepanej trawki, przechadzał się Stachurski z książką w ręku i co pewien czas strzelał w powietrze ze lśniącego Colta. Skoro nas ujrzał, skręcił w bok, ścieżką między zaroślami. Przed hotelem, na ławce, siedziały nieruchomo dwie śniade dziewczyny i w przesadzonej czterwieni wyglądały jak zły obraz któregoś z kapistów. Ominęliśmy je starannie, poczem poprzez aptekę weszliśmy do mieszkania Suchodolskiego, ponieważ wenda była już zamknięta. Powitał nas nastrój wieczoru, jaki spędzają wszyscy ludzie o unormowanym trybie życia. Na stole paliła się nafotowa lampka, bo chociaż na dworze zmrok jeszcze walczył z zachodem słońca, to jednak w pokoju mogło być ciemno. Był to znany mi już salon Suchodolskiego, tylko jakiś — pewnie na skutek wieczornej pory — inny. Oprócz gospodarza zastaliśmy tam Srokonia i starszego subjektka — Brazylijanina, oraz psa. Wszyscy siedzieli i pili szimaron. Po kilku słowach, jakie zwy-

kle towarzyszą powitaniom, Suchodolski począł mówić przyjemnym głosem o mojem popołudniowem potraktowaniu ludowego poety. Wszyscy byli bardzo zadowoleni i patrzeli na mnie zyczliwie. Próbowałem im wytłumaczyć, że postąpiłem zbyt brutalnie i gwałtownie, że byłem podenerwowany, że snu... Ale oni tylko śmiali się serdecznie i powściągliwie, jak się śmieją starsze panie, kiedy ktoś popelni wesoły nietakt wobec nielubianej osoby. Podali mi szimaron, usiadłem i czulem się niewyraźnie. Subjekt wyszedł na chwilę i wrócił z butelką białego wina i talerzykiem pełnym lukrowanych, niesympatycznych ciasteczek. Popijałszy winko naprzemian z szimaronem. Wiedziałem, że wszyscy czują się dobrze, są zadowoleni, i pełen nieporządku psychicznego zazdrościłem im nieco. Srokoń wyjął bardzo powolutku karty z szufladki i zaproponował Grzeszczeszynowi oraz mnie grę w sześćdziesiąt sześć.

I tak rozpoczęła się gra, którą zniemawidziłem do końca dni moich. Odbynała się ona „au ralenti”. — Zanim Srokoń położył kartę i zgarnął lewę, można było sobie nieco pomarzyć. Aby nie nudzić się podczas tej gry, zastosowałem w przerwach opowiadanie anegdotek. Biedny Srokoń śmiał się zawsze z poprzedniej anegdotki. Był to w gruncie rzeczy przystojny, po prostu zbudowany chłop; swego czasu najlepszy pływak i siłacz w okolicy. W blasku lampy twarz jego była kanciasta, ponura. Nie bawiliśmy się nadzwyczajnie. Grzeszczeszyn fiukał, ja ziewałem często, dopiero kiedy Suchodolski zaczął mnie rozpytywać w kwestiach dotyczących arystokracji polskiej, trochę się ożywiłem. W tym napół mrocznym saloniku z lampą otoczoną ruchomym wianuszkien nocnych owadów, wpadających do pokoju z dusznym podmuchem brazylijskiego wieczoru, — wionęły z ust gospodarza nazwiska tak szlachetne, że aż lęk brał czy nie jest z naszej strony poufalością, siedzieć i grać w karty wobec tyłu świętych brzmień. W końcu padło nazwisko wymówione upojnie, poczem nastąpiła pauza i, wstrząsająca informacja:

— Tak, pani Walewska, to moja kuzynka... ale cóż to teraz znaczy, w tych czasach, gdzie byle pacholek przewodzi... również generał Zajacek jest moim antenatem... rody zanikają, wieki płyną... tworzą się nowe rody... A, co tam — panowie — gadać! Wypijmy za cienie ojców naszych!... Dziś! cóż! Jest się sklepikarzem na obczyźnie i jedynie wspomnienia są coś wartel! Wszyszcymy w milczeniu unieśli kielichy. Wypilem szybko i wyszedłem w młodkę karo.

— Tą młodką karo podegrał mi pan damę, — powiedział Srokoń, — kiedyśmy się zegnali.

Wyszliśmy, pies zaszczekał za nami kilka razy! W drodze powrotnej, w ciemnościach, Grzeszczyszyn rozpywał się nad tem przyjęciem:

— O, i w takiej dziurze napotkać można kulturalnego osobnika. Widzi pan, wruszył się, a przecież to wpływowy człowiek, wiele może... Oj, gęba mi się drze, człowiek się wyspi, a jutro w drogę, panie, panie... huuuua — ale żem zmachany.

— Miał pan o koniu pomówić!

— Aha, prawda... rano się załatwi; nie wypadło na wizycie mówić o interesie. Już dom, trzeba dobrze zamknąć drzwi, bo Janicki może szukać odwetu.

Kiedy zasypiałem, zdawało mi się, że Grzeszczyszyn wyszedł jeszcze na dwór. Westchnął i drzwi skrzyknęły. Rano ogarnął mnie nagły niepokój. Dzień wczorajszy wydał mi się jak po nadużyciu alkoholu. Sprawa z Janickim przedstawiała mi się diabło grubiańsko. Pewnie coś knuje, skoro dotychczas nie zareagował. Siedziałem przy śniadaniu naburmuszony. Przez okno widziałem Grzeszczyszyna, jak skakał przez skankę ze sznurka. Zatrzepotał palcami, skoro mnie zobaczył i zaraz przyszedł, rozspiewany, radosny.

— Wykombinowałem dla pana bura ¹ od młodego Smyka,

¹ Bur pochodzi ze skrzyżowania klaczy z osłem; poprostu — muł.

tego rzeźnika, siodło też zaraz przyniosą; stare, ale na jedną podóż wystarczy. Bura z siodłem przyprowadzi spowrotem Wójcik. Zapłaci się za wypozyczenie dziesięć milreisów. Bur tam stoi, pod drzewem, chodź pan obejrzyć.

Wyszliśmy przed dom. W cieniu stał bur, żuł coś i patrzył na mnie drańskiemu, skośnemi oczami. Trochę poweselałem. Wróciłem do pokoju i zabrałem się do pakowania manatków. Grzeszczyszyn mówił z drugiego pokoju:

— Czy aby się czego nie zapomniało... czy się wszędzie było...

Postawiłem torbę obok drzwi, nakryłem ją kapą i poszedłem do kuchni zrobić ze Smykową rachunek. Staruszka zażądała po dziesięć milreisów od osoby, cena wydała mi się nieprzesadzoną, zapłaciłem, podziękowałem za dobre przyjęcie, Smyk wetknął mi kuję z szmaronem, popiłem z kwadrans, pogadałem trochę o pieSKU; że urosnie, że to będzie dobry pies.

— Ano, będziemy widzieć — panie! — odpowiedział Smyk. Zjawił się wąży chłopak z jakimś rupieciami na głowie, zostawił siodło na progu i uciekł. Posiłem z Grzeszczyszynem siodłać burę. Wzdał brzuch, Grzeszczyszyn kopnął go w ten brzuch, wkońcu bur dał się osiodłać, ale ze wzdegiem bruchem. Jakoś się wszystko dobrze układało, bo zaraz podjechał Wójcik na furze. Strzelał batem, trąbił na dłoni. Na wozie siedziała jego żona i dwoje dzieciaków. Grzeszczyszyn wgramolił się na wóz, wziął ode mnie worek i kapę i rozsiadł się wygodnie. Powiedzialem im, żeby jechali, to ich wkrótce dogonię. Pojechali. Zostałem z burem.

Zachowywał się nieco dziwnie. Przeszł pował z nogi na nogę, trząsał głową, łypał ślepiami. Wsiąść niesposób — rzucił. Wyszłał Smyk i przytrzymał go za wędziłło. Włażłem wreszcie i poczęłem go kierować ku furcie. Poniosł mnie w krzaki, między drzewa, musiałem przytrzymawać kapelus, bo zawadzał o gałęzie.

— Musi się trochę przyzwyczaić — pomyślałem.

Zsiadłem i przeprowadziłem go za uzdę przez furtkę. Probowałem wsiąść: rzucił i podskakiwał. Podszedł Smyk, przytrzymał go, wsiadłem. Ogromnie ciągnęło go w stronę przeciwną, niż go kierowałem. Było bardzo gorąco i już się zgrzałem. Uderzyłem go dwa razy batem po pysku, przysiadł na zadzie i poszedł gdzie chciałem. Wypadało mi przejechać plac, tuż przed szkołą, aby wyjechać na drogę. Obok szkoły burzniczacka skręcił w stronę furtki, minął ją truchtem i zatrzymał się przed domem Janickiego. Tutaj obaj chwilę odpoczywalismy. Wyszedł Janicki, usiadł na schodkach i paląc papierosa, przyglądał się jak wódz defiladzie. W oknach szkoły tłoczyły się dzieciaki, rzucając rozmaite rady pod moim adresem. Obtarłem pot z twarzy i pogładziłem bura po pysku. Robiłem tak zwykle, aby uspokoić konia. Ale konia, a nie to... to ścierwo! Stale trzymał się tak aby zadem stać do furtki. Obok Janickiego stanęła jakaś niebrzydka kobieta. Uderzyłem bydlę znów batem po pysku. Określił się gwałtownie kilka razy i znów stanął tyłem do furtki. Było mi bardzo przykro. Ze szkoły wybiegł Stachurski i zbliżył się do mnie, krzyżując:

— Co pan tego Smykowego bura wzięli! przecież to diabeł, zostaw go pan!

Odpowiedziałem mu, że muszę na nim pojechać.

Stachurski chwycił go za wędziło i wyprowadził „nas“ przez furtkę, poczem ją zamknął. Bur stał w miejscu i tulił uszy. Do plotu zbliżał się Janicki, kobieta, Stachurski już stał, nadbiegała dzieciarnia. Zdaleka widziałem grupę ludzi przed wendą: Suchodolski & Srokon. Bębniłem palcami w siodło i po gwizdywałem niemelodyjnie. Z nieba sączył się żar, ale tłum przy płocie trwał. W ręku miałem szkotę, brazylijski bat, z lazaniem kółkiem przy rękojeści. Tem kółkiem, zapominając o wszelkich towarzystwach opieki nad zwierzętami, począłem prac bydlę po pysku. Jakże się wierci... jakże nieudolnie stara się stanąć dęba... ugina przednie nogi, kręci się w kółko, stara

się, (wyrażnie: stara się!) przycisnąć mi nogę do plotu, tuż przed nosem Janickiego. Wkońcu... W samą porę na szczęście, — bo od strony wendy biegli nowi widzowie — ...wkońcu ruszył jakimś niezadarnym galopem w stronę drogi. Jechałiśmy pod górę. Ludzie, a zwłaszcza Janicki zniknęli mi z oczu. Myślałem sobie jakiej to trzeba ciepłości, żeby takie niesforne bydlę poskromić. Wydostaliśmy się na równinę. Droga była szeroka, biegła kręto, między rzadkimi zagrodami. Teraz z łatwością dogonię furę, pomyślałem z ulgą. Bur biegł truchcikiem i ochotnie skręcił w bramę wiodącą do jakiejś chaty. Ale tu go, — na moje prośbę, — kakobło z dwoma chłopakami stromośnie przegnali drągami. Zawrócił, ale na drodze skręcił w stronę Terezyny. Zdarłem mu tak łeb cugłami, że wyglądał niby rasowy rumak na paradzie. Tańczył. Musiałem mieć niesłychaną minę, bo dwaj kabokle przechodzący drogą usiedli, położyli węzłki obok siebie i poczuli się zaśmiewać. Bur wesoło podążył wdół. Zsiadłem i począłem go prowadzić spowrotem. Na to się godził. Znow mijałiśmy dwóch kabokli, którzy zabierali się dalej w drogę, ale na nasz widok znów przysiedli. Uszedłem z godziną jakiś kilometr, wreszcie zniechęciłem się do drogi. To go trochę zdeorientowało, ale już nie zawrócił, tylko skręcił w lewicie widoczną w gąszczu ścieżkę i począł schodzić po stromym, obficie zarosniętym zboczu. Spadł mi kapelus, jakieś kolce darły mi koszulę, szorstkie gałęzie ciążyły po policzkach, bur ślizgał się na zadnich kopytach, w pewnej chwili omal nie spadłem mu przez łeb, otaczał nas mrok, głusza zupełna. Objąłem ramieniem jakieś drzewo, lewą ręką szarpałem cugle — przystanął. Obaj dyszelismy ciężko, na twarzy czułem krople potu czy krwi. Z wdziękiem począł obgryzać listki taksu. Ciągłe trzymając się drzewa, zlaźłem z tego lotra. Zaszedłem mu do pyska i zajrzałem w oczy. Mrugnął je z rozkoszy, jaką mu sprawiała zarcie. Z całej siły wyciąłem mu to, co się u ludzi nazywa policzek. Otrząsnął łeb i zajął

dalej. Staliśmy w krzewach po szyję, na niewygodnej pochyłości. Pociągnąłem go za cugle, powlokł się ciągnąc za sobą taktuarę. Znow wyszliśmy na drogę i, w spiekocie, nurtowany nieładzką wprost wściekłością, — siedłem, prowadząc go za cugle. Gdyby nie Janicki i wstyd powrotnego pokazania się z tym szatanem, powróciłbym do Terezyny. Siedłem z godzinę, odczuwałem, znow siedłem, na niewiadome, nie znając drogi. Koło mostu pociągnął mnie w dół, ku rzecce, powodowany nieopanowanym pragnieniem. Przemocą dałem się tam zaprowadzić. Skierował pysk ociekający wodą w moją stronę i przez chwilę miałem wrażenie, że mrugnął do mnie lewem okiem. Wróciliśmy na most, tutaj próbowałem wsiąść na niego, ale nie pozwolił, zeszła nie miałem już sił. Nasze kroki ponuro dudniły po moście. Wprawdzie miałem rewolwer przy sobie i mógłbym mu strzelić w łeb, ale pomyślałem, że to nie jest załatwienie sprawy. W tej chwili czułem do niego nienawiść równą nienawiści do człowieka, który się względem nas szczególnie podła zachowa. Naprzeciw turkotał wóz i szybko rozpoznałem — jakże mi bliska w tej chwili — rozszmianą twarz Grzeszczyszyna. Wracali po mnie.

— Cóż się też stało?

Bez fałszywego wstydu, zdecydowanym ruchem wskazałem na bura.

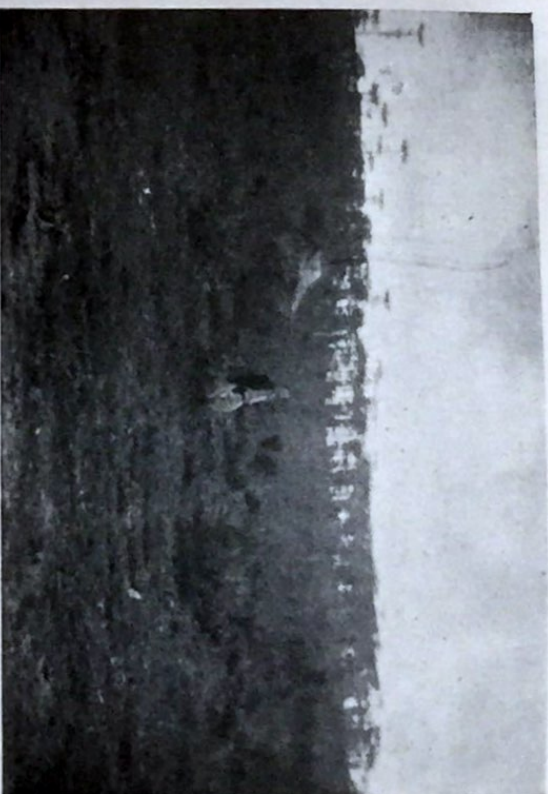
— Nie chce mnie nieść — powiedziałem.

— A króź to panu tego bura znow wyrzasnął?! — zawołał Wójcik. — Przecież to bur Smyka, znany łajdak w całej okolicy... króź to go panu przyprowadził?

— Więc ja... więc ja, bo nie było żadnego konia — odpowiedział Grzeszczyszyn.

— Jakto, i Smyk panu nic nie mówił?

— Mówił że jest narowny, ale ja pomyślałem, że pan Łóńkowski da sobie z nim radę... Pan Łóńkowski nie jest żadna pokraka, hehehe!



FAXINAL DOS INDIOS DE CAIANDUAS



KAROSA W DRODZE

Teraz wiedziałem, że Grzeszczeszyn zrobił mi na złość. Chwilę się nad tem zastanowiłem, ale nic nie dałem po sobie poznać.

— Trudno! — powiedziałem. — Dobrze, żeście po mnie wrócili. A teraz zrobimy tak: weźmie go się linką przywiąże do wozu, ja na niego wleżę i wkońcu będzie musiał pójść. Ma pan linkę? — Wójcik poszedł do wozu szukać linki.

— Tak będzie najlepiej!... hahabe, cholera... omanuje się¹ w ten sposób! — mówił, rechocząc Grzeszczeszyn.

Przywiązali go za wędzido do wozu, pomogli mi wsiąść i ruszyliśmy. Spoczątku opierał się trochę, ale wędzido pyśk mu uwierało i wkońcu nadobrze podreptał za wozem, rozglądając się jednak bystro na obie strony drogi. Z wozu patrzył na mnie Grzeszczeszyn, ciągle starając się ukryć rozradowanie. Byłem teraz spokojny. Jeśli człowiek sobie wynajdzie jakiś cel i poważnie postanowienie aby go osiągnąć, to wtedy na duszę spływa dziwny hart i opanowanie. Spróbowałem się nawet przyjaźnie uśmiechnąć do Grzeszczeszyna. Co do bura, to czułem, że osiągnąłem połowę satysfakcji. Należało mu jeszcze tutaj coś wymyślić. Toteż kombinowałem, rozglądając się z wysokości tej kanali po świecie. Było upalne, przeladowane słońcem poludnie, wszystko zastygło i nieruchomiało. Widok beznadziejny: czerwona, szeroka na dwa wozy — droga, po obu stronach popielato-rudawa gęstwa, rzadkie ale potężne drzewa. Niebo piaszczyste i bez wyrazu. Na wozie drzemaly dzieciaki, pani Wójcikowa z trudem łapała oczka szydlami, spod szerokiego kapelusza Wójcika wylatywały kłęby dymu. Grzeszczeszyn grywał słonkę i kiwał się. Obrazek był straszliwie idyotyczny, jak zresztą już niejednokrotnie zdarzyło mi się to stwierdzić poprzednio. Co to będzie dalej? Żeby mi się udało wydobyc choć cośkolwiek pozytywnego... Czort wie zresztą! — To samo dla kogoś innego może być uroczce. Ale jest takie; (osądźcie

¹ Ohłaskawi się.

tylko!) Prak tu jest rzadkością, nawet papugi gdzieś się zawieruszyły. Przytem gorąco, duszno i nieciekawie.

Krzyknąłem na Wójcika aby zatrzymał konie. Lekko drzemniące towarzystwo ocknęło się, zaczęli przecierać oczy, rozglądając się...

— Co się stało? — zapytał nieprzytomnie Grzeszczyszyn.

...A tu słońce, pustka i nic się nie stało.

— Ma pan jakiś zamiar? — pyta mnie Wójcik, zsiadając z wozu.

— Wie pan co... — mówię — wyprzęgniemy konia dla mnie pod siodło, a bura zaprzęgniemy na jego miejsce?

— Dla pana zrobię wszystko!... Dobrze, — skoro to pana rozewiel!

Poprosiłem jeszcze Wójcika aby wsiadł na konia a ja porumniałem. Zgodził się na to. Zanim ruszyliśmy, bur próbował tylnymi kopytami uwolnić się od wozu, ale bacik usmierzyl te zapędy. Naturalnie: sadysta i okrutnik, mści się na bezbronem zwierzęciu, ubogi na duchu, wszystko go nudzi, zycia wewnętrznego nie posiada. Wszystko prawda, być może! Pojechaliliśmy. Diablisznie szło jak baranek. Chociaż nie wiem czy baranek dobrze idzie w zaprzęgu. Wójcik jechał obok mnie i opowiadał mi różne bandyckie historyjki. Była to zła narracja; kończyło się na rabunku i śmierci kogoś od kul.

Zarośla zaczęły się trochę przeredzać, ukazała się jakby duża polana z kilku nędznymi zabudowaniami. Wjeżdżaliśmy do miejscowości zwanej Apucarana. Dwa murywane domy, napół w gruzach, podkreślały podupadłość i opuszczenie. Tu i ówdzie wily się ścieżki porośle trawą, krzywe chatupy tkwiły między drzewkami herwy, a jasne południe i zielen podnosiły ich nędzę. Ale polana była wesoła, słońce kładło na nią świetlne plamy, było jakoś przestrono i wzrok ogarniał cały ten pejzaz z przyjemnością. Z chatup powylazły jakis ciemne postury i gapły się na nas, przesłaniając oczy dłońmi. Psy z pod-

winiętami ogonami zdawały się namyślać, czy obszczać nas, czy dać spokój. Rozbiegły się poprostu w uskokach przed koniem Wójcika. Pogardliwie skręśliśmy w prawo, nie zatrzymując się na tem miejscu. Krótko jechaliśmy między samotnymi piniorami, ale zaraz droga znów wpadła w szpaler skłębionych krzaków. Jechaliśmy po dawniemu. Bur nie burl — Ideal zaprzęgowy. Wójcik objaśnił mi, że Apucarana miała być miastem dla handlu herwą, i kiedy to miasto budowali, Argentyna zaczęła się właśnie zadawać własną yetą i miasto kłapnęło na tych dwóch murywanych budynkach i kilku rudkach. Dla mnie Apucarana miała rzeczywiście urok nieudanych lecz ambitnych zamierzeń. Wolabym wprawdzie nie wiedzieć nic o jej przeszłości i polegać na wrażeniu, jakie odniosłem. Wogóle irytowały mnie objaśnienia i z każdej rzeczy wolabym sam wyciągnąć wnioski. Ta eksluzywność sprzeciwia się prawdopodobnie pojęciu podróży i wiadomości, ale taki to i ze mnie podróżnik.

Grzeszczyszyn obrócił się do mnie i zagadnął zdawkowo:

— Jakże się powozisz?

— Iee, tak sobie — jedzie się, powolutku, kochany panie.

Pokiwiał głową ze zrozumieniem. Milczeliśmy. Spojrzałem spod oka na Wójcika. Zdawał się być jakiś zgaszony. Aby go rozerwać, zapytałem:

— Przepraszam pana, ja — wie pan... to młode pokolenie to ignoranci... ale czy pan wydał coś w książce?

Przechylił się w siodle, odkrył twarz powagą, i przyrzucił oczy jakby coś obliczając:

— Proszę pana... zaraz... pierwszą powieść wydałem w dwudziestym drugim roku... tak, była to rzecz o legionach... ale wydałem ją pod pseudonimem...

— Więc widzi pan! — zawołałem nieopanowanie — jakież to było pseudonim,

— Władwyój — paniel To też panu nic nie mówi. Pisałem

tak sobie bez specjalnych ambicji literackich; dziennikarzem jestem z przypadku, prostru zaproponowali mi korespondencje stąd i w ten sposób zarabiam na życie... O, wydałem jakies sześć książek, powieści, nowel... jeśli pana nazwałem kolegą, to raczej, żeby siebie zironizować.

— O, niech pan tak nie mów!

— Stara się pan mnie pocieszyć, ale to doprawdy nie jest dla mnie ważne... Tylko pański przyjazd nasunął mi pewne wspomnienia... Dwadzieścia dwa lata nie widziałem kraju... a tu się — proszę pana w gruncie rzeczy parzywie żyje. Z łatwo i cały ten romantyzm i egzotyzm jest do chrzaniu. Mam pretensje być w swoim rodzaju inteligentem, a tu nie jest kraj dla ludzi z pewnymi aspiracjami... Tak, chłop — rolnik, nabiera tu wartości, inteligent marnieje. Pan to spostrzeże przedzi czy później. Ale oto dojeżdżamy do wendy mego przyjaciela Psycha. To bardzo porządny chłop, był dawniej nauczycielem... teraz założył sobie sklep w tem pustkowiu. To jedyny sposób dojścia do jakiegoś dobrobytu.

Na zakręcie drogi stał dom z przybudówką. Tuż przy drewnianym płocie warowały dzikie zarośla, jakby nie chcąc dopuścić dalej. Wokół czerniło się mroczne kłębowisko puszczy; wysokopienne drzewa prowadziły wzrok ku obojętnym puszkom niebios. Okienne w domu były zamknięte, drzwi do wendy w połowie były przyznknięte, a człowiek, który się podniósł zza lady w mrocznem wnętrzu, przywitał nas smutno i sprawiał wrażenie jakby trwał na stanowisku w tej głuszy. Wenda była uboga: na półkach blaszane pudła od cukierków, dwa siodła i trochę sprzętu gospodarskiego. Na ladzie leżał zwoj funy obok wagi. Psych był wysoki, twarz miał smagłą i ogorzałą, piękne, rozumne oczy i czarną, starą czuprynę. Mówił cicho. Jego żona miała silną gorączkę i w domu czuło się ciężką chorobę. Mówił o tem spokojnie ale z przejmującym smutkiem. Żona Wójcika znikła za drzwiami wtyle wendy. Pałac papie-

rosy w milczeniu podzielił przygnębienie gospodarza. Na leżało coś postanowić, bo w tych warunkach nocleg u Psycha byłby trochę nie w porę. Wójcik zaproponował, abysmy się wybrali do odległego o kilkanaście kilometrów Tres Bicos, gdzie można by zanoconować u kowala Potrały. Pojechalibyśmy na koniach. Psych grzecznie starał się nas zatrzymać, ale w końcu zgodził się nam pożyczyć jeszcze jednego konia, z tem, że Wójcik przyprowadzi mu go jutro spowrotem. Znalazły się również dwa stare siodła. Wyprzeżyliśmy konia i bura z wozu, bura przywiązał Wójcik pod słomianym dachem na drągach, osiodłaliśmy oba konie i Wójcik poszedł powiadomić żonę o naszym projekcie.

Zachodziło właśnie słońce, kiedyśmy czekali na podwórku; nad lasem snuły się różowe opary, niebo pokwitło prześwieceniemi czerwienią pierzastemi chmurkami. W powietrzu czuło się chłodną wilgoć i tajemną, skondensowana cisza spływała na świat. Czulem się podnosiło i jakby odchodziły mnie złe wrażenia minionej podróży. Grzeszczyszyn powiedział:

— Ładnie tutaj, co? Brazylja ma swoje ładne rzeczy, szkoda gadać!

Od koni wiało zwierzęcym, ciepłym zapachem, a myśl o nocnej jeździe, przejmowała mnie pogodnym nastrojem. Wyszedł Wójcik, powiedział: — „załatwione“, — i wsiedliśmy na konie. Bur odwrócił łeb i złośliwie spoglądał na nasz odjazd. — W nim coś siedzi, w tym czorcie — pomyślałem zabobonnie.

Pokiwaliśmy rękami do Psycha na pożegnanie i kiedy mi jałismy bramę, z przeciwnej strony drogi podjeżdżał do wendy ślepy na jedno oko mężczyzna w towarzyswie dwunastoletniego może chłopaka, siedzącego oklep na koniu. Prowadzili ze sobą trzy chude konie i jednego siwego bura. Obrzuciliśmy się wzrokiem i nic więcej. Puściliśmy się klusa drogą pod górę i po chwili wjechalismy w las. Z pół godziny jechalismy w milczeniu, słychać było tylko kopyta końskie i brzęczenie wędziadł.

Mrok szybko zasnuwał pole widzenia i wkrótce postacie moich towarzyszy majaczyły w niewyraźnych konturach. Zrobiło się chłodno ale rześko. Było już na dobre ciemno i trzeba było zdać się na kierunek koni. Raptem na niebie pokazały się jakby świetlne pęknięcia, następnie wypelzły seledynowe smugi; czarne, poszarpane pobrzeża dymur gdzieś znikły i ukazał się wspaniały, jasno-zielony księżyc; poczem wszystko jakby się nagle ożywiło, chłodna zielen ubarwiła drogę i las; powiało jakby czarnoksięstwem i w chwili, kiedy zobaczyłem wądłą sylwetkę palmy, która niby kudłata wiedźma drżała w tym martwym po-blasku i niewyczuwalnym wietrze — poczułem nagle cały egzo-tyzm tego nocnego pejzażu. Poprzez szmery z gąszczów jęło coś pukać tu i ówdzie; drzewa zdawały się wydłużać, konie szły raźniej. — Niewesoło, a jednak pięknie — i w duszy człowieka poczyna się coś dziać. W tę teatralną noc popadłem w roz-trząsania nad sobą, wspominałem sobie błędy i diabli wiedzą do czego bym doszedł gdyby Grzeszczeszyń nie zrównał swego konia z moim i nie zagadnął:

— Panie, powiedz pan, co się tam dzieje w Warszawie z temi aktorami? Jak tam Ordonka? To — panie, talent jest klasa! A Ziminska? O, to fajna czarunka!... Modzelewska się tak wybiła podobno... Człowiek — panie — dawniej wó-czył się po tych różnych teatrach... hoho... znało się niejedną! Albo — panie — Smosarska... i na filmie potrafiła tak za-grać... że aż!...

— Coby tu panu powiedzieć na ten temat... grają swoje role w teatrach; nie znam ich osobście — odpowiedziałem zaskoczony nieco.

— Bo ja panie... znałem panią Mydową... to ona jest tam taka zawiedulszka od tych aktorek... Nieraz mi naopowiadała tajemnic z ich życia... to — panie — pękać można ze śmie-chu!... Albo taki Jaracz — panie — to aktor jest... że jejci! Szuka teatralna u nas w Polsce stoi wysoko, hoho...

Nie starałem się podtrzymywać tej rozmowy. Grzeszczeszyń chciał prawdopodobnie uciąć sobie ze mną kulturalną rozmowę... A tu chęci brak! — Księżycowa noc, zapachy, palmy.

Urwał i pogrzążył się pewnie w jakichś wspomnieniach. Urok jazdy w milczeniu nie trwał jednak długo, bo Wójcikowi też się chciało trochę pogawędzić. Zaczął mówić o tem, jak nie-jednokrotnie już próbował uchwycić sens życia i że wszystko wy daje mu się takie beznadziejne.

— Więc nigdy nie był pan szczęśliwy? — zapytałem, aby coś powiedzieć.

— O, drogi panie, człowiek nigdy nie jest szczęśliwy — odpowiedział tonem tak poważnym, że mimowoli zacząłem go słuchać z uwagą.

— Niema szczęścia, istnieje tylko przyjemność, gdy ucisk zła nieco folguje. Bo na tym świecie istnieje tylko samo zło i kie-dy to zło naskutek jakichś okoliczności staje się mniejszem, wówczas nazywamy je dobrem. Spójrz pan, jakie piękno nas otacza! Jedynę, co jest warte, to przyroda! Zadawalnia ona najskuteczniej nasze zmysły, i jeśli nawet znajdujemy ją ohydną, wówczas także zadawalnia nas samo to spostrzeżenie. Teraz już się starzeję i sprawy codzienności nie dopuszczają do roz-trząsań filozoficznych, ale w młodości przeżywałem potężne niepokoję. Bardzo wówczas pragnąłem spojrzeć umysłem zgóry na ten nędzny świat i być może, pojąłbym wiele, gdybym się kształcił, ale groza wojny i nędza nie dopuściły do tego. Dopóki ludzkość gnębi wojna i jad ciemnoty, jaki w ludzkość sączy kłec, dopóty nie doszukamy się sensu istnienia. Gdybym mógł wypowiedzieć myśli, które czasem snują się w moim umy-śle! A co pan o tem wszystkim sądzi?

Zgóry muszę wyznać, że ten temat bardziej przypadł mi do gustu, niż poprzedni. Ale ostatnie pytanie nieco mnie przera-zilo. Wydało mi się, że nie jest to pora i okoliczności do po-

dobnych rozmów. Pomyślałem, że najlepiej będzie wykręcić się dziełami filozoficznymi, które piąte przez dziesiąte znam.

— Wie pan, o tem już wiele pisano. Byli tacy panowie: Locke, Wolter... czytał pan Woltera?

— Przyznam się panu, że nie.

— A to ciekawe, bo gdyby nie istniał Wolter, myśli pana byłoby znacznie ciekawsze! Niech pan sobie to przeczyta; na język polski przetłumaczył to Boy-Żeleński.—Ja temi rzeczami mało się zajmuję i nie szukam żadnego sensu życia. Polegam w zupełności na swoich doznaniach i później na swój sposób je roztrząsam. Zresztą żyję fikcją i pewną wesołą szarlatanerią — jestem literatem. Nie, ja się nie nadaję do podobnych rozmów.

— A szkoda, ma pan myślące spojrzenie.

— Bo też myślę. Tylko w Brazylii przystosowałem się zupełnie do klimatu umysłowego i ograniczyłem znacznie pracę swego umysłu.

Rozmowę naszą przerwał Grzeszczeszyn:

— Panowie tutaj opowiadają sobie takie duperele, a najpierw trzeba lud wyciągnąć z mroków, dać im chleba i wykształcić inteligencję, a dopiero później będzie pora na te kulturalne szmoncesy. Kler — panie — to jest ważna rzecz, co wy gadacie! Ludzie się za bardzo przyzwyczaili do duchowienstwa i te wszelkie nowe myśli szerzą tylko spustoszenia...

Pognałem konia, żeby uniknąć jakiejś straszliwej dyskusji. Urok nocy wkrótce uśmierzył mój niepokój. Z kwadrans gwałtowny galopa. Daleko zamajaczyło światło, znikło; następnie coraz dłużej trwało, i w końcu zatrzymał się koło jakiegoś ogrodzenia. Wójcik zaklaskał, w domu pojawiła się jasna dziura i wyszedł z niej człowiek z latarnią.

— Hej, czy to wy — Potyrała! — krzyknął basowo Grzeszczeszyn.

— Ociec w domu, a co wy za jedni?! — odkrzyknął mutując się głos.

— Powiedz, że Wójcik przyjechał i jeszcze dwóch, a my tu zaczekamy!

— Co macie czekać, zaraz wam portung otworze... No, wjeżdżaj!

Zsiadliśmy z koni i nie przywiązując ich, podeszliśmy do człowieka stojącego w progu.

— Ano, to Wójcik!... A ten drugi? — Grzeszczeszyn! U, tego to dawno nie widział! Pana to nie znam, — rzekł do mnie, podając mi dłoń. — Właźcie do środka, to wam baba jeszcze da co jedzenia. Jędrus, konie rozsiodłaj i wypuść je na portere, a siódła zanieś do pajora!

Weszliśmy do czystej i przestronnej izby; oświetlała ją duża lampa natfowa, wzdłuż ściany stała ława, w rogu duży stół. Na ścianie wisiały dwie fuzje, na półce kilka rewolwerów.

Z kuchni wyrzwała niemłoda kobieta i dwunastoletnia dziewczynka. Podaliśmy im kolejno dłonie, poczem usiadliśmy przy stole i zapaliliśmy. Przedewszystkiem podano nam szmaron. Potyrała, wysoki, chudy chłop z wąsami i dziwnie łagodną twarzą o niebieskich oczach, zapytał nas flegmatycznie skąd i do kąd jedziemy, następnie dowiadywał się o ludzi z Terezyny. Na to wszystko odpowiadał mu Wójcik, aż w końcu, znanym mi już zwyczajem, rozmowa zeszła na tematy społeczne.

Zaczęło się obrabianie na wszystkie boki Suchodolskiego i Janickiego. Do tej rozmowy żywo się wtrącił Grzeszczeszyn i gawęda potoczyła się żwawo, padały jakieś projekty, czasem się lekko przemówili, ale naogół zajęci byli sobą ogromnie. Zelało nieco kiedy gospodyni przyniosła miskę jajecznicy, chleb razowy i talerze. Popiliśmy surowem mlekiem i po apetycie Wójcika odgadawałem, że jeśli istotnie poszukiwał sensu życia, to właśnie miał go tuż pod nosem. Gadali jeszcze długo, po przez drzenkę słyszałem rozmaite nazwiska między którymi czasem pulchnie zadźwięczało nazwisko konsula.

W końcu podnieśliśmy się do spania, wstałem również, za-

toczyłm się lekko i powędrowałem przez podwórze do bocznego pokoju, gdzie wskazano mi przyjemne łóżko, świzio poświęcone... Ach, gdzież te niewygody, ach gdzież te niewygody!... Za okienkiem sylwety drzew wrzynały się w granatową górnosc, gwiazdy po staremu kpily ze śmierzdzącego globu ziemskiego, ci-sza opadła na powieki i sen łeb zamroczył.

Obudzili mnie jakieś skrzeki za oknem. Słońce waliło tak silnie, że zdawały się mogło, że to skondensowane, złotopyłne światło rozsadałi pokój. Do skrzeków przyłączył się chrapiący dzwoneczek, i wkońcu wyrzalem przez okno. Na ganku dwie papugi i małpka wykrzykiwały na siebie jakieś paskudztwa, są-dząc z miniki i tonu. Wesoly ranek, pogoda na duchu. Wcią-gam spodnie i buty, wychodzę na podwórze, tutaj stoją Grzeszczyszyn i Wójcik, pierwszy parska w miednicę, drugi wyciera się ręcznikiem, dwa pieski machają ogonami, w kuźni Potyrała majstruje coś przy fuzji, chłopak porusza miech, z chałupy smuży się do nieba świderek dymu. Kury rzuciły się z dziobami na szarą, niemrawą i chorowitą czubatkę, ta wlażła pod deski, napuszona, z wywieszonym językiem. Gwaro i radośnie. Grzeszczyszyn chlusał poważnym ruchem wodą z miednicy na psy, chwycił koniec wójcikowego ręcznika, i pociął się wycierać, po-siękując. Umylem się, mokry pobiegłem do pokoju po swój ręcznik, zawiązałem krawat i poszedłem na śniadanie. Uśie-dliśmy we trzech przy stole i zaczęliśmy obmyślać plan dnia. Wójcik rzucił projekt, aby pojechać na Faxinal dos indios de Catanduvas, gdzie generał Strzemniński zakupił niedawno nowe tereny pod kolonizację.

— Mamy tam piętnaście kilometrów, lekko wrócimy sobie pod wieczór, a zobaczymy jak tam się sprawy mają, bo podobno Indjanie nie chcą się wycofać z terenów i warto będzie trochę z nimi pogadać. Dla pana też będzie miała sens ta wycieczka — zwrócił się do mnie Wójcik. — Dotychczas oglądał pan same nieciekawe dziury, pełne kłótni i nienawiści, a doprawdy,

to pan jeszcze nie widział dziewiczego lasu, który może pana nastroić jakotako pozytywnie. No cóż, zgoda?

Mnie ten projekt odpowiadał; Grzeszczyszyn kwaśno wpraw-dzie, ale zdecydował się też jechać. Wogóle ten Grzeszczyszyn znów jakoś poszarzał, stał się nieinteresujący. Dawniej chociaż kapyśny i arbitralny, nieco impertynencki — był jednak żywy; uosabiał pewną postać. Teraz smutnawy, rzadko coś powie, gorzko się uśmiechnie... Co ci jest, koteczku?! — Może ma wyrzuty sumienia w związku z burem, może Wój-cik go przesłania? Diabli to wiedzą! — Być może, zawali mi jeszcze w dalszej podróży to i owo.

Śniadanie było jak w pensjonacie: biała kawa, miód, chleb i masło. Zjedliśmy tego dużo. Wójcik poszedł do kuźni po-wiadomić Potyrała o projekcie i o terminie powrotu, Potyrała się wychylił i krzyknął:

— Jedrus, konie przyprowadź z porttery, daj im milji i siodłaj! Jedrus wybiegł z kuchni z gębą pełną jada i pobiegł wgląb podwórza. Potyrała przerwał robotę, przysiedliśmy na proggu i paląc, mówiliśmy o Faxinalu.

— Wywiedzicie się... — sączył słówka Potyrała. — Jeżeli tam z tej kolonizacji co będzie, a pewnie gówno będzie, bo bugry się zacięły, to możebym ja tam wendę sobie założył. Zawsze mnie najbliższej, znam się na tem, a ten stary Sucho-dolski Jan, — co tu obok ma wendę, — to jak zacznie drzeć skórę z chłopów co przyjadą!... Tyle ich obsłuzę co aby dla siebie.

Z zarosli na końcu podwórza wysunęły się leniwie trzy konie; spojrzaly na nas niewesoło i powlokły się do drewnia-nego żłoba z kukurydzą, którą im wyluskiwała z paki dziew-czynka.

— Dobrze! Zobaczymy jak tam — powiedział Wójcik.

— Warto by, bo taki jaki wyżyskiwacz weźmie w łapy i do-piero zacznie hulać na niebezpiecznym narodzie.

Pożegnaliśmy Potyrałę, zapowiadając, że na wieczór wrócimy. Jedrus zaczął wynosić ze stodoły siodła. Pomógł nam przy siodłaniu. W oczekiwaniu aż konie dokarmią się po nocnym pastwisku, obeszliśmy podwórze.

Gospodarstwo było obszerne, czyste i solidne. Na każdym kroku widzieliśmy się dobrobyt. Za nami laza dziewczynka i wyjaśniła różne rzeczy. Wrzeszcząc, przeleciały tuż nad naszymi głowami dwie papugi, a po ziemi przebiegła w gwałtownych podskokach, piekając się, małpka z postrzępionym sznurkiem na szyi.

— To oswojone, — wyjaśniła nam dziewczynka... — Mapa nazywa się Kacper a papugi nijak.

Grzeszczeszyn wcisnął jej w rękę cukierka za te informacje. Przyjęła, ale zawstydzona się dorosła, po kobiecemu, i śmignęła do chaty. Wsiadłszy na konie, Jedrus otworzył bramę i pokusiliśmy w słoneczną, — pokrytą przyzającą czerwienią pyłu, — drogę. Kręto posuwaliśmy się pod górę. Ukazywały się senne, daleką zamglone doliny, to znów piętrzyły się górskie lasy, — zgaszczoną czernią odcinając się ostro od przejrzystego błękitu nieba. I ciągle oko ocierało się o te dziko obrośnięte dale, zięjące upalną tęsknicą, przyzywające, tajemne. W pewnym miejscu, na granatowo zalesionem wzgórzu, daleko, zabieliło się coś kilkoma punkcikami, i wycięta ręką człowieka przestrzeń, lśniła się w oddali, niby bliźna na zmiotwionej głowie olbrzyma. Tutaj Wójcik opowiedział mi następującą rzecz:

— Tam mieszka pewien Francuz, conde la Guiche, człowiek bardzo bogaty i podobno wpływowy we Francji, trochę dziwak, który zakupił na tem odludziu, bo tam nawet trudno się dostać, całą tę górę, pobudował się, sprowadził trochę służby i rządzi niby udzielny książę. Raz do roku wyjeżdża do Francji, ale na krótko, twierdząc, że cywilizacja jest czemś sztućcznym, natomiast własną filozofią oddziela od niej kulturę; sprowadza sobie książki, wie wszystko co się dzieje na świecie, ma u siebie

francuskiego kuchacza ale mieszka nędznie, rzadko wyjeżdża ze swej pustelni. Jest świetnym strzelcem. Jako kapitan z czasów wielkiej wojny posiada kilka orderów, sam sprawuje sądy. Niedawno zastrzelił jakiegoś kabokla ze swej służby i miał o to wiele nieprzyjemności, ale przecież w Brazylii człowiek bogaty nie jest zbrodniarzem. Tak to sobie życie urządzał. Jeździł tam do niego różni, nawet podobno jest gościnnie, ale niemily i arbitralny. Od czasu zastrzelenia tego kabokla, szykują się tu na niego, ale podobno trudny jest do załapania na muszkę. — Na mnie ten widok sprawia wstrętne wrażenie, a na panu?

— Tak, to jest taki sztuczny romantyzm; daleko i niewygodnie, przytem — prawdopodobnie brzydtko.

— O, to jest prawdziwy arystokrata, moi panowie — wrócił Grzeszczeszyn. — Nienawidzi blichtru, przegniła Europa go nudzi, ale jest pobożny i hojny dla kleru.

Rozmowa się urwała. Dość długo widoczne było miejsce pobytu francuskiego arystokraty. Niesmaczna historia. Wystarczyło tam spojrzeć, żeby sobie obrzydzić to antytypyczne miejsce.

— Szkoda, że pan się przedwczoraj źle czuł wieczorem — powiada do mnie Wójcik, nacierając koniem. — Nawet chciałem do pana po zebraniu przyjść, ale Grzeszczeszyn powiedział, że pan taki chory i wogóle... A ludzie chcieli z panem pogadać, wypytać o Polskę.

— A... tak, rzeczywiście trudno mi było — wie pan... I jednocześnie patrzę na Grzeszczeszyna. Ale widzę tylko jego skrzywione plecy i zarośnięty karczek chłystka. Siedział półdupkiem na siodle i jechał uporczywie przodem. Musiał się jeszcze wtedy wymknąć, kiedy zasnąłem. Kreatura, psiakrew!

Zgrzany i zły, zmęczony jednostrajnością pejzażu, jechałem w milczeniu. Wyjechałszy na płaszczynę porośłą potężnym borem; szeroka ścieżka wila się między wysoką, wypłowiałą i suchą trawą, a dalej, po obu stronach mroczniały chłodne ścianki dżungli. Właśnie mijsłszy granicę indyjskich terenów, jak

imnie powiedział Wójcik. Trwała tu nieprzyjemna i jakby po-
dejrzana cisza, a nastój był taki, że gdyby w gąszczu traw świs-
nęła strzala i utkwila mi w plecach, usunąbym się z konia
z uczuciem naturalności tego zdarzenia. Na słonecznym pastu,
w oddali, pojawił się krepy człowiek w słonkowym kapeluszu.
W rękach coś trzymał. Na nasz widok przystanął, jakby się
namyślając, ale po chwili począł iść w naszą stronę.

— Bom dia, compadre! — zawołał przyjaźnie Wójcik, skoro
Indianin nas mijał. Był niski i krepy, o wielkiej głowie, wąskich
oczach i przyplaszczonym nosie. Jego żółtawe, matowe oczy tys-
nęły ku nam nieufnie. Był bosy, w obcisłych portkach, białych
w różowe paski i w brudnej, płóciennej koszuli. W rękach płótn
kapelusza ze słomy. Wyglądał jak opalony wieśniak i był djabło
nieciekawy. Z pół godziny jechaliśmy kłusa, ale kiedy po lewej
stronie pojawiła się płaska przestrzeń odgrodzona od drogi par-
kanem, porośla skartowaciami krzakami, pełna badyłów, z du-
żym krzyżem tuż przy parkanie, Wójcik zlaźł z konia ze sło-
wami:

— Zejdźcie panowie, bo tu jest cmentarz indyjski, pójdziemy
go obejrzeć.

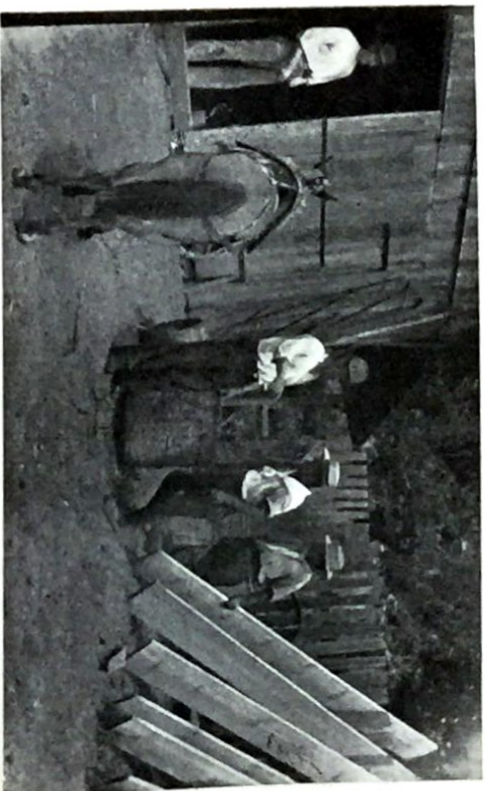
Uwiązaliśmy konie przy parkanie i weszliśmy przez wąską
furtkę na ziemię posępną i spiekłą, z nieruchomemi krzewami,
pomiędzy którymi widniały tu i ówdzie małe jamy, szczerzące
się zbutwiałym drzewem. Trzeba było ostrożnie iść, żeby nie
wpaść w któryś z tych otworów. Wójcik tłumaczył mi, że Indja-
nie chowają zmarłych w kuczki, w niegłębokich dołkach; tak, że
powiniśmy zobaczyć całe szkielety. Zaczęliśmy myszkować, aż
wreszcie napotkaliśmy jamę, przez którą było widać czaszkę i pi-
szczele. Cmentarz ten wyglądał dziko i wstrętne. Grzeszczeszyn
poradził nam, żeby lepiej go opuścić, bo może przechodzić jakiś
Indianin, któremu może to się niepodobac. Szybko porobiliśmy
zdjęcia i pojechalśmy dalej. Nic tam ciekawego w gruncie rze-
czy nie widziało się i zastanawiałem się czy warto było schodzić

z konia. Droga była ciągle jednakowa. Gdzieś w pobliżu zapiął
chrapliwie kogut i Wójcik skierował konia w bok, na wąziutką
ścieżkę między trawą. Wjechalśmy między drzewa i po chwili
ukazał się obszerny plac z drągami łączącym dwa płoty; w głę-
bi placu widać było wielki, szary szalaz, przed nim kilka świń,
dwa konie i parę kur. Kogut zapiął powtórnie. Zatrzymaliśmy
się przy drągu i Wójcik zaklaskał kilkakrotnie, poczem za-
wołał:

— Hej, compadre! o de casa!

Z szalazu wyrzwał chłopak indyjski, cofnął się, poczem w otwo-
rze ukazało się kilka obrzydliwych łbów, jeden wysunął się wraz
z resztą ciała i Indianin począł biec w naszą stronę. Chrapli-
wym belkotem porozumiał się z Wójcikiem; w tej jęklivej por-
tugalszczyźnie zrozumiałem, że Indianin przypomina sobie Wój-
cika z poprzedniej jego bytności. Odsunął drąg, zeszliśmy na
ziemię i przywiązaliśmy konie do palmy. Mimo powietrza i prze-
strzeni plac śmierdział, ale kiedy wleźliśmy do szalazu, ujrze-
łem tak straszliwą, wyprutą z wszelkiej oryginalności, zwykłą,
jadowitą ludzką nędzę, że mimowoli, przez kilka sekund prze-
szły mi przez głowę dziecięce marzenia o indyjskich awanturach;
wszystkie szalone i barwne opowieści nagle poszarzały, a wyo-
brażenia z owych czasów dostała stromotnie po pysku. Przy ledwie
żarzącym się ognisku leżał na ulepanej ziemi trup z przygaste-
mi oczami; a wyszczerzone zęby brzęczały obydnyim, uporczy-
wym dźwiękiem. Te okropne, bo żywe, zwłoki, — odkryte były
wilgotnym łachmanem, obsypanym popiołem, żdźbłami słomy,
śmiecien. Indianin, który nas przyprowadził, usiadł w kuczki
przy popielisku, rozgrzebał kilka tlejących się węgielków, polo-
żył trochę drzewa i powiesił nad ogniem obrosły sadką imbryk.
Indianin ten miał twarz w jakimś potwornie zdegenerowanym
typie mongolskim; gęste kudły porastające uszy i kark odcinały
się od pokrytej kilkunastu włosami twarzy. Przynajmniej na ni-
ziutkich stoleczkach i z lekkiem przyglądając się Indianinowi

przyczającemu szmaron, skierowałem na chwilę wzrok wgląd szalasu. Była to nadwyrzanna szopa, przez którą słońce kładło pregi na nierównym klepisku. W kącie, na kupie leżała kurydza, obok jakieś graty, których przeznaczenia trudno by- to mi się domyśleć. Wszystko to pokryte było warstwą pyłu jak w najbardziej nędznej, chłopskiej ruderze. Nicco dalej stała sięgając pod słoniane poszycie, drabina i koło tej drabiny stał oparty o szczebel dziwaczny, groteskowy elegant. Był to młody Indianin, w słonkowym kapelusiku okolonym czerwoną wstążką. Miał na sobie szare, płócienne portki w granatowe paski, a ko- szula pod szyją przewiązana była czerwoną kokardką. Był czy- sty i jakby upozowany. Stał tam już od chwili, kiedyśmy weszli. Zatem stał... i taki... i pocco?! — Czyżby się gdzieś wybierał? — Chyba do lasu, bo w promieniu kilkunastu kilometrów nie było nawet wendy. — Wyjąłem z kieszeni pudełko papierosów i po- częstowałem siedzącego przy ogniu Indianina. Wyciągnął papie- rosa niezgrabnie, pogrubiałemi palcami, zaraz też poruszyły się zwłoki i upiorna ręczka także sięgnęła po papierosa. Skierowa- łem zdaleka pudełko w stronę eleganta. Rozwart wystające szczę- ki i cichutko zaskuczał. Stał jednak ciągle w miejscu. Podsze- dłem do niego, wówczas wyciągnął papierosa i trzymając go w palcach, czekał aż mu podam ognia. Zapaliłem zapalną, pu- ścił kłęb dymu i zarechotał jękliwie. Wróciłem na swoje miejsce i właśnie w tej chwili Indianin wysunął do mnie rękę z nadgni- łą kują. Przeszło mi przez głowę: — Ha, już wszystko jedno!... i pociągnąłem szmaron. Był wściekle mocny i świetny, taki, jakiego nie zdarzyło mi się dotychczas pić. Fircyk stał przy dra- binie i palit. Był nieznośny w swojej pozycji, chciało go się ze- strzelić stantąd. Trwało grzechne i jak mi się zdawało, w swoim rodzaju dystyngowane milczenie. Kują przechodziła z rąk do rąk. Nagle usłyszeliśmy zzewnątrz takie głosy, jakgdyby, — choć to się nie zdarza, — stado kotek pomiaukiwało. Zaraz też zaczęły wchodzić, jedna po drugiej, Indianki z płachtami pełne-



POTYRAŁA W KUCHNI



BUR I KON Z KALGIERAMI

mi kukurydzy; plachty te opasywały wąskie ich czoła i ciężar opierał się na plecach. Szybko zsunęły z czoł opaski i przykucały wzdłuż ścian. Było ich ze sześć; male jak karlice, a głosy ich do złudzenia przypominały miauczenie. Fircyk stał na swem miejscu i przyglądał im się cieleco - ironicznym wzrokiem. Znów wyciągnąłem papierosy i przespacerowałem wzdłuż kobiet, częstując je. Przyjęły wszystkie, piszcząc.

— Co mu jest? — zapytał Wójcik Indianina przy ognisku, wskazując na leżącego.

Odpowiedział jęklwym bełkotem, że jest to jego ojciec, chory na malarję, który już od trzech tygodni ma co drugi dzień ataki i pewnie wkrótce umrze z wycieńczenia. Chory przygasałmi oczami o żółtych białkach wodził po nas i za każdym jego oddechem mały tumanik popiołu zrywał mu się sprzed nosa.

— A nie możecie iść po lekarstwa do Tereziny? — zapytał Wójcik.

— ...On nie chce brać lekarstw, chce tu umrzeć... biali znów wyganają ich z terenu, ale oni dalej się nie ruszą.

Z kąta zapiszczała załosnie niemłoda Indianka:

— Nas już pędzą od samej Kuryryby, dalej nie pójdziemy... w Brazylii jest tyle ziemi gdzie nikt nie mieszka, to dlaczego nas pędzą... powiedzcie białym, my się stąd nie ruszymy...

Wszyscy patrzyli na nas małpiemi, przymruganymi oczkami. Niesprawiedliwość wobec nich była tak jasna, że nie warto było na ten temat dalej mówić.

— Te kobiety przyszły do was z innych stron? — zapytałem Indianina.

Odpowiedział, że wszyscy tutaj to jedna rodzina; żona, córki, ojciec i syn. Jeszcze raz ogarnąłem wzrokiem szopę.

Pomieszkanie mają — rzeczwiście — pierwotne. Chociaż w Europie też widziałem jednopokojowe mieszkania zajęte przez dziewięć osób. Tylko ta nędza była tak skondensowana, szara, bez kolorytu i to w kraju, gdzie podobno kwestja głodu nie

istnicie. Wspaniale, pyszne słońce i przebogata przyroda otaczała te zgnie ismienia. Odczuwałem przekorne wrażenie śmiechności na widok cuchnących strzępów dawnych panów tego kraju. Jeszcze raz zapiał kogut komiczną melodią sielskości, zdawia, „życia na łonie przyrody“. Powstałiśmy i uściskaliśmy drewnianą jakby rączkę Indianina, wyszliśmy z szalasu.

Zaraz jednak Grzeszczeszyn zawrócił, wsadził głowę do szalasu i zewnątrz słyszałem jak namawiał całe towarzystwo, aby pozwoliło się sфотографować. Indianin odpowiedział, że sфотографowanie jednej osoby kosztuje milreisa. Grzeszczeszyn gwałtownie odwrócił do nas głowę z ożywionemi oczkami:

— Widział pan tych sukisnynów! po milu chcą za sфотографję! jak to sobie obliczyli. A gównu w masle, parszywe dzikusy!

— Jak już pan wszczął tę całą historję, to zdejm pan ze dwóch i zapłać te dwa mile.

Głowa Grzeszczeszyna znów zniknęła w szalasje.

— Po pół mila chcecie, to was wszystkich zdejmę!

— Nie, nie — po milu, taka jest cena; obok w toldzie biorę taksamo.

— A to cyganie, ścierwy, indiańska ich mać! — biadał Grzeszczeszyn po polsku. W tymże języku zaprosił ich do sфотографji:

— Wyłaźcie! czarna swolocz, śmierdziuchy, psia wasza mać! Po chwili opamiętał się i rzekł po portugalsku:

— No to wyjdźcie! Wy i tamten chłopak ze wstążką na kapeluszu i trzy kobiety, tylko młode, lepiej sam sobie wybiorę!

Wszedł do szalasu i po chwili wrócił z trzema młodemi, rozśmianemi Indiankami. Ustawił grupę na tle szalasu i polecił nam stanąć między niemi. Stanęliśmy. Pstryknął, nastawił powrótnie aparat i biegnąc do Indian, prosił aby go Wójcik zdjął skolei.

Gotowe. Ale przy placeniu, wszczęła się kłótnia, bo Indianin żądał za dwa zdjęcia, czyli dziesięć milów, zamiast pięciu. Po-

ciągnęci kłótnią, mimowoli weszliśmy znów do szalasu i zapaliłiśmy. Przy drabinie fircyk stał już spowrotem, kobiety usadowiły się na dawnych miejscach. Wreszcie Grzeszczeszyn zapłacił, klnąc obrzydliwie, wszystko, czego żądali i po raz drugi wyszliśmy z szalasu.

Kilku chłopaków rozbiegło się na nasz widok. Przyszło mi do głowy, że przecież jakśmy tu przyjechali, z szopy wyjrzało conajmniej czterech Indian, a zastałiśmy tylko trzech i jeden był przecież chory, bez sił. Było to jakieś tajemnicze. Wsiadłiśmy na konie. Obejrzałem się.

W progu szopy stał z wdziękiem wygięty elegant i barwił się swemi wstążkami na brudnem tle. Poza nim nie było nikogo. Ostro pognaliśmy konie i po chwili wyjechaliśmy na dawną ścieżkę.

— No, cóż — zagadnął mnie Wójcik. — To nie wigwamy, mokasyny, pióra i tomahawki, co! Niech mi pan wierzy, że gorzej się dzieje niejednokrotnie na przedmieściach wielkich miast Europy.

— Ma pan słusność — odpowiedziałem z przekonaniem.

Jechaliśmy prędko, pragnąc nadrobić stracony czas. Droga ciągle była nudna aż do bólu. Żadnego życia, same stęzałe w upale zarośla, przez całą drogę widzieliśmy zaledwie trzy czy cztery paki; i chociaż wiem, że jest ich w tym kraju mnóstwo, ale dziwnie jakoś nie widzę ich na swoim szlaku. Chrapliwie wrzeszczący tukan, który przeleciał nad nami, stał się zdarzeniem, o którym rozprawiałem z Wójcikiem jakieś pół godziny. Wogóle od jednostrajności tej drogi aż mdliło. Jeśli zdarzył się zakręt, to byłem pewien że ujrzę tam powtórzenie minionego. Gdybym usnął i obudził się po pewnym czasie, śmiało mógłbym pomyśleć, że spałem na jednym miejscu. Ale wreszcie pejąz uległ zasadniczej zmianie. Ukazał się solidny most z dachem, zza mostu wyłoniła się pusta przestrzeń z rzadkiemi piniorami, ukazał się także jakiś budynek, dość pokazny, z gan-

kim, nieco dalej garbiły się dwie niepozorne chaluپیny, na trawie pasły się konie i z przestrzeni tej wiało wietrzną samotnią. Zadudniły kopyta na moście (z dachem), poczem wesolo skręciliśmy w lewo po niewielkiej podhyłości i zatrzymaliśmy się przy płocie obiegającym dom z gankiem. Z domu wyszła mała, pulchna kobieta (Grzeszczeszyń odrazu wszczępił się w nią spojrzaniem) a za nią równie drobny mężczyzna z gołą głową, czarniawy na twarzy i potulnie uśmiechnięty. Jego żona, ta właśnie pulchna smyrda z erotycznym uśmieczkiem pod zardartym noskiem, zakręciła się koło nas z wawo, powiadomiła, że „kapiton“ wyjechał do Candido do Abreu i wróci późnym wieczorem.

Para ta była czemś w rodzaju służby i administracji tego posterunku. „Kapiton“ był tu przełożonym i opiekunem Indian. Poto też zbudowano ten dom, gdzie się mieściło biuro z telefonem. Z kobiety emanowała nieprzywoita chudliwość, zdawała się tylko oczekiwać okazji, aby się wsunąć pod mężczyznę. Ponieważ fluidy te nie pozostały bez wpływu na nasze zachowanie, więc Wóćcik tonem surowego przywódcy polecił jej przyrządzić obiad i powiadomił nas jednocześnie, że ta „morona“ długi czas zanim wyszła zamąż, zamieszkiwała dom publiczny niejakej Stefani w Kurytybie. Wzmianka ta zdawała się jeszcze bardziej podniecać Grzeszczeszyną. Przechadzał się, znów siadał, oczka mu biegały, słowem zachowywał się niepokojnie.

Tymczasem zachmurzyło się, wszystko to, na co patrzyliśmy z ławeczki na ganku przykro sposępniało, ciepły wiatr szcesał grzywy końskie. — Rozsiodaliśmy te konie i puściliśmy wolno, poczem znów usiedliśmy na ganku. Oczywiście pilniejszy szmaron, paląc i plotąc o byle czem. Grzeszczeszyń zaczął raptem opowiadać, jak kiedyś koło Matto Grosso spotkał Indianina — albinosa, który miał osiemnaście lat i był biały jak owieczka, wszystko: włosy, rzęsy, brwi, a oczy czerwone jak u królika. Na

piersiach i nogach był też obrośnięty na biało, kędzierzawo. Wypuszczał strzałę z łuku, kładł na ziemi dwa rozsunięte palce, i między te palce strzalał wbiła się w ziemię. Było to przyjemne, białe kłamstwo odcinające się na tle ciemności jaka opadła w tej chwili na ziemię. Wóćcik z nudów zarelefonował do Terenziny, zapytał się Suchodolskiego co słychać, ten mu odpowiedział, że nic i skolei zapytał czy się co nie stało. Wóćcik zakończył rozmowę powiadomieniem Suchodolskiego, że nic się nie stało. W międzyczasie pobudliwe kobiecianko przygotowało nam gotowaną kure, jajecznicę na sadle, postawiła na stole bułkę kaszasy i zasiedliśmy do stołu z minami, jakbyśmy właśnie mieli spełniać misję i osiągnąć cel naszej podróży. Tutaj też po raz nie wiem który odczułem nieważność wszelkich zamierzeń w tym kraju. W Europie przed pójściem do kawiarni na rozmowę o niczem jest się przejść; tutaj można by jechać z niefrasobliwym gwizdem wydobywać ojca z nie-woli indjańskiej (akurat ci negdarze zdołni są do tego!) i zadanej atmosfery niepokoju nie odczuwałoby się. To stwarzają: jedynostajność pejzażu, dłużąca się podróż i te wszystkie postroje z szmaronami.

Nad niesmacznem, mdłym jadem snuje się między naszymi głowami okliwy zaduch kaszasy, obok stołu kręci się pobudzające wyposzczoną wyobraźnię — żeńskie paskudztwo; w sumie — obzarstwo, pijanstwo i cudzołóstwo zdają się siedzieć na ramieniu każdego z nas niby oswojone ptaki. A za oknami załobny całun jakiegoś niezdecydowanego huraganu. Pod wpływem denaturatu wyobraźnia zaczyna pracować niechlujnie i jakies mętne porównania spod ciemnej gwiazdy snują się po głowie. Jakby dla podkreślenia groteskowej uczyt usiadł w kacie mąż zdziwy i zaczął brząkać na gitarze jakąś melodię kaboklerską pełną nikczemnego smutku. Żeby już wreszcie lunął deszcz! Obok męża usiadła kobieta i zaczęła śpiewać głosem gdzisz z bebedów. Odurzony wódką Grzeszczeszyń począł kiwać się nad

stołem. Należało przerwać tę zabawę. Wstałem i powiedziałem:

— Moi panowie, jedźmy! Mamy kapy, wraźcie deszczu nie znikniemy!

Wójcik wyraził zgodę, ale Grzeszczyszyn zawołał:

— Nie, panowie! tak wesoło, posiedzimy jeszcze!

Wójcik i ja wybiegliśmy w duszną i pocieśniałą przestrzeń, z uzdami w rękach polapać konie. Pasły się o jakieś paręset metrów od domu. Wróciliśmy z końmi i z dworu krzyknęliśmy na Grzeszczyszynę aby wyniosła siodła i pelegi. Przyność je gitarzysta. Zaczęliśmy siodłać. Po niebie przewały się brudne, opuchłe chmury. Wszedłem do donku aby zapłacić za obiad i wywołać Grzeszczyszynę. W ciemnym kącie ujrzałem buraczaną plamę sukienki, podszedłem bliżej, rozległ się kobiecy chichot i rozóżniłem Grzeszczyszynę, który był tak zajęty chciwem obnacywaniem kobiety, że kiedy począłem wściekle krzyzczeć na niego, aby nieopanowane bydlę jakiej biedy nam tu nie naprowadziło!... że mógł przecież wejść mąż!... — nawet wtedy nie mógł od niej się oderwać, tylko dalej manipulował rozdygotanemi łapami po grzesznem ciałku groteskowej rozpustnicy z tego pustkowi. Szarpnąłem go za ramię:

— Puscć pan ją, bo wejdzie ten małpiszon i postrzeli pana!

Podniecony i rozjąkany odpowiedział:

— Idź pan, wyjdź pan jeszcze trochę... zagadaj pan męża... błagam pana!

Nie wiedziałem czy śmiać się czy drzeć włosy z wściekłości i sprać mordę temu draniowi. Kobiątka — rzeczywiście — stała potulna i z miną, że: „no cóż, mam akurat przy sobie... pozwolę”.

Z dworu doleciał nas odgłos, coś w rodzaju suchego trzasku z którego miał się urodzić potężny huk. Huku nie było, sam trzask. Szarpnąłem Grzeszczyszynę tak silnie, że aż jęknął zdziwionym jakby tonem. Kobieta zapiszczała i klasnęła w dłonie.

Uff, bodajby mnie los uchronił od tego obiadu! Od protokulowania tego wszystkiego! Pamiętam, że schodząc z ganku po schodkach i ciągnąc Grzeszczyszynę za rękę, jak zadąsanego wałkonia, pomyślałem sobie o tem wszystkim, że przecież fantazja pisarza jest czerną niedolną wobec sztuczek, jakie może nam zniemacka pokazać rzeczywistość, nawet w tak wyblakłych warunkach, jak tu.

— Co to za trzask? Ciągłe ciemno, jedźmy, cholera! — krzyknąłem naraz do Wójcika.

Odpowiedział, włączając na konia: — Jakiś piorun, ale diabli go wiedzą... nie huknęło!

— Właz pan na konia! — wołam do Grzeszczyszyny.

— Zaraz przyjdę, zostawiłem tam kapelusze...

— Już ja go panu zaraz przyniosę.

— O, ja wiem... byłem tylko nie ja! — postyszałem za sobą jego płaczliwy głos.

Upiło się zwierzę i nic więcej. W progu stał babsztyl z założonemi rękami i wierciła mnie czarnemi ślipiami.

— Siapco, siapco, a ki... — zaskrzeczała.

Podala mi kapelusze, wsadziłem go na głowę Grzeszczyszynę z przykląnięciem i kiedy już siedziałem na koniu, przypomniało mi się, że zapomniałem zapłacić tej... tam. Złazę z konia i mówię — bardziej w stronę Grzeszczyszyny — wyjaśniająco:

— Muszę jej zapłacić, psiakość, zapomniałem...

— Tak, ja już znam takich, co zapominają jak trzeba... i co kolegom wydrapują dzięwuchy spod...

Nie słyszałem co tam dalej mówił, tylko stanąłem na ganku i zacząłem wywoływać kobietę. Stała w ciemnym progu i śmiała się. Pokazałem jej banknoty. Potrasnęła głową, że nie chce. Poczyłem dziesięć milreisów na widocznem miejscu i podbiegłem do konia.

— Nie szczykały pan głupstw, — wrzasnąłem do ucha Grzeszczyszynowi!

Popędziłszy ścieżką w cztery, w stronę mostu. Usunął nam się z drogi jej mąż i krzyknął:

„Atc logo, senhores!”

Jechał cię sęk, sutenerze z dżungli! Przeskoczyliśmy most jak szatani i jechaliśmy dalej galopem, z powiewającymi niby skrzydła, polami kap. Wreszcie solidny piorun przerwał tę atmosferyczną obstrukcję, błyskawice zaczęły krajać niebo i chlusięło takim łachem wody, że aż konie przysiadły na zadach. Skreśliśmy w krzaki, zeszlismy z koni i trzymając je za uzdy, przykućliśmy blisko siebie, nakryci kapami, ryby brunatne kopce. Lalo z taką siłą, że czuliśmy ciężar spływającej wody po plecach. Pod kapami było ciemno i śmierzdziało wypitą kaszasa. Wyjąłem papierosy, poczęstowałem i zaczęliśmy puszczać sobie dym w nosy.

— Pan to jest jakiś jak nie z tego świata — szepnął do mnie Grzeszczyszyn z wymówką.

— Siedź pan cicho lepiej, na wszystkich postojach będziesz pan bajzle urządził! — krzyknąłem.

— Oj, panowie! dajcie spokój, bo przecież i tak mało nie skonałem ze śmiechu — wykrztusił Wójcik.

— Pan to jest taki zazdrośny o wszystkie baby... pies gnata nie zje i drugiemu nie da — wtrącił znów Grzeszczyszyn.

— Uspokój się pan, mówię panu... Jesteś pan nieopanowany erotoman!

— O, już zaraz takie naukowe określenia... na drugi raz niech pan się lepiej nie wtrąca!

Nie miałem już sił przemawiać się z nim dalej. Buty nasze po kostki płały się w kałuży. Zerknąłem spod kapy na świat. Gdyby nie szum deszczu i kanonada piorunów, człowiek z fantazją mógłby pomyśleć, że znajdujemy się na dnie jakiegoś stawu. I nagle — jakby wstrzymana gestem jakiegoś dyrygenta — cała ta awantura ucichła; coś niewidzialne zdmuchnęło z nieba dmury, na mokrą roślinność padły promienie słońca, zaśniło,

błysnęło tu i ówdzie, konie uniosły łby, słowem zrobiło się jak po burzy z temi wszystkimi akcesorjami: „ożywcze powietrze, zapachy, krople opadające z listka na listek”. Zegarok wskazywał godzinę piątą. Przewidująca dłoń Wójcika odwróciła pelagi włosiem pod spód, dzięki czemu nie zmokły i uchroniły siódła.

Czapałaliśmy w pogodnych usposobieniach, w słońcu, ptaszki gdziegdzie się odezwały, deszcz zdawał się splókiwać wrażeńia z kapitońskiego domku na Faxinalu.

— Oj, chłopcy, chłopcy! — wykrzyknął z wesołem poblazaniem Grzeszczyszyn.

Ano, dzięki Bogu, że nasz donzuan nabral humoru! Jedziemy dalej niby jacyś partyzanci; i diabli wiedzą czego my tu szukamy w tej ogromnej krainie. Badacze i podróżnicy? A toć przejeżdżamy miejsca zbadane! Może obyczaje? Żeby to chociaż pomieszkac trochę między tyimi wszawymi Indianami; ale krobry to na to miał ochotę! Zwyczaj wódczgi, objłasy, oto kto my jesteśmy. Popędziłszy znów zwiawo, aż bryzgi błota padły na wilgotne krzaki. Obojętnie, ze zwieszonymi głowami, uskoczyli nam z drogi: dwie Indianki i jeden Indianin. Ciemnieje, robi się chłodno, monotonne podrywki na koniu zwalczają znieczenie, po głowie snują się marzenia; chciałoby się usiąść z czyisto ubraniami, dowcipnymi ludźmi, pogadać, pośmiać się... I po co się ty tłuczysz po tych wertepach, młody człowiek? Bieda cię jaka wyrwała z kultury; zdarzenie lub potrzeba? Oh, głupio i mętnie, i nieciekawie, jak nieciekawe są te dwa zady końskie, pokryte zwisającymi z ramion moich towarzyszy kapami. Pokazały się dwa zapamiętane znaki: zwalony i najezony sękami pień piniora, potem dwie olbrzymie, zrosnięte ze sobą imbuie. Zaznaczyła się bliskość zagrody Potrały. Ci dwaj przede mną ożywiłi się, zaczęli mówić przytłumionemi — i przez gardło — głosami o jakimś wendziarzu co chce zostać prefektem i niewiadomo czy zostanie... Koń mi się potknął, poprawiłem się w siodło, coś mnie uwietrało... Stanęliśmy. Jedrus wyskoczył z latarką...

— A, zara wam portung otworzę!

Zatoczyłem się na zdrętwiałych nogach, koń odszedł ode mnie gdzieś w ciemność, wszedłem do izby. Tak samo jak i wczoraj, tylko jacyś nowi ludzie. Piją szynaron. W'tam się kolejno; między kilku palącymi, rozgadanymi chłopami rozpoznaję jednookiego, tego co podjeżdżał do Psycha w chwili naszego odjazdu. Wysoki, smagły i zbojceki, z błyszczącym — jakby i za to utracone — oknem, podał mi rękę nie przerywając tego co mówił. Wydał mi się jakiś potrzebny, toteż zapytałem Potyrałę naboku, jak się nazywa.

— To jest Dąbski, możecie się z nim zabrać do Candido de Abreu. Skupywał konie na handel i teraz wraca do domu. Znalazłem sobie miejsce obok Dąbskiego i zaraz ujrzałem jak Grzeszczeszyn coś go tam wypytywał z rozbieganemi oczkami. Jakże różnie wyglądali ci dwaj; jeden suchwały, hajdamacki; drugi jakiś mdły, przechytrzony. Między kolanami Dąbskiego stał znany mi już z widzenia, dwunastoletni chłopak i, z śmiałą, poważną minką rozglądał się po obecnych. Kilku mężczyzn ustąpiło nam miejsca przy stole i zasiadliśmy razem z Dąbskim i jego synem do kolacji. Dąbski spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem: drwina pomieszana z szacunkiem. Jadł kilka minut łapczywie, mrużąc jedyne oko, czasem odsuwał na bżezg talerza kawałek mięsa i wskazywał go chłopakowi. Był brudny, jak to ludzie prości w podróży; skudlane włosy nosiły ślady przygodnych noclegów, zgrubiiałe, przezarte brudem palce łakomie rwały pajdy chleba. W pięciu tworzyliśmy przy stole osobne towarzystwo, bo pozostali mężczyźni, sąsiedzi Psycha siedzieli pod ścianą dyskretnie i pili szynaron, paląc ciagle i gadając o swoich codziennych kwestiach. Dąbski odsunął pusty talerz, popił kawę, odsapnął i począł krajać funę na papierosa. Spojrzał na mnie jakoś boczkim i zapytał:

— Pan niedawno z Polski?... z jakiej guberniji?

— Mieszkam w Warszawie, panie Dąbski.

— A lubelskiego nie zna pan? Ja z lubelskiego, na Tatarach mieszkalem, na folwarku u Borzeckich służyłem i stramąd tu wymiagrowałem. Zna pan lubelskie?

— Sam Lublin znam, lubelskiego nie!

— A teraz chce się pan trochę przejechać po Brazylii... Grzeszczeszyn mi mówił... my teraz z końmi będziemy jechać do Londrny, z dziesięciu chłopów. Jedni końmi pohandlować, drudzy wywiedzić się o ziemię, bo tam teraz kolonizacja ciągnie, do Anglików... ziemia tam dobra. Tylko że droga to ciężka, bez wygod, pikadami, spania marne, do zycia sama tylko pasoka, ryż z fizonem od święta i kawa. Zapłacie, to wam o siódła się wystaram, a co do koni, to już mniej kłopotu, bo kilka dziesiąt, całą tropę będziemy prowadzili. Jak tylko pogoda zanieśnie się na stałe, zaraz chłopci mają zjechać od Hervalzinho, u mnie się mają spotkać i zaraz jedziemy w selwe. Tylko namyślcie się panie, bo powiadam wam, że będzie ciężko, utrudzicie się. Droga jest mało znana, przez ogromne lasy i znają ją tylko bracia Sawczuki z Hervalzinho, którzy już ze dwa razy tamtędy jechali. Namyślcie się dobrze, tobyśmy jutro wyjechali do Candido, tam mam dom, moglibyście pomieszkać aż tamci zjadą i hajda. Dla nas im więcej ludzi, to tem lepiej, bo i broń pewnie macie, a strony dzkie. No i co powiecie?

Porozumiałem się wzrokiem z Grzeszczeszynem co do tej gratki, bo zarówno jemu jak i mnie taka właśnie podróz się uśmiechała. Może się nareszcie coś zobaczy w tej Brazylii. Ostatnie słowa Dąbskiego brzmiały zachęcająco. Do rozmowy wtrącił się W'ójcik:

— Ja myślę, że to będzie dla was najlepsze, poznacie kawał kraju, a trochę niewygód tylko dobrze wam zrobią. Gdybym miał czas, sam bym się z wami pojadę. Radzę wam korzystać z okazji!

— Ja chętnie z wami pojadę — powiedziałem do Dąbskiego. — No to zabieramy się jutro narazie do Candido z Dąbskim, tu niema się co namyślać — wtrącił Grzeszczeszyn.

— W drodze się jeszcze co do różnych rzeczy namyśliły — powiedział Dąbski, ziewając.

Słowem sprawa ułożyła się jaknajpomysłniej. Byliśmy tak pomęczeni, że trudno było dalej roztrząsać ten temat. Rozszliśmy się senni, każdy na nocleg jaki przygotowała Potryłowa. Leżałem już rozebrany w swoim wczorajszym pokoju, kiedy przyszedł do mnie Grzeszczyszyn w kalesonach, cały rozchełstany, drapiący się, poczem przysiadł na łóżku i zaczął mówić:

— Ja panie o tej samej drodze myślałem, tylko że we dwuch byłoby nam ciężko. W czepekach żeśmy się rozdzielili. Ale teraz panie, musimy się trzymać jak bracia, bo to towarzystwo niewiadomo jakie, a naród zuchwały skoro się na takie drogi puszcza. Musimy dobrze uważać, żeby nas nie wykołowali. W Candido trzeba broń dobrze oporządzić, amunicji nakupić, bo niewiadomo co wypadnie. Nie bój się pan nic, już przy mnie włos panu z głowy nie spadnie. Bylebys pan tylko się mnie jako doświadczonemu podporządkował. Może być polowanie, mogą się i bandyci przytrafić. Co, śpisz pan?

Odpowiedziałem sennie, że właśnie zasypiam.

— No to śpij pan, zdrowo, mocno. Dotychczas były same duperełki, teraz się dopiero zacznie. Gute nacht, panie Kóniowski!

Szu, szur... poszedł.

Nowy dzień okazał się wietrzny, przeczoczysty i choć bez słońca, białawy. Dużo jest smutku w takim dniu i człowiek wrażliwy czuje się sieroco i skłonny jest do spełniania dobrych uczynków. Leniwie ubrałem się, umyłem niechętnie i wyszedłem na podwórze. Okazało się, że jest dość późno — około dziewiątej. Przy żłobach stało kilka koni i burów, chrupiąc kukurydżę. Koło tych zwierząt chodził Grzeszczyszyn, patrzył im na kopyta, zaglądał w mordy, odkakiwał, doskakiwał... Za sztylpą miał wetknięty jakiś patyk. Tak zajętego nie należało

zaczepiać. Dąbski z chłopakiem głośno przemawiali się o coś z Potryłą, chłopak podskakiwał, okręcał się na pięcie, też nic mi do nich. Wiaterek śmici poganiał, kury sennie gdały, obie papugi skulone i nastrożzone siedziały na herworem drzewku, chwilę wypatrywały małpy, w końcu postanowiłem pójść na śniadanie. Przy płocie stał Wójcik z trzema końmi, więc podszedłem do niego:

— Szarawo dzisiaj jakos — zagadnąłem.

— A to i lepiej bo będzie wam chłodniej jechać. Ja tu myśleć czy te habany związać czy jak, bo jeszcze mi nie pójda!

— Niech pan je wężnie na linkę i trzyma przy siodle swojego konia, to najprościej!

Posłuchał mojej rady, kiwnął głową, ale ja nie byłem zadowolony, że się w to wtrącałem. Niesmak, ironja... co ty mieszczuchu o tych sprawach mozesz wiedzieć!

— Bardzo żaluję, panie Wójcik, że się musimy rozstać — odezwałem się z przekonaniem.

Położył mi rękę na ramieniu i pokazał swoje nieładne zęby w miłym uśmiechu.

— A, jeszcze się tam kiedy spotkamy... w Kurtrybie, albo bodaj i w Polsce! Jak się pan tak przejeździe selwą, poje byle czego, ochwaci tym przereklamowanym egzotyżmem brazylijskim, to pan dopiero uzna piękność tamtego kraju. Ludzie — panie — zachwycając się Brazylią mają na myśli Rio de Janeiro, a Rio ma niewiele wspólnego z interiozem, jest piękne, a więc całkowicie inne... Bądź pan zdrowi! trzeba mi ruszać, bom tam żonę i dzieci zostawił... Szkoda, że nas wczoraj ta burza chwyciła, bobysmy pojechali lepiej zobaczyć Faxinal, — chociaż, diabła tam! wszędzie on jednaki!

I pojechał sympatyczny pan Wójcik, a ja poszedłem do izby, poczęłem jeść i pić w oćmie, wprost przykry samemu sobie. Przez otwarte drzwi gapilem się na podwórze. Dąbski krzątał się koło koni, rozsunął im równo kukurydżę w żłobie,

Grzeszczyszyn siódłał siwego bura, kolanem oparł się o jego brzuch i ściągał popęg. Zastanowiłem się skąd wzięli dwa siodła i zaraz ze wzruszeniem przyszło mi do głowy, że to Grzeszczyszyn wystarał się o nie u Potyrały. Należało to wyjaśnić. Dopilem kawę i poszedłem do niego.

— Skąd pan dla nas wykombinował siodła?

Odwrocił do mnie zaczerwienioną z wysiłku twarz.

— Potyrała pożyczyl do Candido do Abreu, a stamtąd ma mu je przywieźć poczciarz, Dolski. Już nic się pan nie bój, wszystko będzie gut!

Wciąż te pożyczki, — pomyślałem z niechęcią. Należałoby już wkońcu pokupować co należy. Pochyliłem się nad siodłem przeznaczonem dla mnie; było ogromnie zmarnowane i brak było do niego futrzanej pelegi.

— A pelegi niema?

— Jest tylko jedna, będzie pan musiał podłożyć sobie kapę.

— Którego konia mam sobie osiodłać? — zwróciłem się do Dąbskiego.

Wskazał mi kościstą kobyłę i roześmiał się drwiąco:

— Wytrzymaj pod panem, a w domu ją się podkarmil!

Było nieco upokarzające jechać na takim szkielecie, ale trudno! Z zadrzością spojrziałem na czerwoną pelegę Grzeszczyszyna. Osiodlałem swoją kobyłę, odszedłem i obejrzałem się; przyglądała mi się badawczo i z lękiem. Przykro. Obok mnie przebiegł Jedrus¹ pędząc ogromną, spasioną świnię:

— A gdzie! desgrasado kapado! ¹, gdzie gnasz, ścierwo...

Opartem się o okno kuchni i poprosiłem Potyrałową o rachunek za dwa noclegi i jedzenie. Miała przygotowaną cyfrę dwudziestu milreisów. Zapłaciłem z niechęcią. Nie ze skąpstwa ale trochę gościnności... coś... tego. Chłopak Dąbskiego siedział oklep na koniu i odpędzał całą tropę od złoju w stronę bramy. Zapamiętałem, że kiedy pierwszy raz zobaczyłem Dąbskiego

¹ „Capado” — kastrowany wieprz.

miał trzy konie i jednego bura; teraz pognano przed nami siodem koni i dwa bury, nie licząc tych, na których siedzieliśmy. Obrótny handlowiec, swoją drogą! Na tym krótkim i niezamieszkałym odcinku od Psycha do Potyrały dokupił jednak kilka sztuk.

Jechaliśmy słuchając monotonnych okrzyków małego Dąbskiego:

O! o! ooo!... O, o, ooo! Zwierzęta często przystawały na uboczach, pojadaty takuare, skręcały nagle w las. Trzeba było je znów spędząć na drogę, w czym mimowoli brałem udział.

O! o! ooo!...

Wkońcu jednak jechaliśmy spokojnie, pędząc przed sobą zgodne stado. Było chłodno i zwilgotniała droga nie puszczająca kurzu. Najpierw ukazał się jakiś znajomy zakręt, potem widziane jary i kiedy zdaleka zabieliły się donki Conde la Guicha, wiedziałem, że to wczorajsza trasa. Nie rozmawiałem i jedynie odgłosy, to były: O! o! ooo!..., oraz gniemy lecz rzadki okrzyk Dąbskiego. Wjechaliśmy na tereny Indian, ukazał się cmentarz. Było — było... Zapiał kogut, wiadomo — szopa blisko... Jazda dalej!... most z dachem, domek kapitoński, — porozumiewawcze mrugnięcie Grzeszczyszyna w moją stronę; — łączka, piniory, stop! Tutaj Dąbski zarządził odpoczynek. Poziadaliśmy z koni. Zdeterminowany, położyłem kapę pod płotem i usiadłem sobie.

— Niech tam pana jararaca nie dziabnie w zadek, zawołał wesoło Grzeszczyszyn, wchodząc do domku, gdzie zaczerwieniła się sukienka wiadomej istoty.

Nagle uświadomiłem sobie moje męczeństwo. Począłem kłąć pod nosem na całego. Już ja się tam wćcej nie pokażę! Odgrzewane widoczki, tak! Może i wczorajsza sytuacyjka też się powtórzy, taka a taka mać! Rzał przeciwieć jak wchodził, a tamta też mignęła. Posępnie patrzyłem w dal. Ten i ów z koni tarztał się, jakiś bur idjotycznie zakwicział czy zawył... Oto i los

moj, nerwowy jestem czy co? Siedziałem tyłem do donku i posłyszałem za plecami energiczne kroki. Ujrzałem pochyloną nad sobą, wąsatą, ognistą twarz. To stał „kapiton” od Indian. — Dlaczego pan nie wejdzie do środka — mówił przyjemnie choć po portugalsku... — Podobno byli tu panowie wczoraj, niesety, nie wiedziałem... proszę bardzo, przekąsimy coś.

Zapraszał tak przekonującym tonem, że podniosłem się trochę zawstydzony i wlażem do znanego mi już pokoju. Przy stole poważnie rozmawiali Dąbski i Grzeszczyszyn, kobieta smażyła coś przez ścianę, „kapiton” prosił mnie siadać, usiadłem, rozglądałem się, po chwili kobieta przyniosła jajka, chleb, butelkę... — a niechże to szlag trafi!... — kaszasy! Postawiła to, ale jakaś zarozumiiała, bez cienia wczorajszej wilgotności. Jej mąż siedział pod oknem i zamiast grać na gitarze strugał kawałek drzewa. „Kapiton” był w typie huzara węgierskiego; żywe oko, przystojny! Był bardzo uprzejmy, podsuwał, częstował. Długo wykręcałem się od picia, nakłonił — wypilem. Brr. Zaczął mi stawiać śmiałe pytania:

— Polacy? mocni w Paranie? Pracowity naród, umieją przetwarzać?

Potakiwałem. Wizyta ta odbyła się bez pointy, chociaż moje przeważliwienie oczekiwało, że coś się stanie. Dopiero teraz, kiedy je obcierał, zauważyłem, że Dąbski ma wąsy kasztanowe, kozackie — wdół. Dziwi! Te wąsy prosiły się przecież aby je widzieć. Coś mi jest.

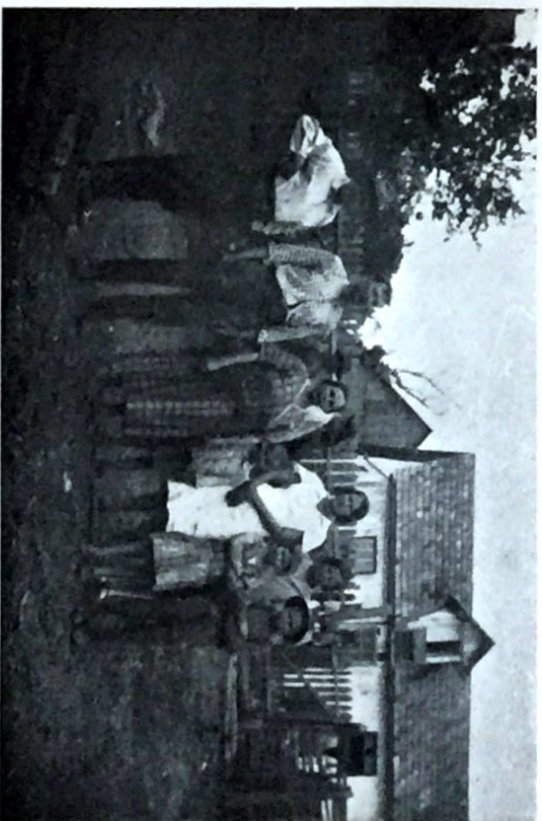
— „Ate logo, muito obrigado, senhor capitao!”¹

Odjechałszy dziarsko, w tętnie wielu kopyt, gnając tropę przed sobą. O! o! ooo! I ja w tem — groteskowy gauch. Było południe, słońce bladziutko stało się po świecie. Wyjechałszy na dość szeroką drogę, po obu stronach ściany lasu, było... było... nic nowego! Podeszło, spod kopyt tropy wzbijały się lekkie tumany czerwonego kurzu, co to będzie, jak na fest

¹ Dowiedzenia, bardzo dziękujemy, panie kapitanie.



W PALMITALU



RODZINA DĄBSKICH

wyschnie. Jadąc, myślałem o takich sprawach, o których się najlepiej myśli w przytulnym gabinecie, z telefonem pod ręką, z możliwościami. Myślałem więc o kulturalnych sprawach, a wszystko wokół — wprost inaczej. Trzcionka na koniu, kurz, tajemne dale, zwisający z siodła Grzeszczeszyński, chłopak: O, o, ooo!... Dąbski, ustawnie skręcający papierosa. Może to i zdrowo, takie: inaczej! Ale tam — grzechni, przyjemni ludzie, koledzy, myśli ciekawa... I gdyby to wojna, — myśle — front, potrzeba jakiś gwałtowna... a tu jedziesz; dokąd? pocco? Ach, to przykre pocco?

Dąbski zrównał się z moim koniem, począł gadać, wspominać:

— Nie zna pan lubelszczyzny, szkoda — brata tam miałem, był stangretem u komisarza policji, w samym Lublinie... też go pan nie znał? To był piorun nie chłop, ale raz, zgrzany, napił się zimnego piwa i umarł tak głupio... U Borzeckich folwark był ładny, ale na podłej człowiek był służbie... teraz! mam więcej ziemi niż cały ten folwark, i sam sobie pan... wolny człowiek! Tylko żona... o, ta to aż skowyczy za krajem... Córki, panie, go nie lubią... czują tylko pismo nosem; że tam bida, i niewola dla chłopca i podatki... Wiadomo kraj potrzebuje... Dziewczyzny... jak szóstki — panie! Spójrzy na chłopca — kolana trze! Ano, wydam... i posag dam, byle tylko nie jaki larek. Wdały się w ojca, choć ślepy! Ale ja lepiej widzę niż inny z dwoma... wybili — panie! W bicce, szkotą, ale ja go całego wpakowałem do ziemi! Tak, cztery lata temu... Te, Michał! gdzie bury leżą! pognaj no za niemi. O! o! o!... Czekaj pan, bo się sukiny w kapucję rzuciły.

Pocwałował naprzód. Grzeszczeszyński huknął wesoło, obrócił się w siodle, nogi mu zwiły na bok burą, po babsku.

— To jest jazda, panie! Wesoła... nie bój się pan nic.

Spójrzałem na niego pustym wzrokiem i zapaliłem papierosa. Tropą uporządkowała się, Grzeszczeszyński usiadł jak należy, je-

chalo się dalej w kurzu i w spokoju. Krajobraz zmienił się; granatowe plamy lasów cofnęły się do tyłu, na spotkanie oczom wybiegła przestrzeń, ukazały się drzewa pomarańczowe, ukryte między niemi chatupy; czerniły się spalone rosy, przejechałimy most, rozwiłły się drogi, skreśliłimy w prawo, ożywiło się. Przed jakąś zagrodą Grzeszczyszyn zatrzymał bura i przez zwiniełą dłoń huknął w stronę chatupy:

— Hej tam, o de casa!... Hej tam z domu!

Przez okno widać było ludzi przy posiłku, porwali się od stołu, biegli do Grzeszczyszyna; mężczyzna, dwie kobiety, dzieci...

— Ano, powiedzcie mi jak się to drzewo nazywa, bo go nie znam!

Mężczyzna z gołą głową obtarł rękawem usta, zdziwił się, przygarbił, jedna z bab ujęła się pod boki, mężczyzna zachichotał i rzekł:

— Nazywa się ono „loco“¹, oto teraz wiecie?...

Cale towarzystwo zatoczyło się od śmiechu.

— No, nie zartujcie — przecież pytałem! — powiedział Grzeszczyszyn już niepewnym głosem, ale zaraz szarpnął konia w bok, bo chłopcy zaczęli zbierać z ziemi pomarańcze. Jedna z nich trafiła Grzeszczyszyna w plecy, mój koń także dostał w brzuch, uskokczył. Dąbski wrzeszczał:

— Co panu padło tu, czy co! Co to było?

Grzeszczyszyn odwrócił poczerwieniałą twarz i syknął:

— Eh, to chamstwo...

— Jaktó chamstwo!... czego pan ludzi rusza od jedzenia i kpiny sobie pan z nich wyprawia... pokazuje pan na drzewko herwowe i pyta pan jak się nazywa! Co to, sam pan jedzie?

Wtulił głowę w ramiona i jechał. Zrównałem się z nim i krzyczę mu do ucha:

¹ Głupiec.

— Pan naprawdę chce oberwać... to miało być coś wesołego, co?!

— Ale panie, ja naprawdę nie poznałem, że to herwowe, — rzekł potulnie.

— Pan jest idiotą, rozumie pan! — krzyczałem. — Dobrze panu odpowiedzieli. Oto jak się to drzewo nazywa... już niech mi pan tylko tutaj aby nie przesoli!

Puściłem go naprzód. Zdenierował mnie zdrowo. Doprowadzi do wybuchu. Psiakrew! Co to za stwór jakiś dziwny. Po raz nie wiem który postanowiłem go zbić przy jakiejś okazji. Uspokoiłimy się. W pewnej chwili napotkałem wzrok Dąbskiego; pokazał palcem na czoło. Tropa znów zawieruszyła się gdzie nie trzeba i cale to zdarzenie zamazało się. Po jakimś czasie podjechał do mnie Grzeszczyszyn i zaczął bąkać:

— Ja to — wie pan — z ciekawości... myślę, a nuż coś ciekawego, zapiszę, zbieram nazwy do książki o Brazylii... Jestem impulsywny, nie zastanawiam się... to, panie chamy... myśleli, że z nich kpię... musieli wszyscy wybiegać... nie wystarczyłby jaki chłopak... wszedłbym odrazu do chatupy, ale zwycają... trzeba wpiertw wywołać z domu... niech pan o tem zapomni... to chamy — panie!

W oczach mu jednak igrał jakiś ironiczny płomyk, i ten jego płacziwy głos też był jakby drwiący. Cóż to za dziwny człowiek jest ten Grzeszczyszyn... a jeśli kiedy wyprowadzi mnie z równowagi... obawiałem się tego... jak postąpi jeśli dam mu pięścią w szczękę? To było niepokojące. Tymczasem uspokoił się i nawet rzucił coś wesołego w stronę Dąbskiego. Po chwili wyjaśnił mi, niepytany, że jedziemy po linii kolonji Palmiał. W pewnym miejscu, wdole szarzały zabudowania myńskie i dzwonił tartał. Uwijali się ludzie, blyszczala rzeczka. Martwota wyraźnie usuwała się z krajobrazu.

— To Polacy, — szepnął mi Grzeszczyszyn tonem pocieszenia.

Z drzew wystrzelita nagle wieżyczka. Dąbski krzyknął wesoło do syna:

— Ganiaj Michałek do chatupy, matka z pyzami czeka!

Droga poszerzała nagle, przemieniła się jakby w trakt, wpoprzek którego przebiegał pas domów, malowanych przeważnie wapnem na biało; krytych często czerwoną dachówką. Tam gdzie „ulica“ spotykała się z traktem, stał wielki, na wysokich fundamentach dom, z piętnem dzikiej prowincjonalności na obitych blaszanymi reklamami — ścianach, z drzemiancami przy słupach koni, juczonymi burami, kręcącymi się między niemi ludźmi ubranymi z fantazją, w zawadziacko przewiązanych chustkach na szyjach, z szkikotami, zwisającymi z przegubów rąk, z rewolwerami wystającymi lufami spod marynarek. Zbójcki urok wiał od tej wendy. Ludzie stojący w drzwiach patrzyli na nas ciemnym wzrokiem spod wyszmelcowanych kapeluszy; obawialem się, że rzucą jakieś ironiczne słówko, że trzeba będzie: „do korda, panowie!..“ A najbardziej niepokoił mnie Grzeszczyszyn, który wyraźnie pokazał im ręką banana i zarechotał rubasznie, na co w odpowiedzi gruchnęła salwa śmiechu ze strony — tak mi wyglądał — bandytów i dały się słyszeć wyrazy: „Que isto, barbaridad! desgrasado luoco... hehehe!“ (Co za przekłety głupiec... blondyn...).

Grzeszczyszyn zdjął kapelusze i zawołał: „Como vac, rapaizezi! Bom dia!“ (Jak się macie chłopcy! Dzieńdobry!).

Znów się zaśmiali, którzyś odpowiedział: „muito bem!“, — ale już Dąbski nacierał koniem na Grzeszczyszyna i krzyczał:

— Jedź pan, jedź pan! znów pan zaczynasz!

Skręciliśmy w ulicę i zaraz naprzeciw wendy, sponiędzy dwóch stojących blisko siebie domów, wybiegła smagła dziewczyna w kusej sukience i otworzyła nam bramę, wołając: — O, tato przyjechali! — Zsiedliśmy z koni. Dąbski zaczął się całować z tęgą kobietą, uściskał smagłą dziewczynę, przy-

ciała druga, też ją uściskał, zaczęły się okrzyki, zapytania, gwar, śmiechy. Chcąc przeczekać powitania, wyszedłem przed bramę i rozejrzałem się po mieście. Domów mogło być z pięćdziesiąt, ciągnęły się wzdłuż szerokiej ulicy, która ginęła za wzniesieniem. Cate to Candido de Abreu ziało brudem i zaniebdaniem, słowem głuchą i nędzną prowincją. Jedynie koło wendy panował pewien ruch, dalej martwość, samotnia. W Polsce spotyka się często takie beznadziejne, żydowskie miasteczka.

— Ha! — pomyślałem sobie, — miejscowość znów mi się udała, nowy paciorek do mego czarnego rożanca. Wróciłem na podwórze. Przywitałem się z rodziną Dąbskiego: z żoną, tęgą, chytrą kobietą o nieufnym wzroku, z chudemi, czarniawemi córkami, które przy podaniu ręki zakrywały sobie usta i ponuro spuszczały oczy, następnie z pięcioletnim chłopakiem na pulchnych, krzywych nogach, który uciekł na mój widok świecąc gołym tyłkiem. Wszystko to zaraz zniknęło w mroczkach jednej z chatup, a my trzej i Michałek poczuliśmy zdejmować siodła z koni. Zaraz jednak Dąbski pozostawił tę czynność tylko nam dwóm, bo Michałka posłał po kukurydzę, a sam zaczął spędzac gryzące się, kwiczące i podenerwowane głodem zwierzęta pod słomiany dach na czterech słupach. Podczas tej czynności, wydawał nam polecenia:

— Siodła zaniescie do tej chatupy co po schodkach! A wróćcie konie, bo idą na portrere a jeszcze czas!

Słowem dostaliśmy się w tak zwany z rosyjska — plen. Zanimosłem swoje siodło i wózek we wskazane miejsce. Było to jakieś ciemne i cuchnące przepierzenie, za którym widziałem obszerną sypialnię z kopianami łózkami, czysto zamkniętą i posypaną piaskiem podłogą. Ale w tej norze stało tylko jakieś wyrtko, po kątach wałało się nieco sprzętu końskiego i na drewnianych kozłach stała niecka, pokryta wilgotnem, zakrawionem płótnem. Właśnie ta niecka i rzemienie tak cuchnęły. Schodząc ze schodków postanowiłem zachowywać się nie-

zależnie. Zatrzymałem się nawprost kuchni, pełnej dymu i kłótni. Zajrzałem tam. Chłopak z gołym tyłkiem stał na czworakach na stole, jedna z dziewczyn strugała jakieś korzenie, druga zmywała naczyńa. Dąbska coś warzyła, stojąc przy normalnej kuchni z fajerkami, co mnie zdziwiło w porównaniu z dotychczas widzianymi kuchniami. Na mój widok trochę przychyło, powiedziałem parę słów przeproszenia i wycofałem głowę na świeże powietrze. Posłyszałem słowa wypowiedziane znanym polskim tonem:

— Ty flejtuchu, ociec przyjechał to ci kiecki poddrze i wsypie za to wszystko coś tu nabroił!

Przed plotem zebrała się grupa mężczyzn komentując ze śmiechem stado koni i uwijającego się pośród nich, wykrzykującego Dąbskiego. Grzeszczyszyn siedział na siodle, na ziemi i palił. Zapropomowałem mu spacer wgląd podwórze, tam zileniła się trawa i rosły drzewa. Powstał, powiedział, że tylko zanieś siodło, zaniósł, wrócił i poszliśmy przed siebie, omijając starannie zady burów. Tutaj było cicho, powiedziałabym nawet — romantycznie. Rosły drzewa pomarańczowe, słała się delikatna trawka, a w trawce złociliły się kule pomarańcz. Zdaleka dochodziły okrzyki Dąbskiego i kwiczenie burów, a z przeciwnej strony przytłumione ale charakterystyczne chrząkanie. W tę też stronę poszliśmy. W milczeniu zatrzymaliśmy się przed drewnianem ogrodzeniem okalającym błotny dół, pełen porozwalanych, tucznych świni. Spojrzałem z boku na Grzeszczyszyna. Zdawał się coś rozpamiętywać.

— Pamięta pan, tam... w Baraderci? — spytałem cicho.

Odwrócił twarz do mnie, pokijał głową i powiedział:

— Tak, to było głupie zdarzenie... A wie pan, ja lubię święnie, zwłaszcza takie tuczne kapady.. to jest bogactwo każdej gospodarki, chłopski dobrobyt, a mnie na chłopie zależy.

Przemilczałem w obawie aby nie rozpętać społecznych zwierzeń Grzeszczyszyna.

— Śmierdzi — powiedziałem po chwili, chodźmy.

— Śmierdzi, śmierdzi, ale potem smakuje powiedział tklwie. Spacerowaliśmy wśród drzew, Grzeszczyszyn był jakiś cichy, zadumany, aż zaczął powoli:

— I oto przemierzaliśmy szmat drogi. Poznał pan osiedla ludzkie, ich obyczaje...

— Nic nie poznałem, to wszystko było nic — przerwałem mu szybko...

— ...Poznał pan, poznał, nawet pan sam o tem nie wie, a dopiero jak to się w twórczość przyoblecze, to wówczas pan to odczuje... i wspomni pan Grzeszczyszyna... ale nic, to dopiero część znikoma, pierwsza faza. Teraz skoiei czeka pana egzotyzm tego kraju, dżungla, niebezpieczeństwa, niewygody... i tu dopiero wykaże się pański hart, czy pan to wszystko zniesie. Tu jest ostatni cywilizacyjny posterunek, ostatnie skupisko ludzkie, dalej zaczną się ostępy, dzicz... i dlatego jeszcze raz panu powtarzam: niech ja mam posłuch u pana, bo tylko pod mojem kierownictwem zbada pan niezbadane głębie zazdrośnie ukrytych przez puszcze tajemnic. Niech pan to sobie zapamięta...

— Ach, będziemy sobie jakoś radzić, drogi panie Grzeszczyszyn, teraz chodźmy do Dąbskich, może dadzą nam co zjeść, zresztą zmierzcha się już... napiłbym się szimaronu.

Zgodził się, poszedł ze mną w stronę kuchni, ale skupiony jakiś, rozmyślający. W mroku słychać było chrupiące kukurydżę stado, nieco wyżej, za plotem, na tle światła w wendzie poruszały się sylwety, słychać było podniecone głosy, śmiechy — kabokle pili. Z kuchni buchnęło gorąco, zapach tłuszczu i podniesiony głos Dąbskiego:

— Będziemy tu gnili na jednym miejscu, maleitą się paśli, a cały naród na angielskie ziemie wali, działki skupuje i wielu chłopą już zarobiło, bo ziemia wgórg idzie!... Konie popędzę, trzy razy tyle za nie dostanę com tu zapłacił, a ty sobie pysk

drzesz, że ja tylko za włóczęgą uganiam i o chatupie nie myślę! A co ja chatupę będę gryzł, kiedy mnie do handlu ciągnie, a com się dorobił to na handlu, na karośnictwie... nie pamiętasz?!

Na to płacziwy głos Dąbskiej:

— Dużo mi tu przywieziesz... bydlę ci w borach poginie, na ziemi cię oszukają, jeszcze mi będziesz dziewczynę w lasy ciągnął, gdzie tyle samego chłopca jedzie... zmarnujesz nas zeszczętym, zmarnujesz ty włóczykiju cholerny!

— Gadaj sobie, gadaj! — odkrzyknął zachrypniętym i zmęczonym głosem Dąbski.

Weszliśmy nieśmiało do środka i skromnie przysiedliśmy przy oknie, za stołem.

— Kolację lepiej przygotuj, bośmy głodni! — powiedział Dąbski i przysiadł się do nas.

Na stole kopciła lampka naftowa, przykręciłem ją trochę i w mdłym świetle spoglądałem na krzątające się kobiety, jednocześnie prawą nogą usuwając ciężar, który mi się na nią walił. Mimo cholewy, poczułem w łydce jakieś szczypanie i powie działem z sykłem:

— Co tam może być pod stołem, pies, czy co u licha!

— Walaś, wylaś spod stołu! — wrzasnęła jedna z dziewczyn i przypadła do podłogi.

Wyciągnęła spod stołu trzepocącego się Walusia, kującego ją obcęgami po głowie. Wszyscy jakby poweseli. O ile Dąbski zachowywał się wobec nas swobodnie i nawet traktował nas nieco zgóry, o tyle rodzina jego czuła się zażenowana naszą obecnością, zwłaszcza dziewczęta, nie odpowiadały nawet na pytania, tylko chowały głowy w ciemne kąty. Wogóle nie pannał tu nastroj szczerzej, swobodnej chłopskiej rodziny kolo-nistów, raczej nieufność granicząca z pokorą. Czuło się jednak była służbę folwarczną, bez indywidualności jaka cechuje gospodarzy. Pozatem było tu niechlujnie, śmierdziało pomyaniami.

Cała rodzina była brudna, poplamiona i obszarpana. Dąbska postawiła na wilgotnym, pokrytym zadziorami stole, talerze z kawałkami pływającego tłuszczu, smażonego mięsa, blaszaną miskę z cuchnącą karbolem mandioką i poplamione rdzą, żelazne łyżki. Jedliśmy we trzech, Dąbski posadził sobie na kolanie Walusia i co chwila wsadzał mu do ust łyżkę z mięsem, czasem zamiast w usta trafiał mu w szyję i całe podgardle dziecka razem z brodą omaszczone było obficie. Trzymałem się jednak dziarsko i jadłem starając się nie patrzeć na Walusia. Dąbski garścią wytarł usta, poskubał w wąsach i odezwał się do żony:

— Miliji na pasokę nagotowałaś?

— A jest w pajorze.

— No to trzeba będzie zarznąć ze dwa koguty i przygotować do pasoki, żeby wystarczyło jej na całą drogę... Michale, przynieś mi pai... i worek na pasokę trzeba wyprać, słyszysz!

— A słyszę, przygotuję, zdechnij tam w siewie, żeby cię już więcej moje oczy nie ujrzały, ty bandyckie nasienie... Lepiej złap siekiery i całą rodzinę wymorduj, niż masz ją ponatu zamęczyć... pierwej mnie cholera tu na środku izby powali, niż ja powiozę dzieci na tę swoją cholerną Londrynę, ty psie diabły!

— Oj, zamilcz ścierko jedna, zamknij mowę ci mordę, bo jak złapie jakiego drąga i gnaty połamię... ty zmiń, kto tu rządził tylko mi moich zamiarów nie bechtaj... mówię ci!

Nie powiem aby ta budująca rozmowa pomagała trawieniu. Było mi mdło. Dąbska zaczęła szlochac przy kuchni, Michale przyniósł paję, Dąbski krzyknął:

— Coś przyniósł, złodzieciu! zgniał paję przyniosłeś, jak ja to będę palił!

I trzepnął chłopaka w głowę aż mu kapelusik spadł. Michalek zawył i śmignął z chatupy na dwór. Jak na powrót po kilku tygodniowej nieobecności ojca rodziny, pierwsze chwile spędzo-

ne w jej gronie wydały mi się dość osobliwe. Grzeszczyszyn pochylił mi się do ucha i szepnął:

— Widzisz pan, to nie jest byle co, to pionierska kłótnia, Dąbski jest typem zdobywcy, posuwa się naprzód i te kłótnie są charakterystyczne dla pionierów kolonizacji. Tak, mówię panu. Trudno było szepsem dyskutować, więc nic nie odpowiedziałem, tylko jeszcze zwróciłem się do Dąbskiego, nie licząc się z jego gniewem:

— Wie pan, po tej całej podróży wartoby się już położyć... czy mógłby mi pan wskazać gdzie będę spał.

Wrzasnął znad palców skrecających papierosa:

— Słuchajno, każ pościelić gościom, spać chcą!

— Jeden może spać tu, w kuchni, a drugi w komorze, Julka, pościelno w komorze!

Porozumiałem się z Grzeszczyszynem. — On woli w kuchni! Wygramoliłem się więc zza stołu, powiedziałem dobranoc, na co mi nikt nie odpowiedział i wyszedłem na dwór. Chłodny podmuch podkreślił zaduch jaki panował w kuchni. Przez otwarte drzwi nad schodkami widziałem krzątającą się przy świecy Julcię. Myśl, że będę musiał spać obok krwistej niecki i pośród uprząży nie wydała mi się przyjemną, ale wołałem to niż kuchnię. Kuchni tej nie lubiłem. Z podwórka dochodziły szmery pasących się koni, czasem zadudnił krótki galop, w wendzie śpiewali, ktoś wołał wódki, ale wokół wszystko spało pod zagwieżdżonym niebem. Julcia wyszła i wskazała ręką na komorę. Wlazłem tam, wyrko było jakorako posłane, rozbrałem się przy świecy, zgasilem ją i wyciągnąłem się jak długi. Przez szpary dachu widziałem gwiazdy, w uprząży coś szumnęło, kura gdaknęła pod podłogą. Spojrzałem w bok, tutaj też były szpary, widziałem fragment kuchni; kłócił się tam, ale już po cichu, z poplakiwaniem, z przerwaniami. Całe szczęście, że noc jest ciepła — pomyślałem, ale na wszelki wypadek otuliłem się

kocem i kapą. Poczem usnąłem po dźwięcznem: — Ty cholerniku...

Obudziłem się w wesołych smugach słońca przeciekającego przez szpary mego schronu, zdołu dochodził gwar, okrzyki, ale cały ten ranek wioskowy ukazywał nędzę mojej sypialni. Leżałem na jakiejś pryzy, na podłodze było pełno piasku i śmiecia, nad nieką brzęczały eskadry much. Słowem — dno. Odwróciłem się twarzą do ściany i obserwowałem życie kuchni. Na środku przeciągał się Grzeszczyszyn i mówił do kogoś niewidzialnego. Rankami, po śnie człowiek ten wyglądał jak szmata, którą należało wyprać. Bose dziewczyny w kusych sukienkach co chwila wychodziły lub wchodziły do kuchni, niosły jakieś wiadra, miski, słowem utrzymywały kontakt między podwórzem a kuchnią. Na progu przysiadł sympatyczny, żółty kundel, został kopnięty nogą Julki, odszedł, wrócił i znów rozwałił się jak długi pod proggiem. Podeszła do niego kura z wyciągniętą szyją, dziobnęła go w ucho, warknęła, odeszła oburzona, gdaćca. Tyle zaobserwowałem i postanowiłem wstać. Ponieważ zanosilo się na życie domowe, więc zaniast butów z cholewanami włożyłem gumowe pantofle i zaniast koszuli, pyjame; — zgóry obawiając się zwrócenia uwagi na siebie. Wyszedłem na schodki, rozjeźrzałem się: jasno, letnio... Poprosiłem Julkę o wodę do mycia, wskazała mi pod ścianą wiadro i miskę. Po tualecie wszedłem do kuchni, powiedziałem dzieńdobry; — Dąbska odpowiedziała to samo, ale tonem zagniewania, natomiast Grzeszczyszyn:

— No, i jakie było śpiu? bo moje dobre!

Jakiś zargon: śpiu!

— Chodź się pan trochę przejść, ładnie jest dzisiaj.

Wyszliśmy na podwórce, włożyły się po niem bury i konie, Dąbski reparaował kosze kalgierowe¹, wszyscy pracowali,

¹ juki.

krzątali się koło wyprawy. Koło wendy stały już senne konie z kolorowymi plamami peleg na grzbietach. Jakiś bosy kabokło częstował drugiego tytoniem, dachy świecily w słońcu, niebo było przerocyste, błękitne i bezkresne. Chciałem wyjść na drogę, ale Grzeszczyszyna ciągnęło coś między drzewa, poszliśmy tam i stanęliśmy nad dołem ze świniami, bo mimo niechlujstwa działały się tam różne rzeczy i ciekawie było patrzeć na to ich świńskie życie.

— Jak z tuszy będą mogły ledwie chodzić, to wtedy zbierze się kilku gospodarzy i zapędzą je na sprzedaż; wezmą pieniądze, pohulają, wrócą i zaczną nowe hodować — objął mnie ze słodyczą w głosie Grzeszczyszyn.

Podniosłem z ziemi pomarańcz i cisnąłem w leżącą świnie; zerwała się z chrząkaniem, podniosły się inne i zrobił się rejwach.

— O, nie rób pan tego! Cóż panu szkodzą biedne zwierzęta, powiedział Grzeszczyszyn z wymówką.

Odszedłem od płota zawstydzony. Byłem w swawolnym nastroju, potrzebowałem drzewo, na głowę i ramiona Grzeszczyszyna spadło kilka pomarańcz, obruszył się, zaczął we mnie ciskać, uciekłem do kuchni, na śniadanie. — Nie powinienem go tak spoufalać, pomyślałem siadając do stołu. W tej chwili dostatek pomarańczą w czolo i jednocześnie posłyszałem głośny śmiech Grzeszczyszyna. Stał w proggu i celował drugą... schyliłem się pod stół i wołałem, żeby przestał, ale cisnął, lecz nie trafił... miałem rację. Usiadł obok mnie, klasnął w dłoń i zawołał:

— Dacie jeść, pani Dąbska, bo jak nie, przeniesiemy się do innego pensjonatu.

— A idźcie, tylko nie zapominajcie wziąć starego ze sobą... żeby już raz skonali!

U, zaczętno się. Istotnie, przyszedł Dąbski i odrazu posypały się przekleństwa i wyzwiska. Plac. „Pionierska kłót-

nia”, niech ją grom strzeli! Do śniadania akompanjował nam plac Dąbskiej, potem przyszło lekkie ukojenie, które Dąbski przerwał takim oto zdaniem:

— Kapade będą dzisiaj bił, wybierz-no jakiego z Julką!

— A toć pełna niecka mięsa z tego, co to chorował... I naco będziesz bił nowego?

— Słuchaj cholero, co ci mówię! Chłopcy tu zjadą, to im się sprzeda... na handel, rozumiesz!

Znów zaczęli wrzeszczeć, przemawiać się... Wybiegłem na podwórze. Tu usiadłem na jakimś pniaku i paląc, rozmyślałem o tem wszystkiem, aż wkońcu porwał mnie gniew i polazłem znów między drzewa. Marne jest to moje życie tutaj — myślałem; ale biorę szkołę, niema co gadać. Myślałem jeszcze gorzej, w myśli tłukły mi się paskudne wyrazy, parę nawet powiedzialem nagłos, ale wreszcie się uspokoiłem i wróciłem na schodki, tam usiadłem i zadalem sobie straszne pytanie: Co ja tu będę robił i jak długo potrwa mój pobyt tutaj? I zrobiło się ciężko na duszy. Pomyślałem czyby nie pójść na miasto, ale odłożyłem to do jutra, bo mi się butów nie chciało wciągać i koszuili także.

Przypędziły jednak świnie, związały jej tylne nogi i pomyślałem: czy potraktować to jako rozrywkę, czy też uciec od widoku jak będą zarzynali. Ale zezwierzczenie nabyte w tej podróży wzięło górę i postanowiłem być świadkiem tej śmierci. Przewrócono biednego świńskiego eunucha na bok (kwiczał przenikliwie, aż do bólu w krzyżu) i Dąbska przyklekła na nim, ale zaraz wstała i kłął Dąbski — lewą ręką przyciskając uszy do ziemi, w prawej ręce trzymał nóż. Dąbska oparła się rękami o tylne nogi świni, która — szara, zaokrąglona, kwicząca niezmiernie, drżąca tustro, łypała rozszerzonym, blyszczącym oczkiem. Teraz podbiegła Julka z miską gorącej wody i starannie, rzekłbym — pieczołowicie obmyła podgardle tę wodą. Dąbski z całej siły wbił nóż w to obmyte miejsce (na chwilę przyrękną-

łem oczy) i wbity nóż przekreślił kilka razy. Świnia charknęła głucho i jakby z ulgą. Dąbski wyciągnął nóż i Julka podstawiła miszkę pod dziurę ze spływającą powoli, ciemną krwią. Oko zaszło mgłą, charkania przycichły. Teraz Dąbski wstał. Zwierzę konało szybko i jakby chudło w oczach. Podszedł wstał, powąchał i nastrozył się, poczem warknął i odskokczył w bok. Dąbska pociągnęła za tylne nogi trupa w stronę kuchni. Rzecz była skończona. Wówczas Dąbski spojrzął na mnie i powiedział takie zdanie po portugalsku, które w tłumaczeniu na polski brzmi: „Świnia zdechła śmiercią przemocy!” Po czym poszedł w stronę dachu na słupach, pod którym stał długi żłób. Zza węgła domu wychnął Grzeszczyszyn rozglądając się z lękiem.

— Czy już po wszystkim?—spytał mnie dziwnym głosem.

— A, co! nie widział pan tego?

— O, panie... trzeba nie mieć serca, żeby móc patrzeć na coś podobnego — powiedział znacząco.

— Ma pan rację, ale byłem tak bardzo ciekaw — odpowiedziałem słabo i pokornie.

— To daje dużo do myślenia, powiedział jeszcze, i odszedł między drzewa ze spuszczoną głową. Tymczasem na powietrzu, pod ścianą odprawiano sekcję świni. Między platanami mięsa łyskały polcie tłuszczu. Panowało ożywienie, cała rodzina krzątała się tam. Pachniało surowem mięsem. Poszedłem do komory i ległem na wyrku. Tutaj było cicho przynajmniej, w tym moim kątku. Leżałem paląc i rozmyślałem o sprawach powszednich. Na podwórku ktoś wrzasnął po dziecięcemu i zaplakał, wszczął się ruch. Wyrzesałem. Bur, siwy, ten na którym jechał Grzeszczyszyn, kopnął tylnymi kopytami Walusia, ale nie nazbyt mocno, bo Walus trzymał się na nogach i dał się boleśnie ale zdrowym krzykiem, przyrzeczeniem goły tyłek trząsał mu się zabawnie. Wróciłem na wyrko. Kobięcy głos z kuchni:

— Masz draniu swój handell! masz koniel! co mi dziecko skrzywdziły! ty ścierwo, byku, bizunie jeden!

— A zamknij mordę, mówię ci babo! Zawsze trzymałem buty, niech się pętał nie pętał!

Tak, pensjonat mój nieco hataśliwy — myślałem sobie... Niech go tam! Raptem otworzyłem szeroko oczy, przymknąłem je i znów rozwarłem, poczem struchlałem. Na listwie przeciwległej ściany lazło coś okropne, wlochate, wielkie jak piść. Po chwili uswiadomiłem sobie, że to ogromny pająk, psasznik. Nieopanowanie chwyciłem za rewolwer, ale wsadziłem go tylko do kieszeni i boczkiem wybiegłem z komory. Trząśnięciem się wewnętrznie ze strachu, ale podszedłem do Dąbskiego i spokojnie powiedziałem:

— Chodź pan do mojej komory.

Poszedł, spojrzął, wyszedł, wrócił z kamieniem i rzucił zbliża w pająka. Następnie patykkiem wyrzucił go na dwór i powiedział z wymówką:

— Sameś pan tego nie mógł zrobić, tylko odrywać mnie od roboty!

Wyszedłem na podwórko i okręciłem się kilka razy w kółko, w nie zdecydowaniu. Przyznałem w duchu, że boję się leżeć tam, ale co będzie z nocą. Postanowiłem odszukać Grzeszczyszyną. Stał przed świńskim płotem, wpatrzony, niby w ogrodzie zoologicznym. Odwołałem go, nie zbliżając się tam:

— Panie, koło mojego łóżka zobaczyłem psasznika, Dąbski go zabił.

— No to co? Przecież nie jest pan psaszkiem, co ma ptasznik do pana, nie ugryzie... otruły się panem.

Nie wiedziałem czy przyjąć te słowa jako obrazę, czy jako uspokojenie. W milczeniu poszliśmy do kuchni. W jakimś mieszkaniu trzeba jednak posiedzieć. Usiedliśmy za stołem i przesuwałam nudę przyglądaliśmy się czynnościom Dąbskiej. Przesuwała garnki, dolewała, odlewała i widoczne było, że my-

śli o podróży swojego męża do Londryny. Ludzie proszą często mają takie miny, że wiadomo co myślą. Siedzieliśmy obok siebie, dwaj walkonie, przymuszeni i połączeni węzłami obrzydliwego próżniactwa. Ale ratunek wpadł mi w oczy niespodzianie. Obok, na półce stała pokrątkowana ceratka od warcab i pudełko.

— Grasz pan w warcabach?—zapytałem go z lekkiem że nie gra.

— Pfu... w warcabach!... nawet w szachy, tylko skąd je wziąć.

Zdjąłem z półki warcabachy i ożywił się do tego stopnia, że Grzeszczeszyn zapytał Dąbskiej:

— Czy pozwoli pani użyć ich, bo chcemy się rozzerwać. Popatrzyła na nas zdumiona:

— A grajcie sobie, tylko jak mój stary w to wlezie, to o rozbicie zapomni i całymi dniami będzie grał... a tu do drogi jeszcze nie nie przygotowane.

— Przecież pani zależy na tem, żeby nie jechał — powiedziałem, rozkładając kamienie.

— A, bo pewnie... byk chce się powłóczyć, markotno mu w domu.

Na szczęście na tych słowach skończyła, a mnie Grzeszczeszyn obojętnym tonem zaproponował trzy kamienie for:

— Pan pewnie o tej grze nie masz pojęcia?...

Zrzekłem się for i pograżyliśmy się w grze.

— Czy bicie obowiązkowe, czy też fuchy bierzemy—przerwał nagle.

— Bicie obowiązkowe, bij pan.

— A wrył wolno bić?

— Nie, tylko naprzód!

— No, bo z panem to niewiadomo.

Wygrał pierwszą partję i zostawił mnie z dwoma zamkniętymi kamieniami. Nie pysznił się zwycięstwem, tylko fruknął obojętnie, z przekonaniem o mojej nieudolności we wszelkich kombinacjach. Drugą partję też przegrałem. Rozstawiał się

kamienie w milczeniu. A wokół było upalne południe, Dąbski ze swemi kombinacjami, z pionierstwem... był ruch, krzątania, żywy inwentarz... solenie zabitej świni... brud był i kurz i smród i czekanie... i Brazylja była. Przyszła Dąbski, zgrzana, głodny, gotowy do klótni i zawołał:

— Obiad przedzej!...

Przyglądał się grze, radził, nabral szacunku do Grzeszczeszyzna, obiecał wieczorem z nim zagrać. Podano obiad: karbol-mandiokę, kawalki mięsa w polewce tłuszczu, zimne mleko w dzbanku; komu młdo, może dostać kawy. Łaziły po nas lepki, leniwe, niełkliwe muchy, wogóle lepko było. W ręce kęsały małe muszki, miniaturowe oski, „borasiudy“; ręce puchły, wściekle śwędziały. Wszystkie to w towarzystwie duchoty, skwaru kuchennego. Przykrości te opadły na nas nagle, w to południe, aniśmy się spostrzegli. Na stół znów wysunęły się warcabachy, Dąbski pokibicował, ale żona wygnana go do roboty, znów się przemówili. Grać trzeba było, to był ratunek przed rzeczywistością. Zacząłem kombinować. Grzeszczeszyn pochylony nad szachownicą czochnął palcami włosy, łupież się sypał na szachownicę, zdmuchiwałem go.

— Psiakość, zaraz... zaraz... jakby panu tę damkę... ale lupież się nabawiłem...

Kropie potu wystąpiły mu na czoło:

— Coś pan nagle zrobił się taki hojny! Jeszcze się zobaczy! jeszcze się zobaczy!

Grzeszczeszyn przegrał tę partję i chwilę patrzył na mnie niedobrym wzrokiem:

— Po tym obiedzie, psia kość, człowiek taki ocieźlał!

Rozpoczęliśmy jeszcze raz. Przejrzałem jego system w tej idjojycznej grze i z zadowoleniem zasuwalem mu jedną partję po drugiej. Wewnątrz musiał przeżywać piekło, policzki mu płonęły, robił głupie ruchy. Nadomiar wszedł Dąbski trochę odpocząć, napić się szmaronu i zawołał od progu:

— O, to ja nie wiedziałem, że pan Grzeszczyszyn taki macher od damki... ile pan zapchnął temu panu?

Niestety, właśnie sytuacja była taka, że ja miałem dwie damki a Grzeszczyszyn cztery pionki na linii tych damek. Napiliśmy się szmaronu, Grzeszczyszyn przegrał jeszcze raz w obecności Dąbskiego, który wstał i powiedział:

— A, to tak... no to z panem zagram wieczór.

I wyszedł. Zapropnowałem, żeby przerwać i pójść się trochę przejść. Grzeszczyszyn wstał, uśmiechnął się mdło i bolesnie, ja poszedłem naciągnąć buty, przyczesalem się trochę i wyszliśmy na ulicę.

— Idźcie odwiedzić Brzezińskiego, on mieszka koło kościoła, zapytajcie się, to wam pokazą! — krzyknął za nami Dąbski.

Zapropnowałem Grzeszczyszynowi żeby wstąpić do wendy i napić się piwa. Na miasto opadł zmierzch i chłód, słychać było czyste odgłosy zdaleka, krzyki dzieci, dźwięk gitary i smutny śpiew. W wendzie stało kilku interesantów; kabokło oglądał fojś, naciskał ostrze paznokciem aż dźwięczała. Dwuch pito w kacie piwo i półgłosem rozprawiali. Wenda pachniała charakterystycznym zapachem wszystkiego, za ladą, koło drzwi stał winchester, kręcił się tam także wysoki, opalony blondyn, Niemiec, z którym sobie uciąłem pogawędkę na temat tego miasta, popijając piwo. Przy pożegnaniu podałem sobie nawet dlonie. Poszliśmy ulicą podgórze, w stronę kościoła. Minęliśmy spacerowiczów, może z dziesięciu mężczyzn, palących i rozprawiających głośno. Kilku z nich miało na sobie kurki pyjam, które dziwnie nie licowały z dolną częścią stroju, z szerokiemi spodniami, wpuuszczonemi w cholewy butów z ostrogami, z solidnemi, skórzanemi pasami na brzuchach. Usunęliśmy się pod płot, bo właśnie zgóry nadjeżdżał galopa, na koniu, jeździec w wielkim kapeluszu; czarnooki, powieściowy. Skończyła się pochyłość i ujrzeliśmy samotny, drewniany, na

niebiesko malowany kościół, wokół porastała trawka, stało kilka budynków, coś pomiędzy chałupą a szalaszem, a dalej w półkolu mazały się zarośla. Widok był smutnawy i gdyby nie mrok, wyglądałby jeszcze smutniej. Przechodził jakiś nuciący kabokło z fojśą na ramieniu, zapytałśmy go gdzie mieszka Brzeziński. Wskazał palcem na najbliższe krzaki i poszedł.

— A może nie chodzić do tego gościa... poco znajomości robić, i tak stąd wyjedziemy, co?

— Dlaczego... trzeba ludzi poznawać, psychologię emigrantów. Ten Brzeziński to były nauczyciel z Kurytyby, a teraz jest tutaj fiskalem! Zawsze Polak na urzędzie, chodzi pan, pogadamy!

Za krzakami ukazał się drewniany, przygarbiony domek w rodzaju willi letniskowej. Wszliśmy w śmierzdzący kociem łajnem, ciemny i wilgotny korytarzyk, potarłem zapalkę w poszukiwaniu drzwi. Dostojewsko tu było bardzo i niezgodnie z atmosferą zewnętrznego świata. Wkońcu drzwi otworzyły się, w progu stanął smukły, zgrabny blondynek z wąsikami — paniczyk, szlachetka. Zaprosił metalowym głosem do środka, chłodno rad, grzecznusi. Między zwałami książek i papierów, obok kubka z tyzczką i talerza z resztkami jakiejś kaszy, stały dwie świece i w ich posępnym blasku zauważyłem, że blondynek ma niebieskie, wielkie i śliczne oczy. Wyrażam się o nim ironicznie, ale jako krępy brunet fizycznie wprost nie znoszę takich udanych ludzi, którzy już z tytułu swojej urody odnoszą się do bliźniego bardzo zgóry, choćbyś ich nawet miał ochotę ratować z wilczego dołu. Był to typ skończenie endekoidalny. Zapytał kto i co, poczem prosił siadać. Siedział sztywno — badawczy, z chmurą na czole. Wydawało mi się, że na dworze jest śnieżyca, bruk, dorożki. Rozmowa była dość sztuczna, a kiedy niezręcznie zapytałem go, czy w tej dziurze nie tęskni mu się za krajem, odpowiedział z nagłym ożywieniem i mniej sztywnie:

— O, panie! Równie dobrze mógłbym tęsknić za całym światem... obcy mi jest ten kraj... obcy mi jest jego ustrój... wcale nie czuję się Polakiem... Jestem Brazylijaninem... wstrzydź się swego pochodzenia!

— A dlaczegoż to wstrzydź się pan tego? — zapytałem gniewnie.

— To wstrętny naród, mój panie... ohydny... systema wad...

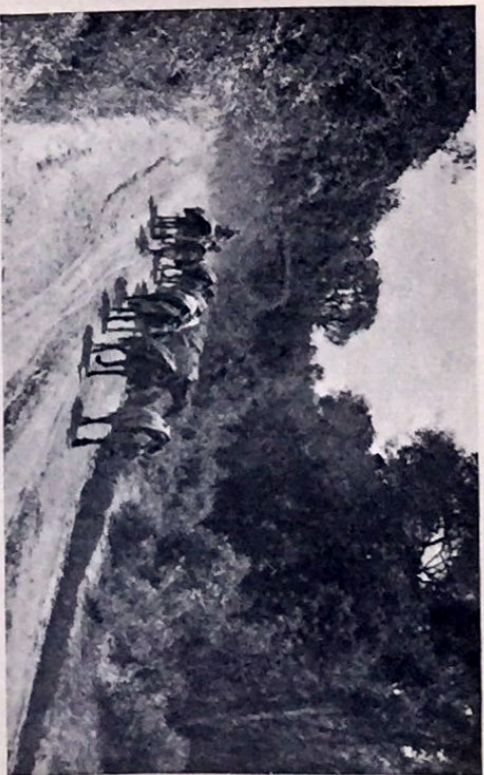
— Mogłoby pan jednak nie angażować mnie, choćby z tytułu mojej wizyty, w swoje sympatie... należało poprostu powiedzieć: „Nie, za krajem nie tęsknię!”.

— Oh, on tęskni, drodzy panowie, tylko on się tego wstrzydza... tylko, że my wszyscy za inną Polską tęsknimy... panowie, przestańmy o tem mówić!

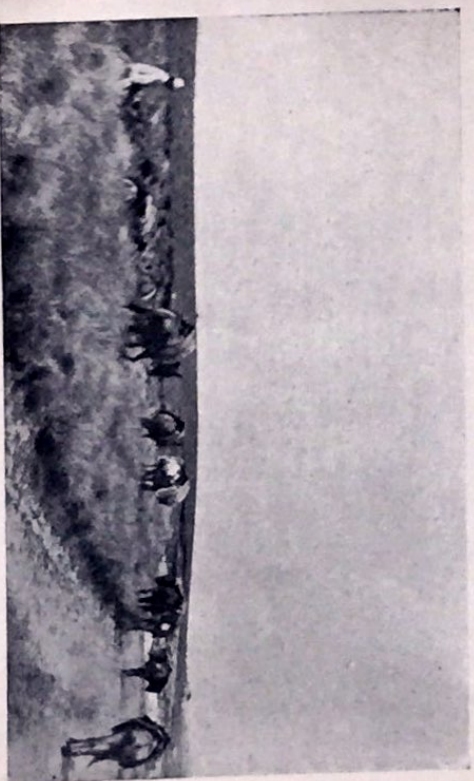
To mówił człowiek w sutannie, który wyszedł nagle z drugiego, ciemnego, pokoju. Był ładny, gładki blondyn, uczesany na jeża, z rumieńcami na policzkach, z orlim noskiem, słowem typowy młody ksiądz. Brzeziński powiedział:

— Pozwolą panowie, ksiądz Kielta.

Ou, zrobiło się nagle ciekawie... Ksiądz zainteresował się mną, pytał, chodził koło stołu żywo, sutanna szeleściła, płomyki świece pochylały się w odwrótnym kierunku od szeleszczącej sutanny; zrobiło się surowo i teologicznie. Z miejsca wpadliśmy w sedno dyskusji, bez wstępnych rozmów. Na twarzy Grzeszczyzna ukazał się zachwyt, powaga i skupienie. Siedział oparty ramionami o brzeg stołu i oczka mu biegały za przemierzającym pokój księdzem; słowem wyglądało to jakgdyby Grzeszczyzn przyglądał się partii tenisa, bo i głową też ruszał. W pokoju nazalo się żółte światło, Brzeziński siedział przy stole sztywno i konspiracyjnie; w swoim kubraczku i z twarzą agronoma i Słowianina, wyglądał trochę na młodego powstańca... Ksiądz mówił i lyskał migdałowemi, skosnieniami oczami:



TROPA



TROPA

—O, taki bohaterzy przedzierzgnęli się w satrapów... katolickie tradycje... szczytne tradycje ziemiaństwa... wszystko to zanika w tym kraju... jedynie Poznańskie, ta twierdza kultury polskiej... stoi na straży zanikającej kultury! Lecz odwróci się ten porządek... A pan?—Pochylił się nade mną patrząc przenikliwie:

— A pan może jest właśnie zwolennikiem istniejącego porządku, co?

— Przecież ksiądz przed chwilą zaproponował, aby przestać o tem mówić... przyszedł tu odwiedzić pana Brzezińskiego i jeśli chodzi o mnie, nie mam ochoty mówić o tych sprawach! Co to zresztą ksiądz obchodzi „co ja?”

Ksiądz zniemuchował i spojrzął na mnie bystro i czujnie. Stałem od stołu i zacząłem mówić głośno:

— Ja dość dużo słyszałem o działalności księdza na tutejszym terenie i to, co w tej chwili słyszałem, potwierdza wicherzyelskie skłonności księdza. Ja zgóry zaznaczam, że jestem przeciwnikiem kleru, ale dyskusje mają jakiś sens, kiedy są prowadzone na odpowiednim poziomie i choćby tam, w Europie... Tutaj to nie ma sensu i zasadniczo nie jestem specjalnie źle usposobiony do kleru na terenie Brazylii, ale wiedząc coś o agitacyjnej i zbyt energicznej działalności księdza, chciał bym tylko zadać pytanie, czy system buntowania ludzi, wytworzenie kwasów i wszelkich awantur jest misją kapłana? Czy nie byłoby wskazaniem nie wychodzić poza kwestje religijne i nie wtrącać się do codziennych spraw kolonisty, który ostrożnie zbyt wiele sobie zawdzięcza, aby mógł pozwolić na patronowanie mu. Tutaj ksiądz powinien chrząć, udzielać ślubów, spowiadać, odprawiać msze i wogóle w chwilach wolnych zajmować się np. hodowlą pszczoł, słowem dawać przykład spokojnym trybem życia, a nie hasać konno z rewolwerem pod sutanną od kolonji do kolonji, wiecować przed kościołem i jednym słowem, szerzyć zamęt, jak to ksiądz tutaj czynił! Dajcie tym chłopom odetchnąć wreszcie... nie traktujcie ich

jak murzynów, po misjonarsku! Oni nie potrzebują nawracania!

— Ach, więc pan jest z tych! Wolnomyśliciel... umhu... No, brawo!

Ciskał się po pokoju jak czarne ptaszysko. Teraz wstał Brzeziński i zaczął nerwowo:

— Więc pan myśli, że ja potę się usamodzielnilem i wyrzekłem polskości, zdobyłem władzę brazylijskich, ja, emigrant polityczny! żeby teraz wysłuchiwać od byle przyjeźdnego pismaka podobnych tyrad! Będę rad, jeśli ta wizyta się skończy!

Chwyliłem kapelusza i w drzwiach powiedziałem:

— Panie Brzeziński, za to, co pan tu powiedział, powinienem pana poprostu spruć na kwaśne jabłko! Jest pan bezcelnym renegatem, nędzną kreaturą i pański przyjazny stosunek do księdza Kiełty daje mi wiele do myślenia o duchowieństwie polskiem na terenie wychodźstwa w Brazylii... Jest pan zaskoczony, prawda? No i co? Nic, przysiadł pan, dowiedzenia, jest pan nędzny szmatawiec!

Wyszedłem, nie oglądając się. Szedłem przez krzaki, w ciemności, bardzo wzburzony i jakby upokorzony sytuacją, która mnie zmusiła do wysłuchania tego draństwa. Przecież to było paskudne i niepotrzebne. Znów okoliczności zmusiły mnie do reagowania na bredzenia wykołajonego łajdaka. Jeszcze ja się doigram jakiegoś zabójstwa. Schodziłem szybko wódł. W ciemności jarzyły się światła, było ciepło, słychać było szmery rozmów, śmiechy... panował łagodny spokój, wypoczynek. W rozdraznieniu śpieszyłem do swojej kryjówki, z myślą, aby się przedko położyć i usnąć. Minąłem pełną pianych wrzasków wendę i zaraz zabrzmiały wściekłe okrzyki z kuchni Dąbskich. Ogarnął mnie wstręt i niepostrzeżenie przeniknąłem się do swego legowiska. Długo leżałem w zdeterminowaniu, nie mogąc zasnąć. Halasy kuchni ucichły i po chwili cała rodzina mi-

jała mnie posępnym korowodem, udając się ze świecą na spoczynek. Pochylił się nade mną Dąbski i widząc, że nie śpię, zapytał:

— Co to, bez kolacji pan dzisiaj? Jak tam było u Brzezińskiego?

— To jakież bydlę, ten pański Brzeziński — odpowiedziałem gniewnie.

— To wielki szlachcic... inteligent, wstydzi się Polski, ciągle o tem mówi... A coście się przemówili?

— Głupstwo, trochę go tam obrugalem...

— Dobrześ pan zrobił, bo to kawał drania.

Zza pleców Dąbskiego wychylił się z niewyraźną miną Grzeszczyszyn, spojrzal na mnie ciekawie, jakby mnie spotkał jakiś krwawy wypadek.

— Dlaczego pan ze mną nie wyszedł, tylkoś został pan z tymi szelmami? — warknąłem znad koca.

— E, bo pan się na nich tak przejechał... przecież to ksiądz, panie!... A Brzeziński, to urzędnik brazylijski... krzyczał, że pociągnie pana do odpowiedzialności!

— Pytam się pana, dlaczego pan ze mną nie wyszedł... gdzie ta pańska sztamata?

— Ale, pan taki porwoczy... z ludźmi trzeba trochę dyplomacji... musiałem ich ugładzić, żeby tu panu jeszcze nie narobili bigosu! Dobranoc, jutro pogadamy!

— Idź pan spać, panie Grzeszczyszyn, niech pana szlag trafi!

— Ale pan porwoczy... ojej! zaraz szlag... bronilem pana... przecież to służba boży, święcenia kapłańskie posiada.

Wyszedł mrucząc coś jeszcze. Grząłem coraz bardziej. Żeby już wkońcu ruszyć dalej. Kiedy zeszedłem rano na śniadanie, stałem się przedmiotem ogólnego zainteresowania. Była niedziela, kuchnia jakotako uprzątnięta, nastój próżniactwa. Pilem kawę, pełen jeszcze niesmaku z wczorajszej wizyty,

i przysłuchiwałem się informacjom Dąbskiej tyżącym Brzezińskiego.

— Jego tu, panie, nie lubięja... to, panie, świn Tuch taki, żyje ze starą megerką, co mu pierze i żyć gotuje... a tchórz! Co on tu miał ze dwa miesiące nazad!...

— Przeszabys' obszczykiwać lepiej, bo cie jeszcze pociągną do świadczenia — wtrącił Dąbski.

— A cóż to man panu nie powiedzieć! Niech to rozpowie, gdzie potrzebaj! I świadczyć będę, nie widziałam to, czy col... Akurat to było popołudniu, szłam tam w oknie od drogi, co to widać wszysciusięko co się w wendzie dzieje. Ano stał tam Brzeziński z tem Nikiem... bandyta to, valenton znany w calem Candido... Pili te kaszase i gadali, aż patrzę jak ten Niko nie zdzieli szikotą Brzezińskiego przez pysk... I krzyczy: A ty przekłety Polaku! Ja cie tu zaraz utłukę!... Zataczał się, wyjął Szmita i dalejgo mierzyć w Brzezińskiego. A ten przeskokczył błady jak płótno za ladę i tam stoi, a trzęsie się... A był w wendzie przyjaciel Niki, delegat policji... zastonił sobą Brzezińskiego i krzyczy: — Niko, ja ci to mówię, zostaw go! — I jak tylko to powiedział, zaraz huknęło i delegat zwał się na podłogę. Wtedy Niko ciska rewolwer, drze się za włosy i płacze i krzyczy: — A, com najlepszego zrobił, moje go przyjaciela zabiłem... Teraz, to ja tu całe Candido powysztrzelam! — I pognął do domu. A Brzeziński już przedtem wymknął się i poleciał gdzieści! Niko poleciał do domu, tam zawołał na kochankę, żeby mu wyniosła kule i wincester, ona mu wyniosła, naładował i krzyczy: — Teraz ja wymorduje wszyskich ludzi! — I czeka na ulicy. A naprzeciw nic nie widząc, szedł jego przyjaciel, jeden negier i woła: — A ty Niko, co stoisz z wincesterem na ulicy? Na kogo polujesz? — A ten nic tylko zmiertza się do niego z wincesterem. — Wtedy negier przedko wyjął szmita i cały magazyn w niego wpakował. Zaraz też wyjechał w lasy. Na drugi dzień pochowali

Nike i delegata. A Brzeziński gdzieś przepadł jak kamień w wodę. To dopiero mąż polazł po nocy nad rzekę, krzyczał do niego po polsku i ten wylazł z krzaków, a podobno trząsał się cały, płakał i męza całował po rękach, żeby go tylko nie wydał Nice. Dopieroż jak się dowiedział, że Niko nie żyje, tak zaraz wrócił do domu i na drugi dzień już tu paradował, wykrzykiwał, a męza to nawet nie poznawał. Przyjechała policja, to zeznał, że nie chciał Nice przyznać racji w czemś tam i z tego poszło. Od tej pory mąż mu się nie kłania, a on to i malo nawet się pokazuje, bo tu wszyscy nasławiają się z niego, że taki tchórz i choć miał broń przy sobie, to taki i szlachcic pozwolił się przez takiego łamagę kabuka prac szikotą po pysku, niby jaki buru. A Kietla to tylko do niego, to jego jedyny przyjaciel... boby go tu nikt nawet przencocować nie chciał.

Stuchaliśmy tego wszyscy w milczeniu, tylko Grzeszczeszyn się wiercił i nawet raz zaproponował Dąbskiemu partję warcab, ale ten miał właśnie ochotę ze mną zagrać. Zaczęliśmy grać, Dąbska jeszcze dorzuciła kilka niepocholebych uwag o Brzezińskim, ale mimo że mój stosunek do tego człowieka był wiadomy, jednak gadanina Dąbskiej nie pogrążyła go zbytnio. Mogłem zaliczyć raczej na korzyść Brzezińskiego, że jako urzędnik nie strzelał do pijanego awanturnika, lecz zamierzal tę sprawę załatwić prawdopodobnie inaczej. Zresztą to wszysko, co tu się ostatnio działo, miało dość podejrzanę, patologiczną cechy. Co do mnie, gniewał mnie każdy nieopanowany wybuch, i po czemś takim czułem się jak po nieprzespanej nocy i nadużyciu trunków. Narazie, w ten niedzielny, słoneczny poranek przegrywałem z Dąbskim w warcaby, w ciszy, w westchnieniach Grzeszczeszyna, który obserwując grę, bódł mnie brodą w ramię. Kobiety poszły do kościoła słuchać kazania księdza Kietły. Mimo wrokiego ustosunkowania się do tego duchownego, pragnęły się rozzerwać i popa-

trzec — co tu gadać, to ma swój pieprzyk — na ładnego chłopca w sutannie. W oczekiwaniu na posunięcie oberwowałem Dąbskiego. Umył się, ale zmył lekką powłokę pyłu, pokrywającego istoty, wżarty w ciało brud, który się teraz pokazał w solidnych ilościach na widocznych miejscach ciała. Zauważyłem, że chłopci koloniści mają ręce przeziarte sympatycznym brudem ziemi, są to spracowane, szlachetną substancją nasiąknięte dłonie, karki ich są ogorzałe i pobróżdzone czarnymi zasiekami z ziemi, ale to jest brud konieczny, brud z czegoś wyróżniający, natomiast Dąbski był cuchnący i niechlujny, słowem, jeśli chodzi o higienę, był gorszym wydanem mego lepkiego, z wiecznemi kupkami nawozu w kąciakach oczu — Grzeszczyszyna. Oto jakimi myślami byłem zajęty, przegrzając do Dąbskiego w warcabu, i nasłuchując dalekich kwików świni, wachając świeży zapach gnojówki i opędzając się od jadowitych „borasiud“, które cęły tak bezustannie, że przestało to zwracać uwagę; tylko opuchnięte, pokwitłe wrzodzikami ręce, przypominały o istnieniu tej tortury. Zresztą te wszystkie jady od ukąszeń owadów, mają czasem przestać działać, skoro tylko organizm się przyzwyczai. Godzina była wczesna, odpoczynek niedzielnny był dla mnie jakąś drwiną, mimo gry nastroj był ospały, toteż kiedy Dąbski zadowolony z wygranych kilku partyj, zaproponował nam abyśmy ja i Grzeszczyszyn pojechali konno do odległego o kilka kilometrów Palmiatu, gdzie będzie można odwiedzić kolonistów polskich, skwapliwie się na to zgodziłem. Poszedłem się ubrać do drogi, Grzeszczyszyn stał w drzwiach i mamrotał coś w niezdęcydowaniu co do tej wycieczki. Przerwałem mu energicznie, żeby nie marudził i poszedł wybrać jakie dobre konie. Okazało się, że siodła Potyrały są już zabrane przez poczciarza. Dąbski wyciągnął jakieś wysuszone i poszarpane siodła. Trzeba było szturkować popręgi; wkońcu jakoś usadowiliśmy się na koniach, Dąbski wytłumaczył nam jak mamy jechać i ruszyliśmy

drogą między krzewy. Jechaliśmy szybko, Grzeszczyszyn nucił coś smętnego, w pewnem miejscu napotkaliśmy gotujących pod prymitywnym szalasek kilku robotników — Indjan, którzy wynajęli się do karczowania terenów. Siedzieli w kuckach przy ogniu. Ich słomiane, okrągłe kapelusiki jakoś sztucznie tkwity na długich, czarnych i sztywnych jak druciki włosach. Jeden stał tuż przy drodze i ostrzył fojsę, a na nasz widok uskokczył nabok, ponuro łysnąwszy sennemi oczami. Miniliśmy ich ze słowami „bon dia“, spotkaliśmy jeszcze wóz z odświętnie ubranemi babami we wzorzystych chustkach na głowach, pozdrowiliśmy je po polsku, odpowiedziały, zaśmiały się, poczem skręciliśmy w leśną ścieżkę, która miała nas — według objaśnienia Dąbskiego — wyprowadzić skrótem prosto na kolonję. Ścieżka wiała się wesółym lasem, upstrzonym refleksami słońca, pełnym paproci, wilgotnego gąszczu wijącego się między pniami. Konie biegly z wawo w dusznym zapachu roślin. Grzeszczyszyn ścinał fakonem zwisające nad głowami gałęzie takurary, czasem coś powiedział swoim zwyczajem — niebardzo z sensem, ale naogół jechało się dość przyjemnie. Po pół godzinie tej jazdy, ukazała się droga i wzdłuż niej biegnące chaty. Zjechalismy w dół, ku tej drodze i zaraz zobaczyliśmy jadących naprzeciw dwóch jeźdźców i w jednym z nich bez trudu poznałem Janickiego, który siedział na koniu w swem bronzowem ubraniu i długich spodniach. Począł kiwać ręką i kiedyśmy podjechali do siebie, przywitał się z radością, jakgdyby żadna scysja między nami nie miała miejsca. Drugi podróżny miał na sobie mocno sfatygowaną garderobę, policzki ozdobione bujnym zarostem, ponad którym błyszcząły młode i wesole oczy. Ten jegomość powiedział mi głośno swoje nazwisko, które znanem ze słyszenia jeszcze z Kurytuby. Nazywał się Gruda i wiedziałem, że od kilku miesięcy podróżował po interiorze, wysłany przez konsulat w celu spisania nazwisk wszystkich emigrantów i ich majątków. Z zawodu był instruktorem nauczycy-

cielskim i miał opinię energicznego, młodego człowieka, z głową na karku. Zapropnował nam, żebyśmy jechali z nimi do kolonisty Słonika, gdzie dadzą nam jeść i będzie można swobodnie porozmawiać. Zawróciliśmy i brodacz począł mi opowiadać swoje wrażenia z trzymiesięcznej włości po rozrzuconych w Paranie koloniach. Nazwisko moje jako autora nie było mu obce i zdawał się być rad z naszego spotkania. Wyraził mi obojętne zdanie, żeby popołudniu pójść z nim na zebranie szkolne, żeby przemocować w Palmitalu i wogóle obiecał mi, że się nie będę nudził. Janicki z Grzeszczynem jechali srylu i Janicki w pewnej chwili powiedział do mnie:

— Zapomnijmy sobie co tam było w Terezynie i nie miejmy do siebie żalu.

W odpowiedzi odwróciłem głowę z uśmiechem i kiwnąłem przyjaźnie ręką. Przecież załowałem mego nieopanowanego postępkę. Jechaliśmy dalej w przyjaznej atmosferze. Gruda powiadomił mnie, że jest w Palmitalu już drugi dzień, że mieszka u Słonika, który jest tem interesujący, że po raz trzeci dorobił się majątku na fabrykacji kaszasy i jest typem twardego człowieka. Zsiadliśmy z koni przed przyzwolonym domem, nieco dalej stało jeszcze kilka zabudowań, wszystkie otoczone drzewkami pomarańczowymi. Wszędzie widać było czystość i dostatek. Mimo swego reumatyzmu i sześćdziesięciu lat, Słonik wyszedł do nas opierając się na lasce i gościnnie zaprosił do środka. Był to szpakowaty, wygolony mężczyzna o minie gospodarza całą gębą. Przedstawił nas swojej żonie, czterdziestoletniej, pyzatej i ruchliwej kobiecie, pokazał nam dwóch dorosłych synów, których widać było przez okno, pochylonych nad nogą bura, poczem zaprosił do wybielonego, jasnego pokoju, zawołał o poczęstunek i mimo bólów w kościach, co chwila mówił coś wesołego. Po raz pierwszy w tej podróży, rozmowa przy stole interesowała mnie. We wszystkim, co

mówił Słonik, czuło się czystość i godność myśli przyzwyczajonego gospodarza i człowieka, którego naturalność stosunku do życia, jest czemś niezmiernie solidnym i rozumnym. Opowiedział mi jak tracił i jak dorabiał się. O Polsce wyraził się bez obłudnej okliwkości, twierdził, że jest Brazylijaninem polskiego pochodzenia, że pewien zapasik sentymentu i ofiarności do rodzinnego kraju ma, ale właściwie Brazylija, która go kilkadziesiąt lat po macierzyńsku traktuje, daje mu wolność i poczucie człowieczeństwa, i dobrobyt, — ta właśnie Brazylija jest rzeczywiłą jego ojczyzną.

Obiad był obfity, smacznie przyrządzony i czysto podany. Ale fale skwaru przyplływające z otwartych okien, zmuszały do szybkiego oddychania ustami. Wszyscy byliśmy jacyś rozprężeni, czerwoni i spoceni na twarzach, ubranie uciśnięte do ciała, a tu zamiast gdzieś odpocząć, należało pójść na zebranie do szkoły. Właśnie było południe, solidna kanikuła niedzielną; wyjrzalesz z domu, rozjezdzalesz się i od tego co widziałeś serce ci się ścisnęło dziwnym bólem. Zagrody tonęły w rozczodraniej, zrudziałej gęstwie krzewów, nad tym wypłowiłym światłem snuła się melancholiczna, wapienna i przejezdzająca mgielka: wszystko zdawało się dyszczyć w męce jednostrajności, niby coś, co rwało się do życia, a co leżało powalone uciśnięciem spływającego z nieba żaru. Ani żywej duszy, sama skwarra ciska i udręka. Czerwone pasemko drogi smużyło się w oddali. Suchą, porośłą badyłami ścieżką wyruszyliśmy w stronę czystego i kształtnego budynku szkolnego. Szliśmy w milczeniu, oszołomieni gorącym: małomówna czwórka objędzonych ludzi. Opadły mi refleksy i wstydy. Nie powinienem się był wczoraj tak unosić; należało raczej wymownym milczeniem dać im do zrozumienia, że nie podoba mi się co mówią i wyjść bez awantur. Koło budynku szkolnego ożywiło się. Przychodzili kobiety z dziećmi na rękach, szły dziewczęta w kolorowych sukienkach z kwiatkami we włosach, w białych pończochach

i czarnych pantoflach z klamerkami; szli mężczyźni schludnie i odświętnie, przeważnie czarno lub szaro odziani. Wszyscy wchodzili do szkoły i sadowali się w ławkach, w chłodnej, wybielonej sali z przystrojonymi zielenią ścianami. Zajmowali miejsca twarzą do podwyższenia z desek. Zrobiło się pełno, na estradzie usiadł Janicki i swym głośnym, wiewocym tonem, począł mówić:

— Przyjechałem tu do was, bracia, aby jako kierownik jurackiego okręgu, nawoływać was, abyscie dzieci swoje zapisywali do Junaka, które to stowarzyszenie ma na celu utrzymanie polskości w sercach młodzieży emigracyjnej i wychowanie w duchu sportowej tężyzny. Zebrałiśmy się tutaj także, aby wskazać waszą szkołę, która parę miesięcy temu zamarta wskutek braku sił nauczycielskich. Dlatego proponuję, abyscie się bracia, w tej sprawie wypowiedzieli. Kto chce mówić, niech podniesie rękę do góry.

Ten i ów podniósł rękę, zaczęły się kolejne przemówienia, z których wynikało, że z trudem wybudowana szkoła stoi pustką, że władze Centralnego Związku Polaków w Kurytrybie wcale się Palmitalem nie interesują, nauczyciela nie przysyłają, a dawny był zły, źle uczył i bił dzieci etc. etc

Na estradę wyskoczył Gruda i drwiąco zaczął wspominać, że tak zamozna kolonia nie potrafi utrzymać nauczyciela, poprzedniemu nie placili co mu się należało, kobiety robiły intrzygi, wtrącały się do nauki i powodowały się osobistym stosunkiem do nauczyciela. Teraz nikt tu nie chce przyjechać. Ponieważ za dwa tygodnie rozpoczyna się kurs nauczycielski w Kurytrybie, wobec tego muszą wybrać spomiędzy młodzieży kilku kandydatów na nauczycieli, zaopatrzyć ich w trochę grosza i wysłać na ten kurs, w ten sposób będą mieli nauczycieli spośród swoich.

Ludzie zaczęli się naradzać kogoby wysłać. Zgłosilo się trzech jakotako umiejących czytać i pisać młodzieńców, któ-

rych wkońcu postanowiono wysłać, z tem, że po dwóch miesiącach wrócą jako nauczyciele. Na estradę wyszedł teraz mądry, węsaty o chytrych oczach człowieczek i począł się skarżyć, że ich kolonia jest jakby naumyślnie zaniebyszana przez czynniki kurytrybskie. W zeszłym roku zwiędział kolonje dygnitarz z Polski, gdzieś pod Candido złąkł się deszczu, zawrócił i nie zobaczył tej kolonii. Instruktor rolny raz tylko na cały swój pobyt zajechał do Palmitalu, później zajechał często, ale do Conde la Guicha, poradził jakiś swój system do siania lnu, pojechał, całe zbiory według jego wskazówek wzięli diabli, nie pokazał się więcej, pisali, nie odpisał — jakby naumyślnie. Ktoś miał interes do konsulatu, tłukł się kawał drogi aż do samej Kurytryby, poprzedni konsul urzędował tylko godzinę, był zmęczony, nie przyjął interesanta, w korytarzu tylko się pokazał, poprawił monokl i wykręcił się od rozmowy. Teraz jest podobno nowy, lepszy konsul, ale my już nie pojedziemy tam po radę, bośmy stracili zaufanie do tej naszej opiekunskiej placówki!

Skarżono się dalej, podawano wymowne fakty i czułem, że ci wszyscy ludzie mówią prawdę. Mówiono coraz ognistej. Tutaj chwala Bogu misjonarze nie mają dostępu, ludzie tutaj si wiedzą jaki to element księży buszuje wśród wychodźstwa polskiego. Co i rusz przyjeżdżają jacyś działacze, nawołują do utrzymania ducha polskiego, każdy mówi co innego, ale jak potrzeba jakiej praktycznej rady, to się wykręcają jak moga. Znów wyszedł Gruda, prosząc aby mu pomogli w spisie ludności, że to potrzebne aby wiedzieć ilu Polaków jest w Brazylii, ale kiedy powiedział, żeby mu podali co kto ma, ktoś się podniósł i odpowiedział, że to pewnie jaka podatkowa machlojka i że do niczego podobnego ludzie się namówić nie dadzą. Wszczął się gwar, za i przeciw, domyśli, jakieś dziecko głośno zapłakało, dziewczęta chichotały, wkońcu Gruda wrytmicznie bezinteresowność swojej misji, wziął papier i ołówkę, poczem

Ludzie kolejno zaczęli mu dyktować swoje nazwiska i majątności. Tymczasem upał zelzał, ludzie wyszli przed szkołę, młodzi do dziewecząt, starzy posiadali gdzie kto mógł, zaczęły się pogawarki, śmiechy. Gruda miał pracę mozolną; pomagali mu Grzeszczeszyn i Janicki. Wielu nie przyszło, obecni mówili za nich. Zapominali imion, mylili się w ilości inwentarza, jakali się, obracali czapki w palcach, kłócili się, kpili jedni z drugich, ale z tych wszystkich ludzi emanowała szczerość, solidarność, słowem na podstawie tych kilku godzin spędzonych wśród kolonistów, nabrałem jaknajlepszego o nich pojęcia. Już teraz napewno wiedziałem, że chłop — kolonista, to najszlachetniejszy element polskiego wychodźstwa w Brazylii. Wszystko reszta, cała półinteligencja, było to nadgniłe, marne psychicznie fatalajstwo. Obstała mi grupę gospodarzy, częstowali tytoniem, pytali o Polskę, musiałem im opowiadać najrozmaitsze sprawy ich pierwszej ojezyny. Statystyczna praca Grudy miała się ku końcowi. Ściemniało się, koloniści rozchodzili się do domów, mały, wąsaty, o chytrych oczkach, prosił abymy zaszedli dziś jeszcze do niego, wymówiliśmy się jednak koniecznością powrotu do Candido. Wyszedliśmy z sali, wąsaty zgasił świece, zamknął szkołę, pożegnał nas serdecznie i rozeszliśmy się. W drodze do domu Słonika, uważając w ciemności aby nie wpaść gdzie nie trzeba, rozmyślałem z rzetelną satysfakcją, że widać nie mam zbyt czarnego spojrzenia na ten świat, skoro całe to popołudnie, spędziłem bez nudy i pesymizmu, chociaż nie specjalnie ciekawego w tej szkole się nie działo. W drodze Gruda opowiadał mi jak odnalazł grób podróżnika polskiego, Chrostowskiego. Kości zebrał do kupy i zaznaczył miejsce, gdzie ma stanąć pamiątkowy kamień. Nistąd nizowdą, Grzeszczeszyn wtrącił pochmurnie, że powinien był na zebraniu wygłosić przemówienie, ale czuł się zmęczony, wobec czego, żeby Gruda i Janicki nie mieli mu tego za złe. Nikt mu na to nie odpowiedział, tylko Gruda trącił mnie łokciem w bok. Dziw-



ŚNIADANIE



TRÓPA W DŻUNGLI

ny jegośmoć swoj drog z tego Grzeszczeszyna, powie czasem coś takiego ni przypi ni przylata. Mimo ciemności wiao od niego niezadowoleniem. Kolacja u Sonika zakoñczya si wyproźnieniem kilku butelek pomarañczowego wina i raptem dwaj konkurenci na terenie dziaalności spoecznej Gruda i Grzeszczeszyn, posprzecali si gwatownie, spado to na nas niby wiosenna ulewa, wśro wściekych okrzyko na temat jakiegoś ksiedza Myszyki Grzeszczeszyn wybieg z pokoju, osiodat konia i pojecha zlorzczc w ciemnościach. Gruda śmiejc si histerycznie wybieg za nim, na dworze pochwyciy go torsje, wroci, napi si wody i zwali si w ubraniu na posanie przygotowane na pododzie. Wszystko to stao sic nad nad tem do porzadku i dalej recytowiemy sobie wiersze rozmaitych poetow. Cay wieczor do poźna w nocy przeszed nam niby jakieś otumanienie czy choroba, do tego stopnia, żeśmy rano pamietali szczegoy piate przez dziesice. Gruda nie mog sobie przypomniec o co mu poszo z Grzeszczeszynem, a myśmy takze nie byli w stanie mu tego zreferowac. Z ciżkami głowami, rozstiemy sic w upalny ranek na rozstaju, oni pojechali w prawo, ja w lewo, peen wstretu do pomarañczowego wina i peen checi wymazania tego dziwacznego wieczoru z pamieci. Na oczach miaem jakby brunatn zasone, świezy, przesoneczniony i rozkrzyczany cykadami las przejechaem szybko, wyjechaem na droge, mign mi szalas z Indianami, jeszcze troche i znalazem sic na podwoźru Dabskich.

W kuchni pod oknem Dabski gra w warcaby z Grzeszczeszynem, który spojrz na mnie wzrokiem penym wyrzutu i spowrotem pogry sic w grze. Bya dziesica rano, gwar i krzatanina. Ohydnie zatruty, z niesmakiem w ustach, poprosiem Dabskiej o mleko. Podala mi poszczerbiony kubek. Na pytanie Dabskiego: „Ano, jak tam bylo?” — odpowiedziaem niewyraźnie i chciwe legem na swem wyrku. Zасыpialem

w odmętach wstrętu do samego siebie. Przebudzenie o nie-normalnej porze dnia ma w sobie przykre cechy nieporządku i przejmuję zniechęceniem. Była trzecia po południu, zwlokłem się ze schodków, spojrzałem na niebo — mleczna, upalna nicność. Na podwórku rozlegały się okrzyki, ciężki łoskot gwałtownych podrywów konskich i tupot kopyt. Pachniało palonem włosiem. Ospale wychyliłem się zza węgla i ujrzalem całą rodzinę w komplecie, ugrupowaną koło żelaznego garnka z rozżarzonemi węglami, w którym tkwił gruby pręt żelazny. Dąbski przy pomocy Michałka łapał konie, ustawiał je tyłem do podwórka, Michałek zaskłaniał ręką lewe oko konia, wówczas Dąbski wyjmował z węgla pręt z literą D na końcu i ostroźnie przytykał ten koniec do zadu zwierzęcia. Koń lub bur raptownie podrywał zad dogóry, z wypalonego miejsca szedł swąd, poczem zwierzę w nieopanowanych ruchach odbiegalo wgląd podwórka. Widok ten orzeźwił mnie nieco. Podszedłem bliżej. W tej chwili Grzeszczyszyn z błyszczącemi oczkami, zawołał:

— Dajno pan, panie Dąbski, ja trochę pomarkuję!

Dąbski podprowadził siwego bura pyskiem do żłoba, ale bur jakby coś przeczuwał, przysiadł na zadzie i bił tylnemi kopytami w powietrze. W końcu Dąbski ściągnął go za uzdę, przyslonił oko i Grzeszczyszyn z pretem w ręku począł się skradac do gładkiego zadu bura. W tej pozycji, z przygryzioną dolną wargą, Grzeszczyszyn dziwnie się scharakteryzował, cała jego psychika zdawała się uosabniać w tem straszliwym skradaniu z narzędziem boleści. Zrobił wypad prawą nogą niby szermierz i żelazo jak rapir zbliżył do sierści, ale zanim dotknął, bur gwałtownym ruchem obrócił się na tylnych kopytach, stanął dęba, i kwicząc z otwartym pyskiem i wyszczerzonemi zębami, niby bestja apokaliptyczna, opadł wzniezionemi kopytami na sianającą się, drobną figurkę amatora - oprawy. Rozbiegliśmy się w popłochu, jak przed opadającym zgóry granatem, po-

czem — kiedy się obejrzałem, zobaczyłem uciekającego bura z pochylonym łbem, podtrzymującego bezustanku zadem, a za nim biegł Grzeszczyszyn z rozwianym włosiem i wyciągniętym pretem. Więc jakoś się widać uchylili od stratowania i teraz biegł za zwierzęciem, pełen pragnienia zemsty. Buchnął szczerym ruchem wsadził pręt do węgla, poczem zawołał:

— Dawajcie mi drugiego, ja was nauczę markować!

Z następną ofiarą, wychudłym, zabiedzonym koniem, poszło mu łatwo. Podszedł do mnie opuszczając rękaw koszuli:

— Takie to panie sprawy... Nie zapijać się z działaczami spod ciemnej gwiazdy, a umieć pracować... więcej życia, życia!

Przykro mnie dotknął tem zdaniem. Rzeczywiście nie należało bić w nieopanowanej wściekłości Janickiego, a potem także nie należało popijać z nim i recytować wiersze. Ale ja w tym kraju bardzo się zmieniłem. Za wendą podniosi się tuman kurzu, rozległy się okrzyki i nawoływania podobne do okrzyków pastuchów pędzących trzodę. Zaraz też Dąbski podbiegł do bramy z okrzykiem:

— Sawczuki jadą!

I na podwórko zaczęły wbiegać konie i bury, poczem wychało także może z ośmiu opalonych i obrośniętych chłopów, którzy wśród rzienia i hałasu poczuli złaźić z koni i witać się z Dąbskim. Przysiadłem pod ścianą i z zadowoleniem obserwowałem ten mały tłum ludzi i zwierząt. No więc narzeczcie, — na wszystkim co było — krzyżyki! Teraz nowe, może bardziej interesujące życie. Spośród ośmiu mężczyzn odrazu wyróżniłem czterech najbardziej energicznych i ruchliwych. Dwóch miało czwarte, szerokie twarze o wesołych i rozumnych oczach, krepki, dość tędy, w portkach trzymających się na paskach pod nieco wystającymi brzuchami. Dąbski zaraz mnie przywołał, przedstawił i wyjaśnił, że właśnie ja i Grzeszczyszyn mamy ra-

zem odbyć podróz. Usmiechnęli się wszyscy, jeden powiedział: — Aby nam panowie tylko po drodze nie pounierali z niewygód, a wszystko będzie dobrze.

Zaraz też poszli się krzątać koło koni, poić je, obłuskiwać przyniesioną przez Julkę kukurydzą. To byli bracia Sawczukowie. Wrażenie dodatnie. Pozostali dwaj — ruchliwi: smagły o dżkawem spojrzeniu, obrośnięty kakobło, oraz drobny, żyłasty, może sześćdziesięcioletni, ale krzepki wążacz, ciągle podkrecający swe żółtkle od tytoniu wąsy i żartobliwie nawołujący. Pozostali czterej, chuderlawi i jacyś przygaszeni, przysiedli z węzłkami pod płotem i cicho coś sobie opowiadali. Na ruchliwe, przepehione podwórko, opadał wilgotny zmierzch, z kuchni dy-milo i skwirczało, szły zapachy jada, smażonego mięsa. Cała tropa — jakieś czterdziści pięć sztuk — czerniła się niewyraźnemi sylwetkami na tle podwórza. Wypoczywający pod płotem chlopi podnieśli się i zagnali swoje konie do leżących w kupach kaczanów kukurydzy. Pilnowali, stojąc, aby cudze nie podjadały ich części. Zwierzęta podzieliły się na grupy i chrupały twarde ziarna kukurydzy. Dąbski zaprosił braci Sawczuków do kuchni, pozostałym kazał wynieść na dwór kawy, ci powymowali z węzłków żywność, na środku podwórzy rozpalili ognisko, obsiedli je i pojadali, przemawiając się od czasu do czasu żartobliwie. Zylastry wążacz, wyciągnął z torby butelkę z kaszasa, rozkraczył się, lewą rękę oparł o biodro i dłuższą chwilę ciągnął z butelki. Otrząsnął się i zawołał:

— Ach, ty, moja towarzyszo, dość cię będzie na dziś!

Przysiadł koło ognia i coś tam wesoło pogadywał. Sawczukowie usiedli obok nas przy stole i ciągnęli szmaron. Obaj byli głodni, żartobliwie przekomarzali się z Dąbską, że jej mę-za ożenią w Londrinie i osiedlą, tak że życie Dąbskiego zacznie się odnowa. Dąbska gospodarowała, poganiała córki do roboty i nie im nie odpowiadała. W czasie kolacji zaczęli z Dąbskim omawiać szczegóły podróży, z czego wynikało, że jeśli

wszystko gładko pójdzie, za osiem dni będziemy w Londrinie. Między mną a Sawczukami odrazu zapanował przyjazny nastrój. Ciekawi byli wieści z Polski, musiałem im w skrócie opowiedzieć całą historję niepodległości od osiemnastego roku. Słuchali ciekawie i starszy, blondyn zawołał wesoło:

— A, tośmy teraz niebyłejakie Polaki... A tu w Brazylii trzeba się mocno trzymać, żeby takiej potężnej ojczyźnie wstydu nie narobić!

Grzeszczeszyń zdawał się być nieco zazdrosny, że tak długo podtrzymywałem rozmowę. Palik, postękiwał niecierpliwie, aż wkońcu palnął:

— Jak będzie wojna i Niemcy z bolszewikami znów rozbiortą Polskę, to tu będzie druga, nie?

— Ej, kraczećcie, panie! — powiedział młodszy Sawczuk. Już mybysmy chyba na pomoc tam pojechali własnym okretym; żyje się tu w oddaleniu, bo tak wypadło, ale jakby co do czego przyszło, tośmy zawsze Polakami!

Rozmowa przeszła na tematy cen produktów, słuchałem tego z ciekawością i przyjemnie zauważyłem, że każda rozmowa z kolonistami, byleby nie dotyczyła księży, nauczycielstwa i stowarzyszeń, ma w sobie jakiś zdrowy sens i urok rzeczowości. Zrobiło się późno i roztrząsając jeszcze jutrzejszy wyjazd, rozeszlimy się spać. Rozbierając się, słyszałem słowa Dąbskiego:

— Julka, a przyszykuj się aby do drogi!... Dziewczynę muszę mieć z sobą, bo w drodze się przyda, a jak mi przyjdzie w Londrynie posiedzieć dłużej, to choćby uprać, ugotować... nie będę sobie najmował baby.

W odpowiedzi rozległo się zawodzenie Dąbskiej:

— Och, ty diable uparty, dziecko mi będziesz włókt tyli świata, pośród samych chłopów... Żeby cię pokarato, ty cholerniku zatracony!

Ale Dąbski nie już nie odpowiedział, tylko przeszedł moją klinkę, udając się na spoczynek. Przez szpary widziałem reflek-

sy ogniska na podwórzu i niektóre twarze chłopów w czerwone światło. Szedł stamtąd głuchy gwar, jakby jakiego obozowiska. Nagle przychyłło, ktoś coś mówił i po chwili zabrzniał szpęgątku cichy i coraz głośniejszy śpiew z chropowatych gardzieli chłopskich. Wrażenie biwaku żołnierskiego spotęgowało „O mój rozmarny!” a później „Miała matka trzech synów...”. Słuchając tych pieśni czulem się jakoś swojsko i uporczywie do tychczasowe wrażenie obcości opuściło mnie. Śpiewali z pół godziny, potem jeden głos zaczął mówić i usypiając słyszałem: — ...Tośmy wyszli przed chałupy, a tu ta cała komedjanka procesyja wylazła zza kościoła. Idą poprzebierane za różnych świętych, w jakichś kiecekach i śpiewają... Az tu podlatuje Golasowa do Marti Boskiej i jak nie zacznie wykrzykiwać: — „A tać to Oldakowa! I patrzcie ją! Za Matkę Bożą się przebrała... a bez cały rok każdego chłopa... króten tylko chciał i nie chciał dopuszczają i trzymała... a byle mocno... Dopieroz w widowiska pasyjne za świętą się robi!” — Śmiechu było... dopiero Oldakowa jak nie podciągnie kiecek, jak nie zacznie uciekać! Pośród świętych, jak im tam... ruch się zrobił, poczęli się rozchodzić i tak już więcej tych pasyj na naszej kolonji nie wyprawiali...

Ubierałem się szybko, podniecony dzisiejszą wyprawą. Na podwórku wrzało. Dąbski umocowywał kalgiery do burów, były to wielkie kosze naladowane szpadlami, fojsami, przeróżnym towarem gospodarskim, który Dąbski wioził na handel. Niektóre konie były już osiodlane, chlopi kręcili się w podwórzu, sprawdzali swoje kalgiery, poprawiali. Dąbski wskazał mi siodło i konia. Pobiegłem do kuchni, zjadłem coś na stojąco, z komórki wyciągnąłem worek, wsadziłem w niego wszystkie drobiazgi i poszedłem siodłać. No, gotowa! Zapłaciłem Dąbskiemu za siodło i pobyt przez te parę dni i poszedłem szukać Grzeszczyszyna. Natknąłem się na niego w głębi podwórza, stał obok konia pod drzewem i oglądał rewolwer.

— Coż — mówię — jedziemy zaraz?

— Jedziemy, — odpowiedział surowo — tylko pamiętaj pan, com mówił o towarzyskiej solidarności w podróży, bo to nie będzie przejazdka takową w Aleje z dziewczynkami. Teraz się zacznie las!

— Jakoś tam będzie — odpowiedziałem i pomyślałem: aleś y bracie nudny drań...

Pośród tupotu kopyt końskich i z całego gwaru wyodrębnił się płacz Dąbskiej. Tymczasem już Julka siedziała na zgrabnym burze, w czystej sukni i kapelusiku zawadiacko wsadzonym na głowę. Młinę miała nijaką, raczej ponurą i zaciętą.

— No, chlopy! wszystko gotowe! — krzyknął starszy Sawczuk. — Jedziemy, jedziemy, bo już późno!

Sprawdziłem, czy mój worek mocno się trzyma wtyłe siodła i badawczo przyrzuciłem się mojemu wierzchowcowi. W zamieszaniu nie zauważyłem go; to był siwy bur. Odwrócił łeb i przyglądał mi się ze złośliwą ironją. Krzyknąłem w stronę Dąbskiego:

— Nie chcę tego diabła, daj mi pan jakiego konia, przecież jest ich dość!

— Jedź pan na burze — odkrzyknął, — lepiej pana będzie niósł bo wytrzymałszy, a panes ciężki chlopi!

Ha, trudno! Wsiadłem nawet dość gładko. Musiałem czekać, jeszcze się wszyscy nie przygotowali. Dąbski ucinął sobie ostatnią kłótnię z żoną, ale jednocześnie wyciągał ręce, aby ją uściskać, ona znów odskakiwała, biegł za nią, chlopi się śmiali. Spojrzałem w górę; kilka corv zataczało huk na czyściutkiem, zdającym się zapowiadać niegorszą spiekotę, niebie. Nareszcie Dąbska i młodsza dziewczyna otworzyły naoscież bramę i całe towarzystwo ludzi i zwierząt wysypało się na trakt. Zauważyłem, że jedzie z nami również Michał, wyglądający na wielkim koniu niby jakiś pakunek. Ludzie z wendy wybiegli i przekrzywiali się, zycząc dobrej podróży. W głębi mignął

ni Brzeziński, pogardliwie i ironicznie zerkając na mnie. Z podwórza dochodził jeszcze głos Dąbskiej:

— A wróć ty diabłu przeklęty!... i na dzieci uważaj, bo ci łeb rozwałę jak wróciś!

Wśród nawoływania, zajeżdżając tropę z boków, pilnując aby trzymała się razem, wyjechałszy na dość szeroką drogę, mi- nęliśmy jeszcze kilka zagród, poczem przejechałszy małą rzeczkę, droga opadła i otoczył nas mroczny i nastrojowy las. Jechaliśmy gęsiego a conajwyżej po dwóch, napół poroślą pikadą, ocierając się o wystające z obu ścian dzungli ostre krzewy i suto porastające tuż przy drodze pnące takuary. Sprzodu co chwila słychać było nawoływania niewidocznych jeźdźców, którymi oddzielona była, co kilka sztuk, tropa. Od kilkunas- tu minut w palcu prawej nogi odczuwałem dokuczliwe, piekące swędzenie. Rozmyślałem w związku z tem, że przy najbliższej okazji zdejmę but i zobaczę co to takiego. Jazda odbywała się w porządku, las pachniał mocno i duszno, obie strony drogi porastały jakieś najrozmaitsze gatunki roślin, tak, że metr dalej już nic nie było widać, tylko gdzieniegdzie ujrzeć można było pień drzewny okrecony lianem. Nieco wyżej wyraźnie rysowały się ogromne drzewa, obrośnięte mnóstwem pasorzytni- cych roślin, i konary tych drzew łączyły się w górze, ciągnąc się ciemno-zielonym dachem ponad ścieżką. Niektórzy po- krzykiwali wesoło, inni wciągali się w rozmowę o swoich spra- wach, monotonnie, niby w wagonie kolejowym, aby się droga nie dłużyła. Tuż za mną jechała córka Dąbskiego; czarna, zła i poważna. Miałem nawet ochotę pogawędzić z nią, ale widząc jej minę, zaniechałem. Godziny sączyły się jedna za drugą, co pewien czas poprawiałem się w siodło, to znów myślałem o bólu w nodze, przypomniałem sobie dawne historie z dzie- ciństwa i jakoś byłem zajęty. Mimo że droga ciągle była jednakowa, nie nużyła. Dzungla zajmowała drobniagami: tu gałąź wila się skrecona, jakby w jakim bólu, gdzieniegdziej za-

szemrało coś w gęstwie, to znów grupa kwiatów barwiła się wysoko, na konarze drzewa, kopyta końskie z trzaskiem mia- dzyły suche poszycie ścieżki, jechało się powoli, kopysząco. Miejscami, kiedy droga ciągnęła się równo, widziałem naprze- dzie Grzeszczyszyna z podniesionym fakonem, jak ścinał zwisa- jące mu nad głową girlandy takuary. Człowiek ten starał się ustawnicznie podkreślać słowem lub czynem swoje istnienie. Wdole, koło kopyt bura coś nagle zaskuczalo, bur opuścił łeb tak nisko, że nagle zrobiło mi się jakos pusto bez tego łba; prze- chyliłem się wódł i ujrzalem na ziemi zółcącego się miniaturo- wo kundla Dąbskich. Zastanawiałem się chwilę, czyby go nie wziąć na siodło, ale jakoś sprytnie przenknął się między ko- pytami i podreptał, kluczając zółto, naprzód. Spytałem się Jul- ki, czy będzie nam towarzyszył aż do samej Londriny, na co mruknęła:

— A czort go wie, kaszoro¹ przekłete! Bury go zadepcą!
— Hm, małomówna to była istota. Nagle na przedzie zoba- czyłem tłoczącą się tropę i jeźdźców na poszerzonej nagle ścieżce. Konie wyciągały szyję, tupiąc kopytami w miejscu, stoczone i złe. Tam, gdzie polna przestrzeń się zwężała i prze- chodziła znów w ścieżkę, stali obaj Sawczukowie tannując dal- szą drogę i młodszysy wołali:

— Ej, wy tam od końca! liczcie tropę, ile ich tam macie!?
— Za mną stały cztery konie, niecierpliwie przestępując w miej- scu, za nimi stał koń z jeźdźcem i to był koniec. Policzyłem je z temi, które miałem przed sobą i krzyknąłem: — Dziewięć! Następny policzył je ze swemi i podał dalej. Liczba wciąż ro- sła i wreszcie dobiegła do Sawczuków w cyfrze czterdziestu siedmiu sztuk. Wszystko było w porządku i Sawczukowie od- wrócili się plecami, ruszając w dalszą drogę. Nagle spomiędzy stłoczonych zwierząt, wyrwała się roślą i piękna kobyla wiśni-

¹ Pies — po portugalsku.

wego koloru, z długim, jasnym ogonem, i nim się kto zorientował, boczkiem przecwałowała mimo nas i wydostawszy się na wolną drogę, galopen zniknęła za zakrętem i po chwili nawet tętent jej ucichł. Zaraz Dąbski krzyknął do Michala:

— Ganiaj żywo za kobyłą i bez niej mi nie wracaj!

Chłopak zawrócił, zdzielił konia batem i przytrzymując kapelusza pognał za zbiegłą kobyłą. Cała tropa wolno ruszyła na przód. Ten i ów komentował ucieczkę konia, Dąbski ciągle krzyczał w moją stronę: — „A co, nie widać go tam?” Ale za nami w głuchoj ciszy łączyły się obie ściany dżungli, pochłaniając ścieżkę. Ustawiczne kiwanie się na burze przyprawiało mnie o senność, uczuwałem ból w krzyżu, noga ciągle piekła, ale wszystko razem niepozbowione było pewnego uroku. Gdzieś zaszczekał pies, mignął mi nawet kilka razy, bura na jego widok wyciągały szyje jak gęsi, słychać było monotony chrzst, brzęczenie żelazniwa w którymś z kalgierów. Dąbski ciągle zapytwał czy nie widać Michala ze zgubą, Grzeszczeszyn w pewnej chwili wyrósł ponad wszystkich, wykrzywił do mnie poufnie twarz, widocznie stanął w strzemiionach, aby popatrzeć czy jestem. Spojrzałem na zegarek; wskazywał trzecią. Prawa strona dżungli zdawała się przereźać, tropa pobiegła zwałwiej, pokazała się kapuejra, potem polanka, na polance ogrodzenie i dymiąca spód dachu chalupa. Skrećaliśmy w stronę tej zagrody. Widziałem teraz wszystkich wyraźniej, jeźdźcy jechali po obu stronach tropy, aby się nie rozbiegła, z piaszczystej drożki zrywał się lekki tuman kurzu. Tymczasem ci na przedzie już zsiadali z koni, na udeptanej przestrzeni przed chalupą starzy dwa długie i wysokie żłoby, niektórzy już rzucali do niej kukurydżę, którą wyciągali z bocznej szopy, konie obstąpiły żłoby, bury kopaly, wszczął się gwar i ruch. Dotychczas jeszcze nie widziałem gospodarzy tej „ranszy“, ale okazało się, że polce nie co do kukurydzy wydała siedząca w kuchni samotna i stara kobieta. Zdjąłem siodło z bura i narazie przywiązałem do zbut-

wiałego plotu, poczem poszedłem do starszego Sawczuka i zapytałem go o kukurydżę dla mego bura.

— Wynieś pan sobie z pajora kilkanaście kaczanów i później pan za nie zapłaci ile tam wypadnie! — Wlazłem do przewiewnej szopy, napół pełnej aż po pozycie kukurydzy, wyciągnąłem ze dwadziścia kaczanów i troskliwie zacząłem karmić bura. Jadł obojętnie i stojąc koło niego, myślałem sobie: — Ej, ty mi jeszcze braciszku coś w tej podróży uszykujesz! — Spojrzałem w bok. Kolo szopy stał Grzeszczeszyn i gorącą, brunatną wodą (skąd on wziął już gorącej wody, pomyślałem) zmywał grzbiet swojego konia. Podszedłem do niego i spytałem:

— Pocco pan to robi?

— A żeby się nie odparzył — odpowiedział fachowo.

Spojrzałem na grzbiet swojego bura. Grzbiet jak grzbiet, trochę wilgotny. Nie, nie będę go żadną wodą polewał. Rozjeźrałem się, nikt tego nie robił.

— A z czym ta woda! — krzyknąłem jeszcze do Grzeszczeszyna.

— Z herwą, panie, z herwą... ja uniem chodzić koło zwierząt! Chwilę byłem niezdyscyplinowany, ale doprawdy nikt tego nie robił. Zwierzęta uporządkowały się po obu stronach żłobu, kabokło z groźną miną rozpałał ognisko, ktoś mu pomagał, obok leżał pies Dąbskiego z wywieszonym językiem, chłopci poczuli kłosać naokoło ogniska kapy i pelegi, poczem układali się na nich, postękując. Nad ogniem ustawiono drążek z kociółkiem, chłopci rozwiązywali węzłki, wyciągali z nich woreczki z ryżem i fizonem, kawałki słoniny — zabierano się do gotowania posiłku. Zauważyłem, że tylko mój bur je osobno. Wygląda to jakbym się oddzielał, pomyślałem, ale nie mam jeszcze praktyki w tych sprawach, a pytać się o wszystko Grzeszczeszyna, — nie chce mi się. Wszedłem do chalupy; była to jakby marna i brudna stodoła bez żadnych sprzętów, a na podłodze leżała gruba warstwa pyłu. Z belek zwieszala się pajęczyna

i cuchnęło moczem. Na starej skrzyni stał odwinięty worek z czerną niby mąka z czarnemi kawalkami czegoś. Obok worka stał Dąbski z córką i Grzeszczyszyn, w rękach trzymali łyżki i pojadalni z tego worka.

— Jedź pan pasokę — powiedział do mnie Dąbski. — Nie masz pan pewnie łyżki... Julcia, skoczno do kalgieta po łyżkę! — Sprzedam panu łyżkę... kawa jest w dzbanku, bédziesz pan u mnie na kuchni, a potem się policzymy! Ale tego Michała nie widać, będę musiał czekać, aż wróci... jedź pan! To pożywne, tłuczona kukurydza z suszonym mięsem i kogutem; zawsze takie jedzenie bierze się w drogę, bo najdlużej się nie psuje, a pakowne i sytne.

Pobiegłem do swej torby, przytaszczyłem ją do stodoły, wyjąłem blaszany kubek i talerz, usypałem sobie na niego trochę tej pasoki, w kubek nalałem kawy i stojąc, zacząłem jeść. Było to nawet dość smaczne, suche, w smaku podobne do tartej bułki; kogut z jakimś innym mięsem trochę urozmaicał jajowość tego, a kawa zwilżała sypkość. Julka zjadła niewiele, ja też po kilku łyżkach byłem syty. Kawa trochę mnie rozruszała. Dąbski poradził mi, abym sobie przygotował tutaj możliwie najlepsze miejsce na nocleg. Zaciągnąłem do kąta trzy podłużne deski, których stało kilkanaście opartych o ścianę, na deski rzuciłem worek i kapę, poczem wyszedłem na dwór.

Słońce rozlewało się krwisto nad ostro rysującym się pasmem lasów, wokół otaczała nas przyrzajona puszcza, powietrze było rzeźkie, przedwieczorne, chłopci przy ognisku gawędzili półgłosem, z szopy wyszedł żyłasty wąsacz, znów się rozkraczył, pościągnął z butelki, otrząsnął się i powiedział:

— Ech! ty mocna... pocieszycielko moja rozmowna!

Kucnął przy ogniu z kawalkiem chleba i słoniny w rękach. Rozłożyłem kapę i położyłem się na niej przy ogniu, obok Sawczuków. Kabokło mieszał łyżką w kociołku i mówił kiepską polszczyzną:

— ...Alberto tam posid a ojca w kasa¹ niebył... no Alberto sprzedać jako krofa za dwieście milióf... ojciec wraca, krofy nima... gdzie krofa... sprzedana... idzie do co kupił i ze smita zabije krofa i mówić... jak Alberta taka ladra...² to krofa nikogo bédzie...

Odłożył łyżkę, pogłaskał psa i w zadumie skrecał sobie pierosa. Kilku chłopów westchnęło, przejęci opowiadaniem. Sytalem starszego Sawczuka, kto to jest ten kabokło?

— On żonaty z naszą siostrą... nasz szwagier... dobry chłop, tylko gadać się jeszcze po polsku nie nauczył!

Chciał jeszcze coś mówić, ale raptem wyściągnął szyję i zawołał:

— A co mu, cholera jest, że się tak pokłada!

Pod płotem leżał koń, próbował wstać, znów się kładł, trząsał łbem i robił wdętymi bokami. Obaj Sawczukowie podbiegli do niego.

— Musi się czego obzart i wzdęło go — rzekł któryś z chłopów.

Tymczasem Sawczukowie ciągnęli konia za ogon aby się podniósł, wreszcie z trudem wstał, przebiegł szyję i nozdrzami obwąchiwał prawy bok. Chwiał się przytem na nogach i drżał na całym ciełe. Wszyscy zerwali się od ognia i obstępili chore zwierzę.

— Przegnać go, to mu popuści — radził ktoś.

— Nie, lepiej go zaprowadzić do wody!

Młody Sawczuk chwycił kija i pocałował nim zmuszać konia do biegu. Szedł z trudem ciągle obwąchiując bok. Sawczuk założył mu uzdę i zaprowadził do pobliskiej, błotnistej sadzawki. Koń chwilę wachał brudną wodę, w końcu wlaził i położył się, przeginając boleśnie szyję. Ktoś przytnął butelkę z kawą zmieszaną z jakimś płynem, konia wyprowadzono z wody i Saw-

¹ Casa — dom, ² oszust.

czuk począł mu wlewać butelką płyn do pyska. Znow go poganiano. Kabokło chwycił noża i lekko podciął mu podogonie. Spłynęło trochę krwi. Koń wrócił na podwórze i powalił się między żłobami, dysząc ciężko. Szwagier Sawczuków uderzył go kijem, poderwał się ale nie wstał, tylko począł się targać na grzbiecie i przewalać z boku na bok. Wkońcu wstał i laził niezdarnie po podwórzu, ciągle dysząc i co chwila obwąchując prawy bok. Przykro było patrzeć na biedne zwierzę. Ludzie zajęli miejsca przy ognisku i stamtąd przyglądali się koniowi. Pokolei nakładali sobie z kociołka ryż z fizonem, jedli i popijali kawą. Koń zdawał się czuć lepiej, podszedł nawet do żłobu, ale tylko sapnął, że aż ziarnka kukurydzy rozprysły się i odszedł. Zwolna przestano zwracać na niego uwagę. Zaczęły się pogawki i przesmichy. Najwięcej mówił wąsacz, do którego mówiono Belcik. Był to śmieszny chłop. Opowiadał jakieś historyjki z japońskiej wojny, wiedziało się, że na niej nie był, ale słuchano go chętnie, prowokowano, aby gadał więcej.

Sciemiąło się, blaski ognia migały po twarzach ludzkich, kładły się po podwórzu. Dwie kuję z szmaronem krążyły z rąk do rąk. Podszedł Grzeszczeszyn, przecisnął się bliżej ognia, wyciągnął rękę po kuję i zawołał:

— Dawajcie tu, nalewajko!

— A nie bądźcie tacy przedcy, bo wolacie jak w wendzie o piwo!... — krzyknął Belcik.

Grzeszczeszyn cofnął rękę i mruknął coś pod nosem. Zaczęło się opowiadanie historyjek, zasłyszanych jeszcze w kraju, długich i bez pointy, zabawnie nieudolnych i niedowcipnych. O żołnierzu rosyjskim, który poszedł aż do samego cara, o księdzu, popie i rabinie, który z nich mądrzejszy. Potem przyszły i nieprzywoite: jak dziad wędrowny zaszedł do chałupy i dowcipnie z żoną gospodarza się przepasał. Wśród zapachu dymu, w trzaskach płonącego drzewa i pąsowych refleksach ognia, w serdecznej bliskości, pałac i pijąc lekko podniecający szina-

ron, słuchało się tych prostackich bajd z czystym uczuciem prostoty i naturalności atmosfery. Z puszczy dobiegał czasem pokrzyk nocnego ptaka, mocno i dźwięcznie kuły żaby-kowale i odgłos ich był uderzająco podobny do dwóch na zmianę bijących młotami w rozpalone żelazo — kowali. Ci polscy chłopci z całym swoim urokiem surowości i tężyzny, na tle tej dzikiej głuszy, przy ognisku, z twardą poczciwą mową i szczeremi, niegolonemi twarzami, wywierali na mnie uczucie serdecznej braterskości, pobudzali pogodę ducha, czuło się bliskość swoich, rodactwo. Nie było tu nudnych, paryżwych rozmów dotyczących jakichś mętnych spekulacji w imię fałszywie pojmowanej pracy społecznej; wszystkich tych załganych i wzniostłych tematów: „Macierzy!“, „Religijności“, „Braterswa!“, całej tej mętniej i nieudolnej propagandy w celu zachowania polskości kolonisty, który tę polskość czuje mocno i po swojemu i podświadomie obrusza się, kiedy wmnawiają w niego różni karierowicze emigracyjni to, co czuje w krwi, i zgrubiłatemi rękami ustanawiając sobie byt na obczyźnie, pogardza w głębi duszy tymi wszystkimi „działaczami“ i „prezesami“, dybiącyymi na słamszenie z takim trudem nabytej indywidualności i swobody. Słuchając ich, patrząc na nich, czulem szczerą i bezgraniczną siłę i czystość ducha tych ludzi. To był człowiek wiadomy, prosty jak bochen razowego chleba, jak pracowicie wydaty tej twardej ziemi łan zboża. Przy tym ognisku zacząłem wyczuwać sens pięknej, życiowej misji polskiego chłopca—kolonisty w Brazylii. Spojrzałem na Grzeszczeszyna. Jego kostropatą twarz oblewała czerwona łuna ognia, nos mu jeszcze bardziej zachodził na usta i ostro odcinał się od reszty zasłuchanych twarzy. — „Gadajcie sobie chamy... znam ja was, znam nawy!ot... umiem z wami obcować“. Skorzystał z chwilowego milczenia i zaczął mówić:

— Tak, moi ludzie... siedzicie sobie tutaj jako wolny naród, ale pamiętajcie, że wasze dziady batem na pańszczyźnie po

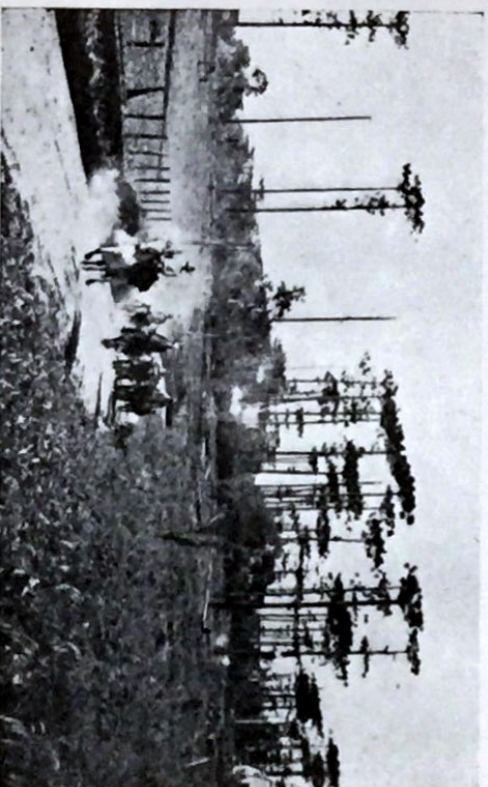
grzbietach braly, a wy tutaj za przedko zeście się usamodzielnili! Będziecie się buntować księżom, co samą dobroć z sobą niosą, to przyjdą z Polski różne nowe dziedzice i znów popadniecie w niewolę... a tam już coś szykują... żeby wszystkim co jest do sprzedania ziemię w Brazylii kupić, tutaj was zdrowo mocno za łb; podatkami, spekulacjami i wódką... w długie popadniecie... majątków się wyzbędziecie, a dalejgo na zarobek do tych dziedziców! A jak misjonarze chcą was od tego uchronić, chcą pouczyć i wychować w gromadnym duchu, abyście kupą byli silni, to wy tych księży traktujecie jaknajgorzej... a to wam tylko powiem, że ta Polska co jest teraz, to nie prawdziwa Polska... ale chociaż rządzą nią Polaki, to inne, złe... które kraj chcą mieć dla siebie na własność!

Smutno zwiścił głowę. Rozległ się śmiech Belćka, który zabrał głos:

— Ależ wy panie dziobaty gadacie jak jaki księży najemnik! I głupio! Jak to mogą być złe Polaki, które naród z niewoli wyrwały i do dobrobytu i znaczenia we świecie doprowadziły! Jakże to może być, kiedy tu — słycać — i ministra w Rio polskiego mamy, i konsula w Kurytybie, za złotego trzy mile płacą, przez radio o tej Polsce ciągle gadają, a listów to mi krewniaki spod Mińska Mazowieckiego nie przysyłają? Toć my wiemy jak tam jest! A żądnych dziedziców to my się nie bojemy, bo rzechi sobie ziemi skupują ile chcą, dla wszystkich wystarczy, chociaż słycać, że te ziemię skupują dla nowych emigrantów co mają przyjechać z Polski! A jakby, to i co nam zrobią, kassaza w Brazylii tania, wystarczy dla nas i jeszcze tych dziedziców poczęstujemy... co tam gadacie o jakimś rozpiacu... A i tak wy panie nawet bajacie jak jaki nieuczony, ni do składu ni do sensu... niewola nas będą straszyć, co ja mam sześćdziesiąt akców ziemi, kolo setki świń, dwie chalupy, trzy córki wyposazylenn... koni kupa... o, i jeszcze sobie jeżdżę jak jaki pan po podróżach, ziemi nowej w Londrynie dokupić.



PRZEJŚCIE PRZEZ RZEKĘ ALONZO



WYJAZD Z SAO SEBASTIAO

— A co się tak Belcik przechwalać swoim majątkiem — krzyknął wesoło starszy Sawczuk. — A myśny to od was gor- sil! Ten pan to chyba mocno napił się czy co, że tak gadał! Słuchać tych misjonarzy! A toć to jakieś wyruszy przyjechały i na skórze chłopca chcą się pożywić! Kogo mamy się tam bać... toć taki Kieta ino o zebractwie myśli... jakby tu jeszcze nowy grosz wyciągnąć! Niech tam się pożywią czasem przy nas. Dla bab tylko oni potrzebn, bo rozrywek na kolońjach niewiele, a baba zawsze lubi przy niedzieli się wystroić, pokazać co ma na sobie i z innymi porajcować, misjonarskiego bajania postu- chać!

Ten i ów z chłopów jeszcze coś zagadał na ten temat, po- śmiiali się trochę z Grzeszczeszyna i zwolna przeszli na opowia- dania wesołych historyj, nie zwracając na niego uwagi. Patrzy- lem na Grzeszczeszyna, starając się wycztać z jego miny co myśli. Twarz miał pogardliwie odętą i patykami szturchał węgle w ogniu. Co chwila wzruszał ramionami, pociągał nosem i wkońcu niepostrzeżenie wypetzał poza krąg otaczających ogni- sko. Ogarnęła mnie sennać, podniosłem się ociężale i posze- dłem do chalupy. Obok skrzynki ze świecą stał Grzeszczeszyn i przeciągał się kapyśnię, niby dziewczyna zrana i po wyjściu z kąpiel. Przy ogniu zagrazałem się i teraz było mi zimno, na- domiar palce u nogi dokuczliwie mnie śwędziały. Przysiadłem obok świecy i zacząłem ściągać but. Grzeszczeszyn stał w roz- piętej koszuli, ziewał, drapał się w piersi i patrzył na mnie z nie- ukrywaną antypatją. Milczeliśmy jednak. W kuchni, za ścianą ktoś westchnął. Pokuśtykałem i zajązałem przez niedomknięte drzwi. Pośrodku, na glinianem wzniesieniu tliły się drzewne po- lana i w ich nikłym blasku widać było śpiące na ławach kobiety. Zawróciłem, usiadłem i zacząłem oglądać palce u nogi. Tuz pod paznokciem wielkiego palca czernił się nikły punkcik oto- czony różową obwódką.

— Co może być takiego? — zwróciłem się do Grzeszczeszyna.

— A, daj mi pan spokój!.. pedikiurzysta jestem, czy co?!

Usiadł, ziewnął szeroko i przyglądał mi się niedobrym wzrokiem. Wyciągnąłem szpilkę z kołnierza koszuli i zacząłem nakłówać czarny punkcik. Czynność ta sprawiała mi bolesną przyjemność. Wyciągnąłem po chwili „bisza“ razem z jajkowym worcemkiem, zaraz odkryłem innego, i w końcu doszukałem się siedmiu sztuk tego paskudstwa.

— Panby się przydał lokaj w tej podróży — szepnął Grzeszczyń zjadliwie.

— Kto wie, może jeszcze pana zgodzę, jak się pan będzie dobrze sprawował — odciąłem.

Wstał i zaczął mówić z jakimś wściekłym sykiem:

— Tylko niech pan sobie za bardzo nie pozwala, bo ja w netwach jestem nieobliczalny!... panu to chamanstwo dogadza i myśli pan, że razem z nimi luzia teraz na Grzeszczczyzna!... a niech ja się tylko rozchoruję w tej drodze! to w całej Paranie będzie huczeć... Jeszcze ma się za mną kto ująć, nie myśli pan!

Począł szybko chodzić i nerwowo skręcał papierosa. Postanowilem już się do niego nie odzywać. Wciągnąłem but, polżyłem się na deskach, nakryłem się kapą i przez zamrzone oczy przyglądałem się temu ananasowi, przypominając sobie jednocześnie książkę jakiegoś Anglika, który twierdzi, że istnieje rodzaj mężczyzn, którzy psychicznie przechodzą w formie szczątkowej okresy podobne do periodów kobiecych. Obserwuję już prawie miesiąc Grzeszczczyzna, hipoteza ta wydała mi się dość prawdopodobna. Przypomniałem sobie jego zachowanie w Iraty... biedaczysko! Istotnie przechodził jakieś gnilne nastroje. Palił, przysiadł, wstawał i w rudawej barwie świecy wyglądał odrażająco. Chwilami przystawał i patrzył na mnie z miną, jakby zamierzał podskoczyć i kopnąć mnie. Atmosfera była taka, że mocno ująłem pod kapą rewolwer. W tej chwili wszedł do izby (czy stodoły? djabli to wiedzą!) mały kabokło

w czapce z daszkiem i fuzyją pod pachą. Rozejrzał się jakby węszyć i cichutko przemknął do kuchni. Zauważyłem, że w ręku trzymał za ogon pancernika. Koszmar, psiakrew! Grzeszczczyń zgasił świecę i wyszedł. Postanowiłem chwilę czuwać, ale zaraz zasnąłem.

Ranek urodził się pod znakiem koni. Mianowicie koń Dąbskiego nie wrócił, natomiast chory koń wyzdrowiał. Objeżdżając to umysłem, sprawa jest na remi. Dużo o tem mówiono przy ogniu, a Dąbski był bardzo zgrzyziony. Chłopiec także nie wrócił i niewiadomo czem bardziej Dąbski się gryzł. Postanowił czekać na obydwóch. Grzeszczczyń był w usposobieniu wprost radosnem; gwizdał, kręcił się koło koni, zaglądał im tu i ówdzie, oceniał wiek i siłę, kilkakrotnie nawet zajrzał w zęby... Zagadywał chłopów i nie zrażał się ich lekką rezerwą w stosunku do siebie. Do mnie się odzywał jakby nigdy nic. Taki to już dziwny był człowiek. Wypalem w siebie kilka łyżek pasoki, zalałem ją wrzątkiem kawy i powoli zabrałem się do siodłania bura. To co widziałem wokół siebie podczas tej czynności, napełniało mnie narazie uczuciem pogodzenia z losem i dobrą, wewnętrzną aurą. Tropa żrąca przy żłobach, chłopci pojadający przy ogniu i zebzrący na tylnych łapach kundel, i rozkraczony Belcik pijący swą porcję kaszasy; — wszystko to było czysto i tko wyzłoczone słońcem i tchnęło radosną rzeczywistością. Belcik odjął butelkę od ust, potrząsnął nią w stronę Grzeszczczyzna i powiedział:

— Lepsza ona — mój dziobalu — od was pocieszycielka, ta moja... Nie grozi dziedzicami, o nie!

Grzeszczczyń uśmiechnął się jakimś stłuczonym śmiechem i pochylił się nad psem. Pomyślałem sobie ile też ten Belcik wiezie ze sobą wódki, skoro zawartość flaszki zdaje się nie mieć końca, pomyślałem również, że cięsy mnie przymusowy postój Dąbskiego, bo mimo, że nie absorbował zbyt w drodze, to jednak chwilami drażnił mnie swoją formalską psychi-

ka. Przed chatupę wyszedł mały kabokło i dziwnie nikle i obrzydliwie odcinał się od grupy przy ogniu. Zresztą chłopci poczuli się zrywać z ziemi, jeden zajął się zmywaniem naczyn, inni nakładali kalgiery na bury, siodłali konie, wynosili posłania z noclegu w szopie. Zapfacielem kabokłowi dwa milreisy za kukurudzę dla mego bura, poczem usadowilem się w siodle i czekałem aż wszyscy będą gotowi do drogi. Aby uniknąć tego, co się zdarzyło Dąbskiemu, chłopci uwiązali niespokojniejszym zwierzętom dzwonki u szyi. Wreszcie Sawczukowie wsiedli na konie i cała wyprawa ruchomym sznurem ludzi i zwierząt wcisnęła się w lesną dziedzinę. W chłodnym, orzeźwiającyim półmroku, wypoczęte konie rwały się do szybszego biegu, lesna ścieżka napelniała się odgłosami dzwonków, brzęczeń luźno umieszczonych przedmiotów w kalgiernach, okrzykami, dudnieniem kopyt, wesołą wrzawą. Belcik lekko podochocony swoją raną porcją, wespółwiewał ochryple nieprzyzwoite teksty rosyjskich piosenek, zawracał koniem, dogadywał, znów pędził naprzód. Już teraz wiedziałem, że ten wesoły pijaczyna stanie się zmoreą i udręką Grzeszczyszyna, bo co i raz koniem na niego nacierał, zagładał w oczy, stroił miny dotyku i nawet głośno krzyknął coś o karakulach; miało to związek z nierównością lic Grzeszczyszyna. Ale Belcik powoli przycichł, przycichła także cała tropa; jechało się teraz wolno, teren stał się nierówny, ścieżka gęsto porośla, pełna kryjomych jam, zawałona co kilkaset metrów napół zgnilemi pniami, lub też zarosła wpoprzek takuaraą, tak że trzeba było się schylać, aby nie zawadzić szyją o te naturalne szkany. Ranny, orzeźwiający urok dzungli począł zwolna zanikać; z gęstwy wionęło dusznemi waporami, zgnilizną i próchnicą. Siodło uwierało lędzwia i dopiekało. Nad uszami koni unosily się drobne owady i duże, brunatne bąki cięły żądlami do krwi i tak przylegały do ciała zwierząt, że mazały się pod dłońią krwistą mazią. Jazda stawała się coraz bardziej dokuczliwa. Na przedzie ciągli fakonami takuaraę i rozhuśtane, ostre

końce łodyg uderzały po twarzy i szarpały ubranie. W pewnym miejscu przeredziło się i zaczęliśmy zjeżdżać w rozległy jar, pochylał, zawałoną korzeniami ścieżką. W skwarnej i senniejszy wyłoniła się spomiędzy krzewów nędzna szopa, przed którą stał brodaty, dziko obrośnięty człowiek w portkach i koszu. Wiało od niego samotnością i niesamowitem opuszczeniem. Przesłaniając dłońią oczy od słońca, patrzył na nas, wyprostowany, nieruchomy. Zagadnąłem jadącego przede mną Belcika, kto to jest, ten pustelnik. Odpowiedział mi, że to trędowaty. Po chwili straciłszy go z oczu. Groza była w tem obójtem omnięciu nieszczęsnika. Znów wchłonął nas cuchnący jednoczęsne zgnilizną i surowizną, mroczny, przesłaniający zrosniętymi konarami — las. Podenerwowane parną dusznością i kąsaniem owadów zwierzęta, zbaczaly z drogi, zaszywały się w zaroślach, dzwoniąc niewidzialnie dzwonekami u szyi. Ten i ów z jeźdźców parł konia w gęstwe, ploszył uciekinierów, podród stawała się opieszala i mozolna. Bury zawadzały kalgiernami o drzewa, wciskały się między nie, nie mogąc ruszyć dalej, kalgiery się obluźniały, trzeba było schodzić z koni, poprawiać. Ludzie obcierali chustkami pot z twarzy i karków, a wabione potem, małe muszki, oblepiały policzki i nie plosząc się, ginęły pod rozcierającą je dłońią. Byłem tak zajęty mnostwem dolegliwości, ciąglem poprawianiem się w siodle i opędzaniem od owadów, że nie było wprost czasu nudzić się monotonią tej drogi. Za koszulę przedostały mi się paprochy ze zwisających gałęzi i świerzbily rozgrzaną skórę. Bardzo rzadko mignął się ptak i poza rojem owadów nie widziało się innych stworzeń. Ścieżka się rozszerzyła i stanęliśmy nad małym strumykiem. Tro-pa tłoczyła się, pijąc wodę. Niektórzy pozlazili z koni, poprawiali siodła, i podciągali popręgi. Byłem tak zmęczony i odurzony dusznością, że nawet nie chciało mi się zlażyć z bura. Chciał pić, ale nie mógł przedostać się do wody, więc narazie osunął się spokojnie na ziemię, nby wielbił. Z niezdecydo-

waną migną stałem rozkraczony nad błogo mruczkiem oczy bydlęcim. Przelazłem przez niego, odwrócił ode mnie łeb z wyniosłą pogardą i rozwałił się jeszcze wygodniej. Nie lubię być przedmiotem czyjejs wesołości, toteż bezradnie, w gniewie, przysłuchiwałem się docinkom kolonistów.

— Polóż się pan obok niego! — krzyknął podochoczony ogólnym nastrojem Grzeszczczyń.

Przyrzekałem mu się uważnie i zaraz umilkł. Podszedł starszy Sawczuk i powiedział:

— Czyj to bur? Dąbskiego... Zwierzęta są pomęczone, trzeba będzie panu dać konia. Weź pan sobie tego, co wczoraj drorował, to dobry koń!

Chwyciłem uzdę i podbiegłem do pojącego się konia. Bura rozsiadłałem, wymierzyłem mu solidnego kopniaka. Wstał i z gracją podszedł do strumyka. Tropa ruszyła naprzód i siadając konia, przez chwilę zostałem sam na ścieżce. W obłokach muszek, odpędzając natręcyjne bąki, stałem pełen zapiekłego gniewu i zniechęcenia. Nad błotem koło strumyka krążyły barwne motyle, niby skrawki perkalu. Niechętnie, z obolałymi łędwianami, wygramoliłem się na konia i szybko ruszyłem naprzód. Dogoniłem tropę i pograżyłem się w monotonię jazdy. Nagle droga zrobiła się okropna. Zwierzęta brnęły po kolana w błocie, człapały pod górę, obsuwały im się kopyta. Bury z kalgierami kładły się na suchszych miejscach i bite, z trudem wstawaly. Rozpoczęło się piekielko. Siódła obsuwały się, ludzie poprawiali je, w końcu wielu zeszło i piechotą prowadziło konie za uzdy. Pikała tak porosła, że trzeba było ciąć gałęzie fakonami. W końcu wszyscy pozostawali z koni, bo na wysokości piersi rosły pnącza i uniedostępniały jazdy, zaważając o głowy. Po godzinie takiej jazdy pod górę, koń mój pokrył się płatami piany i robił bokami. Zatrzymałem się, abyśmy odpoczęli i przez ten czas tropa tak się oddaliła, że już nawet nie słyszałem odgłosów. Spojrzałem w górę. Ledwie

widzialna pikała, zawałona bryłami tłustego blocka, wrywała się w spletaną pochyłość. Zauważyłem, że pewien rodzaj bąków trzyma się tylko na wysokości brzucha końskiego i kiedy pochyłony wspinał się po brunatnej mazi pod górę, na twarz moją przypuściły gwałtowny szturm te rozbrzeczane, ohydne owady. O ile jadąc na koniu miałem — mimo duszności — czem oddychać, to na tej wysokości zalewały mnie duszne fale zgnitych wyziewów, mudy oblepiały złane potem policzki, potwornie gorący zaduch tamował oddech i drapał w gardle. Posuwałem się wolno w mrocznej męce, nad głową sterczało poszywie z pnączów, przesłaniając niebo. Szedłem jak w jakim podziemnym korytarzu. Serce mi waliło, całe ciało piekło, zacząłem się staniać i kilkakrotnie upadłem na kolana. Ogarnęła mnie determinacja i włokłem się w osłabieniu, z szumem w głowie. Koszmar ten trwał z półtorej godziny i w końcu pochyłość się skończyła, błoto znikło i pokazała się droga mniej zarośnięta. Wsiadłem na konia i popędziłem, uchyłając głowy przed rosnącymi poziomo pułapkami z lianów i taktuari. Dobięgl mnie gwar tropy, mignął zad koński, i po chwili przyłączyłem się do tropy. Po godzinie odsłoniła się porosła kapucjere, z plackami nikłej trawy, wolna i bezdrzewna przestrzeń z napół rozwałoną ranszą o dachu z wysuszonej trzcinny. Nad tą polaną, między rzadkimi piniorami, snuła się południowa, tęskna i dzika cisza. Dżungla otaczała ją czarnym i posępnym murem; na tej jasnej przestrzeni czuleś się jak na dnie wielkiego pudła. Tropa szybko biegła w stronę ranszy, konie z rozwianemi grzywami i wydłużonemi szyjami kąsały się, bury kopały zadami, wszystko zdawało się być podniecone, po samotni rozbiegł się gwar, zabrzamiały okrzyki: „O, o, ooo!”

Wszystko skupiło się koło opuszczonej ranszy, zaczęło się odjuczanie burów, zdejmowanie siodeł. Sawczukowie wyrzucali z kalgiera kaczmany kukurydzy na ziemię, kaboklo i Betcik roz-

palali ogień, Grzeszczyszyn już zdążył przygrzać trochę wody i zmywał grzbiet swojego konia. Niektórzy prostowali kości, przeciągali się, skręcali papierosy. Wszystkie zwierzęta w grupach jadły z ziemi kukurydzę. Obsiedliśmy ognisko, pomęczni i nieskorzy do rozmów. Jeden Belcik wykrzykiwał z ochotą, ale ten był już po swojej porcyce. Podeszedłem do Sawczuków i powiadomiłem ich o mojej sytuacji żywnościowej w związku z rozstaniem się z Dąbskim oraz jego workem z pasoką. Postanowili mnie dopuścić do wspólnych zapasów, a co do kosztów, to jakoś się później obliczymy. Usiadłem przy ogniu. W kociołku już bulgotała kolacja, gryzący dym wionął na twarze. Słońce ociekało przezroczyłym różem i cała okolica zdawała się ondlęwać w pysznych barwach. Niebo pokryło się pierzastymi obłokami i uroda usypiającego świata zdawała się strząsać z ludzi i zwierząt brudne zmęczenie przebytej drogi. Dojeżdżając do ranszy, zauważyłem jasne koryto niewielkiej rzeczki, więc wyjąłem z torby mydło i ręcznik, poczem udałem się w stronę tej wody. Nagi, zanurzony po szyję w chłodnej wodzie, rozmyślałem o dziwnie konspiracyjnych się niebezpieczeństwach tego kraju. Oddalony byłem od obozu o jakieś dwieście metrów i gdyby w tej chwili z zarosli wychylnął tygrys lub puma, zginąłbym tego pięknego zmierzchania, jak cięgieł z przegrzonym gardłem. Ale zarosła nieruchomo plawiły się w cudnych barwach zachodu, w powietrzu tylko drgał kłęb komarów i z obozu biegły głuche szmery.

Wymyty i rzeźki wróciłem do ogniska. Belcik stał pochylony koło swego młodszego bura i szmatką umaczaną w kroleinie przemywał mu rojącą się od białych robaków ranę w zgięciu, gdzie się łączy noga z piętami. Stanąłem, przysłuchując się wrzekom Belcika:

— A gdzież ty sobie, gówniarzu, taki nabytek zawalił... Pewnie o przeciętą takuarę zawadziłeś girą, diabli potomku!...

1 Tygrys, wedle określenia tubylców, właściwie — jaguar.

A tu macie ich... jakaś świnia jajka uroniła i już małe padalce dobrały się do obiadu... A bodajże was! Też nie miałeś się gdzie, czorcie pocharatać, tylko w takim ruchomem miejscu! A okulej mi, ty wieprzu! Gdzie, gdzie ośli synu!

Zatrute robaki wypadły z rany, w końcu Belcik uderzył bura w zad i kucnął przy ogniu. Zwierzęta porozlazily się na polanie skubiąc trawę. Tu i ówdzie, w ciszy wieczoru, leniwie jęczały dzwonki. Chłopi nakładali sobie na talerze fizon i ryż, posypywali mąką z mandiołki, mieszaali i gęstą potrawę polewali tłuszczem z małego rondelka. Szwagier Sawczuków mówił, jedząc powoli:

— Pieć lat ja jechało tęty i tu... na tuj ranszi onsa zagryźć nam bur na spaniu... w noczi... To niewin czy teros tako nie pedzie...

— Ja mogę spać na dworze i pilnować, tylko dajcie mi jeszcze jednego sznita. Już ja mu dam bura!... Polowałem na tygrysy w Matto Grosso, wiem jak je podchodzić — wtrącił Grzeszczyszyn i zaraz umilkł, bo Belcik spojrział na niego wymownie.

— Oj, mój ty księży towarzyszu, śpij lepiej w ranszy, to ino cię bisze obleżą, a na dworzu i po nocy, to was tygrys od bura nie odróżni i jeszcze mu się potem dziobate synki urodzą...

— Mógłby pan trochę liczyć się ze słowami, panie Belcik, bo mda was nie jakiś tam wyćirus, żebyście sobie mną gębę wyćierali!

— A bo poco się—panie — pchacie na tygrysa, kiedy tu od was są może odważniejsze, a nikt się tam tak do niego znów nie pali!

— Lepiej się nie przemawiajcie, dobre ludzie, tylko zakrątajcie się koło posłania, bo jutro wcześniej trzeba wyruszyć — odezwał się starszy Sawczuk.

Odpoczywając i paląc, chłopci jeszcze z godzinę wylegiwali się wokół ogniska, w końcu ten i ów, ziewając i przeciągając się,

układał sobie posłanie w ranszy. Zajęliśmy całą przestrzeń tak, że jeden leżał obok drugiego. Mimo zmęczenia długo jeszcze sączyły się w ciemnościach leniwe pogawki, świeciły się ogniki papierosów, tak, że usnąłem z obawą przebudzenia się w płomieniach. Istotnie zerwałem się wczesnym rankiem i kiedy wyszedłem przed ranszę, całą polankę ogarniały ponsowe płomienie chłodnej jutrenki. Ciemne smugi nocy rozstrzelały się w leniwej ucieczce nad ścianami dżungli i nocny jeszcze powiew sunął cicho ponad zniemuchoniałym światem. Dziwność widoku potęgował jeszcze siedzący nieopodal z podwiniętymi nogami Grzeszczeszyń. Odwrócony był do mnie tyłem i zdawał się oczekiwać wschodu słońca. Łagodny wietrzyk poruszał jego rozczochrane włosy. Tak mnie sobą zadziwił, że krzyknąłem:

— Co jest z panem? Jak długo pan tu siedzisz? Przeziębisz się pan!

Odwrócił się do mnie, cały w czerwieni i niesamowity, chwilę patrzył, jak się patrzy na nietaktownego ordynusa i powiedział wolno:

— Czy i to panu przeszkażda, że podziwiam Boga objawiającego się w tym cudzie porannym?... Czyżby i to pana drażniło? Wołalbym pan zapewne, abym to boskie poczucie się dnia spędził w przesiąkniętej chłopskim smrodem ranszy?... Po zostaw mnie pan w spokoju, bardzo proszę!

Olszedłem skonfundowany i naknąłem się na wychodzącego z ranszy, zaspanego kabokla. Popatrzył chwilę na sylwetkę Grzeszczeszyńa, zamruczał coś i zabrał się do rozpalania ognia. Robiło się coraz czerwieniej, ludzie otzgasali się z niewygodnego snu, wyłazili jeden za drugim z ranszy, Bełcik przeciągnął się i zawył, ziewając, poczem chwycił kawałek drzewa i cisnął nim w Grzeszczeszyńa, mówiąc:

— To ci kapłan jakiś turecki... albo myśliwy, czeka na tigra!

Pocisk upadł obok Grzeszczeszyńa, ale on nawet się nie poruszył. Chłopi obcierali twarze chustkami, rozglądali się po świecie i ziewali. Poszedłem z Sawczukami nad rzeczkę i tam unmyliśmy się. Wróciłem do ognia, chłopci pili szimaron naczco, grzejąc się w kuckach przy ogniu, nakryci aż na głowę kapami. Grzeszczeszyń stał przed lustreczkiem zatkniętym w szparę ranszy, czekał się, cichy i smutny. Kilku chłopów poszło z Sawczukami spędzać tropę z nocnego pastwiska. Słychać było ich nawoływania w krzakach, rozległy się dzwonki, słońce załatał chłodnym blaskiem polanę i wgórze z wrzaskiem przeleciało kilka papug. Ludzie zwołna zaczęli się rozgrzewać i krzątać koło śniadania. Z krzaków wyłoniła się tropa i niechętnie, ze zwieszonymi łbami, zbliżała się do ranszy. Poganiiali ją chłopci. Kiedy się zbliżyli, jeden powiedział:

— Ano, jednego cholery bura brakuje, gdzieścik się nam skrył.

Zdaleka słyszałem nawoływania Sawczuka i poszedłem w stronę jego głosów. Włóczył się od krzaka do krzaka, rozgarbiał liście, wołał i kłął naprzemian.

— Czyi to bur? zapytałem.

— A mój, diabeł przekłety!

— Miał dzwonek?

— Miał, ale co mu tam dzwonek! Przyczai się gdzie w krzakach i nie poruszy łbem, choćby go tam nie wiem jakie gady cęły!

Poczęstowałem go papierosem i we dwóch poszliśmy w stronę dżungli.

— Wie pan co — powiedziałem po chwili, — może strzelić w powietrze, to przełęknie się i zadzwoni?

— Strzelaj pan, ale psu na budę się nie zda... on tu gdzieś, para jedna, stoi, czuję go.

Wyjąłem rewolwer i strzeliłem w powietrze. Dzwoneczek

oderwał się tuż, w kępie krzaków, obok których staliśmy. Rozsunęliśmy gałęzie. Stał z miną jakby zawiedzioną. Dzwonek lekko mu się poruszył na szyi. Ze zwieszonym łbem i jakby w zdeterminowaniu, wysunął się z krzaków. Sawczuk począł go prac po zadzie gałęzią, ale on szedł opieszale, smutny jakiś i z miną: „Ano, trudno! dałem się nabrać”. Na widok kukurydzy pomknął szybciej i wetknął pysk między kaczany. Chłopi jedli śniadanie, podszedłem do ognia, także zjadłem i jakiś rozleniwiony wczesnym wstaniem, z bołagami kościami, zabrałem się do siodłania konia. Po kwadransie wyruszyliśmy i zaraz zaczęło się znużenie przedzieranie przez zarosniętą, ciągle gubiącą się pikadę. Co chwila pokrzykiwano sobie w tej gestwie ilości zwierząt, słydać było trzask łamanych i ścinanych gałęzi, konie kasały się w ciasnocie, posuwałam się w kłębach natarczowych, bolesnie kłujących owadów. Musiałem zdjąć kapelusz i wciśnąłem go pod siedzenie. Pomiędzy przeróżnym zielskiem pokazała się gesto drzewiasta paproć i rozmiar jej sprawiał wrazenie sztucznych drzew. Na przedzie ciągle przecinali splecione łodygi, tamujące przejście. Ich ostre końce wlokły się po ramionach, kaleczyły twarz i niby kłębowski rozjuszonych gadów, doskakiwały do oczu, złośliwie zawadzały o strzemiiona, zatrzymwały i szarpały. Po dwu godzinach tej męki, pikada zaczęła się raptownie opuszczać wdół, i wdole, prześwitując przez liście i łodygi, ukazała się z dziko obrosłymi brzegami, leniwa i jakby przyczajona rzeka. Zjeżdżaliśmy do niej długim, pojedynczym szeregiem i kiedy koń zamoczył przednie kopyta w wodzie, zadartem głowę dogóry i zobaczyłem serpenytną zjeżdżających wdół, przesłoniętych jeszcze krzakami, jeźdźców. Po chwili wszyscy byli już na brzegu i nie przeskakując pojąm się zwierzętom, rozglądaliśmy się po sobie, jak po jakiej walnej przeprawie. Znajdowaliśmy się teraz w głuchej selwie i ponad tą obojętną wodą, między rozbuchanemi i przeluwającemi się od bogactwa roślinności ścianami dziewiczej puszczy, zda-

wały się drzewać wieki całe bez przemian, nieogarnięte czasem. Każdy odgłos wydawał się czemś obcym i brutalnym w tej skondensowanej ospałości. Zwierzęta powoli, wesząc, zapuszczają się w rzekę. Woda z cichym pluskiem ocierała się o ich brzuchy. Chłodna perspektywa dali wodnej nasuwała lękliwą myśl, że za chwilę znów się trzeba będzie pogrążyć w dusznym i broniącym dostępu gąszczu. Przeprawałam się powoli i w milczeniu. Ciszę przewiercił chrapliwy skrzek tukana, przelatującego na przeciwnym brzegu. Konie orzezwione wodą nerwowo wspiwały się po stromym brzegu i nie zwracając uwagi na zwisające poprzecznicę lianów, ostro rwały naprzód. Jazda stała się niebezpieczna. Zdawało się, że ktoś złośliwie porozpinał łapki z lianów i splecionej takuray wpoprzek pikady. Przecinanie ich zajęłoby dużo czasu, więc przejeżdżaliśmy pod niemi, pochylając się w siodle doprzodu. Ciernie „nia pindo” szarpały odzież, jakby wzbraniając przystępu. Rozhuśtane wici takuray siekły po twarzy. Godzina uwagi, podczas tej piekielnej jazdy wyczerpała mnie do tego stopnia, że przed oczami zaczęły mi latać kolorowe platy. Nagle posłyszałem za sobą głos Grzeszczyszyna:

— Ej, panie Kóniowski, zgubiłeś pan worek!

Odwrociłem się i w tej chwili poczułem na szyi ucisk zdzierający mnie z konia dotyku. Uchwyciłem obiema rękami lian, instynktownie podchyliłem głowę do końskiego ogona i gwałtownie wstrzymałem konia. Po chwili, kiedy przeszło oszłomienie, wyprostowałem się w siodle i obejrzałem się w tył. Niedaleko huśtał się jeszcze gruby, szorstki lian. W odległości kilku metrów leżał mój worek. Grzeszczyszyn zarykiwał się przyłożony do policzek do szyi swego konia. Podjechałem do niego wolno. Zdaleka słyszałem okrzyki, żeby nie tamować drogi.

— Nie widział pan tego lianu? — Oh, oh! bo skonomam ze śmiechu, jak Boga kocham! Ależ pan komicznie wyglądał!...

— Nie widziałem...

— Oh, oh... Co pan znów taki jakiś, przecież jazem tego lianu nie powiesił... worek panu spadł to zawolałem...

Ręka z batem aż mi zadrgała, żeby strzelić tego łajdaka przez pysk. Miał wytłumaczenie tym workiem, ale jasne jest, że lian również widział. Przeształ się śmiać i mówił, jakajęc się: — Panie... tylko niech pan się nie zapomina... lepiej niech pan się zastanowi przed swym czynem... w podróży tak się nie godzi!... Ja... bo worek....

Zsiadłem z konia i przymocowałem worek wtyły siodła. Grzeszczeszyn ścinał fakonem zwisające liany i mówił:

— Patrz pan, o! już jej nie będzie... Nie trzeba być takim porwaczym... O, już cholera ścięta!

— Wsiadłem i podjechałem do niego.

— Panie Grzeszczeszyn! Pomijam to, że mógł mnie pan przyprawić o kalectwo, a tutaj niema warunków do leczenia. Ale ja pana obserwuję. I jeśli jeszcze raz przyłapię pana na jakiejś złośliwości w stosunku do mnie, to nie będę pana bił batem, tylko zastrzelę pana. W każdym bądź razie uważaj pan i staraj się w razie czego bronić.

Mrużył oczka i dłubał w uchu. Zaznaczyć muszę, że temu co mówiłem, przysłuchiwał się starszy Sawczuk. Zwróciłem się jeszcze do niego:

— Będzie pan łaskaw pamiętać, że otrzeగాłem pana Grzeszczeszyna wobec pana.

Sawczuk odpowiedział:

— Ja to wszystko widziałem i za taki kawał już jabym się rozprawił z tym, coby mi to zrobił. I zamiast ratować pana, jeszcze się śmiał. Tak nie idzie, nie!

Ale cóż! Skarcony rozglądał się po wąskich ramach puszczy i gwiadał. Co do mnie — byłem rozczłony. Upalna i mozolna przeprawa, wypadek z lianem i mina tego faceta; wszystko to wytworzyło we mnie jakieś toksyny... słowem, mógłbym tego Grzeszczeszyna zatrzywać tępym nożem. Nadomiar, pikada znów

prowadziła pod górę, zrobiło się bardzo stromo i ogarnęło nas parne ciepło. Wszyscy zsiadli z koni. Posuwalimy w napiętem od wysiłku milczeniu. Pole widzenia nie przekraczało pół metra, a myśl, że się jest tak zaszytym w gąszczu, przejmowała jakims obrzydliwym lękiem. Srytu usłyszałem pocieszający szept Sawczuka, że to już ostatnia góra i nazywa się Marumby. Domyslałem się, że nie jest to ta sławna brazylijska Marumby, ale ogrom tego kraju sprawiał, że nazwy często się powtarzały. Słychać było szybkie oddechy ludzi i zwierząt, co chwila ktoś się ślizgał, sychać było przekleństw. Ogarnęło mnie gniewne otepienie, i walka z przemożną chęcią, aby położyć się w tem błocie. Obok siebie usłyszałem takie, pomieszane z sapaniem, słowa Grzeszczeszyna:

— Wiedz pan... o tem... że w całej... Brazylii niema... grzybów... a przecież taka... żyzna gleba...

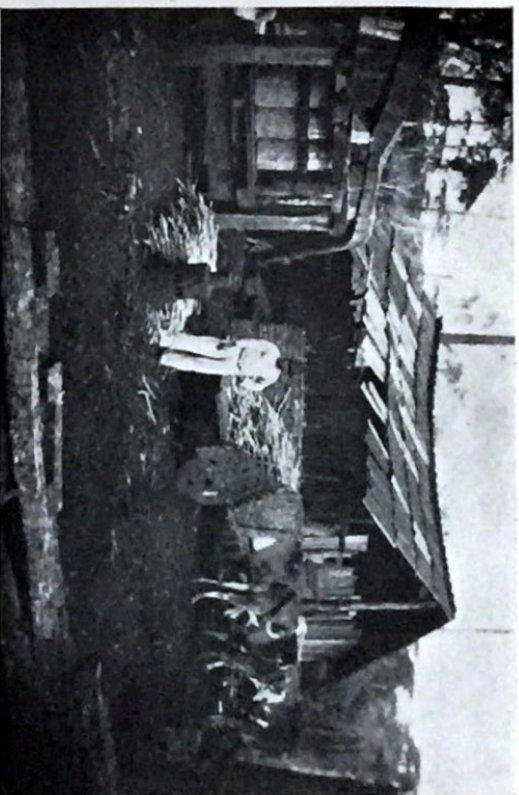
Ogarnął mnie jakiś rozpaczliwy wstyd. Bez słowa wspinałem się dalej, opędzając twarz od nieznośnie bzykających muszek. Wkońcu ktoś ponad nami zawołał:

— Olaboga, narzeczcie!

Po chwili wszyscy znaleźliśmy się na szczycie. Z ulgą wsiadłem na konia i zapatrzyłem się na przebytą drogę. Ponure i rozfalowane lesiste góry ciągnęły się w nieskończoność, pokrywała je popielata mgła i straszliwy smutek unosił się nad pospolitą jednostajnością tej przestrzeni. Ten nierówny obszar leśny nużył wprost oko. Natomiast przed nami, w dole, rozpościerał się teren jakby weselszy, lasy były przetrzedzone jasnymi plamami trawiających płaszczysz i cały ten widok łagodził spojrzenie pewną rozmaitością. Konie zaczęły schodzić po takiej spadzistości, że przedylny dotykał, sztywno stałem w strzemiionach. Siodło przesunęło się nieomal na kark koński. Przygotowany byłem, że za chwilę koń obślizgnie się po rozmokłym gruncie i przygniecie mnie swoim ciężarem. Nieznośne napięcie zwolna jednak mijało, pikada przechodziła w wąską i nie-

co piaszczystą drogę, droga ta wyprowadziła nas na równinę. Tropa w tumanach kurzu biegła między kapucją, słońce, którego nam brak było w dzisiejszej przeprawie, gwałtownie zaczęło przypiekać i wysuszać przesiągnięte leśną wilgocią ubrania. Gdzieniegdzie majaczył posępny pinior, niby ogromny niedoskubany patyk, wsadzony ręką jakiegoś pomylonego olbrzyma. Cała okolica mieniła się zrudzialemi zaroślami. Tropa pędziła z łoskotem w obrzydliwie, sucho prążącym słońcu i w kłębach przenikliwego, czerwonego pyłu. W tym śmierzdzącym kraju wpada się w skrajne ostateczności. Raz leją się z nieba potoki, potem znów ogarnia cię pełna miazmatów rozparzona łaźnia dżungli, a kiedy wysuniesz głowę na niezalesioną piaszczystą, słońce razem z oblokami złośliwego pyłu zdaje ci się wcierać do mózgu. Ta wstrętna, nieopanowana przesada klimatu i przyrody brazylijskiej! Pory roku zdają się istnieć tylko dla nazw, gdyż różnica między zimną a latem jest minimalna. Słyszalem, że kiedy w Kurytybie, dziwną igraszką natury, spadło w nocy nieco śniegu, cały stan Parana mało nie oszał z dumy. Też mają snobizmy!

Wszyscy staraliśmy się jechać na przedzie, aby uniknąć tego obrzydliwego pyłu i wszyscy tłoczyli się na wąskiej drodze, nacierając na siebie końmi. Niektórzy jechali wprost przez kapucję. Nagle wyłoniły się przed nami dwa pasma równo biegnącej obok siebie drogi, przedzielonej trawianym wznieśleniem. Był to mocno ubity, gładki tor wyciągowy. Wjechaliśmy nań z ulgą, bo zaraz kurz ustał. W oddali wyłonił się jakiś budynek i przestrzeń usiana pniami ściętych piniorów. Sawczuk krzyknął, że zbliżamy się do Sao Sebastiao i żeby ukryć, kto ma na wierzchu, broń, bo może się przyzwać delegat policji. Było to nieco śmieszne. Delegat policji napewno by się nie ośmielił zaczepić kilkunastu uzbrojonych mężczyzn i to w takim pustkowiu. Pochowaliśmy jednak broń; jedni pod kurtki, inni do kieszeni. Wjechaliśmy na szeroką ulicę, która mogła



FABRYKA PINGI



POZAR „ROSY”

zawdzięczać to określenie kilku chałupom, rozsianym w hojnych odległościach, jedna od drugiej. Mniejszymy krzyż z wiśszym Chrystusem, którego tusza i zagniewana mina zmusiły mnie do obrócenia się w siodle. Chrystus był prawie naturalnej wielkości człowieka i stopami nieomal dotykał ziemi. Dziwność jego polegała właśnie na tej wielkości i tuszy oraz na wyrazie twarzy, który zdawał się mówić: „Dokąd tu będę tkwił! Słońce praży i gapią się na mnie przejezdni!” Ruch tej mięśscowości zdawał się ograniczać do kilku psów włóczących się śródkiem drogi z podtulonemi okonami. Psy te były jasno-żółte i zdawały się być wypłowiałe od obydnego skwaru, jaki zalewał i niejako koncentrował się specjalnie w zasięgu tych kilku rud. Ludzi, jak dotychczas, a zwłaszcza delegata policji, nie było widać. Całość technęła podłością i niechlujstwem. Budynkiem odsłaniającym się z oddali, okazała się wenda z samotnym, czarniawym grubasem w pyjanie, który siedział na taburecie przed wejściem. Sawczukowie podjechali do niego, coś tam pogawędzili, grubas wskazał sztywnem ramieniem napół otwartą furtkę w ogrodzeniu, i przez tę furtkę wjechaliśmy na obszerny dziedziniec. Zsiadłem z konia i odrazu przysiadłem na pierwszej z brzegu bełce. Nie miałem sił walczyć z ogarniającem mnie lenistwem, wobec czego postanowiłem rozsiadnąć konia za chwilę. Za równiutko biegnącym parkanem, rozlegl się wściekły tętent i wzdłuż niego, przejechał galopen efektownie odziany kaboklo, ze wspaniałą ostrogą na prawej, bosej nodze, z furkoczącą, czerwoną chustką na szyi, w polatanej, pstrej żokejce. Siedziałem tak, rozkoszując się odpoczynkiem i jednocześnie przejęty głębokim wstrętem do tej antytypycznej, ziejącej skondensowanym ubóstwem i nudą — okolicy. Kilku chłopów poszło do wendy i po chwili wrócili z koszami pełnemi kukurydzy. Zwierzęta się wytarzały, poczem zgodnie ustawiły się wzdłuż złobu z kukurydzą. Grzeszczyszyn namaszczał grzbiet swojego konia szmaronem i co chwila pytająco spoglądał na mego osio-

dlanego konia, to znów na mnie. Mierzył mnie, między innymi, swoją pieczołowitością wobec zwierząt, w której podświadomie wyzuwałem kompleks pastucha i ekonomia jednocześnie. Nigdy nie przeszedł obok zwierzęcia spokojnie, zawsze musiał je klepnąć i obrzucić fachowo - troskliwym spojrzaniem. Cudem kilkakrotnie uniknął kopnięcia bura, zawsze znalazł jakieś powiedzonko na rozgniewane klapinięciem zwierzę, w rodzaju: „No, ty byku! jeszcze nieomansowany...¹ żebyś się nie zabral do ciebie... na, zryj!” I podawał mu — wszystko jedno, co: kawalek drzewa albo kaczan kukurydzy bez ziaren. Od kilku minut chciałem już rozsiodłać konia, ale ponieważ widziałem, że go to drażni, więc zwlekałem. W końcu podszedł do konia i począł rozwiązywać popręg, mówiąc:

— Oj, panu toby się zdał jaki rower, bo ze zwierzętami to się pan nie umiesz obchodzić. Przecież się — biedak — odparzy.

Rozsiodłał konia i poklepał go po zadzie.

— Wysmaruj mu pan grzbiet szmaronem! — krzyknąłem.

— A cóż to, jestem pański służący... wysmaruj pan sam.

Podniosłem się, nie chcąc kontynuować dialogu. Wenda łączyła się tylnym wejściem z podwórkiem, ale obok stała wielka stodoła, zbita z desek, które odstawiały od siebie, tworząc szerokie szpary. Wnętrze szopy było zawalone jakimiś gratami, i w kącie leżał spory kopic kukurydzy. Kilku chłopów odwalalo graty pod ściany, przygotowując wolne miejsce na nocleg. Tam też zaniósłem siodło, wyszedłem, pomogłem szwagrowi Sawczuków przy rozpalaniu ogniska, połamałem trochę gałęzi i zorientowawszy się, że jestem tu prawie zbyteczny, wyszedłem za furtkę i skierowałem się do wendy. Otyły brunet w pyjannie stał za ladą i zawzięcie wzbierał kredytu kaboklowi w zókejce. Zauważyłem, że strojnij był pijany i uparcie dowodził, że nie

¹ nieujędzony.

wyjedzie bez dwu butelek kaszasy, bo umarł mu brat, ma „puszą noc” a nie ma pieniędzy. Wenda nawet — jak na taką pustac — była dość obficie zaopatrzona. Na widok skrzynki z jajami, z przyjemnością pomysłalem o zmianie kuchni. Kazalem sobie odliczyć czterdzieści sztuk, kupilem również dwa kilo podejrzanego kielbasy, dwie butelki kaszasy i kilkanaście twardech buteczek. Wszystko to polecilem wynieść na podwórze napół zaklejonej brudem dziewczynce. Sam przysiadłem na ławeczce, i popijając ciepłe i zwierzale piwo, przysłuchiwałem się sprzeczce pijanego kabokla z wendziarzem. W pewnej chwili chwili do wendy wszedł bardzo wysoki, chudy i opalony człowiek, ubrany napół po wojskowemu. Zaczęła się rozmowa, której przysłuchiwałem się z opuszczoną głową i przyrunionymi oczami, poruszony nieco jej treścią. Jegomością, który wszedł, zastawił tutaj przed dziesięciu dniami oddział lotnej policji, celem dopilnowania wyroków. Wyroki te dotyczyły przestępców, zamieszkujących Sao Sebastiao i okolicę, a polegały na ścinaniu piniorów. Od jakości przestępstwa zależała ilość piniorów. Co kilka lat policja odwiedzała te odległe strony i nakładała ryczałty za wszystkie nagromadzone przez ten okres przewinienia. Nie opłacało się wlec kogoś przez dżunglę za kradzież czy bójkę. Kary te były natury psychologicznej i pozytywnej, biorąc pod uwagę lenistwo kabokłów i wyrąb przestrzeżeni. Skuteczność tej metody widziałem przez drzwi w postaci pniów ściętych drzew. Dwóch morderców policja zabierała do więzienia w Prudentopolis. Dziwność rozmowy, której się przysłuchiwałem, polegała na tem, że wendziarz nie odrobił swego wyroku i tłumaczył się tem, że jest chory na serce, a kaboklo, któremu zapłacił za ścięcie sześciu piniorów, nie wywiązał się jeszcze ze swego zobowiązania. Wendziarz postawił koło wykonawcy butelkę piwa, i opędzając się przed pijanym kaboklem, delikatnie przekomarzał się z egzektorem. Rozmowa prowadzona była w ten mniej więcej sposób:

- Ej, zrób ty swoje, bo ja nie mogę dłużej czekać.
- Kiedy mnie też oszukano... gruby jestem.
- Ja cię proszę, weź piłę, weź siekiere i wykonaj!
- Piniór może poczekać, przyjdzie na niego czas!
- Wykonaj karę, a będziesz w zgodzie!
- Kiedy mówię ci, poczekaj... cierpliwości!
- O, cierpliwości!

Wtem wendziarz wpadł na zły pomysł i zaproponował pijanemu kabokłowi, że jeśli podpisze zobowiązanie na ściecie sześciu piniorów, dostanie dwie butelki kaszasy. Zgodził się skwapliwie, przygotowano umowę, że w przeciągu tygodnia drzewa będą ścięte, kabokło podpisał, wziął wódkę, wskoczył na konia i odjechał galopem, wydając triumfalne okrzyki.

Odurzony piwem i tą rozmową, zapłaciłem co się należało i poszedłem na podwórko. Koszyk z moimi wikutałami stał w stodole. Wszyscy obłąkali rozpalone na podwórzu ognisko; kilku pilnowało kociolków z gotującym się posiłkiem, inni pili szmaron, gawędząc cicho. Zaproponowałem przyrzędnemu jajcznicy pod wódkę, ktoś skoczył do wendy po garnek, inny pokrajał słoninę, tak, że po kwadransie było już po obfitej uczcie. Towarzystwo poweselało i zaczęły się żarty, najrozmaitsze wesołe wspomnienia kolonistów. Drzewo w ogniu trzaskało, sypało skrami i luna odcinała się od ogarniającego świat zmroku. Słońce o tej porze dziwnie zachodziło: wielkie, niby czerwonym winem napełniony pęczek, słońce tkwiło ostrą pianą na horyzoncie i w promieniu metra koncentrowało dookoła gęstą czerwienią, która ostrym koliskiem wrzyniała się w krawędź popielistego stropu. Przez chwilę okolica spłynęła tym popielistym zmierzchem i tylko ten krwisty krąg niezależnie barwił się na niebie. Powiał szybki, nerwowy wiatr, czerwone kolisko opadło nagle w las, wiatr ucichł i mroczna cisza zamazała wszystko co widzialne. Wszystko to odbyło się w przeciągu kilku minut, bez żadnych efektów

i przygotowań, bez ponsowych blasków na ziemi i bez normalnego nastroju, jakie towarzyszą zachodom słońca.

Belcik ciągnął swoją opowieść:

— ...Mówię mu: chłopie oddaj swoje mle na bank, tam ci pokwitują i będziesz miał pewne!... A on nic, tylko zakomnicom to wszystko zawiózł na przechowanie i bez żadnego papirka pozostał. Ano dobrze. Kiedyś po tem napadło go na rosie dwóch pijanych kabokli, fojsą zadziabali i tyle po nim. Syn jego idzie do zakonnicy i powiada: Oddajcie no pieniądze, co je tu ociec złożył, bo już nie żyje a ja spadkobierca. Na to mu przełożona: — Ojciec twój poprawdzie pieniądze pozostawił, ale wyznaczył je na dobroczynne cele i nam prawo rozporządzić niemi pozostawił. Ja byłem jeden świadek, co wiedziałem, że chłopina chce gdzieś swoje grosze upewnić, ale znów wywinęły kota ogonem, że mu się odmieniło i światłość pańska poradziła mu przeczekać te pieniądze na dobre cele. Kto to wie, może sobie i te siostry dobrze zużytkowały te sume, ale po prawie, to tak jest, że dziecko zawsze dziedziczy po ojcu czy tam innej rodzinie.

Chłopi zaczęli wywlekać swoje zdania na ten temat, aż przerwał im szwagier Sawczuków:

— Wy polski ludzi są pracowite i głupi czasem też... Jedin było taka — zebrał dziewinę konty i zawióz cicho na jętneko wendziasza i postawił tam bes kwita... Chce on późni kupić karosę a ten wendziasz mófi ić ti głupi... które piniendze ti chcesz... hahaha! I nieodebrał jech... nie!

Mimo tych faktów, wiedziałem, że w sprawach pieniężnych panuje wśród kolonistów zaufanie, i że często pożyczają sobie pieniądze bez pokwitowań i z dobrym skutkiem. Powoli rozmowa przeszła na plotki bardziej humorystyczne. Starszy Sawczuk, opowiadał, że bogaty wendziarz, Paul, Polak z Mallera, rządzi wśród tamtejszej kolonii polskiej niby ja-ki dyktator i ogromnie jest surowych obyczajów. Pewnego ra-

zu przyszła do wendy żona nauczyciela i kazała sobie pokazać materiały na suknie. Paul wyrzucił na ladę kilka sztuk, ale ko-biecie nie podobały się te gatunki, więc zaprzęta Paula: — „Nie ma pan czegoś lepszego?” — „Nie, dla pani tylko to!” — „A pani aptekarzowa kupiła niedawno bardzo ładny ma-teriał” — „A wie pani ile aptekarz zarabia? No, a ile pani mąż zarabia? Acha... Może pani sobie wybrać tylko z tych!”

Innym razem zmęczona upałem i drogą kolonistka weszła do wendy i poprosiła subiekta o szklankę wina za dwieście rei-sów. Subjekt nałat wina, ale podskoczył Paul i krzyknął: „A wody to się nie może napić! Wino jest tylko dla tych co mają na nie, a jej mąż winien mi trzyста milreisów!” O tym dzielnym Paulu krążyła pogłoska, że w nocy zebrał chłopów i z rewolwerami i oskardami poszli rozbierać kaplicę, a później z tego materiału położyli fundamenty pod kolegium. Pomy-ślałem sobie, że przy okazji trzeba będzie odwiedzić tego Pau-la. Zwolna rozmowy zaczęły się rwać, ktoś wstał, ziewnął, za-raz też wszyscy zaczęli wchodzić do stodoły, porozkładali posta-nia i legli pokotem. Leżeliśmy w ciszy, tylko Sawczukowie i Betcik opowiadali zabawne historyjki. Ktoś westchnął i za-mruczał złośnie w ciemności:

— Oj, wszów my tu kurzych i biszów nalapiemy, że później z rok w nacie przyjdzie się moczyć!

Na to ktoś: — Bedzie ich tu, będzie!

Leżalem nawznak, wpatrując się w drżące w szparach mię-dzy deskami dachu gwiazdy, w jasno-zielony księżyc. Sztucz-ność tej naturalnej dekoracji była wprost drażniąca. Począłem sobie robić bilans doznań z ostatnich dni. Od chwili wyjazdu z Candido do Abreu wrażliwość moja znacznie oziębiała. Po-budzony kilkoma łykami kaszasy umysł, dopiero teraz począł sobie zdawać sprawę, że jednak taka przejażdżka przez dżunglę nie zdarza się często i powinieniem był silniej reagować na to co widziałem. Ale musiałem przyznać na swe usprawiedliwienie,

że monotonne kotyrsanie się w siodle od rana do późnego popo-łudnia w mocno ograniczonym zasięgu wzroku, który w pro-mieniu kilku metrów napotykał ponurą jednostajność dżungli z przedzierającymi się zwierzętami i kiwającymi się plecami to-warzyszy, nie dawało znów zbyt bogatego materiału do obser-wacji. Kilka mozołnych przepraw w błocie i duszności również podzialało oziębiająco. Na postojach czułem się tak zmęczony, że ledwie mogłem ogarnąć znużonym umysłem charakter pej-zazu lub zachowanie się moich towarzyszy. Ci zresztą, poza specjalnie przyciągającym moją uwagę Grzeszczeszyńnem, sym-patycznymi i pełnymi energii Sawczukami, oraz ich flegmatycz-nym szwagrem i lekko podnieconym wódką Betcikiem, nie byli specjalnie interesujący, raczej szarawi i małomówni, bez cech charakterystycznych, podobni do siebie w zachowaniu i niecie-kawi. Nie było wprost okazji do jakiegoś naszkicowania ich psychik. Rano wstawali, pili szmaron naczczno przy ogniu, jedli fizon z ryżem, popijali kawę, doglądali swych zwierząt, wsiadali i jechali dalej, by znów pogadać o byle czym, zjeść kolację i ułożyć się do snu. Oprócz Sawczuków i ich szwagra, wszyscy przebywali tę drogę po raz pierwszy, jechali w klima-cie pewnego ryzyka, na niewiadome, z chęcią zakupienia no-wych terenów w nieznaney części kraju, w obawie, że im to się nie uda, ziemia i warunki okażą się nie według ich myśli. Co do mnie odczuwałem pewną przykrość, że jadę właściwie bez konkretnego celu. Literacko ta podróż dawała mojem zdaniem niewiele. Psychologia człowieka rysowała mi się słabo na nie-ciekawem tle przyrody. Byli tak zaabsorbowani podróżą, że nie odslaniali się specjalnie. Zapewne ze względu na porę roku, (wrzesień, a więc ledwie wiosna, która właściwie mało się róż-niła od innych okresów), dżungla nie przedstawiała się zbyt po-wabnie. Przedewszystkiem żywotność minimalna. Widziałem zaledwie kilka ptaków, trochę motyli i mnóstwo dokuczliwych owadów. Zwierzęta uciekały przed człowiekiem, kryły się

gdzieś w niedostępnych głębinach lasów. To prawda, że ze szczytów drzew (też prawie zawsze były one przesłonięte bujnemi splotami pnączów) zwisały kwietne ogrody, mieniły się wspaniałemi barwami paszorynicze storczyki, a zielone wiszary, łączący drzewa fantastyczną siatką. Ale i to w końcu poczęło nużyć wzrok. Legendarna groza brazylijskich zmił i węzów ukrywała się przed moim wzrokiem, lub też pogrążona jeszcze była w śnie zimowym. W to mi się nie chce wnikać, fakt, że gądów nie widzę. Przykro jest siedzieć na kilku seansach nawet najbardziej ciekawego filmu, a mój film był w dodatku nużęc jednakowy. Ten Grzeszczyszyn też się jakoś zamazał psychicznie. Dawniej był wyjątniejszy. Mimo to jednak często i wbrew woli, szukam wzrokiem tej niepospolitej postaci. Przecież symbolizował typ społecznika pośród wychodźstwa polskiego w Brazylii. Znałem kilku przedtem: „radykali”, „emigranci polityczni”, nie uznający systemu, niewyżyci, powydalani z pulków byli wojskowi, klerykali, wszystko to wyrzucone przez ocean na brazylijski brzeg tałajstwo, zmuszone stworzyć w swem nadgniętem sumieniu jakąś mętną idejkę, aby ukryć swe żalodne wykołajenie, aby tylko zerować na pracowitem mrowisku chlopskiej emigracji.

Zresztą Grzeszczyszyna w tej chwili w szopie niema. Widzę go siedzącego przy ognisku i zaczytanego. Co czyta? Bóg raczy wiedzieć! Kilkakrotnie widziałem jakąś zzieleniałą od starości książkę w jego rękach. Coraz bardziej mi się zacierał, aż w końcu przymknąłem oczy. Obudziłem się około szóstej rano, raczej zmęczony niewygodnym noclegiem w ubraniu. Wszyscy byli już na podwórzu, stodoła tchnęła brudem i smutkiem, ogarnęło mnie zniechęcenie i gwałtowna tęsknota za cywilizacją. Na zwiniętem w kłębek posłaniu Grzeszczyszyna leżała brudna książka. To mnie nieco zaciekawiło; podszedłem i wziąłem ją do ręki, przeglądając kartki. Był to romans polskiego autora, Pawła Staśki. Zainteresowały mnie podkreślenia na wielu stronicach.

Naprzykład zdanie: „Cóż to jest miłość? — Miłość to żądza, to złepek ciała... mamidło szalone...!” To zdanie było dwukrotnie podkreślone. Odrzuciłem książkę i wyszedłem na podwórko. Szykowano się do odjazdu. Szybko wypitem resztki zimnej kawy, zakrzętnąłem się koło konia, bur jakiś wierzgnął, musnął mnie lekko po pośladku, nieopanowanie odkopnąłem mu, ale nie trafiłem, zaraz wskoczyłem w siodło i zniertuchomiałem w apatii. Ale ocknąłem się wkrótce, ponieważ prawa moja noga nie znadowała oparcia. Spojrzałem w dół: brakowało strzemięcia. Głośno powiadomiłem wszystkich o tym braku, niektórzy zaczęli szukać, sam zląłem i począłem zaglądać we wszystkie możliwe dziury. To zagubione strzemię w końcu zaczęło opóźniać wyjazd, wszyscy czekali aż się znajdzie. W stodole nie było takiego miejsca, którebym nie przetrząsnął i kiedy zniechęcony podszedłem do konia, strzemię leżało obok, na ziemi. Wiedziałem napewno, że przedtem go tam nie było. Umocowałem je, wsiadłem i pojechałiśmy. W drodze zacząłem głośno monologować na temat pewnych durniów, którzy robią idjotyczne kawy podczas podróży, i że z tych kawałów nikt niema ochoty się śmiać. Musiał to uczynić ktoś bardzo głupi i podły. A przystem także tchórzliwy. Ten ktoś dał przykład, że obok rzekomo poważnych myśli o uszczęśliwieniu ludzkości poprzez religijną propagandę, może istnieć nikczemna i złośliwa ochota szkodzenia komus za pomocą podobnie parszywych dowcipów, opóźniających wyjazd całej wyprawy.

— Moi panowie! — zakończyłem. — Oto na co się naraża taki kretyń! Musi bez słowa wysłuchać wszystkich obelg, jakie tu w jego kierunku wygłaszam i nie ma odwagi przyznać się do swego postępku. Jest to taki a taki, jego matka taka a taka! I oto słucha i nic poradzić nie może!

Wszyscy ryczeli ze śmiechu, tylko jeden milczał. Siedział półdupkiem na siodle i pochylony nad końskim karkiem, starał się wysunąć na czoło tropy. W końcu uważałem za stosowne

przerwać ten wykład, bo gesty obluki kurzu ogarnęły nas czerwonym plomieniem. Po pewnym czasie spostrzegłem, że pejsaż uległ zasadniczej zmianie. Po obu stronach czerwonej drogi ciągnęły się obszary porosłe tak zwanym faxinalem, czyli karłowatymi drzewkami i gęstymi krzakami. Gdzieś niedaleko wystrzelały obdarte piniory. Było to wprawdzie przyjemniejsze niż koszarne przedzieranie się puszczą, ale zato zdrowo przypiekalo słońce i kurz dawał się we znaki. Postanowiłem pognąć konia naprzód i pozostawić kurz w tyle. Tak też uczyniłem. Zwolna faxinal przeszedł w gęstą paproć wysokości człowieka, która urosła mała nieco jazdę pierwszem mojem zetknięciem się z bujnością rośliny, którą dotychczas widziałem w minimalnych ilościach.

Włęcz teraz oko miało do czynienia z samą tylko paprocią. Pośród której wila się czerwona struga drogi. Staralem się ciągle trzymać na przedzie i po pewnym czasie pogrzyżłem się w fantastycznych rozmyśleniach. Przyszło mi do głowy, że oto jadę tak, nie oglądając się, a kiedy wreszcie przyjdzie mi ochoćta obejrzeć się, to ujrzę za sobą zupełnie obce twarze. Albo naprzykład oddział samych Grzeszczyszynów. Aż mnie lek ogarnął i zaraz obejrzałem się. Jechali swoi, dziękować Bogu! Stworzeń żadnych nie było, tylko gdzieś w pobliżu rozlegl się poufały i bezczelny gwizd ptaka. Naigrający się prawdopodobnie, że muszą oto jechać pośród samej paproci. Niebo ziało obojętną spieką. W paprociach coś zatrzeszczało, ale okazało się znajomym mi burem. Otaczała nas cisza i cały kraj wylegiwał się w słońcu. Skracalem sobie czas obserwacją drogi, bo a nuż coś się na niej ukaze. Zeby los był łaskaw i pozwolił chociaż małeńką, najmniejszą zmijkę. Przecież tyle ich tu jest. Ciagle ktoś umiera od ukąszenia. Ale nic: paproć i rozpalony do białości strop niebieski nad głowami. Aż nagle pokazały się ptaki, tak zwane Alma de Gato, jak mnie ktoś kiedyś objaśnił. Siadały na paprociach, kotysały się, ulatywały przed nami, znów siadały. I tak ciągle. Prawdopodobnie przedtem

przejeżdżaliśmy teren zabroniony dla tych ptaków. Nie chce mi się nawet ich opisywać. Ptaki i koniec. Dobrze, że się chociaż w końcu pokazały. Tuż obok mnie jechał Belcik, który zagaił rozmowę pytaniem, czy mi się tu podoba? Odpowiedziałem, że mi się bardzo podoba. Zaczem pogrzyżliśmy się w rozmowach o porach roku w Brazylii, o nazwach drzew, kiedy się sieje i kiedy się zbiera. Dowiedziałem się, że teraz właśnie, we wrześniu, ryby umykają w górę do małych rzek, a w marcu, na zimę wracają do wielkich rzek. Ze owoce piniory trwają od maja do lipca i jest to ważne, że względu na pozyskanie dla zwierząt, a zwłaszcza świń. Nabrałem nieco przekonania do piniory. Dalej Belcik informował mnie, że wiosna trwa od 22 września a lato zaczyna się 22 grudnia, i tak dalej co kwartał aż do nowej wiosny. W zimie, w połowie sierpnia sieje się kukurydzę aż do połowy grudnia, i to jest najlepsza pora do siania wszystkiego, oprócz zbóż, jarzyn i kartofli. Siew żyta i pszenicy trwa od maja do lipca, kartofli tylko w sierpniu i w lutym, jarzynny zaś o każdej prawie porze roku. Ryż sadi się od połowy września do końca października. Wogóle zniwa przypadają na listopad, a kukurydzę zbiera się od maja. Dalej mówił mi nazwy drzew: curtiça, pinhor, imbuia, credo, canella, guaviroba i tak dalej. Ograniczoność krajobrazu sprawiała, że informacje te żywo mnie interesowały. Belcik mówił o tem jakoś smacznie, po chłopsku. To była jego dziedzina i znawstwo. Dorzucił także bardzo słuszną uwagę, że jadąc naprzykład koleją w Polsce, widzi się przeważnie same uprawne ziemie, lany zbóż, natomiast budynki rzadko. Inaczej jest w Brazylii: przez okna wagonu migają co i raz jakieś samotne domostwa, natomiast widomego znaku, z czego zamieszkuje je ludzkie życie — nie widać. Sama kapuejra, lasy albo ugor. Rzadko ukazuje się gdzieś w lasach pogorzelsko rosy, lub zielony placek zboża. W głosie Belcika brzmiała szanowna powaga, kiedy mówił o tych sprawach. W siodle trzymał się prosto, nogi zwisały

mu swobodnie, bez strzemiion. Starzec ten wyglądał jakos̄ tak praktycznie i twardo, a w słowach jego wyczuwało się prostą mądrość człowieka ziemi. O Brazylii wyrażał się z zartobliwym sentymentem. Przytoczył mi dwa przysłowia, które według niego charakteryzowały ten kraj.

Kabokle mówi: „Nao sei, nao quero sãber e tenho raiva quem sabe!” (Nie wiem, nie chcę wiedzieć i gardzę tym, który wie!). Lub też: „Todus no Brasília mandam, ninguem abedece e tudo vae bem!” (Wszyscy w Brazylii rozkazują, nikt nie słucha i wszystko idzie dobrze!).

Zgodziłem się z opinią Betka i dodałem od siebie, że według mnie, człowieka świeżo przyjeźdnego z Europy, Brazylija dziwnie jakos̄ ogłupia i sam choďby język ma w sobie jakiś bakcył otumaniający. Nie wiem, czy mnie Betcik dobrze zrozumiał, ale dodał, że ci wszyscy koloniści, którzy chętniej używają języka portugalskiego niżli polskiego, to przeważnie diabła warte typy. Pograżony w tych rozstrząsaniach, zauważyłem nagle, że paproć się skończyła i bujne krzewy znów biegly wzdłuż drogi. Także słońce poźegnałnie zarysowało się na niebie i zawisło niedaleko zamglonego pasma lasów. Mimo późnego popołudnia, nie czułem zbyt wielkiego zmęczenia. Widać już się przyzwyczaiłem do trzymania się przez cały dzień dzień nie na koniu. Znów wylonily się jakieś paskudne budyneczki, które minęliśmy obojętnie, tak, że pomyślałem z przykrością, jaka też przestrzeń dzieli nas od noclegu. Ale Sawczukowie mieli swoje znane z dawnych wypraw postoje. Parę kilometrów od Santa Cruz (tak się nazywała ta obskurna dziura) zjechalismy po nagim, gliniastym gruncie do małej kotlinki, gdzie mieściła się prymitywna fabryka pingi i cukru z kany¹. W powietrzu unosiły się mdle wonie, a cała ta instytucja zdawała się być ściśle spojona pokładami brudu, dzięki czemu nie zawałiła się

¹ Trzcina cukrowa.

jeszcze zmuszała data, stodoła oraz kilka marnych kłitek, pośredku których mieścił się drewniany kierat obracany czterema parami wołów w jarznie. Jeden z właścicieli wtykał pęki trzciny cukrowej między dwa walce, z których ściekał gęsty, brunatny płyn. Drugi poganiał woły, których ilość i powolna, ale skoncentrowana energia wydawała się niewspółmierna do skutku w postaci sznureczka cieczy. Obaj kabokle wyglądali jak przebrani w obszarpane portki, brudne koszule i słomiane kapelusze — chuderlawi Żydzi. I całe domostwo nosiło charakter jakiejś śmierdzącej olejarni gdzieś spod Lubonli. Wszystko to przedstawiało się jakos̄ lekko i syropowato, widok był tropikalny i jakby wysmażony w tym rowie. Kilka późnagich bachorów przewalało się na kupie wytłoczyń, które gniły i cuchnęły. Kabokle powitali nas nie odrywając się od kieratu, jeden wskazał Sawczukom stodołę i miejsce, gdzie będzie można rozpałić ogień, poczem melancholijnie pograżył się w swej czynności. Spowodu ciasnoty kilku chłopów wypędziło zwierzęta poza ogrodzenie, w rzadki las nieopodal. Turystycznie nastrojony Grzeszczyszyn począł zaraz fotografować ze wszystkich stron fabryczkę, przyczem podszedł do kabokli aby ich upozować, pozostawiając aparat na ziemi. Kiedy wrócił, ujrzał aparat obsługiwany bachorami, a kiedy je rozpedził, aparat ukazał się w formie strzępów i bebecchów. Gestem rezygnacji dał znak kabokłom aby rozluźnili swe usztywnione członki, na co obaj powrócili do swych czynności, wybuchając niefrasobliwym i beztroskim huraganem śmiechu. Tu się czuło Brazylię! Niechby gdzieś w Europie dzieci rozszarpały aparat fotograficzny. Awantura, odszkodowanie! Tutaj! Wszystko się odbyło na wesolo. Dzieci, to świętość. Grzeszczyszyn w milczeniu przysiadł pod parakanem, w zdeterminowaniu skrobiąc się w łepetynę. Prawdopodobnie aby mu złagodzić ból, jeden z kabokli postawił przed nim wiaderko z produktem własnej fabrykacji, mianowicie z owym płynem z kany, tak zwaną guarapą. Grzeszczyszyn

przyniósł sobie garnuszek i w posępnej zadumie czerpał z wiaderka i pił. Chłopi także przynieśli naczynia i popijali. Spróbowałem i ja. Było to mdle, ciepłe i słodkawe paskudztwo. Populem trochę i poszedłem w górę, wzdłuż równiutko wykopanego rowu z wodą. W pewnym miejscu przysiadłem, zjąłem buty i zanurzyłem nogi w chłodnej wodzie. Zapaliłem sobie i rozglądałem się wokół. Na świecie zapanowała tak zwana odwieczna, słońce już kierowało się do zejścia z widnokręgu i kojącą ciszę przerywało wstrętne skrzypienie kieratu. Jaka ona tam jest, ale wszędzie widzało się czystą przyrodę, natomiast lekkość spojrzalem wdół, na te ocieźale poruszające się bydlęta, przejmowało mnie obrzydzenie. Nagle zdrętwiałem i przez głowę przemknęła mi myśl: Oho, jestem gotów! — Obie nogi okręciło coś śliskie i zimne. Och, Boże drogi, Boże! Wciągnąłem je na powierzchnię i nie! Gole, zwyczajne męskie nogi, białe i niewinne. Przytknąłem nos do samej wody i zapuściłem badawczy wzrok. Nicco czarniawe dno, bez niczego. Podumałem trochę, że pewnie nerwy, że mi się wydawało, i wciągnąłem buty. Niechętnie zszedłem nadół, ktoś mi wetknął w rękę kują z szmaronem, wypilem, zjadłem trochę wiadomej strawy, poczem wlałem do stodoły, okręciłem się kapą i ległem na kupie kukurydzy. Patrzyłem na ludzi przy ognisku, omawiali swe plany co do Londynu; wół przeraźliwie zaryczał, — przejmując, przeciągle i tęsknie, jakby skarżąc się na swe bezpłciowe życie. Było już ciemno i zwierzęta powinny być zwolnione z jarzma; ta pracowitość obu kabokli niepokoiła swą niezwykłością w tym kraju. Przysłuchując się tym wieczornym odgłosom, rozmyślałem sobie, jak to w tej nieznannej Londrinie odbiję sobie z nadwyżką wszystkie niewygodny tej podróży. Posunąłem się jeszcze dalej. Jak się zachowam po powrocie do kraju? Obojętnie usiądę w kawiarni między kolegami i na pytania w rodzaju: „Jak tam było?“ — odpowiem obojętnie: — „Świetnie czyszczą buty, w miastach... siadasz na wysokim fotelu, mały murzynek kłęka

ci u nóg i...“ Tyle tylko! Żadnych wynurzeń. Podobnie rozmyślając, pełen obrzydzenia do otaczającej mnie rzeczywistości, zasyptałem na kupie kukurydzy. Ranek podźwignął się ze sztuczną energią, poto aby znów roznażać się w skwarnej jednostajności dnia. Rozpoczęło się żmudne poszukiwanie złośliwie przyzających gdzieś w zaroślach burów. Nie chciało mi się brać w ten udziału, więc chcąc sobie skrócić czas do wyjazdu, waleśalem się w pobliżu miejsca postoju. Zdołał dobiegał mnie skrzyp kieratu, zdaleka pohukiwania i okrzyki chłopów. W nieprzyjemnej żółtości już dopiekającego słońca, między wysuszonym zielskiem, powłóczyło się leniwie kilka brunatnych świń, a dwa wynędzniałe psy z obojętną rezerwą, nie odstępowały mnie na chwilę. Oroczenie to skłoniło mnie do pewnych obserwacji. Psy były wychudłe, z wyblakłymi oczami i zdawały się chwiać na długich, cienkich nogach. Grzbiety ich pokrywały małe wypukłości z ropiejącymi otworami, przez które przeświecało różowe mięso. Akurat przechodził obok mnie Belcik z uzdą w rękę, więc zapytałem go, na co te psy cierpią. Nie odpowiedział mi, tylko podszedł do psa, wprawnie nacisnął dwoma palcami guz i z ropiejącej dziury wystrzelił całowy, tłusty i biały robak z czarnymi oczkami. Pies cieniutko zaskuczał i odbiegł.

— To jest plaga zwierząt w Brazylii, nazywają się berny — wryłumaczył mi Belcik i znikł w krzakach.

Niejednokrotnie już zdarzyło mi się widzieć krowy pokryte całami kolonijami tego paskudztwa. W Brazylii istnieją specjalni zamawiacze, którzy podobno odczyniają na odległość pokryte pasozytami zwierzęta, i zaklinano mi się, że o pewnej porze dnia jak na komendę, wszystkie berny wypadają spod skóry. Te psy nasunęły mi porównanie, że właściwie cała ta Brazylija jest jakas zaropiała i naszpikowana wszelkiem podskórkiem i zewnętrznym świństwem. Nędza i brud w słońcu sprawia szczególnie ohydne wrażenie. Asenizacja tego kraju odbywa się naturalnie. Corry oczyszczają ziemię z padliny, a świnie z kału

i śmiecia. Świnie są tak wścibskie i bezczelne, że skoro zala-
twiający się człowiek powstanie z kucek, śladu niema z tak
zwanego „długu naturalnego”. Opowiedziano mi kiedyś groź-
ne zdarzenie, że jakiś pijany kaboklo zdrzemnął się i opadł we
własne łajno, a kiedy się ocknął, cechy jego męskości znajdowa-
ły się w żołądku świni. Cały kraj pełen jest jakiegoś wyrafino-
wanego paskudztwa. Syfilis to wesoła i niewinna dolegliwość.
Przez palce u nóg przedostają się jakieś mikroskopijne bakcyle,
które wędrują do żołądka i powodują chorobę, zwaną „ankilo-
stoma”. Skutki nie są tak groźne w istocie, ile wyobrażeniowo
procesy przyczyn. A należy jeszcze dodać takie upominki, jak
kleszcze, „bicho do pe”, wszy kurze, jadowite muszki, moskity,
wreszcie korona tych plag: malarja. Trzebaby doprawdy prze-
zwyciężyć ten kraj aby go polubić. Można się spotkać z argu-
mentem, że przecież jednak ludzie tu żyją! Żyją, ale jak? Wy-
świechtane zdanie, że do wszystkiego można się przyzwyczaić, nie
świadczy jeszcze o tem, że nie powinno się unikać przykrości!

Kiedy wróciłem do „obozowiska”, zwierzęta już były w kom-
plecie i wyjazd opóźniła wstrętna kłótnia kabokla, który poza
noclegiem i kukurydzą, upominał się o zapłatę za wczorajsze
wiadro guarapy. Sawczukowie zdawali się wstydzić wobec mnie
tej zachłanności tubyleca, wkońcu coś mu tam zapłacili, ale kie-
dysmy już mieli wyruszyć, przyszedł mi do głowy perfidny po-
mysł. Wyjąłem aparat i sfotografowałem fabrykę z wołami, ka-
bokli i wogóle całość. Następnie zapytałem się ile żądają za po-
zwolenie sfotografowania? Jeden z nich odpowiedział mi tonem
hojności, że za to nic. Na to ja:

— A Indianie brali od nas!

Poruszyli się, jakbym ich oblat wrzaskiem.

— My nie Indianie, desgrasado estranzeiro! — krzyknął ten
od guarapy.

— Ano nic, myślałem, że jak za guarapę to i za to. Przepra-
szam was i uspokójcie się!



PO NOCLEGU NA FAZENDIE WHITAKERA



BANDOSI INDIANSCY

Wsiadłem na konia, znacząco poprawiłem rewolwer i odjecha-
liśmy zegnani wściekłymi okrzykami tych koboklerskich handele-
sów. Było bardzo późno, około dziesiątej zrana i odrazu ru-
szyliśmy dość ostro, tembardziej, że droga jakoś szerzej i wese-
lej biegła przez dżunglę, ale i las był jakby nie tak skotniony,
gęstość jego posiadała pewien umiar, który dozwalał objąć okiem
pole widzenia, coś zauważyć, odróżnić. Przedewszystkiem nie
czuło się nad głową ciężaru poplątanych pnączów i przykrego
mroku, wzrok wzniesiony kugórze nie napotykał oporu, widać
było niebo i zdawające się je podpierać bujne czuby drzew.
Urodę i egzotyzm tego dziewiczego lasu podkreślało życie stwo-
rzeń. Co chwila niezgrabnym lotem przelatowały z gałęzi na ga-
łąź skrzeczące tukany, wrzaskliwe papugi targały równieź dostoi-
ną ciszę, smukła i zgrabna dzika kura biegła długą chwilę przed
nami, aż uskoczyła w bok, w gestwę. Wysoko, z gałęzi zwi-
sały podłużne worki gniazd prasich, spod nóg konskich zrywały
się różnobarwne roje motyli i drgały w powietrzu niby kolorowe
skrawki perkalu. Grzeszczeszyn jechał obok mnie, załóżnie roz-
wodził się nad stratą aparatu, zwoła począł mnie zasypywać
mnóstwem najrozmaitszych informacyj, tyczących tajemnic dżun-
gli, kazał mi zapisywać to co mówił, w końcu wskazał na jakiś
krzak i powiedział:

— Niech pan zawsze pamiętał! Jeśli tego koń się nazre, to za
dwie godziny już po nim!

— Niech pan mi takich rzeczy nie opowiada. Od kilku dni
ciągle widzę konie zrywające listki tego krzaka — powiedziałem.

— Ach, to coś innego... przecież różne rośliny są do siebie po-
dobne... A wie pan co konie najbardziej lubią? To liście palmy!

— No tak, ale chyba rzadko je jedzą.

— Ależ panie... ciągle, ciągle!

— Panie, przecież liście palmy rosną na samym czubku drze-
wa, więc jakże koń tam dostanie!

— A, to im się zrywa... a to im się zrywa, panie drogi... tak!

— No to niech pan zerwie... dam panu po milu za każdy liść, zgoda?

— Proszę pana, ja tak wysoko wleźć nie potrafię, ale są specjalści...

— Panie, uspokój się pan... znów pana dzisiaj coś napada!

Roześmiał się swym zmietym uśmiechem i podjechał nudzić Sawczuków. Czasem żal mi było tego chłopca. Jeśli chciał na przykład oczy rozszerzyć ze zdziwienia, wówczas zezował, bo te jego małeńkie, skisłe oczka nie chciały się rozszerzać. Jeśli chciał się uśmiechnąć, zamiast uśmiechu pojawiał się cietpki grymas. Pragnął być żwawy i rzeźki, a potykał się. Z siódła zwiślał, a udawał zuchą i dobrego jeźdźca. Był to jegomość bardzo nieudany. Przypuszczam, że naprzykład w Warszawie nadawałby się na sprzedawcę dewocjonalistów w budce przed kościołem. Mogłoby także przed główną pocztą sprzedawać jakąś „Strafę”.

Nagle świat poszarzał i na wolnej przestrzeni odsoniło się nagle, niby fata morgana, małe, przycupnięte miasteczko. Był to widok niespodziany i nieco niesamowity. W sennej ciszy poludnia, odczuwał się dzwon kościelny i w tej puszczy, na szarej plamie pustkowią, między tuląciami się chałupkami, wyłonił się wyrażnie niewielki kościółek z wyraźnie migocącymi świecami na ołtarzu, z ludźmi wychodzącymi ze środka i nakładającymi kapelusze na głowy. W kłębach kurzu zbliżaliśmy się coraz bliżej, omijając niebiesko pomalowany kościół. W powietrzu ciągle wibrowały dźwięki dzwonów. Wjechałszy między parkany, ulica była pusta, jakieś brudne dziecko z palcem w ustach smutno na nas patrzyło, opierając się na łbie siedzącego psa. Kościół mieliśmy po lewej stronie, tam też było widać niewielką grupę ludzi, którzy zresztą nie zwracali na nas uwagi. Słońce się skryło i zrobiło się jakby kto popiołem sypnął. Nie zdarzyło mi się nigdy odczuć podobnie smutnego nastroju. Atmosfera miasteczka miała w sobie jakieś specjalne piętno węgta. Jechaliśmy przez nie bez zatrzymania. Na drzwiach napół

przymkniętej wendy zobaczyłem przyklejony papier z napisem: „Dzieciom nie wolno uprawiać żadnych gier ani zabaw”. Dalej, na parkanie widniał inny napis: „Mieszkańcom zabrania się urządzania balów i wyścigów”. Zaintrygowany, podjechałem do starszego Sawczuka i spytałem go, co to wszystko znaczy?

— To miasteczko nazywa się Maryland. Jakiś bogaty Anglik zakupił te wszystkie co pan widzi tereny, na własny koszt pobudował to całe miasteczko i pozwala je zamieszkiwać tylko tym ludziom, którzy będą trzy razy w tygodniu chodzić do kościoła i podporządkują się tym przepisom, co je pan wyczytał. Każdy ma prawo uprawiać trochę wydzielonej mu ziemi, kaszasy ani pingi wogóle nie wyrabiają... i tak sobie żyją, jak bydłeta w niewoli.

Zapusciliśmy się spowrotem w las, minęliśmy kilka spaleniisk po rosach, jakieś nagie drzewo zamajaczyło posępnym, wapiennym szkieletem. Droga na krótko zepsuła się, znów otoczyły nas: mrok, gęstwa i parność. Kiedy wynurzyliśmy się z tej łaźni, znów ukazał się tchnący majestatyczną ciszą bór, słońce nieśmiało leni pasmami przenikało poprzez górną gęstwę i kładło się na pnie i pogmatwane zawiłe. Odczywały się ptaki, ale jakoś ciszej i rzadziej. Przyglądając się szalonej obfitości i w bolesnych skrytkach porastającej podnóża pniów roślinności, jakimś rozczapierzonym korzeniem, napół przelamanym drzewom, przegniłymi pniom obróslonym wścieklą bujnością, doświadczałem wrażenia, że znajduję się w jakiejś wielkiej rupieciarzni przyrody, że wszystko co martwe i niedoużytku zostało jakąś potężną dłońią zwalone między rozpasaną żywotność i zatrzesienie łodyg, pnączy, kwiatów i paproci. Na zgniliznie porastało nowe życie, wszystko zdawało się rozpychać i brutalnie piąć ku górze w milczącym wrzasku i tłoku, porastając poprzez siebie, deptąc słabszych, starając się wyszcibić ku słońcu i ku górze choćby jakiś pęk, jedną gałązkę. I wszystko to zdawało się pocić, wydzielało skondensowaną woń przyplywającą do nozdrzy w różnych odcieniach, często

poprostu w smrodach, zawsze wietrzącą, mocną, nigdy łagodną, lecz drażniącą powonieniem. Niedobry czar nie męczył, — raczej denerwował i podniecał. Chciało się jakiejś planowości, jakiegoś rozważnego porządku, a nie tej dzikiej pychy i niechlujnego bogactwa. Taką dziedziną wiodła nas bez końca wąska pikada, czasem podniosła się czyjś śpiew i milkł nieudanie, zatrząsał się śmiech, wybuchła rozmowa, zabrzniał okrzyk, lecz trwało się to wszystko i czas zdawał się wlec nieznośnie w rytmie kroków końskich. W pewnej chwili przedarły się do nas skały, z głębi lasu, jakieś przytłumione wołania, powoli nabierały siły i wyrazu, aż wkońcu wyraźnie słychać było nieregularne okrzyki:

Olej... joi! hui! eoi! eoi!

Na twarzach Sawczuków zauważyłem pewne zakłopotanie, kiedy zatrzymali się i spojrzeli na jadących wtył. Głosy nie-widzialnych ludzi słychać było już w pobliżu, a wraz z nimi dobiegał głuchy, tajemniczy trask i dudnienie. I wbrew moim oczekiwaniom, głosy te zwolna zdawały się oddalać. Coraz bardziej. Sawczuk zawołał:

— Ej, niech to diabli! Tropa świni idzie przed nami! Wyminać ich nieposob, a piorun wie, gdzie się jakie wolne przejście nadarzy. Późnośmy wyjechali, a teraz znów świnię nas zatrzymają i chyba po nocy zajędziemy na nocleg! Jedźmy naprzód, może się da co zrobić!

Ruszyliśmy i po kilkunastu minutach na wąskim pasie pikady ujeźliśmy posuwające się powoli aż do mdłości, stoczone i zalewające pole widzenia, tuste, brunatne świnię. Pośród nich włożył się obszarpany murzyn, gardlowo co chwila wykrzykiwał, na co odpowiadał mu zdaleka ktoś niewidzialny. Już sam widok tej wstrętnej opieaszalści przejmował potwornem zmęczeniem i nudą. Murzyn jadł jakieś brązowe świństwo; apatorycznie oglądał się na nas co pewien czas, wypędzał świnię z zarośli i zdawał się być rad naszemu położeniu. Coprawda Sawczuk coś tam wykiwał i groził, że mu całą tropę roztratuje i po-

rozpędza, na co znów cuchnąca figura odpowiedziała, że będziemy musieli zapłacić odszkodowanie za pokaleczone bydło. Zaczął się kosznar powolnego wleczenia, niby za jakimś porzeczern. Konie poczęły się denerwować, dreptały w miejscu, rzucały się wbok. Brak tylko było marsza żalobnego, byłoby rytmicznie. W nozdrza wwiercał się ciepły zaduch trzody, i potraktowałem to jako karę za wyżej wymienione wyrzekania na naturalne zapachy puszczy. Jakby dla pograżenia mnie w abnegacji jeszcze bardziej, Belcik poinformował mnie, że taka świnińska tropa robi nie więcej niż czternaście kilometrów. Robiliśmy mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów dziennie wlokąc się na koniach i teraz wydała mi się nasza jazda rekordową wobec tego nieszczęścia, któreśmy napotkali. Grzeszczeszyn szedł obok konia, co chwila klepał po tłustym zadzie króć rąs ze świni, jedna nawet mu się położyła u nóg jakby w oczekiwaniu bardziej wyrafinowanych pieśczoł. Jest to fakt znamienny dla naszego powolnego posuwania się, skoro nasz wielbiciel nietogaczny mógł się spokojnie wyczulić ze swą przegodną sympatją. Zresztą murzyn opieaszalen uderzeniem bata spędził mu ją spod palców. Żalosne i upakarzające było to nasze posuwanie się naprzód. Wkońcu bury poczęły się ostro niepokoić, kilka z nich wlaźło między świnię, rozpoczęły się wierzgania i kwiki. Sprzodu wyłonił się między brunatnemi cielskami drugi poganiacz, kabokło, i zakomunikował nam, że niedaleko plynie rzeczka, i tam będziemy mogli ich wyminać. Z godzinę jeszcze posuwalimy się w mroku i smrodzie, wkońcu pikada poszerzyła się znacznie przy niewielkiej rzeczce, więc popędziliśmy szybko konie, starając się nadrobić stracony czas. Tymczasem ściemniło się zupełnie, tak, że już nie można było odróżnić drzew i jechałszy tak, jak nas prowadziły konie. Głodne i zmęczone zwierzęta gryzły się, przystawały co chwila, zbaczały powodując zamieszanie. Snuła się między nami atmosferą złości, co chwila ktoś kłął, zawadzał głową o gałąź,

bił konia batem i nie widząc się wzajemnie, ludzie wierzeli się na koniach w bezsilnej wściekłości. Jakby dla spotęgowania tej udręki, zaczął padać deszcz i teraz nadobre wszystkich ogarnęło coś w rodzaju szalu. Chłopi byli zaniepokojeni możliwością zaginięcia burów z kalgierami, których w ciemności nie można było się doliczyć. Deszcz zamiast usmierzyć rozgorączkowanie tropy, podsycał jeszcze zamęt. Ta jazda poomacku była wprost ohydna. Tak się jakoś zdarzyło, że jechałem — sądząc po okrzykach wryle — na przedzie tropy. Tuż za plecami słyszałem człapania, szmery i oddechy tłoczącego się stada. I oto nagle twarz moja zetknęła się z czernią szorstkimi i twardym, zaraz potem uczulem gwałtowny ucisk do tyłu i w tej chwili spadłem z konia. Jednocześnie w kilku miejscach ciała poczułem bolesne uderzenia kopyt, próbowałem wstać, ale głową uderzałem o ciepłe i wilgotne brzuchy zwierząt, więc tylko zakryłem twarz rękami i począłem krzyczeć. Gdzieś zgrozy usłyszałem czyjś okrzyk:

— Stać! Zatrzymajcie się, ktoś zawadził głową o pień i leży na ziemi... zdepczą go bury!... Zaświećcie zapalkę!

Zrobiło się cicho, wyleknione zwierzęta stąpały w miejscu, ciągle dostawiałem uderzenia kopyt, udało mi się usiąść, posyzałem trzask zapalki, w nikłym świetle ktoś się nade mną pochylał, w tej chwili wstałem i jednocześnie w szmerze padającego deszczu posłyszałem obłąkańczy chichot i potem okrzyk Grzeszczczyzna:

— Toć to pan Łoniowski leży pod burami! Hehehe! A to mu się dostało... hahaha, bo skonom ze śmiechu... Żyje, żyje! O, jak Boga kocham... a to dopiero opera!

Obok stał Belcik i trzymał mnie pod ramię. Gwałtownie wyciągnąłem rewolwer z pochwy i czekałem aż przy następnej zapalce mignie mi twarz Grzeszczczyzna. W tej chwili posłyszałem nad uchem chrapliwy głos Belcika:

— Dajże pan spokój temu idjocie... przecież to warjat, cho-

lera... Lepiej mu pan później nakładziesz po pysku... co pan będzie krew przelewał... przecież to niernormalne bydle...

W tej chwili ktoś zapalił zapalkę i zamajaczyła mi rozbarwiona gęba Grzeszczczyzna. Trzęsąc się ręką wyצלowałem w tę twarz, ale Belcik gwałtownie nacisnął mi rękę z bronią do ziemi i jednocześnie zgasała zapalka. Posłyszałem dwa głosy: — „Panie, panie, bo pan zgnijesz w więzieniu... com panu zawinił...” — I zaraz drugi głos Belcika: — „Właż pan na konia i schowaj pan szmita... Weź się pan w kupę... Bardzo pana pocharatano?”

Ledwie usadowiłem się w siodle, kiedy raptem natarł na mnie koniem Sawczuk i zadyszczanym głosem począł mówić:

— Niech pan mi zaraz odda szmita... Co pan chce zrobić?...

Uspokoi się pan, to później go panu oddam i pogadamy...

— Nie dostanie pan rewolweru... niech pan będzie spokojny... już nic temu łajdakowi nie zrobisz, jedźmy dalej!

— Niechże pan na rany Boskie, nie robi żadnej hecy... daj pan słowo!

— Daję panu słowo, że nie będę do niego strzelał, już mi przeszło... jedźmy!

Zaczęliśmy brnąć dalej. Wryle panowała wyczekująca cisza. Po lewej stronie, obok mnie jechał Sawczuk, a po prawej Belcik. Obaj starali się mnie uspokoić. Czulem się zresztą doskonale spokojny i jakiś przepalony wewnątrz. Całe ciało miałem obolałe. Rozmyślałem sobie, że oto o krok byłem od zabójstwa i chociaż nie uczyniłem tego, to jednak wewnątrz nie zamiar ten był ustalony. Na skutek wstrząsanych okoliczności i zdenerwowania, byłbym tego głupca ukatrupił. Bo przecież tylko głupota była całą jego winą. Zamiast przyjąć mi z pomocą w momencie, kiedy lada chwila mogłem dostać śmiertelne kopnięcie, zaczął się śmiać. Zdawałoby się, że to jeszcze nie jest powód do morderstwa, ale gdyby komukolwiek zdarzyło się znaleźć w podobnej sytuacji, impulsywnie

uczyniłby to samo. Zresztą w tej chwili, cały ten incydent zdawał mi się być obcy i oddalony, zwłaszcza, że w czerni nocy pojawiły się upiorne mgławice i zza ledwie otartych młłym seledynem drzew, dały się słyszeć jęki i syki pełne tajemnej grozy. I nagle odskonił się widok tak niesamowity, że myśli o jego realności i świadomej przyczynie była przykrą. Po zasnutej oparaniu, czerwonoawo oświetlonej przestrzeni, powłoczyły się niekształtne i białawe widma pośród syków i trzasków. Prócz tego przestrzeń upstrzona była czerwonymi rozdatkami i boleśnie powykrecanemi szkieleciami opalonych drzew. Wiało od tego drażniącym odorem spalenizny. Drobnny deszcz polewał to niewygasłe spalenisko i podnosił fantastyczną grozę strzępiących się pośród syków i napół zwęglonych konturów drzew, — oparów. Przejeździłszy mimo tego sugestywnego pobojoiwiska w posępnem milczeniu. Na słabo oświetloną drogę kładły się podłużne cienie zwierząt. Po chwili znów ogarnęły nas ciemności i nastrojowe widowisko pożaru pozostało w tyle. W mój podniecony tym widokiem umysł wdarto się trzeźwe zdanie Sawczuka:

— Deszcz mu w samą porę przygasił rosę, to i zaraz będzie mógł sadzić!

Wkrótce w ciemni zadręgało nikię światełko i po chwili zatrzymałszy się nad jarem z przycupniętą na brzegu chałupą kabokla. Mimo deszczu, który zresztą ledwie popadał, rozpalono dwa ogniska i przy świetle zapalonych wiechci liczono zwierzęta. Jakims cudem nie brakowało ani jednego. Kiedy wszyscy skupili się wokół ognisk przy szmaronie, stanąłem w środku i powiedziałem:

— Wszyscy byliście świadkami, co mi się przydarzyło. Każdy z was zrozumie, że zachowanie się pana Grzeszczeszyna było nietylę podle ile idyotyczne. Trochę mi przeszkożono, kiedy chciałem strzelić do niego, a także sam nieco się opanowałem. Faktem jest, że chciałem strzelić i moge o tem powiadomić naj-

bliższy posterunek policji. To już jest zatławione. Ale powiedzie mi, czy według was, powinienem sprawić lanie tej potkrace, czy też nie? Jakby któryś z was uczynił?

— Kiedy panie, przecież to jest przyglup... Najlepiej go zostawić w spokoju — odezwał się starszy Sawczuk.

— A ja bi go zblł... to męczizna... to buró — wtrącił szwagier Sawczuków.

W tej chwili zdarzyła się najmniej spodziewana i właściwie przykra scena. Grzeszczeszyn zaczął mówić ze swego miejsca przy ogniu jakimś skamlącym głosem:

— Panie kochany... obaj jesteśmy Polacy na obczyźnie... w takiej pustyni... Daruj mi pan... jam nerwowy, a jeszcze ta droga mnie dobiła... Rozesmiałem się, ale wierzaj mi pan, że niezdrowo... Tak śmiesznie tam się pan gramolił... Pan jest dobry chłop... ja pana lubię i szanuję, a że czasem w drodze... jak tak się ciągle jest ze sobą... Przecież ja wiem, że nie strzeliłby pan do mnie... Napij się pan szmaronu... niedaleko już Londrina... Zapomnijmy o tem!

Właściwie tem odezwaniem całą sprawę wyczerpał. Mimo woli przysiadłem przy najbliższym ogniu i chwyciłem kuję z szmaronem. Nikt się już w tej sprawie nie odezwał, zresztą ludzie byli półprzytomni ze zmęczenia i zaraz po kolacji podnieśli się od ognisk. Wlażłem razem ze wszystkimi do brudnej i pustejszopy, otuliłem się wilgotną kapą i położyłem się w kącie. Usnąłem momentalnie.

Słoneczny ranek sprawił, że całe wczorajsze piekielko wydało mi się niedobrym snem. Coprawda, podczas siodłania konia (a zauważyłem, że podczas tej czynności myślię intensywnie i realnie) przeszła mi przez głowę przykra świadomość, że to wczorajsze zdarzenie stało się ciemną kartą mojego życia. Ale kiedy sobie uprzytomniłem, że to wszystko działa się w przeciągu kilkunastu sekund i pod wpływem szoku nerwowego, wówczas darowałem sobie połowę winy, a drugą połowę

przelatn na Grzeszczeszyna. Zwłaszcza, że surowe życie obodu od samego rana ujęło mnie w swe karby.

W związku z opóźnieniem spodziewaliśmy się przyjazdu Dąbskiego. Interesowało to i mnie także, ponieważ winien mu byłam bura, który szedł sobie zresztą swobodnie w tropie, oraz zapłatę za siodło i być może jeszcze za coś, czego nie pamiętałem. Widocznie ten koń zatrzymał go na dłużej. Osiodlałem konia, napiłem się jeszcze trochę kawy, (śniadanie zjadłem już dawno) i począłem sobie spacerować między zwierzętami, unikając starannie kopnięcia i Grzeszczeszyna. Widać było, że kabokło, u którego zanocowaliśmy, był zamozny i dość gospodarny, co mi się rzadko zdarzało widzieć. Miał niezłą chałupę, osobną kuchnię, dwie stodoły, wszystkie to otoczone solidnym parkanem. Trochę z nami podowcipkował, nie chciał wziąć pieniędzy za kukurydżę i wogóle zachowywał się po pańsku. Bosy, w polatanych portkach i wyszmelcowanej koszuli, drapał się po zmierzwionej łepetynie, pełnej drobnego śmiecia, co mu nie przeszkadzało zachowywać się wobec nas dumnie i z grzeczną rezerwą. Strytu, z portek, sterczał mu wielki jak szablą falkon. Przewracał wielkie, czarne ślepiea i z cywilizacyjnego punktu widzenia przedstawiał się — biedactwo — w gruncie rzeczy, fatalnie. Przykro było pomyśleć, że ta barwna, soczysta i słoneczna Brazylja, rodzi tak nieudanych synów. Pożegnał nas szerokim i pańskim gestem prawej dłoni, i pod pachą mignęły czarne kudły z rozdarłej koszuli.

Odrazu dało się zauważyć, że od São Sebastião okolica zmieniła swój charakter i po krótkiej nudzie obszaru paproci, puszcza z głuchych i mrocznych ostępów przerodziła się w barwną i egzotywną dziedzinę. Jechaliśmy szeroką drogą między ścianami lasu, po miękkiej warstwie opadłych, rudych liści, sprawiających wrażenie romantycznej alei w zapuszczonym parku na jesieni. Na drzewach lyskały storczyki i orchidee, nakrapiane, niepokojąco piękne i drapieżne stwory, drapieżnie przycajone w cie-

nistych wnekach gałęzi; zdające się drwić z mojego chciwego i zachwyconego, europejskiego spojrzenia. Z gałęzi zwisały całe kwietne ogrody i z fantastyczną beztrością bogactwa i urody, przetrzczały się w girlandach z drzewa na drzewo. Ta dzika, barwna i szeroka uroda puszczu ukazała się nagle, jakby pragnąc nagrodzić nam nasze poprzednie, zinnudne — niby w jakimś tunelu — przedzierania się. Po tych wszystkich uciążliwościach, poziomych drzewach, wymysłnych pułapkach, cierniach i zaduchu, puszcza zdawała się zreygnować z obrony i obrazować swoim przepychem słowa w rodzaju: „Skoro już się tu przedostał braciszku, toś zuch i patrz teraz...”

Resztki mego pozytywizmu co do przyrody brazylijskiej, zaczęły się tu gwałtownie odradzać. Przedewszystkiem umiar, a nie jakieś pyszałkowane i bez gustu popisywanie się bogactwem, niby noworysz pierścieniami na grubych paluchach i złotym łańcuchem na brzuchu. W zatrzęsieniu kwiatów i barw przejawiała się pewna fantazja. Była to bujność uregulowana i nie krzycząca. Brakowało mi tylko węży, małp... słowem tego wszystkiego, co obiecuje fama tego kraju: „Z żywych stworzeń tylko ptaki i owady... proszę szanownego pana... Narazie nie możemy więcej... może później...”

Nielatwo się zachwycam, ale skoro wpadnę w ten stan, to już wyczerpujęgo. Okno mego pokoju w Rio de Janeiro wychodziło na półdziki ogród i często, rankiem budził mnie najbardziej misterny cud przyrody — koliber. Ten rozterkotany czar, uosobienie najwładzniejszej energii, — ilekroć wpadał do mego pokoju i mgielką koloru skrzył się pod sufitem — zawsze wprowadzał mnie w stan najczystsze go zachwytu. Bawił niedługo, — jakby tylko naprowadzić mnie chciał na myśl w rodzaju: „Przecież widzisz mnie... i jakże tu nie wietrzyć?...” poczem odlatywał rozedrganą smuzką do wirujących nad kwiatami towarzyszy. W tym pokoju widłem i przykro i tęskne życie, ale ilekroć zdarzało mi się widzieć kolibry, popa-

dalem na cały dzień w radosny nastrój. Sądzę, że gdyby zamiast Grzeszczyzna ukazywały się choćby zrzadka kolbry, książka ta byłaby jednym peanem na cześć Brazylii. Widac te kolbry, to miejskie istoty, bo w tej podróży ich nie widziałem. A szkoda. Zamiast posępnych roztrząsań, trwałbym cały dzień na koniu w podziwiewie i zachwycie. A może teraz nie pora na nie? Nie wiem, nie jestem przyrodnikiem ani ornitologiem. Co mnie obchodzi pora! Ten kraj posiada złośliwy talent koncentrowania rzeczy pięknych w pewnych miejscach kosztem nużącei jednostajności innych terenów. Tak jest z Rio de Janeiro. Książki o Brazylii powiadają o tych skondensowanych urokach, natomiast przemilczają mdły nastrój interioru.

Puszcza, którąśmy teraz przejeżdżali, oprócz szeregu dodatkich cech, ukazała mi parę fragmentów swego plastycznego humoru. W pewnem miejscu napotkałem brodate drzewa. Prostu z gałęzi zwieszała się sucha zielen, przyproszona siwizną i w kędziornach majestatycznie opadała ku ziemi. Dalej ukazało się tak upozowane drzewo, że wyglądało niby olbrzym zastygły w figurze mazura. Gdzieindziej dwa drzewa zdawały się chwycić konarami za bary. Nad szczupłą, kokieteryjną palmą, pochylała się gruba gałąź, jakby ją calując i błogosławiąc na podróż. Czasem na drodze sterczała gałąź i zdawała się mówić: „Stój, coś ci powiem!”

Tak więc, jazda stała się niespodzianie przyjemnością. Na skutek zbliżania się do celu podróży, ludzi opanował realny humor, objawiający się w śpiewach i przekomarzaniach. Na zakręcie ujrzelśmy czystą tablicę z wyraźnym napisem: Fazenda Whitakera. Doskonała, uroczyście ocieniona droga przypominała udrękę przedzierania się przez dżunglę i jednocześnie przejmowała dziwnym żalem za mozołem i wysiłkiem. Wspominała swą łatwość. Popołudniu ściany puszczy urwały się i wyjechały na jasno zielony camp porośły tra-

wą i najezony rdzawemi kopcami mrowisk. Sawczukowie podjechali do białego donku i zaprali stojącego w drzwiach człowieka, czy można będzie (oczywiście za opłatą, bo na terenie Whitakera) przenocować. Po uzyskaniu zgody, rozbiłszy obóz nad czystą i płytką rzeczką, obok szalasu składającego się z jednej pochylonej ściany splecionej z trzciny i z liści. Górna część tego dachu (i ściany jednocześnie — kłopot z określeniem!) opierała się na dwóch drągach. Siedział tam człowiek gładko ogolony, ale o spuchniętych policzkach i z workami pod wyblakłemi oczami, ubrany nędznie i jakoś stęchle. Jego brązowa marynarka — typowa marynarka wólczygi — oraz jasne spodnie, były dokładnie wymięte, jak gdyby długo wyleżały się w jakimś schowku. Byłem pewien, że ten człowiek przebył dłuższy okres w szpitalu lub w więzieniu. Siedział w kontemplacji, z podwiniętymi na krzyż nogami. Obok leżał brudny węzelek i laska z kościaną gałąką. Nasze przybycie nie wywarło na nim żadnego wrażenia. Zmienił tylko pozycję, wyciągnął się oparty na łokciu i leniwie począł gryźć źdźbło. Krzątał się koło zwierząt, rzucając pod jego adresem rozmaite uwagi. Nieopatrznie położyłem siodło w zasięgu pochylonego daszka, na co jegomość chwycił laskę i wstrzugał nią siodło poza granicę szalasu. Zaraz położył się na wznak i począł nucić jakąś monotonną melodię.

Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że jest to ubogi Anglik. Melodia, którą nucił, była specjalnie angielska. Przyczem kwesja z siodłem nie dawała mi spokoju. Tymczasem rozpalono ognisko i umieszczono w niem kociołki. W pewnej chwili spojrzalem na twarz wólczygi. Dyszał gniewnie i chciał patrzył na kociołki. Ale skoro zauważył, że go obserwuję, odwrócił się, gwizdząc ciągle swą melodię. Mimo sytuacji przychylniej do nawiązywania rozmów, nikt się nie odezwał do niego słowem, a nawet po pewnym czasie przestano się nim zajmować. Wyjął len z worka ręcznik i mydło, poczem poszedłem wzdluz rzeki,

do miejsca, gdzie przepływała między zarostami. Rozebrałem się i ległem na wyszlifowanym dnie z kamienia. Ta niewygodna kąpiel na płyciznie trwała z pół godziny, poczem wymyty i rzeźki, wróciłem do obozu. Włóczęga ciągle nucił pod szalaszem. Usiadłem przy ognisku, nałożyłem sobie na talerz fiżonu z ryżem i pocałem jeść, nie spuszczać z oka niefrasobliwej postaci pod szalaszem. Usiadł i kiedy pochwyliłem jego wzrok, zrobiłem proponujący gest ręką w stronę talerza. Objeździł się za siebie, jakby szukając kogoś, kogo ten gest dotyczył. Zjedliśmy kolację, poszedłem z Sawczukami i Belcikiem nad rzekę, aby naciąć gałęzi na szalasz. Wróciliśmy i zabraliśmy się do roboty. Zachodzące słońce okryło świat czerwieńnią i od rzeki powiało chłodem. Człowiek spod szalaszu wstał, wyjął z kieszeni zapalniczkę, przeciągnął się i ziewnął, poczem w kilku miejscach podpalił wysuszony dach. Po tym czynnie, podciągnął spodnie, podniósł węzełek i laskę i poprostu poszedł sobie drogą wiodącą do lasu. Gwizdał. Dach szalaszu strzelił wesołym ogniem ku niebu. Sylwetka włóczęgi majaczyła w groteskowych podskokach na czerwonym tle, poczem rozmasowała się na brunatnej ścianie lasu. I przepadł! Złosiłwy Chaplin z brazylijskiej puszczy. Milczące zdumienie nasze przerwał okrzyk Grzeszczyszyna:

— A to sukinyśni! Podpalił szalasz... ganiać go!

— A to sobie go pan ganiaj! — odpowiedział Belcik. — Waryjat jakiś, tfu!

Kilku chłopów poczęło deptać gasnące resztki szalaszu. Sawczukowie wyciągnęli osmalone drągi i przenieśli na miejsce, gdzie mieliśmy postawić nasz schron. Nikt nie komentował zdarzenia. Kiedy szalasz był gorów, porozkładaliśmy kapy wokół ogniska i wsluchani w nocny bulgot rzeczki, leżąc w rozdrganych poblaskach, w milczeniu pililiśmy szimaron.

Jakos nie zbierało się na żarty. Ludzie rozmyślali o swoich sprawach, a nastrojowy wieczór skłaniał raczej do wspomnień

i roztrząsać, co się zresztą przejawiało w tęsknie wymykających się spod nastrozonych wąsów starego Belcika — słowach.

Wyciągnął się wygodnie i począł mówić:

— Jakie to my, te chłopcy polskie na ziemi pazerne. Każden ma swoje niegorzsze gospodarcki, każden z nas, co leżymy tutaj, ma byt ustanowiony, osiadłą od lat rodzinę, a jeszcze nas ciągnie coraz dalej, coraz więcej ziemi nakupić i nowej roboty w ręce sobie napędzić. I że to wy, co młodzi... Ale i mnie starego chciwość na ziemię pędzi z wami. A jakim tu przybył, że czterdziści років temu będzie, to ino te łapy człowiek miał do roboty i nic więcej. A tak to wtedy było, że gdzie chłop polski przyszedł, tam nie było ani Boga, ani diabła, tylko bór okrutny i chłop polski. I co to potu z człeka się utoczyło a i krwi nierządło, zanim to sobie jaki taki byt urządził. Usiadłś pod wieczór przed chatupą i dopiero jak cię nie ulapi tęsknica za swoim narodem, to choć gryź te twarde ziemie, żadnej ulgi ci nie przyniesie. Zasluchasz się w głuchą puszczy, a tam ci się nie słowik odezwie, tylko gabriwa zapłaczze, piosneczki poszuka... I oto los twój, chłopiec... zamieniłś sobie słowika na gabriwe. Dzieciak ci woła kartofla, a ty mu wołasz: „Wéż se laranzie”, kartofli niema”. Wyrośnie ci to dziecko, a inne już jakieś... do obcego języka sposobniejsze... już tom puszczyą nasiątkło. Jak się zbierzemy gdzie w kupie, na jakiej szuraskadzie?, a podpijś sobie, to im wołam: „Ja nie z tych Polaków, co to się na okręcie urodzili... ja w Wisle kąpany!”. A ci w śmiech! Później jak szkołę postavili, wraca mi dziecko do chatupy i powiada, że mu nauczycielka wyciągnęła wesz z głowy i wsadziła do gęby i czekała aż nie rozgryzie. Tak ci to chłopskie dzieci czystości uczyli! A jak się doczekałś szkoły polskiej, i gazety w swoim języku i majątku, i poważania, to cię znów gna w te lasy, nowe alkry

1 pomarańcza; 2 od „churasko” — mięso pieczone na rożnie.

skupować... takie już masz we krwi umiłowanie do ziemi, żebyś ją przepuszczał przez kiszki, jak glista jakal! A ta jest przyczyna, żeś się najpierw w tej pańszczyźnianej Polsce za gruntem wygłodził, a potem, jakęś już wolny był, to ci wiecznie go było brak, tyłkożeś zawsze na cudzym tyrał. I dopiero tutaj odegrasz się chłopie, i pracowicie żyjesz sobie jak wolny człowiek, a nie jak jakie zwierzę...

— Ano zobaczem jak to tam będzie na tej Londrinie... może jeszcze wrócimy na stare i wy Belciku, po próżnicy gadać — wrócił któryś z chłopów.

Stary uśmiechnął się drwiąco i chytremi ślepiami zerknął w swoją stronę porozumiewawczo. Tak, to prawda, że go tam bardzo nie zrozumieli. Nie podtrzymali tej rozmowy, ziewali, skłonili do milczenia. Nieopodal w krzakach odezwano się nagle wyraźne szczekanie, podniosłem się i odszedłem parę kroków, nasłuchując. Przy ogniu ktoś zakasłał, a Belcik zawołał:

— Siadajże pan, bo bez te pańskie opuszczone miejsce wiatry wpadł i dymem oczy ludziom zasypał... Czego pan tam nasłuchuje?

— Słucham skąd te psy, bo przecież chatupa jest w innej stronie!

— Jakie to tam psy... Zaby se szczekają! Siadajcie — panie — to opowiem, jakie ja miałem z zabami tarapaty.

Zająłem swoje miejsce przy ogniu, a Belcik zaczął mówić:

— Mnie kaczęta bardzo ginęły. Tom podpatrzył, że je — ściwiec jedne, — zaby za łapki wciągają pod wodę jak pływały. Takem sobie myślał jakby je tu wymarnować. Tylko gdzieś mi się chowały ciągle. Przynęła pora zimowa, a miałem ule z pszczołami. Kiedyś przychodzę koło pasieki, aż tu patrzę zza krzaków, zaba jak kapelus, wspina się do dziury w ulu, puka łapą, i rozdziawia paszczę, a głupie pszczoły sznurkiem wpadają jej do gardła. Zarazem do niej przypadł, ale mi wpadła w gęstwę. Dawno już się głowiłem, że mi tak

pszczoł coraz więcej ubywa. To mnie już rozgniewało. Kiedyś zaglądam do pajora i patrzę... w kącie przycupy dwie zaby. Zbliżać się do tego paskudztwa obrzydliwie, a wielgaśne takie, że i zabijać je nijako. Przyczepiłem wiecheć do długiego patyka, umaczałem go w kreolinie i zdaleka przejechałem zaby po grzbiecie. Po paru dniach dzieci znalazły je martwe, bo im kreolina grzbiety poprzegrzała. Później mi te pszczoły znów Alma de Gato wyjadały. Też juchy mądralę i przesmisznie w sposobach... Przychodzi ta zimowa pora i pszczoły siedzą w ulach, wtedy Alma de Gato dziobie w ul, pszczoły wylatują popatrzeć co to za gość im puka, a wtedy ptak je sobie spokojnie pojada. Tylko że tam, gdzie Alma de Gato się kręci, zawsze i kot koło takiego ula się kręci... Takie to jest jak zawsze we świecie... jedno drugie zjada...

A już chyba najbardziej okrutne stworzenie, to jest sam człowiek. Kiedyś, było to w niedziłę, wybraлиśmy się z synem do puszczy popolować trochę. Aż tu nad głowami naszymi jak się nie podniecie wrzask... I zadzieramy łby do góry, a tam małpy po lijanach uciekają przed nami, aż się liście tylko syją... Mój syn przykłada strzelbę do ramienia i celuje w jedną małpę, co najniższej siedziała z małą małpką uwieszoną u szyi. Widzi stara małpa, że już nie zdąży uciec, to bierze małe w łapy, wyciąga przed siebie i łepkiem kręci, i pokazuje na to małe i prosi, jak człowieczek jaki, żeby jej życie darować. Aż mnie — starego — tak to targnęło za serce, że mówię do syna, aby spuścił strzelbę, a ten w tej chwili wystrzelił i małpa z małym czeplając się gałęzi, upadła nam pod nogi. Tylko temi żalosnemi ślepkami na nas patrzyła i jakby wypominała nam krzywdę. Zdechła zaraz i małe zabraлиśmy do chatupy. Była u nas ze trzy lata, aż ją kiedyś dziewczucha przycisnęła drzwiami i zdechła... Tak po tem zastrzeleniu starej małpy, przysiągłem sobie nigdy już do małpy nie strzelać, bo to tak jest, jakby się do człowieka strzelało...

Mimo, że wydawały mi się te historie trochę nieprawdopodobne, w głosie Belcika brzmiała nuta prawdy, a zresztą opowiadania te nie były pozbawione swoistego uroku. Zrobiło się już późno, szwagier Sawczuków i jeden z kolonistów zostali przy ogniu, inni ułożyli się rzędem pod szalasek.

Między dźwięcznie rozbrzmiewające poszczekiwanie żab, wdarło się przenikliwe dzwonicie cykad, powiew od rzeki niosł te głosy urzekająco i sennie. Jednak leżąc na wznak pod tym pachnącym schnącą zielenią dachem, nie byłem skłonny do marzeń. Raczej zastanawiałem się nad brakiem moskitów w ciągu całej podróży, a zwłaszcza tutaj, w bliskości wody, spodziewałem się ich specjalnie. Niema. Plagi tego kraju omijają mnie wyraźnie. Także słyszałem że w kiszkach mieszańca lasu czy też podróźnika, roją się najrozmaitsze pasorzyty. Mój zołudek zdawał się przechodzić najświetniejszy okres zdrowia. Zarówno umysł mój jak i organizm reaguje inaczej na Brazylię. Pelen zawodu, zasypian owiany ciepłym zaduchem ciał moich towarzyszy.

Wczesnym rankiem szybko zatrwiliśmy się z objuczeniem burów, osiodłaniem koni i śniadaniem, poczem odrazu wjechałszy w okolicę poznaną śladami bytowania człowieka. Krótko przejeżdżaliśmy drogą w puszczy, zaraz wyłonił się faxinal i po niedługim czasie miejsce jego zajęły spalone tereny ros między rzadkimi krzewami. Ziemia była silnie czarna, dość gęsto spotykało się wątle palmy. Północ Parany zaznaczyła się odrazu dość osobiwami z wyglądu, sadzonkami kawy. Te rzadkie doleczki z wątlą rośliną w środku, nakryte drewniakami na krzyż, wymagały zachodu i pieczołowitości od człowieka. Gdziekolwiek widać było małe, ale schludne chatki kolonistów japońskich, budowane z gładkich i dość cienkich pni palm, czyli palmitów. Wpływ kultury północy Parany w porównaniu z południem, zaznaczał się przede wszystkim bogactwem i barwnością tego kraju. Na kaz-

dym kroku uwidaczniał się jasny, wesoły egzotyzm. Gładko ubita droga poznanzona była słupkami kilometrowemi, w słonecznej dali widać było brunatne chatki pośród zwęglonych, oddzielonych żywą zielenią — pól. Te czarne i zwęglone, pozornie martwe obszary, zamiast odpychać swym posępnym wyglądem, podkreślały raczej twórczą pracowitość rąk ludzkich, co przesłaniało przykre wrażenie barbarzyńskiej gospodarki.

W pewnem miejscu napotkaliśmy znów pożar krzaków. Zarówno zlewał się z ogniem ziemi i buchał gorącym wichrem w naszą stronę. Głośne trzaski pękającej w ogniu takuary, wściekle skłębione pośród dymu płomienie, cała ta oszalała zagłada soczystej roślinności, zdawała się rwać w bezsilnej wściekłości, że nie może pójść dalej, że spryt człowieka umieszczył ten żywioł w wyznaczonych granicach. Przygotowanie do palenia rosy odbywa się w ten sposób, że w oznaczonym miejscu podcina się fojsą krzaki tuż przy ziemi, poczem przeznaczony do spalenia teren oddziela się od reszty wycięciem określonej granicy z krzaków, tak że ogień niema dalej dostepu.

Przejechałszy mimo tego małego piekła i zaraz z rozmaitych refleksyj wyrwała mnie informacja Grzeszczyszyna:

— Panie, mamy do Nova Danzig tylko czternaście kilometrów!

— Nie czternaście, ale trzy! Po czem to pan sobie tak wspomniale obliczył?

— Jaktó! przecież słupy wskazują!

— Uspokój się pan! Słupy wskazują odwrotny kierunek do fazandy Whiakera, biegną od Nova Danzig, nie widział pan widocznie tablicy... Dlaczego mi pan ciągle zawraca głowę swojemi mylnymi informacjami!? Trzeba wpiertw sprawdzić! Ciągle się pan wykretnia, psiakrew!

— O, proszę pana... proszę pana! Niech pan się tylko nie zaponina. Gdzie pan się właściwie chował?

Na to słuszne pytanie nie zdążyłem mu odpowiedzieć, bo na zakręcie ukazał się ciężarowy samochód i cała tropa rozstrzelila się w panice po obu stronach drogi. Samochód minął nas ciągnąc za sobą czerwony welon kurzny, i kiedy kurz opadł, zobaczyliśmy w oddali całą naszą tropę pędzącą w poplochu, niby stado dzikich mustangów na stepach preji. Chłopi pogнали w stronę uciekinierów, a ja stałem na drodze, rozmyślając, jakim to instynktem zwierzęta uniknęły kalectwa. Wiedziałem, że rozbiegły się po obu stronach drogi, w miejscu, gdzie akurat były sadzonki kawowe, wobec czego powinien sobie polamać nogi w dołkach, które były pokryte drewnienkami. Ślady kopyt było widać, ale między dołkami. Zostałem na drodze sam na sam z Grzeszczyszynem, który odjechał kilka metrów, zsiadł z konia i usiadł pod palmą. Wyciągnął rewolwer, położył go na kolanach i pytając patrzając na mnie, znieluchomił ze skrzyżowanymi rękami.

Droga była zupełnie pusta. Zsiadłem również z konia i właśnie miałem zamiar pójść trochę naprzód, kiedy Grzeszczyszyn zawołał:

— Panie, niech pan się do mnie nie zbliża, bo ja widzę, że pan ma jakieś złe zamiary co do mnie!

Nic nie mówiąc, przeprowadziłem konia obok niego i usiadłem o jakieś kilkanaście metrów od tej zmory. W tej idyotycznej sytuacji przesiedziałem z godzinę. Wreszcie pojawili się chłopci, pędząc tropę i zaraz przyłączyłem się do nich.

Po półgodzinnej jeździe, wjechaliśmy między świeżo pobudowane domki, do schludnej, niemieckiej kolonii Nova Danzig. Tutaj zatrzymaliśmy się przed wendą i kiedy wszedłem do środka i usiadłem przy ladzie, pomyślałem z bezniermą ulgą, że to już jakby właściwie koniec tej groteskowej podróży. Pijąc piwo, patrzyłem na to, co się działo przed wendą. Młody, o pokąźnych kształtach Niemiec w białym ubraniu, w panamie i w sztylpach, przyglądał się ze zjawstwem koniom, kręcąc trzcin-

kę w palcach. Sawczukowie demonstrowali mu konie, jeżdżąc po małym placu. Po chwili obok Niemca przystanęło jeszcze kilku kupców i rozpoczął się handel, zagładanie koniom w zęby, jazda na nich. Bury z kalgierami drzemali ze zwieszonymi łbami przy płocie, podkreślając upalny charakter ospałości tego południa. Koło wendy przejechały dwie blondynki na koniach, w angielskich siodłach i w korkowych hełmach, w butach z cholewami i sportowych koszulach z krótkimi rękawami. Te dwie białe amazonki obudziły niejako moje poczucie przynależności do europejskości i zaraz począłem rozmawiać z czysto ubraną Niemką zza lady. Krótko poinformowała mnie, że stąd do Londryny jest szesnaście kilometrów, i że niedługo powinien jechać w tamtą stronę samochód. Nova Danzig jest młodą kolonią niemiecką, ma zaledwie dwa lata. Z uznaniem pokiwiała głową, kiedy jej powiedziałem jaką drogą przyjechałem tutaj. Z pewną satysfakcją przyjąłem, że nie pytała dlaczego nie przyjechałem koleją, tylko tukiem się przez dżunglę. Zimne piwo w to upalne południe nieco mnie rozmarzyło. A więc wystarczy tylko wsiąść w samochód i za pół godziny będę w Londrinie! Cudnei!

Tymczasem Sawczukowie sprzedali kilka koni i razem z Niemcem weszli do wendy i odrazu zaczęły krążyć kolejki z kaszą. Przepiłem kilka razy, poczem Bęćcik zaproponował mi abym pojechał z nim i jeszcze z kilkoma do ich działek, odległych o dwa kilometry. Po kilkunastu minutach byliśmy na miejscu. Okazało się, że na działce Bęćnika gospodarowali już dwaj jego synowie, i że stary przyjechał tu, aby dokupić jeszcze więcej ziemi. Prymitywność szalasu, porozwalane garnki i popielisko wskazywały na nietatwe życie młodych ludzi i brak kobiecej ręki. Byli to dwaj ogorzali mężczyźni, wymordowani karczowaniem puszczy, ale weseli. Popiliśmy trochę szynaronu, poczem żyjąc sobie nawzajem wiele dobrego pożegnałem się z nimi z gorącym poklepaniem po plecach. Jakby na zakończenie,

w powrotnej drodze koń mi się sponoszył przed autem i tak gwałtownie poniosł mnie w krzaki, że omal nie spadłem. Z wendy na mój widok wybiegł Grzeszczyszyn i zawołał:

— Rany Boskie, gdzie pan się szwendasz? Przecież auto już czeka! Jejeje!

Osadziłem rozdygotanego konia i w gniewie huknąłem Grzeszczyszynowi, żeby sobie poszedł raz do diabła i nie zawracał mi głowy swoim natręctwem. Po krótkiej sprzeczce, Sawczukowie przyjeżdżając dwadzieścia milreisów tytułem zwrotu kosztów podróży, poczem poleciłem ich opieczętować konia Dąbskiego i siodło. Napiliśmy się jeszcze piwa, obiecując sobie, że się jeszcze kiedyś spotkamy, poczem rozstaliśmy się wzruszeni, przyjaźnie i serdecznie uściskawszy sobie ręce. Wpakowałem worek do chudełwego Forda, zająłem miejsce i czekałem na Grzeszczyszyna, któremu urwał się pasek od sztylpy i właśnie przy nim coś manipulował.

— Siadaj pan, bo pojedę sam! Sztylpę możesz pan sobie naprawić w czasie jazdy.

Powiedział coś: „A...aaa...racja!” i usiadł obok. Ruszyliśmy. Wychyliłem się i machałem kapeluszem stojącym przed wendą chłopom. Nawet to rozstanie było mi nieco przykre. Obok mnie siedział człowiek, z którym bardzo pragnąłem się rozstać, a jednak zamiast pożegnać się z nim i odjechać sam, siłą przyzwyczajenia zawołałem go do auta i oto znów byliśmy razem, a nawet bliżej siebie niż zwykle.

Auto szybko jechało po czerwonym pasie bitych drogi, między symetrycznymi rzędami kawowych drzewek. Ten schludny porządek po zatrzymaniu puszczał sprawiał mi szczerze zadowolenie. Po półgodzinnej jeździe wjechałszy między gęsto ciągnące się wzdłuż szerokich ulic, drewniane, niemalowane budynki i auto zatrzymało się przed czemś w rodzaju baru z napisem: „Bar e hotel Tico-tico”. Nie rozglądałem się po Londynie, tylko szybko poprosiłem tegiej kobiety o pokój. Poprowadziła

mnie ciemnym korytarzykiem, między ścianami z nieheblowanymi deskami i wskazała mi kłitkę o zwisających na poręczach zawiasach drzwiach, pełnych szpar i sęków. Wnętrze komórki w świetle wybudowanym śpichrzu czy jakimś lamusie. Stało tu wąskie łóżko i kostropaty stołek. Żółtawe ściany pełne były zadziór i zamazanych zastryglą żywicą sęków. Zdjąłem ubranie, włożyłem pyjamę, zabrałem mydło i ręcznik, poczem wyszedłem na korytarzyk, do drugiej takiej komórki z prysznicem. Po kąpielu położyłem się do łóżka i usnąłem z zamiarem obejrzenia Londynu wieczorem.

Obudzili mnie jakieś piski przez ścianę. U mnie było ciemno, ale w sąsiednim pokoju świeciło się światło i przeciekało do mnie przez szpary. Bez trudu odgadłem, że Grzeszczyszyn dobiera się do jakiegoś dziewczyny. Po chwili usłyszałem skrzyp drzwi i kobiecy głos: „Niech pan lepiej obudzi kolegę i przyjdziecie razem na kolację!” Zaraz też usłyszałem pukanie do moich drzwi i głos Grzeszczyszyna:

— Wstając, zupę dają!

Ubrałem się i poszedłem do jadalni. Zjedliśmy obaj kolację w niewyraźnym nastroju. Byłem w rozterce, bo nie wiedziałem jak się po tem wszystkim ustosunkować do tego chłopca o tak niepewnym charakterze. Podczas jedzenia wywnętrzałem mi się, że podoba mu się ta apetyczna pokojówka, i że jeśli tej nocy nie odwiedzi go, to nie jest sobą. Dziewczyna właśnie stawiała potrawy na stole i kiedy jej się przyjrzałem, musiałem przyznać, że jest dość ładna i świeża. Nie dziwiłem się Grzeszczyszynowi. Po miesiacu celbatu, temat ten był bardzo na czasie. Narazie zachowywałem się wobec Grzeszczyszyna chłodno i dość grzecznie.

Wychodząc, zatrzymaliśmy się krótko w barze, przy kieliszku whisky. Tęga gospodyni tego lokalu, Niemka, poinformowała mnie uprzejmie, że nie tak dawno bawił w Londynie książę Walji, który ponad wszystkie przyjęcia z szampanem prze-

kładał wieczory spędzone w jej barze. Dorzuciła mi jeszcze kilka pikantnych historyjek w związku z pobytom popularnego Anglika, poczem pożegnałam się uprzejmie i wyszliśmy przed bar.

Miasteczko zarzyło się mnóstwem odosobnionych światel i w cieplej miękkości wieczoru snuły się dźwięki muzyczne z szerego otwartych o jasnych wnętrzach restauracji i sklepów z lodami. W smugach światel majaczyły sylwetki spacerowiczów. Pogoda odpoczynku po pracowitym dniu zdawała się delikatnie unosić nad tem uroczem miasteczkiem. Przed nami widniał rozjaśniony bungalow, niby statek na rzece w pogodną noc. Brzmiało od niego muzyką i wewnątrz krążyły tańczące pary. Na tarasie snuły się sylwetki mężczyzn i kobiet i razem z muzyką dobrą aurą wionął ten dom. Szliśmy powoli po miękkiej, niebrukowanej ulicy. Wszędzie panowała atmosfera młodości tego miasta i charakterystycznego ożywienia świeżo przybyłych ludzi. Zajęliśmy stolik w lodziarni i znad porcji lodów obserwowaliśmy ruch tego lokalu. Wbiegło kilka Japońnek w kimonach i z tłumioną pożądliwością zaczęły lizać lody w małych rozkach z wafli. Postały chwilę, jakby dla zachowania pozorów grzeczności, poczem wolno wyszły na ulicę. Wogóle na ulicy widziało się różnorodny tłum, przeważała jednak liczba Japończyków. Po godzinie znów wyszliśmy na ulicę. Ponieważ światło padało tylko z lokali, a więc od dołu — miasteczko było płytko oświetlone i domki majaczyły w łagodnych konturach. Słowa angielskie twardo brzmiały obok łagodnej japońskiej, czasem znów zarchotało przykre portugalskie zdanie i dysonansem otarło się o język niemiecki. Urok Londynu począł działać na mnie nieco oszalamiająco, więc odczekałam się do Grzeszczeszyna, że jeżeli ma ochotę gdzieś pójść, to niech się mną nie krepuje, bo ja idę do łóżka. Rano zjadłem śniadanie sam, Grzeszczeszyna już nie było. Przy bufecie gospodyni wyjaśniła mi, jak się mam dostać do

stacji kolejowej, skąd już prosto mógłbym pojechać do Kurytyby. Ze słów jej wynikało, że nie jest to takie proste. Należało jechać naprzemian pociągami i autobusami. Najbliższy autobus do miejscowości Jarahy odjeżdżał za godzinę. Zapłaciłem za nocleg, zapakowałem rzeczy do worka i wyszedłem na miasto. Urok wczorajszego wieczoru przemienił się w upalną ospałość. Przeważająca część ludności była na plantacjach. Patrząc na auta z tumanami czerwonego pyłu, na rzadkich i opieszale poruszających się przechodniów, odczułem przykrą nudę codzienności. Od strony wielkiego budynku kompaniji szedł w moją stronę Grzeszczeszyn i już z oddali począł wołać, że bardzo mnie przeprasza, ale musi zostać, bo zameldował się w kompaniji jako wydelegowany z konsulatu polskiego w Kurytybie, i dziś jeszcze ma pojechać autem oglądać tereny.

— Przecież pan wcale nie jest wydelegowany przez konsulat.

— Aj, panie! To co... Muszę przecież obejrzeć te działki... od lat tkwię po uszy w kolonizacji, to mój żywioł!... Ta dziewczyna, — ścierwo! — gdzieś mi wczoraj zwała... Pożycz mi pan sto milów!

Byłem rad przecież, że zostaje, ale prawem samoudręki chciało mi się, aby jeszcze trochę pojeździł ze mną. Sto milów dałem mu z ochotą... było mi nawet na rękę, że w ten sposób mogę wynagrodzić jego groteskowe przewodnictwo w tej podróży.

— Bądź pan zdrow! Miewaj pan dobre sny, wszystko co było, to nie myli!... Wspomnisz pan jeszcze nieraz Grzeszczeszyna i kiedyś jeszcze się pan dowiesz, że obejmował on swoją głowę wszystkim to, co w tej Brazylii wymaga objęcia. W konsulacie niech się pan upomni o sto milów... może chce pan kwit?.. Zaraz panu w kasie wypłacę. Czolem! Muszę wracać do kompaniji, bo tam już dyrektor czeka na mnie z autem!

Pokurzony, drobniąc nóżkami w iks, począł się ode mnie oddalać na zniemuchomałem w słońcu, zmartwiałem w upalnym

uścisku, czerwonym tle miasteczka. Oddchodził dominujący barwik mego spojrzenia w tej podróży. Ale zawrócił jeszcze koślawym kroczkiem, przyłożył rękę do ust i krzyknął:

— Panie Loniowski... A niech pan tam wspomni w jakiej swojej książce o Grzeszczeszynie... Był chwalebniel!.. byle chwaleb...
* * *

Wykupiłem bilet na stacji autobusowej i wcisnąłem się między różnokolorowy i ożywiony tłum pasażerów. Tłusta muryzka obarczyła moje kolana połową ciężaru swojej wielkiej toby. Wóz nerwowo się poderał i poniósł nas wesołą drogą w dół. Równe szeregi, rosnących obok siebie niezalenie i w oddaleniu, drzewek kawowych umykały po obu stronach drogi nieruchomą siatką zieloności. Autobus zatrzymał się nad brzegiem rzeki, poczekał na prom, wkońcu prom podjechał, przewiózł maszynę z rozgadaniem pasażerami na przeciwny brzeg, i wóz znów ponknął kawowym lasem. W miasteczku Jatahy siedziałem dwie godziny na stacji kolejowej, na peronie, czekając na pociąg. Jadłem banany, przesiąknięty nudną obcością wszystkiego, co się wokół mnie działo. Opieszalność brazylijskich łazików skłoniła mnie do rozmyślań o wczorajszym wieczorze w Londrinie, która poza urokiem rozwijającego się w szybkim tempie miasta, zwracała uwagę atmosferą poczynania się czegoś wielkiego, z zastosowaniem energii i pomysowości europejskiej. Pociąg przywłócił się, zadzwonił jakoś bezsilnie i stanął. Kilka godzin jechałem krajem barwnym, między plantacjami ryżu, bawełny i kawy, z kolorowemi domkami i widoczną zamożnością. Nic ciekawego nie spotkało mnie w tej podróży, na postojach piłem kawę, w czasie jazdy paliłem w blokiej bezmyślności, nieład roztrząsać tego, co było. Na stacji

Cambarã wyrnąłem prywatny samochód do spółki z wąsatym mulatem. Po godzinie jazdy ukazało się zdaleka białawe, martwo drzemiące miasteczko Jacarezinho. Miało ono w sobie specyficzny charakter tropikalnej senności, ulice były prawie opustoszałe, domy tajemniczo pozamykane, drzemiące za zieleniami wenejanami. Auto stanęło przed domem z napisem „Hotel Paulista“. Rozzochrani i jakby zdziwiony moim przyjazdem chłopak, wyniósł mój worek do czegoś w rodzaju hallu, poczem powiadomił mnie, że patron zaraz się zjawi. Opartem się o stół opięty zielonem sukniem i wsłuchałem się w stęzałą ciszę tego domu. Na progu stanął człowiek z miną, jakby poczynał jakiś doniosły wynalazek. Był tęgą, wysoki i szpakowaty, z rozpiętą kamizelką na jadowicie czerwonej koszuli. Teatralnym gestem dłoni wskazał mi samobójczy pokój z wąskiem przejściem koło łóżka, poczem oddalił się cichutko, jakby bojąc się kogoś obudzić. Pobiegłem za nim na palcach i zasugerowany jego zachowaniem, spytałem szeptem, kiedy oddchodzi pociąg do Kurutyby?

— Prawdopodobnie nigdy, caro amigo... nigdy!

— Dlaczego pan żartuje... przecież pytam wyraźnie... Pociąg... kiedy odjeżdża pociąg?

— Nigdy, a może kiedyś! W całym stanie São Paulo jest strajk... W Brazylii dawno już nie było rewolucji... Przyjechał pan ostatnim pociągiem z Jatahy do Cambarã. Si senhor!

Ociekał lenistwem, ale zdawał się być nieco poruszony na weselo mojem przerażeniem. Wsadził palce w kieszenie kamizelki, unosił się na palcach i przyglądał mi się z sympatycznie ironiczną miną.

Wytarłem chusteczką spoconą z wrażenia twarz, i jak po wielkim bólu, przeszedłem do pokoju z przyłożoną chusteczką do czoła. Przedewszystkiem położyłem się na łóżku i już wkrótce opanowała mnie całkowita rezygnacja. To nic, że mam przy sobie tylko osiemdziesiąt milów! I to także głupstwo, że mia-

steczko wydało mi się specjalnie obce. Ha, trudno! Rewolucja obejmie cały kraj, potrwia z rok. Ożenie się tutaj, zapomnę o Ojczyźnie... Będę Brazylijczykiem. Konieci!

Pod wieczór odezwano się we mnie nieco energii. Należało o wszystko dokładnie rozpytać. W hallu paliła się lampa, z jadalni dochodziły brzęki talerzy, nakrywano do kolacji. Przed hotelem siedziało kilkanaście osób na chodniku, w krzesłach i rozmawiali o strajku. Szybko się zorientowałem, że byli to przeważnie zatrzymani strajkiem komiwojażerowie. Rozmowa ich była beznadziejna. Nic... będzie coraz gorzej. Począłem dawać znaki ręką stojącemu pośrodku mężczyźnie w rozpiętej kamizelce, ale ten spojrzął na mnie ostro, pogroził... tak, wyraźnie pogroził... palcem, i dalej szybko wykladał swój pogląd na tę sprawę. Przysiadłem cicho na schodku i zapatrzyłem się na placyk, wokół którego, przed domami siedzieli zamysłeni mężczyźni w pyjamach. W mojej gronadce nieco przycisnęło i wtedy szpakowaty krzyknął do mnie z odległości:

— Slucham cię, cabalero!

— Czy poczta i telegraf także są objęte strajkiem?

— A jakże... czemużby nie!

— A czy nie dałoby się wynajść jakiegoś prywatnego auta, któreby mnie zawiozło do Kurytryby?

— He... Wszyscy co tu siedzą już przestali o to pytać... A to bogaci ludzie! Lata będą mieszkać u Giuseppe Ferronato... wzbogacą go i pozostaną jego przyjaciółmi do końca dni swoich! Nieprawdaż amigos?

— Ach, senior Ferronato, niech was Bóg zachowa dla nas jak najdłużej w przyjacielni, tyłko niechaj wpierw pozwoli nam pozatwierać nasze interesy — wrócił ktoś z gości.

Giuseppe Ferronato przestał się widać bawić rozmową, bo nagle spoważniał i wszedł do środka. Poszedłem za nim i gdzieś w kącie wyjaśniłem mu swoją sytuację. Nachylił mi się do ucha i szepnął:

— Odeśle mi pan, co?

— Być może, że mi wystarczy... strajk może się lada dzień skończyć... ale jeśli mi nie wystarczy, to zaraz po przyjeździe do Kurytryby odeślę panu.

— Tak, tak... niech pan odeśle!

Jasne jest, że pojął moją sytuację i nie chciał mu się o tem mówić. Poszedł do jadalni.

Kolacja składała się z wielu dań. Kiedy po zupie, zimnej przekąsce i rybie, Ferronato podszedł do mnie z półmiskiem makaronu, powiedziałem mu, że mam dość. Wtedy wyprostował się, uniósł półmisek dogóry i powiedział do wszystkich:

— Seniores! On ma dość! On nie chce jeść znakomitego makaronu z kuchni Giuseppe Ferronato! Co wy na to powiecie? Goście przy stolikach zaczęli się śmiać i ktoś się odezwał:

— I ja też nie będę jadł makaronu... drogi Ferronato... za dobrze nas karmicie!

Giuseppe odszedł ode mnie, mruzcąc: — Niestety, nie słychane!

I tak zaczęły się wlec upalne, pełne przymusowego lenistwa, spania i obżarstwa dni mego pobytu w hotelu Giuseppe Ferronato w Jacarézinho. Po nocach źle syptałem, cięży niemiłosiennie przez moskity. Ranki spędzałem w hallu na pisaniu wspomnień z podróży. Często, kiedy siedziałem zamysłony nad papierem, stawał cichutko w progu Ferronato, przytykał palec do czoła i z krzykiem doskakiwał do mnie. Straszyl mnie, a potem się śmiał. Po obiedzie, od dwunastej do piątej, upał powalał mnie na łóżko. Skoro się nieco ochładzało, piłem kawę i wychodziłem przed hotel. Wdawałem się w długie gawędy z moim żartobliwym przyjacielem. Był Włochem i kochał Garibaldięgo. Miał mi za złe, że nie znałem Włoch. Ucieszył się bardzo, kiedy mu powiedziałem, że czytałem Carduccięgo w tłumaczeniu na język polski. Nie był głupi i straszliwie się nudził. Czasem znów siedzieliśmy obok siebie godzinami w milczeniu.

Na chodniku mijają nas dziewczyna. Ferronato otrząsnął się z drzemki i mówił do dziewczyny, naprzykład:

— He, mała! Zatrzymaj się... skąd masz takie śliczne piersi?

Albo:

— Odwróć się... pokaz oczy.. Acha! Już wiem dokąd idziesz...

Pozwól się chłopcu pocałować... unikniesz dziecka!

Giuseppe Ferronato lekceważył Brazylijczyków, a ci starali mu się przypodobać. Kpił ze swoich gości nagłos. Zauważyłem, że dziewczęta omijają go, kiedy siedzi na krześle przed swym hotelem. Opowiedział mi wszystkie plotki z całego Jacaré-zinho. Nie wychodząc prawie z hotelu, wiedziałem jak się krótyś z przechodniów nazywa i czem się specjalnie wyróżnia. Giuseppe Ferronato opowiedział mi o bogatym Polaku, właścicieli połowy ulicy domów w Jacaré-zinho oraz czterdziestu tysięcy drzewek kawowych, niejakim Estanislau Cretti, ale odradził mi go odwiedzić, bo ten człowiek głośno wstydził się swego pochodzenia i kiedyś Giuseppe Ferronato wymyślał go za to na jakimś zebraniu kupców. Powiniennem był wprawdzie pójść i sprawdzić, ale wierzyłem poczciwemu Włochowi i nie poszedłem. Nie poszedłem także do dwu rodzin żydowskich z Polski, właścicieli sklepów galanteryjnych. Kiedyś Giuseppe Ferronato zaczął jakąś dziewczynę i przedstawił mnie jej, tłumacząc, że jestem świeżo z Polski. Podała mi rękę z wyrażną niechęcią i próbowała mówić po portugalsku. Odszedłem od niej. Wszelka myśl przejmowała mnie niechęcią. Byłem apatyczny i wyczerpany nerwowo, a właściwie to niemal chory z nudów. Wieczorami próbowałem chodzić po mieście, ale denerwowały mnie rozchichotane dziewczęta i mężczyźni w pijanymach. W dzień miasto było tak ospałe, że aż przejmowało męką. Często w białej i upalnej ciszy piałły kogury. Były to straszne dni.

Po dziesiątciu dniach, wczesnym rankiem chłopiec hotelowy poczęł dobijać się do mego pokoju, a kiedy mu otworzyłem

drzwi, powiadomił mnie, że za dwie godziny odchodzi pociąg do Kurytyby. Z radości musiałem się położyć na chwilę.

Wyjechałem jako dłużnik kochanego pana Giuseppe Ferronato w sumie stu milreisów. Wczesnym rankiem następnego dnia wysłałem mu te pieniądze telegraficznie z zapewnieniem długotrwałej pamięci. Popołudniu spotkałem się z konsulem polskim w Kurytybie. Powiedział mi na wstępie:

— Przed czterema dniami wyjechał stąd ksiądz Kieła z Herwalzino. Przyjechał specjalnie w związku z pańskim pobylem w interjorze. Podobno nawyprawiał pan tam niesłychanych historyj?...

OD AUTORA

Z rocznego okresu mego pobytu w Brazylii książka ta obejmuje jeden miesiąc. Jest to niemal wierny pamiętnik podróży z południa na północ Parany. Jest to więc książka o Paranie i nie daje obrazu flory i fauny całej Brazylii, która na swym ogromnym obszarze podlega różnicom klimatycznym.

Drobna informacja dla Brazylijan pochodzenia polskiego zamieszkujących stolice stanu Parana, Kurytybę. Nie sądzicie z zakończenia książki, że unikam od-dania życia kurytybskiego. Jest mojem ambitionem zamierzeniem przedstawić was wiernie i na imnem miejscu poświęcę wam wiele wysiłku. Nie mówicie też: „Korzystał z gościnności wielu osób a potem je opisał, ładnie to taki?” — „Co on powiada, że pociąg przyjeżdża o siódmej, kiedy przyjeżdża o siódmej piętna-ścia!” — „Przecież tam niema, w tem miejscu nie rośnie palma!” — „Skąd on widział bawelnę w Baradarei?”

Pamiętajcie, że to nieszlachetnie chceć przekupić pisarza talerzem zupy albo kieliszkiem pomarańczowego wina. Dobrze, pociąg przyjeżdża o siódmej piętna-ście, palma różnie o pięć metrów dalej, na lewo. Ale bawelnę w Baradarei wi-działem, uspokójcie się!

Jeśli istnieje gdziekolwiek człowiek nazwiskiem Grzeszczyszyn, ze chce mi wy-baczyć, że umieściłem go w tej książce. Mój Grzeszczyszyn jest wyobrażeniem osobliwego gatunku ludzi krążących na terenach emigracyjnych Ameryki Połu-dniowej.

Z. U.

54, ✓

9385/22
slump

